

*Tosi, Małgosi, Patrycji, Aryanowi,
Andrzejowi, Mai, Zosi, Maksowi,
Zuzi, Adamowi, Oliwce, Yuli, Gai,
Annie i Joannie, Lenie, Zoe, Nadii, Nico
i wszystkim innym dzieciom*

*Oto cały kłopot z literaturą faktu.
Trzeba odłożyć na bok to, co wszyscy
już wiemy – co wiemy teraz
– i starać się towarzyszyć moim
dwojgu niewiniątkom w świecie takim,
jakim go widzieli.*

Erik Larson, „W ogrodzie bestii”

SPIS TREŚCI

	WSTĘP	11
WOLNE MIASTO GDAŃSK	LEGENDA O ARTHURZE	14
GUŁAG	ŻYCIE ROŚLIN	42
GENERALNE GUBERNATORSTWO	KINDERSZENEN	90
SYBERIA	ELEMENTARZ ZESŁAŃCA	134
STANY ZJEDNOCZONE	SHIKATA GA NAI	162
HISZPANIA/ZWIĄZEK RADZIECKI	Z WIZYTĄ U RADZIECKIEGO WĄSATEGO KRÓLA	198
GENERALNE GUBERNATORSTWO	WARSZAWSKIE DZIECI	240
GENERALNE GUBERNATORSTWO	CZEGO OLEK NIE WIE	292
FRONT WSCHODNI	WSZYSTKO CACY	326
KARŁAG	KSIĘGA ŻYWOTÓW DINY	364
PRUSY WSCHODNIE	MISCHLING	394
GENERALNE GUBERNATORSTWO	MAJTKI Z KOCA	426
	PODZIĘKOWANIA	457
	PRZYPISY KOŃCOWE	461

WSTĘP

Chłopcy i dziewczęta gorliwie myją uszy i czyszczą paznokcie. W drewnianych, podłużnych piórnkach układają gumki do ścierania, zatemperowane ołówki, obsadki ze stalówkami. Kolejny raz przymierzają przed lustrem teczki, w których będą nosić podręczniki.

Jest ostatni dzień sierpnia 1939 roku, nazajutrz rozpoczyna się nowy rok szkolny.

Jeden z bohaterów tej książki wspominał: – Zamykam oczy i znów stoję w kuchni. Mam na sobie granatowe spodenki, marynarkę i kołnierzyk à la Słowacki wyłożony na wierzch. Nagle mama mówi: „Słuchaj, coś się dzieje w kraju, jest specjalny komunikat prezydenta o wojnie”. Zaraz po nim ktoś przemawia, że z uwagi na napaść Niemców początek roku szkolnego zostaje przełożony na czas po zwycięskim zakończeniu wojny.

To niepokojąca, filmowa scena. Szkoda, że nie mogła się wydarzyć.

1 września 1939 roku przypadał w piątek. Wojciech Świętosławski, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, z wyprzedzeniem zarządził, że rok szkolny rozpocznie się

w poniedziałek, 4 września. Każdy uczeń II Rzeczypospolitej miał zacząć ten dzień uroczystym nabożeństwem szkolnym, a dzień później o godzinie ósmej przyjść na lekcje.

Jednak jeszcze pod koniec sierpnia „Kurier Warszawski” na siódmej stronie informował czytelników: „Ministerium W. R. i O. P. zawiadamia, że data rozpoczęcia roku szkolnego [...] ulega odroczeniu na kilka dni i będzie ustalona osobnym zarządzeniem”.

Rok szkolny 1939/1940 miał się nie zacząć już nigdy. Wybuchła wojna. Mimo to w zbiorowej pamięci Polaków obraz dzieci, którym Hitler właśnie tego dnia pokrzyżował plany, jest niezwykle wyraźny. Istnieją dziesiątki spisanych wspomnień i setki artykułów, w których świadkowie potwierdzają niemożliwe. Dlaczego? Kłamią? Zatajają prawdę? Czy zmyślają, nie mając świadomości, że to robią? Czy mam prawo im to powiedzieć? Ponad osiemdziesiąt lat później wytknąć, że się mylą?

To prawda uniwersalna, dotyczy każdego z moich bohaterów i nas samych: nasza historia zmienia się za każdym razem, gdy ją opowiadamy. Fakty są jedynie szkieletem, na który nawlekamy własne wersje zdarzeń.

Również o tym jest ta książka.

LEGENDA O ARTHURZE

Działo się to we wsi Glabitsch, całkiem niedaleko wsi Stutthof, na skraju Freie Stadt Danzig. Żył tam pewien pobożny ewangelik, który nazywał się Erich Pawlowski. Wybudował on dom z czerwonej cegły i pojął za żonę Margarete Gertz, drobną, ale zdrową kobietę.

A Bóg ich obdarzył szesnaściorgiem dzieci.

Pierwszy na świecie pojawił się Erich, imiennik ojca. Jego przeznaczeniem będzie śmierć na pancerniku „Scharnhorst”.

Drugi urodził się Hans, który umrze w zimnym szwedzkim morzu.

Trzecim synem był Kurt. Bóg pośle go z pancerfaustem na ramieniu przeciwko radzieckim czołgom.

W 1930 roku urodził się Arthur, czwarty z braci. Jemu los wyznaczył długie życie wśród obcych.

Pozostałe dzieci rodziły się jeszcze przez piętnaście lat po Arthurze. To Otto, Marga, Willy, Bruno, Erika, Gerda, Erwin, Albert. Było też czworo innych, których imion dzisiaj już nikt nie pamięta.

Erich Pawlowski nie miał swojej ziemi, więc nie mógł być rolnikiem, ani swojej łodzi – nie był też rybakiem. Pracował za to u miejscowego bauera i był przez niego szanowany, bo jak nikt potrafił przemienić mleko w śmietanę, masło i sery.

Naturę Erich miał nerwową, charakter – choleryczny. Choć mocnych trunków nie pijał, walił pięścią w stół, jeśli nie było na nim w porę obiadu, krzyczał, gdy dzieci wchodziły mu pod nogi. Arthur też wtedy krzyczał – ze strachu.

Raz do Pawłowskich przyjechali urzędnicy i zabrali pierwszych pięciu synów z sobą. Zamknęli ich w wielkich domach, gdzie były już inne dzieci, i podali im zatruty napój, od którego młodszy bracia zapomnieli rodziców i siebie nawzajem. A starszym zrobiło się wszystko jedno.

Syn Irycha

Sprzed wojny pozostało mu twarde „r”.

Ma też kłopoty z głoskami szeleszczącymi: „sześćset sześćdziesiąt sześć” – piekielnie trudno mu to wymówić.

Literę „e”, na początku wyrazu „Erich”, wymawia jak „i”. Pewnie dlatego w polskim dowodzie osobistym wpisano mu po wojnie, że jest synem „Irycha”. Wtedy też zabrano mu „h” z imienia, a w nazwisku dorobiono kreskę biegnącą ku górze przy literze „l”.

Od siedmiu dekad Arthur Pawłowski jest więc Arturem Pawłowskim.

Mówi: – Zanim się odezwę, ludzie biorą mnie za Polaka. Powiem słowo, od razu mówią: „Pan jesteś Niemiec”. „Gdańszczanin” – ja im na to odpowiadam.

Istnieją trzy wersje.

Erich i Margarete sami oddają swoich synów na chwałę Rzeszy. Chcą, żeby ich chłopcy wyrosli na dumnych nazistów. Pawłowscy, choć nazwisko mają polsko brzmiące, czują się Gdańszczanami o niemieckich korzeniach. Akurat jest rok 1933, Adolf Hitler zdobył władzę w Niemczech, popiera go także większość niemiecka w Wolnym Mieście Gdańsku, która chciała powrotu ziem będących pod protektorem Ligi Narodów do Rzeszy.

W wersji drugiej urzędnicy odbierają Pawłowskiemu dzieci siłą, by przekształcić je w wierne narzędzia ideologii nazistowskiej.

W trzeciej – Erich, Hans, Kurt, Arthur i Otto – trafiają z Glabitsch do gdańskich domów dziecka, bo są przez swoich rodziców zaniedbywani.

Która z wersji jest prawdziwa? Tego nie wiadomo.

Legendy część druga

Zamieszkał trzyletni Arthur w sierocińcu w mieście Danzig. Kiedy pytał opiekunów o mamę i tatę, gniewali się na niego.

– Oni nie żyją – mówili, marszcząc brwi. – Jesteś sierotą! – dawali.

Mało wiele minęło, gdy chłopiec uwierzył, że taka jest prawda.

Z pamięci Arthura uciekli trzej starsi bracia, których urzędnicy zawieźli do innego sierocińca. Nie poznawał też Ottona, młodszego o rok braciszka, choć mieszkał z nim w jednym domu. Byli sobie jak obcy.

W Wielkanoc w ogrodzie sierocińca zajął pochował kolorowe jajka. Arthur wraz z innymi dziećmi szukał ich ukrytych w trawie. Będzie to najśłodszym wspomnieniem z dzieciństwa Pawłowskiego.

Rok później, gdy chłopiec ukończył cztery lata, przeszedł pieszo przez Danzig i Langfuhr aż do dzielnicy Oliva. Szły z nim inne dzieci, starsi trzymali je za ręce. Kto nie miał już sił, bo droga była daleka, wsiadał na drewniany wózek, który silniejsi ciągnęli za dyszel. W końcu dotarli do Kinder- und Waisenhaus, który od tam miał być ich domem.

Tak to Arthur zapamiętał, a pamiętać miał niewiele.

Nie było wśród dzieci Ottona, młodszego brata Arthura – sierotę przygarnęło do siebie bezdzietne małżeństwo ze wsi Steegen.

Kinder- und Waisenhaus

Dwa klasycystyczne budynki zostają posadowione na łagodnym wzgórzu wśród lasów, przy Pelonkerweg 122 w Oliwie, w pierwszej połowie XVII wieku.

Sto pięćdziesiąt lat później mieszka tu z rodzicami mały Arthur Schopenhauer. Z okien roztacza się wówczas „jeden z najbogatszych i najbardziej zachwycających widoków” na zatokę – notuje we wspomnieniach matka filozofa¹.

Po pół wieku w posiadłości powstaje zakład leczący wodą i szwedzką gimnastyką (koszt pobytu w przytulnych pokojach – siedem talarów tygodniowo).

W latach sześćdziesiątych XIX wieku posesję kupuje miasto Gdańsk i w budynkach dworu urządza ewangelicki Dom Dziecka i Sierot ze szkołą i warsztatami rzemieślniczymi do nauki zawodu. Mieszka tu zwykle około stu wychowanków, zarówno dziewczęta (noszą jednakowe czerwone sukienki), jak i chłopcy (niebieskie mundurki). Do sierocińca należą stawy, kilkadziesiąt akrów ziemi uprawnej, gospodarstwo i żwirownia.

W 1919 roku polonijna „Gazeta Gdańska” opisuje niespodziewaną inspekcję urzędniczą przy Pelonkerweg 122: „Cóż tam rewizorzy znaleźli? Dzieci blade i cierpiące skarżyły się, że dostają liche jedzenie. [...] A co dozorca dawał dzieciom jeść? Po dwa razy w tygodniu brukiew bez kartofli, suszone warzywo lub kapustę z kartoflami lub bez nich, a raz gęste krupy. [...] Ubranka sierót były czarne, cienkie i po części zdarte. Dzieci zabrudzone, bo mydła do mycia nie miały, za chustki służył rękaw lub fartuszek [...]. Sypialnia chłopców była niezmiernie brudna, a izba dozórczyni to istny chlew dla świń”².

Czteroletni sierota, wpisany do ksiąg pod nazwiskiem Arthur Pawłowski, zostaje wychowankiem Kinder- und Waisenhaus w Oliwie piętnaście lat później. Ponieważ wojny nie przetrwają

żadne dokumenty związane z chłopcem, można jedynie zgadywać, że jest rok 1934 lub 1935. Dziewcząt już tu nie ma, narodowy socjalizm nakazuje rozdział płci w instytucjach edukacyjnych.

Od roku przebywają tutaj starsi bracia Arthura, ale on o tym nie wie.

Najmłodsze dzieci z sierocińca mieszkają na poddaszu – śpią na żelaznych łóżkach zestawionych z sobą blisko. Z wiekiem schodzą na niższe piętra.

Rok 1939 zastaje dziewięcioletniego Arthura gdzieś pomiędzy parterem a drugim piętrem.

Jak wychować nowego Niemca

Adolf Hitler chce nowej pedagogiki. Uważa, że młodzież niemiecka wychowywana była do tej pory zbyt liberalnie: w duchu międzynarodowego socjalizmu, pacyfizmu i demokracji, za to w braku idei narodowej³. To należy zmienić. W swojej książce *Mein Kampf*, która jest biblią nazizmu, Führer podkreśla: „W słabości fizycznej leży niejednokrotnie źródło osobistego tchórzostwa”⁴.

Johanna Haarer, autorka wydanej w 1934 roku książki *Niemiecka matka i jej pierwsze dziecko*, poucza kobiety, że zachodzą w ciążę dla rodziny, narodu i rasy. Niemowlę ma się dostosować do obowiązujących zasad, a nie odwrotnie. Karmienie i przewijanie – pięć razy dziennie, kąpiel – raz dziennie. Jeśli dziecko ssie piąstki, należy mu przywiązać ręce. Płacze? Ignorować. Ono w ten sposób próbuje zdobyć władzę nad matką. (Poradnik Haarer, z nieco zmienioną treścią, będzie wydawany w Niemczech jeszcze wiele lat po wojnie).

Dwa lata później w Rzeszy powstaje Lebensborn – organizacja, która ma sprawować opiekę nad czystym rasowo potomstwem, wspieraniem niemieckich matek, pomocą w donoszeniu ciąży.

Ernst Krieck, główny pedagog hitlerowskich Niemiec, uważa, że najważniejszym celem wychowania jest stworzenie „sobie właściwymi metodami dydaktycznymi narodowosocjalistycznego człowieka”⁵. Niemiec przyszłości ma być podporządkowany i posłuszny wobec przywódców. Na pierwszym miejscu Krieck stawia sport i wychowanie fizyczne, które przygotowują chłopców do służby wojskowej, a dziewczęta do macierzyństwa.

Naukę należy ograniczyć do najistotniejszych zasad, unikać przeładowania szczegółami, wzmóc nauki humanistyczne, bo te o wiele bardziej potrzebne są duszy niemieckiej. W ciągu pierwszych czterech lat szkoły powszechnej dzieci należy rozmiłować w śpiewaniu piosenek narodowosocjalistycznego ruchu, związanych z marszem, wędrówką, żołnierzem i ojczyzną. Pieśni mają głęboko zapadać w świadomość i wywoływać „samorzutną chęć częstego śpiewania”⁶. Nauczyciele będą obowiązkowo doksztalcani z zasad narodowego socjalizmu, nauki o rasie i dziedziczności, prehistorii i folkloru niemieckiego.

W 1936 roku przestają istnieć w Niemczech wszelkie organizacje młodzieżowe. Pozostaje jedynie Hitlerjugend, założona już w 1922 roku młodzieżówka NSDAP. Dzieli się na cztery grupy – dwie dla chłopców: Deutsches Jungvolk (do czternastego roku życia) i Hitlerjugend (do pełnoletności) oraz dwie dla dziewcząt, odpowiednio: Jungmädelbund i Bund Deutscher Mädel⁷. Wyróżniających się członków organizacji należy wyłowić i posłać do szkół zakonów, gdzie zostaną uformowani na przyszłych dowódców.

Proces wychowawczy nowego Niemca ma się zakończyć wraz z odbyciem przez niego obowiązkowej służby wojskowej. Uformowany człowiek otrzyma dyplom obywatelski i zaświadczenie lekarskie, które – pod warunkiem, że będzie zdrowy – upoważni go do zawarcia związku małżeńskiego.

Artur Pawłowski ma wątpliwości: – Nie jestem pewien, czy w sierocińcu z pełnym oddaniem stosowano się do zaleceń Hitlera. Nie wydaje mi się, żeby w naszym domu działał Jungvolk. Mógłbym zapomnieć mundury, leistungsbuchy (książeczki członków organizacji), marsze, śpiewy, próby, którym poddawano chłopców? Na pewno nie było u nas Hitlerjugend, bo wychowankowie opuszczali nasz sierociniec po ukończeniu czternastu lat.

Legendy część trzecia

Dnia 18 września roku 1939 rozniosła się wieść po sierocińcu, że nazajutrz do Danzig przyjedzie sam Adolf Hitler. Dzień jego wizyty ogłoszono świętem w całym mieście. Nakazano bić w dzwony, a wszystkim obywatelom – czekać z kwiatami w rękach wzdłuż trasy jego przejazdu już od godziny piętnastej.

Arthurowi i jego kolegom wychowawcy kazali wieczorem szczególnie dokładnie umyć uszy, szyje i stopy, na wypadek gdyby Führer miał życzenie zatrzymać auto i osobiście je obejrzeć.

Następnego dnia dwieście sierot – w wypastowanych butach, białych skarpetkach i jednakowych ubraniach – ustawiło się wzdłuż Adolf-Hitler-Strasse. Na miejsce dotarli, maszerując ze śpiewem na ustach.

Arthura bolały nogi, był głodny i chciało mu się pić, bo dzień był gorący, a od próbnych okrzyków zasychało w gardle. Nudził się trochę. Wiele razy już przeczytał napis na transparencie zawieszonym nad ulicą, między latarniami: „Oliva dankt dem Führer!” (Oliwa dziękuje Führerowi), i policzył czerwone sztandary z czarną swastyką wywieszzone z okolicznych okien. Podziwiał kobiety wysypujące z wielkich koszy na szosę główki kwiatów, które



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

układały się w wielobarwne dywany, a Hitler wciąż nie nadjeżdżał. W końcu, o godzinie szesnastej z dwoma kwadransami, od strony Zoppot podniósł się szmer. Mężczyźni zaczęli krzyczeć, kobiety szlochać, każdy wyciągał prawą rękę przed siebie, jakby chciał dotknąć płaszcza Führera.

Arthur był drobnym chłopcem, stał więc w pierwszym rzędzie i mógłby przysiąc, że oko Hitlera spoczęło przez ułamek sekundy na jego wyszorowanej szyi, gdy władca świata mijał go w odkrytym samochodzie.

Scenki z życia wychowanka Pawlowskiego

I

Córka Gustava Froese, dyrektora sierocińca, hoduje w ogrodzie króliki. Znosi im co dzień obierki ziemniaków, marchewkę, liście

sałaty. Kiedy nikt nie patrzy, wychowanek Pawlowski wyjada z króliczej klatki resztki warzyw.

Zupa mleczna jest rozwodniona. Chleb rozdzielany skąpo. Masło bywa rzadko. Mięso – tylko w święta.

Po szkole sieroty pracują w gospodarstwie sierocińca. Młodszy piął i kopują warzywa, starsi obrządzają bydło. Podczas pracy w polu wychowanek Pawlowski podjada surowe buraki i wyskubuje żółte ziarna z kolb kukurydzy.

Przy Pelonkerweg 122 wszyscy są głodni.

– Jeśli nazbieracie dużo jagód i grzybów, będą dla was jutro na obiad – ogłasza chłopcom jeden z wychowawców. Sierociniec graniczy z lasem. Wczesnym popołudniem kosze są pełne.

Wóznica Kuczera ze wsi Quaschin, który jeździ dla sierocińca, wieczorem dla towarzystwa zabiera w drogę wychowanka Pawlowskiego. Jadą do Zoppot. Wóznica zatrzymuje się przed bogatymi domami w górnej części miasta.

– Tu mieszkają panowie z NSDAP – wyjaśnia chłopcu.

Arthur pomaga Kuczerze zdjąć towary z wozu i znosi je do willi. Rozpoznaje kosze jagód i grzybów zebranych w lesie tego dnia rano. Dźwiga dzbany ze śmietaną, sery zawinięte w płótno, masło w papierze.

– My chcemy jagód! My chcemy grzybów!

Wychowankowie sierocińca wychodzą na Pelonkerweg. Arthur Pawlowski powiedział im, gdzie znika ich jedzenie.

– My chcemy jagód! My chcemy grzybów!

Z gospody przy Pelonkerweg wychodzą ludzie i pytają chłopców, dlaczego tak krzyczą.

—

– Smakuje ci? – obcy człowiek zagląda do talerza wychowan-ka Pawłowskiego. Arthur kiwa głową. Jest odświętnie ubrany i obuty, choć to zwykły dzień. Wszyscy są dziś eleganccy, a obiad składa się z trzech dań. Jakby było Boże Narodzenie. W stołówce panuje cisza, przerywana pytaniami panów z komisji. Trwa kontrola w sierocińcu – ktoś doniósł kuratorowi, że dzieci tutaj głodują.

– To dlaczego narzekacie, skoro takie smaczne? – pyta kontroler.

Nikt mu nie odpowiada. Na skarżypytę w gabinecie dyrektora czeka giętka trzcina.

||

W oliwskim Kinder- und Waisenhaus panuje dryl. Wedle życzenia Führera.

Wychowanek Pawłowski wstaje o szóstej rano. Śniadanie dzieci przygotowują sobie same. Pewnego dnia dziesięcioletni Arthur wdrapuje się na blat, żeby sięgnąć do wiszącej szafki po ołowiane kubki do kawy zbożowej. Szafka spada na chłopca, Arthur z rozbitą głową jedzie do szpitala.

—

Po śniadaniu lekcje. Szkoła jest w sąsiednim dworze. Wystarczy przebiec między budynkami.

Dyrektorem szkoły jest herr Otto Gingeleit, młodszymi dziećmi zajmuje się frau Rosalie Jaskulski. Gustav Froese, dyrektor sierocińca, jest także nauczycielem.

Artur Pawłowski nie zachował w pamięci swojej szkoły. – Tak mi się zdaje, że uczono nas, czego trzeba. Jak się człowiek nie wychylał i był grzeczny, to miał spokój.

—

W 1941 roku w USA ukazuje się książka *Education for death. The making of the Nazi*. Autorem jest Gregor Ziemer, amerykański pedagog, pisarz i dziennikarz, który w latach 1928-1939 prowadził amerykańską szkołę w Berlinie. Udając fascynację pedagogiką nazistowską, uzyskał zgodę na zwiedzenie zakładów wychowawczych, szkół i instytucji kształtujących nowych Niemców. „Rozmawiałem z wieloma nauczycielami. [...] Byli nasiąknięci jedną i tylko jedną ideą: sprawić, żeby chłopiec myślał, czuł i działał jak prawdziwy nazista” – pisze Ziemer po powrocie do Stanów⁸.

Opisuje wizytę w klasie chłopców należących do Jungvolku: „Podniosły się wszystkie ręce. Chrapliwe »Heil Hitler!« zatrzęsło oknami. Nauczyciel stał na baczność, stuknął obcasami i warknął majestatycznie »Heil Hitler, Sieg Heil!«⁹.”

W Hamburgu uczestniczy w lekcji Rassenkunde (nauka o rasie), prowadzonej wśród starszych uczniów. Notuje skierowane do chłopców ostrzeżenie nauczyciela przed relacjami seksualnymi z dziewczętami, które nie mają czystego pochodzenia aryjskiego. Stosunek płciowy z Aryjką jest sankcjonowany przez Partię. Wszystko inne jest uznawane za marnowanie germańskiej potencji. „Francja osłabia swoją rasę przez mieszanie się z czarnymi żołnierzami w swoich koloniach; Rosja zanieczyszcza się żółtą rasą; Czechosłowacja popełnia cudzołóstwo z Cyganami; Anglia z Żydami”¹⁰.

Książka Ziemera staje się bestsellerem. W 1943 roku na ekrany amerykańskich kin wchodzi dwa filmy – fabularny dramat *Hitler's Children* w reżyserii Edwarda Dmytryka i animowany *Education for Death* wytwórni Walta Disneya – oba nakręcone na podstawie książki.

Tygodnik „Life” zamieszcza recenzję *Hitler's Children*: „Niektóre ze scen spowodują, że widzom będzie się chciało wymiotować na ekran. Jest to współczesny horror o tym, jak niemieckie dzieci są naukowo formowane w nienawidzących wolności, podążających ślepo za przywódcą nazistów”¹¹.

Po lekcjach musztra. Wychowanek Pawłowski staje na baczność, maszeruje równym krokiem, pada na ziemię, błyskawicznie formuje z kolegami dwuszereg.

Wolny czas w sierocińcu nie istnieje. Młodsze dzieci wrywają zielsko na polu i zbierają ziemniaki, starsze karmią świnię, doją krowy, czyszczą konie. W wyznaczone dni dyżurni pomagają dwóm kobietom w maglu.

W sąsiedztwie sierocińca jest dom starców. Wychowankowie odwiedzają pensjonariuszy. Arthur lubi tam bywać, pomaga sprzątać pokój dwóch kobiet. Później zwykle skrada się na strych i myszkuje wśród starych kufków.

Gimnastyki, ulubionej formy ruchu nazistów, Artur Pawłowski nie będzie umiał sobie przypomnieć. Wspomina: – W spodenkach gimnastycznych i podkoszulkach zapędzono nas na ogrodzony plac i pozostawiano samym sobie, o każdej porze roku. Pilnował nas jeden wychowawca. Marzliśmy. Od wiosny do późnej jesieni chodziliśmy boso. Buty wkładaliśmy tylko do miasta.

Wulf Meimerstorff, inspektor sierocińca, na obrzeżach Olivy stawia domek jednorodzinny. Wychowankowie kopią dół pod fundamenty, noszą cegły i deski, mieszają zaprawę.

III

Codziennie z głośników zawieszonych w sierocińcu płyną marsze, patriotyczne pieśni, jak *Horst Wessel Lied*, i przemówienia Adolfa Hitlera. Arthur Pawłowski o wojnie wie tyle, ile dowie się w szkole. A przekaz jest jasny: Rzesza wkrótce będzie panowała nad całym światem. To kwestia czasu.

Innych źródeł informacji nie ma. Wychowankom nie wolno rozmawiać z nikim obcym na ulicy.

Wojna mnoży sieroty. W Kinder- und Waisenhaus między łózkami wychowanków trzeba porobić mniejsze odstępki, mieszka tu teraz dwieście pięćdziesięcioro dzieci (taką liczbę zapamięta Artur Pawłowski).

Każdy chłopiec trzyma pod łóżkiem maskę przeciwgazową. Kiedy nocą rozlega się próbny alarm ogłaszany przez wychowawców, Arthur z kolegami zbiega do piwnicy sierocińca. Po drodze naciąga na twarz sztywną zielonkawą gumę maski. Siedzą potem przez pewien czas wśród stert buraków i kartofli przeznaczonych dla stołówki.

Nauczyciele i wychowawcy w wieku poborowym idą na front. Zastępują ich mężczyźni wyreklamowani od wojska oraz kobiety.

Znika także strażnik, który otwierał bramę. Na jego miejsce trafia mężczyzna, który stracił w czasie walk nogę.

List

„Jestem sierotą, mam czternaście lat. Wkrótce wychodzę z sierocińca i nikt nie chce mi nic powiedzieć. Żebym to ja nie znał swoich rodziców? Nie wiem, jaką mieli śmierć. Wypadek był czy choroba? Jeśli pan kurator coś wie, proszę o informację” – w 1944 roku Arthur Pawłowski pisze list do urzędu (treść się nie zachowała, ale Artur Pawłowski spróbował go sobie dla mnie przypomnieć).

Korespondencja podopiecznych sierocińca przechodzi przez cenzurę wychowawców. Arthur wie, że nikt nie pozwoliłby mu na kontakt z kuratorem. Jeśli wychowanek ma jakieś pytania, powinien zadać je opiekunom. A na pytania Pawłowskiego o rodziców odpowiadali już wielokrotnie: – Nie żyją.

List pomagają więc chłopcu wysłać zaprzyjaźnione pensjonariuszki domu starców. Zresztą to one namówiły Arthura, żeby zwrócił się do urzędu po informacje.

To ważny rok w życiu wychowanka Pawłowskiego. W kwietniu przystąpił do confirmacji w oliwskim kościele. Za kilka miesięcy, kiedy tylko skończy szkołę, będzie musiał odejść z Kinder- und Waisenhaus.

Podopieczni sierocińca po ukończeniu czternastego roku życia trafiają do nauki zawodu. Arthur może wybrać między pracą u rzeźnika lub piekarza.

Wybiera piekarnię. Jest chudy i niewysoki, często marznie, woli więc spędzić życie wśród rozgrzanych pieców niż w chłodni z mięsem.

Starsi bracia Arthura opuścili już sierociniec.

Erich, najstarszy, w grudniu 1943 roku zginął na pancerniku „Scharnhorst”, podczas operacji Ostfront w rejonie północnej Norwegii. Pancernik, zbombardowany przez okręty wroga, poszedł na dno wieczorem drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia. Wraz z Erichem zatonoło tysiąc dziewięciuset trzydziestu jeden członków załogi. Ocalało trzydziestu sześciu.

Drugi brat, Hans, został wcielony do jednostki podwodnej. Zginął gdzieś w okolicach Szwecji. Tylko tyle Artur dowie się o nim po wielu latach.

Kurt, starszy o rok, jest uczniem u rzeźnika w Danzigu. Czas dzieli między pracę i obowiązkowe zajęcia w Hitlerjugend. W czasie wojny młodzież Führera jest szkolona do walki na froncie.

Dyrektor Gustav Froese wzywa do gabinetu wychowanka Pawłowskiego. Do sierocińca zadzwonił dziś kurator, oburzony niesubordynacją podopiecznego z Kinder- und Waisenhaus. Od kiedy dzieci kontaktują się osobiście z urzędami? To wbrew wszelkim zasadom!

Froese sięga po trzcinę i nakazuje Arthurowi opuścić spodnie. Za wysłanie listu wychowanek zostaje ukarany chłostą.

Legendy część czwarta

Zarzucił młodzian na plecy węzełek, wzuł buty i ruszył w świat, a jesień 1944 roku już krążyła po ziemi.

Arthur doszedł aż do piekarni przy Stiftswinkel 4, przy bramie stoczniowej w Danzigu, wyjął z kieszeni skierowanie i pokazał je piekarzowi Augustowi Nitschowi. Spojrzał piekarz na chudzinę i się zaśmiał: „Jak ty chcesz worki stukilowe z mąką na plecach nosić? Jak ty ciasto będziesz miesił, kiedy do tego potrzeba siły olbrzyma?”. Pawłowski, choć mu piętnasty rok szedł i do Hitlerjugend już mógłby wstąpić, wyglądem przypominał siedmioletniego pimpfa¹². Dobry był jednak z Augusta Nitscha człowiek (choć katolik) i przyjął Arthura na swojego ucznia. Kazał mu rozwozić chleb na rowerze po całym mieście, nawet do dzielnicy Oliva.

Miał piekarz żonę i dwie dorodne córki, miał kucharkę i niewolników – dwóch z Francji i jednego z Polski. Wszystkich traktował sprawiedliwie i zasiadał z nimi do obiadu. Głodu Pawłowski tam nie znał, chleba mu nigdy nie brakowało.

Raz do piekarni przyszli po Pawłowskiego urzędnicy. Był już w odpowiednim wieku, by iść na wojnę. Pod koniec 1944 roku Adolfowi Hitlerowi kończyli się żołnierze, a świata wciąż nie podbił, postanowił więc posłać do walki młodzieńców i starców. Nitsch udał jednak, że chłopaka nie zna, dzięki czemu nie musiał Arthur iść na wojnę i umrzeć jak inni.

Wiosną 1945 roku nadleciały nad Danzig samoloty i zrzuciły bomby na miasto. Pod koniec marca na ulice wjechały czołgi wroga – znakiem tego, że Führer przegrywał wojnę, którą sam wywołał. Między domy rozbiegli się żołnierze ze wschodu, których mowy nikt nie rozumiał. Bezwzględni i niebezpieczni. Palili domy, grabili mienie, gwałcili kobiety. Żeby się ukryć przed nimi, ludzie zeszli do piwnic i schronów.

Córki piekarza do piwnic nie schodziły, ale kiedy ich dom stanął w ogniu, przecięły sobie żyły na rękach i wybiegły na ulicę, ciągnąc za sobą wstęgi krwi. Arthur widział, jak jedna z nich płonie, a drugą, zemdloną, Sowieci ponieśli ze sobą.

W tym samym czasie jego brat Kurt położył sobie na ramieniu poduszkę, a na niej ciężki pancernaust. Na rozkaz dowódcy wyruszył naprzeciw czołgom. I tak zakończył życie.

Ewakuacja

Arthur Pawłowski opuszcza schron przy Stiftswinkel pod koniec marca 1945 roku. Jest głodny. Sowieci odkryli schowane pod podłogą piekarni zapasy mąki i całą zabrali z sobą. Piekarz Nitsch nie żyje, zmarł śmiercią naturalną pod koniec wojny, jego żona gdzieś zniknęła. Chłopak nie wie, co z sobą robić. Postanawia przedostać się do sierocińca w Olivie. Ma nadzieję, że znajdzie się tam miejsce dla dawnego wychowanka. Pamięta dobrze miejsce, gdzie kopcowano warzywa. Może uda mu się wykopać trochę rabarbaru?

Idzie szybko. Trzyma się granicy lasu z miastem. Po drodze wiesza czapkę na gałęzi jakiegoś drzewa, później to samo robi z zimową kurtką, dzień jest gorący, wiosenny. Po kilku godzinach dociera do Pelonkerweg 122.

Zastaje pusty dom.

W czerwcu 1949 roku wydawane w Lubec pismo „Mitteilungsblatt”, skierowane do gdańszczan wysiedlonych po wojnie do Niemiec, na przedostatniej stronie poinformuje: „Niektórych z naszych czytelników powinien zainteresować fakt, że duża część gdańskich sierot z sierocińca Pelonken znalazła nowy dom w Waisenhaus Rodensand, w pięknym Kellersee, niedaleko Eutin

w Szlezwiku-Holsztynie. Do tej pory mieszkają tam 92 sieroty w wieku od 8 do 15 lat, które ewakuowano w lutym 1945 roku z Penlonken do Malente, a później do Rodensand”¹³.

Odruch

Warszawa, koniec lat czterdziestych.

Junak Pawłowski maszeruje przez ulice miasta w kierunku Ochoty. Od trzech miesięcy, w kufajce i gumofilcach, odbudowuje polską stolicę.

Służba Polsce, do której go wcielono, to nowa, młodzieżowa organizacja. Ma pomagać w odbudowie kraju, ujarzmianiu Ziemi Odzyskanych i wychowywaniu młodzieży, przy jednoczesnym przeszkoleniu wojskowym. Istnieje od 1948 roku i strukturą przypomina radziecki Komsomoł. Rok później służy w niej już ponad milion chłopców i dziewcząt (kilkumiesięczna służba jest obowiązkowa, jednak uchylających się od stawiennictwa nie spotykają sankcje).

Arthur Pawłowski służy w brygadzie nadkontyngentowej – specjalnej jednostce SP dla wrogów klasowych. Wcielane są tu dzieci zamożnych rolników, bogatych kupców, przedwojennych urzędników, a także członkowie mniejszości narodowych – głównie niemieckiej i ukraińskiej. Dowództwo kieruje ich przeważnie do pracy w kopalniach węgla, kamieniołomach i zakładach wydobywania rud uranu, co w przyszłości wpłynie decydująco na długość (a raczej krótkość) ich życia.

Jednak Arthur miał szczęście, wysłano go do odbudowy Warszawy. Większość junaków w jego grupie to Niemcy, którzy tak jak on zostali po wojnie w Polsce. Żaden z nich nie zna dobrze języka polskiego. Jest zima, w gumofilcach trudno im się maszeruje. Z baraków przy Polu Mokotowskim, gdzie stacjonują, na Ochotę, gdzie

stawiają bloki wojskowe, droga wydaje się im daleka. Junacy co chwilę gubią rytm i psują szyk. Dowódca wydaje rozkaz swojej brygadzie:

– Czołooo! Śpieeeew!

Nagle pod warszawskie niebo płynie wspólne: *Horst Wessel Lied* – ulubiona pieśń nazistów.

Artur Pawłowski tłumaczy: – To był odruch, wyrobiony w nas przez lata propagandy hitlerowskiej. Zresztą innych pieśni nie znaliśmy. A polskich to już wcale. Dowódca się wściekł. Kazał nam natychmiast przerwać i wydał komendę: „Padnij! Czołgaj się!”.

Braki

[Rekonstrukcja zdarzeń]

Poborowy Artur Pawłowski po półrocznej służbie w SP staje przed obliczem Wojskowej Komisji Rekrutacyjnej w Gdańsku. Jest rok 1949.

Komisja: – Poborowy jest Niemcem?

Poborowy: – *Nein*, Polakiem. Od niedawna całkiem mam *polnische* obywatelstwo.

Komisja: – Katolik?

Poborowy: – *Nein*, ewangelik.

Komisja: – Dlaczego poborowy tak słabo mówi po polsku? Nie chodził do polskiej szkoły?

Poborowy: – Po wojnie mnie posłano na kurs dla analfabetów. Kazali mi „abc” pisać i „1+1” dodawać. „Ja umiem pisać i czytać” – powiedziałem im. „Chcę się tutaj nauczyć polskiego”. Nakrzyczeli: „My tu nie uczymy polskiego, wynocha, już!”.

Komisja: – Poborowy pracuje?

Poborowy: – *Ja*. W 1945 roku zatrudniłem się u piekarza w Jelitkowie. Potem u kioskarza w Oliwie. Teraz robię w ogrodnictwie



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

ośrodka wypoczynkowego Prezydium Rady Ministrów w Jelitkowie. A jak trzeba, to świnie też nakarmię. Mam tam własny pokój.

Komisja: – Poborowy ma braki w dokumentach. Imiona rodziców?

Poborowy: – *Ich weiss nicht*. Jestem sierotą.

Komisja: – W papierach stoi tylko, że poborowy urodził się w Głabitsch. To teraz polska wieś Głobica na Żuławach. Poborowy tam pojedzie, uzupełni braki i stawi się ponownie z metryką urodzenia.

Frau Polomski

Wysoki młody mężczyzna z gęstą czarną czupryną zaczesaną do tyłu, w kapelusiku i prochowcu, z teczką pod pachą krąży po Głobicy.

W urzędzie w Stegnie, wsi, której Głobica podlega, powiedziano mu, że wszystkie niemieckie papiery, w tym jego metryka, spłonęły.

Artur Pawłowski: – Pomyślałem wtedy, że skoro już tam jestem, pójdę do Głobicy i będę chodził od domu do domu. Może spotkam kogoś, kto by pamiętał Pawłowskich? Może nie wszystkich ludzi sprzed wojny stamtąd wywieziono do Niemiec?

Młody człowiek w kapelusiku i prochowcu puka do drzwi ponemieckich domów.

– Nie podobało się to mieszkańcom. Po niemiecku do nich mówiłem, trochę po polsku. Może myśleli, że chcę ich wyrzucać z domów? Trzaskali mi drzwiami przed nosem. Ktoś nawet rzucił za mną kamieniem. Ale jakiś inny człowiek wskazał: „Tam mieszka pewna kobieta. Ona tu jest od przedwojny, Połomska się teraz nazywa. Ale kiedyś Polomski. Tam pan idź”.

Artur Pawłowski: – To była starsza pani. Zapytała mnie po niemiecku: „A jak ty się, chłopczyku, nazywasz?”. Ja do niej: „Ten chłopczyk



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

to Pawłowski Arthur”. Rzuciła mi się na szyję. „Jestem twoją matką chrzestną! A twoi rodzice do niedawna mieszkali tam” – i wskazała na dom z czerwonej cegły. Zawołałem: „Jak to mieszkali?! Przecież nie żyją tyle lat”. „Ojciec twój, Erich, nie żyje, to prawda. Pracował w wojnę u bauera, który był w NSDAP. Rosjanie przyszli, nie mogli znaleźć gospodarza, więc zastrzelili w zamian twojego ojca. Ale twoja matka, Margarete, w 1946 wyjechała do Niemiec”. Spojrzała na mnie, bo zbłądłem. „Was było więcej” – nagle dodała. „Twoja matka szesnaścioro dzieci urodziła”. W szoku powiedziałem do niej: „To nie może być, frau Polomski, całe życie myślałem, że jestem sierotą”. Wtedy ona: „Dam ci adres do nich. Przecież ja piszę z twoją matką”.

Idź już, synu

„Jeśli, synu, chcesz do mnie przyjechać, nie mogę ci tego zabronić. Ale wiesz, że nie znajdziesz u mnie miejsca do spania, bo ciasno. Lepiej jakiś hotel przygotuj zawczasu” – Artur Pawłowski przytacza z pamięci słowa Margarete, swojej matki.

Pierwszy list posyła do niej zaraz po spotkaniu frau Polomski. *Mutti* odpisuje, że jest rada.

Artur pisze też do braci: Otta, Brunona i Erwina, oraz sióstr: Eriki, Gerdy i Margi. Odpisują, że to wspaniale mieć go znów. Wysyłają mu swoje fotografie, z których widzi, że są jednej krwi. On im posyła swoje. Niektórzy składają mu wizytę w Polsce.

Artur Pawłowski od początku marzy, żeby odwiedzić wieś Büste, gdzie osiadła Margarete, ale nie jest to łatwe. Obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie ma, zdaniem władz, czego szukać w Niemieckiej Republice Demokratycznej i odmawiają mu pozwolenia na wyjazd.

Pawłowski pracuje w kotłowni w Gdańsku-Wrzeszczu, gdzie w paszczę sześciu kotłów sypie co dzień tony węgla. Wszystkie



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii

niedziele stara się spędzać w parafii ewangelicko-augsburskiej, gdzie znalazł przyjaciół, rozmawia po niemiecku, pomaga remontować kościoł w Sopocie i szykuje paczki dla ubogich parafian (za co w 2014 roku zostanie wyróżniony Nagrodą Diakonii Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP „Miłosierny Samarytanin”). Żeni się z Polką, na świat przychodzi troje ich dzieci. Te dziwią się mowie ojca, który utknął na granicy między językiem niemieckim i polskim. I nie rezygnuje z marzeń o poznaniu mamy.

Wreszcie przychodzi rok 1969. Artur Pawłowski dostaje zgodę na wyjazd. W garniturze, elegancko zaczesany wsiada do wartburga zaprzyjaźnionych Niemców z NRD, którzy przyjechali z wizytą do Polski, i jedzie na spotkanie ze swoją matką. Przepenia go wzruszenie. Po raz ostatni widział ją, gdy miał trzy lata.

Chce jej zadać wiele pytań. Czy płakała, kiedy rozstawała się ze swoimi synami? Czy przygotowała dzieciom coś na drogę, szarpała

urzędników za poły płaszczy, krzyczała za odjeżdżającym konnym wozem? Czy próbowała ich kiedykolwiek odnaleźć?

Legendy część ostatnia

Margarete Pawłowski jest niską, raczej tęgą kobietą w okularach. Wita syna w progę, prosi do kuchni, ale zastrzega:

– Nie mam cię czym poczęstować. Nawet kawy nie mam, tylko zbożową.

On jej odpowiada: – Może być, poproszę.

Siadają po dwóch stronach stołu. On wyjmuję kartkę i ołówek, ona dyktuje mu imiona wszystkich swoich córek i synów. Trzydzieści minut później Margarete mówi:

– Idź już, na noc cię przyjąć nie mogę.

Bolą go te słowa, ale żegna się i wychodzi.

Więcej się nie zobaczą. Wkrótce potem matka umiera, a syn musi żyć z pękniętym sercem.

STERA KÖW DN 11.V.1946.



KL.VII.

DOBKOWICZ.7

CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII

Każdy mężczyzna, który zdradził ojczyznę, jest wrogiem narodu i winien być ukarany śmiercią lub zsyłką do łagru.

Jeśli ten mężczyzna żył z kobietą, także ona jest wrogiem narodu i powinna być wysłana do łagru. Taka kobieta od tej pory nazywa się Członkiem Rodziny Zdrajcy Ojczyzny.

Gdyby oboje mieli dzieci, każde z nich staje się wrogiem narodu i musi wraz z matką zostać ukarane zesłaniem, a następnie poddane resocjalizacji w domu dla dzieci wrogów narodu.

Może się zdarzyć, że wróg narodu urodzi wroga narodu już w łagrze. Wówczas takie dziecko powinno zostać matce odebrane i przekazane do wyżej wymienionego domu dziecka.

Każdy dzień nieletniego wroga narodu musi zaczynać się wspólnym, wesołym okrzykiem:

– Dziękujemy, towarzyszu Stalinie, za nasze szczęśliwe dzieciństwo!

Część pierwsza. Rodzice

Lilia

Jenta wspina się na dach chlewika, który przylega ścianą do muru aresztu w Homlu. Wygląda ostrożnie za krawędź ogrodzenia i widzi swojego męża, jak spaceruje wokół małego podwórka.

Zamyślony, mówi coś do siebie, towarzyszy mu strażnik z bronią. Jenta macha, mąż ją zauważa.

– Mamy córkę, urodziłam dziewczynkę, Lilię – szepcze w jego stronę. Stara się wyraźnie wymawiać słowa. Widzi, że Salomon zaczyna płakać, więc chyba ją zrozumiał.

Jest czerwiec 1937 roku.

W swoim pierwszym życiu Jenta (rocznik 1903) była córką biednego i pobożnego Arona Zusmana i mieszkała z rodziną w Suchowoli pod Radzyniem Podlaskim. Zamiast wyjść za mąż za swatanego jej chłopca, związała się z komunistą Judkiem Borchowskim (rocznik 1900), synem pobożnego Dawida z okolic Radzyna. Urodziła im się pierwsza córka – Sara.

Judek, związany z Komunistyczną Partią Robotniczą Polski od 1919 roku, sekretarz radzyńskiego komitetu partii¹, człowiek szczerze oddany sprawie, rzadko bywał w domu. Objeżdżał okoliczne folwarki z wykładami, namawiał ludzi do udziału w Radach Delegatów Robotniczych, organizował zebrania młodzieży, podczas których goście z Warszawy odczytywali broszury po polsku i tłumaczyli zgromadzonym na jidysz. Głównie jednak siedział w więzieniach za swoją działalność.

Jenta, która wstąpiła do partii w 1921 roku, rozumiała i popierała męża. W odwiedziny do niego szła zawsze pieszo, z córką na rękach. Borchowskich nie było stać na jakikolwiek transport.

W 1926 roku Judka skazano na pięć lat więzienia w Siedlcach.

Trzy lata później wyszedł na kilkumiesięczny urlop dla podratowania zdrowia. Zamiast jednak wrócić do Siedlec, wyjechał z Jentą i Sarą do Związku Radzieckiego jako politemigrant (emigrant polityczny). Oboje nie znali języka rosyjskiego, tak w mowie, jak i w piśmie.

W swoim drugim życiu Jenta została żoną Salomona (Sendera) Dawidowicza Lichtensztajna. To Judek, żeby zerwać z przeszłością, wraz ze zmianą obywatelstwa postanowił zmienić także imię i nazwisko. Był rok 1930.

W Leningradzie, dokąd Borchowscy-Lichtensztajnowie przyjechali prosto z Polski, Jenta została szwaczką w fabryce Leningradodieżda. Wkrótce partia skierowała jej męża do pracy na odcinku sprawiedliwości w Homlu, mieście położonym w Białoruskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Lichtensztajn, absolwent podradzyńskiego chederu (żydowskiej szkoły podstawowej), został mianowany sędzią Okręgowego Sądu Ludowego.

W Homlu Jenta i Salomon wprowadzili się do dobrze wyposażonego, samodzielnego mieszkania. Ona wychodziła każdego ranka do pracy w fabryce odzieży Komintern, gdzie była szwaczką, ich córka Sara biegła do szkoły, on szedł wydawać wyroki.

W 1933 roku Lichtensztajnom urodził się syn, którego na cześć Engelsa nazwali Fridrichem. W tym samym czasie partia przeniosła Salomona na odcinek finansowy. Lichtensztajn został dyrektorem Dobruskiego Oddziału Banku Państwowego BSRR, a Jenta objęła stanowisko wagowej na homelskim Rynku Centralnym. Obsługiwanie wagi było wielkim zaszczytem i źródłem prestiżu.

Warto zapamiętać ten moment w ich życiu, bo już nigdy nie będzie im tak dobrze.

W roku 1936 Józef Stalin rozpoczyna dwuletnią rzeź kadr partyjnych, państwowych i wojskowych, zwaną Wielką Czystką. Sekretarz generalny partii nie liczy się z nikim, na śmierć posyła nawet

najbliższych współpracowników. Retuszerzy nie nadążają z usuwaniem ich ze wspólnych fotografii z wodzem.

Stalin szuka ofiar także wśród ludzi w całym kraju. Aresztowani, poddawani torturom, przyznają się do wszystkich wymagowanych zarzutów. Więzienia radzieckie przepelnione są więc szpiegami obcych państw, kułakami, szkodnikami, antyrewolucjonistami, trockistami. Każdy może się stać wrogiem ludu, wystarczy krzywe spojrzenie, szept, głupi dowcip opowiedziany w nieodpowiednim towarzystwie, nawet pięciominutowe spóźnienie do pracy.

W tym samym roku na suchoty umiera trzyletni Fridrich Lichtensztajn. Salomon i Jenta cierpią. Pocieszeniem dla obojga może być kolejna ciąża, w którą Jenta zachodzi w październiku. Jest w piątym miesiącu, gdy 13 lutego 1937 roku funkcjonariusze Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych (NKWD) przychodzą po jej męża. W banku, którym zarządzał, wykryto nieprawidłowości. Salomon zostaje oskarżony o szpiegostwo i celowe działanie na szkodę państwa.

Lichtensztajn, dawny Borchowski, zostaje wrogiem narodu.

Jenta nie ma już znajomych. Odwracają głowę na jej widok, przyspieszają kroku, nie otwierają drzwi. Przyjaciele wrogów narodu też mogą się nimi stać. Nikt nie chce ryzykować. Pomaga jej tylko jedna rodzina, w najgłębszym sekrecie. Ciężarna Jenta razem z córką Sarą musi wyprowadzić się ze swojego mieszkania do piwnicy. Nadal jednak pracuje jako wagowa.

Idzie do homelskiego aresztu, gdzie jej mąż czeka na proces, i otrzymuje pozwolenie na przynoszenie mu jedzenia oraz odbiór jego brudnej bielizny do prania. Odkrywa, że jeśli wespnie się na daszek chlewika, może nawiązać z nim kontakt wzrokowy podczas spaceru. Te chwile nazywa randkami.

Raz, przez moment, Lichtensztajnowie mogą porozmawiać z sobą w areszcie. Salomon mówi: – Jento, ze wszystkich więzień wychodziłem, ale z sowieckiego wyjść się nie da.

W czerwcu Jenta rodzi Lilię.

We wrześniu odbiera zakrwawioną bieliznę męża. Strażnik informuje ją, że więcej nie może tutaj przychodzić. To znak, że Salomon nie żyje. Nikt jednak oficjalnie nie chce tego potwierdzić.

Trzecie życie Jenty Lichtensztajn zaczyna się pod koniec listopada 1937 roku, gdy do piwnicy przychodzą po nią funkcjonariusze NKWD. Trzynastoletnią Sarę odrywają siłą od matki i zostawiają samą. Jencie pozwalają spakować najpotrzebniejsze rzeczy do kosza i zatrzymać przy sobie pięciomiesięczną Lilię.

Georgij

W oficynie kamienicy, w małym, dwupokojowym mieszkaniu z własnym ogródkiem, tuż koło Arbatu w Moskwie, mieszka pianistka Olga Siemionowna Galpirina (rocznik 1905). Mieszkanie przyznały jej władze stolicy, gdy organizowała szkołę muzyczną, którą później zaczęła zarządzać. W pokoju obok śpi Lena, córka Olgi, dziewczynka w wieku szkolnym.

Kobieta nie jest z nikim na stałe związana. Do niedawna bywał u niej naczelnik kolei. Łączyła ich miłość do muzyki, jednak się rozstali. Zaraz potem NKWD aresztowało naczelnika. Był przyjacielem marszałka Michaiła Tuchaczewskiego, którego aresztowano w maju 1936 roku pod zarzutem szpiegostwa na rzecz niemieckiego sztabu generalnego. Skazany na śmierć za zdradę ojczyzny, został rozstrzelany.

Teraz Galpirina jest zakochana w Nikołaju Georgijewiczu Karetnikowie, śpiewaku, absolwencie moskiewskiego konserwatorium, urzędniku w jednej z państwowych instytucji. Nikołaj szaleje za Olgą, ale ma już żonę oraz syna i nie myśli o rozstaniu z nimi. Był z wizytą u Olgi nie dawniej jak wczoraj, zapewniał ją o swojej miłości.

Jest luty 1938 roku.

Funkcjonariusze NKWD zwykle przychodzą po ludzi w nocy. Olga Siemionowna Galpirina nie jest wyjątkiem. Wchodzą do jej mieszkania, gdy sąsiedzi już śpią. Każą się zbierać, córka Lena ma zostać. Zawożą Olgę do moskiewskiego aresztu na Łubiance, gdzie mieści się główna siedziba NKWD. Po kilku dniach przewożą ją do więzienia śledczego Butyrki, skąd wywożą, wraz z innymi ludźmi, pociągiem towarowym na wschód.

Olga, od tej pory wróg narodu, została skazana w szybkim procesie przez Kolegium Specjalne NKWD na osiem lat łagru, z artykułu 58 radzieckiego kodeksu karnego z 1927 roku. To artykuł do skazywania wrogów narodu. Nazywają go „bezdennym”, bo ma osiemnaście podpunktów, które pasują do każdej sytuacji.

Do końca życia Galpirina nie będzie wiedziała, czy oskarżono ją, bo była związana z naczelnikiem kolei, czy komuś tak bardzo spodobało się jej mieszkanie, że musiała je zwolnić (na jej miejsce natychmiast wprowadził się oficer NKWD).

Olga Siemionowna będzie miała teraz inne zmartwienia.

Nie potrafi ich przewidzieć, bo to, jak wygląda życie w łagrach, trudno sobie wyobrazić. Gdyby wnioskować na podstawie

godzinnego, niemego dokumentu, nakręconego w 1928 roku przez Andrieja Czerkasowa w Sołowkach² – pierwszym obozie Gułagu³ – można pomyśleć, że nie jest tam najgorzej. Na filmie, wyświetlanym w kinach, widać zadowolonych ludzi. Uczą się i pracują, po godzinach bawią w teatr, a nad ich zdrowiem czuwa lekarz. Wszystko po to, żeby po odbyciu kary mogli służyć radzieckiej ojczyźnie z całych sił.

Wbrew pozorom Galpirina nie jedzie do łagru całkiem sama. Jest w ciąży, o której jeszcze nie wie.

Jej syn, Georgij Nikołajewicz Karetnikow, za dziewięć miesięcy przyjdzie na świat w ziemiance wydłubanej w kazachskim stepie. Będzie pierwszym dzieckiem urodzonym w nowo otwartym poprawczym obozie pracy dla kobiet, zwanym oficjalnie Punktem 26 lub P-17, a nieoficjalnie AŁŻIR-em.

Władimir

Iwan

W maju 1937 roku dwudziestojednoletni Iwan Fiodorowicz Romanowski, uczeń ostatniej klasy stalingradzkiego technikum mechanicznego, wstaje podczas zebrania Komsomołu, żeby zadać pytanie:

– Mówicie wciąż, towarzysze, jak nam wszystkim w Związku Radzieckim jest dobrze. A ja mam list, przyszedł z chutoru Kudinowka, sto kilometrów od Stalingradu, skąd pochodzę. I w tym liście stoi, że jeden z moich krewnych zmarł z głodu. To jak jest naprawdę?

Nikt Iwanowi Fiodorowiczowi nie udziela odpowiedzi. Zebranie szybko się kończy. A po trzech godzinach przychodzą po niego do internatu dwaj enkawudziści.

– Oddaj kolegom podręczniki, nie będą już ci potrzebne – mówią. Skazany na trzy lata za zdradę ojczyzny wróg narodu Romanowski trafia do odkrywkowej kopalni złota na Kołymie⁴. Praca jest bardzo ciężka. Całymi dniami stoi się w zimnej wodzie i płucze ziemię w poszukiwaniu drobinek złota. Po siedmiu miesiącach Iwan ma już reumatyzm i gangrenę – gnije mu noga od niezagojonej rany. Życie ratuje mu obozowy felczer, wysyłając go na leczenie do Magadanu.

Jest rok 1938.

Stamtąd Iwan trafia do łagru Tałon w obwodzie magadańskim. W porównaniu z kopalnią złota jest tu jak w raju. To obóz przy sowchozie (państwowym gospodarstwie rolnym), więźniowie pod strażą hodują bydło i konie, uprawiają owies, ziemniaki i rzepę. Klimat jest łagodny, a gleba żyzna. Przy zachowaniu szczególnej ostrożności można ukraść sobie coś do zjedzenia. Więźnia przyłapanego na kradzieży czeka dłuższy wyrok.

Walentina

Latem 1930 roku jedenastoletnia Walentina Nikołajewna Dobrowa widzi, jak ojciec uderza w twarz jej macochę. Tata dziewczynki jest chirurgiem wojskowym, macocha zajmuje się domem, jest prostą, czułą kobietą. Walentina podnosi się, ściąga z łóżka dziecinnie kocyk, w korytarzu zabiera z kieszeni ojcowskiego płaszcza dwadzieścia rubli i ucieka z domu. Idzie na dworzec, kupuje bilet do nadmorskiej miejscowości Tuapse, wsiada do wagonu. Dorosłym, którzy pytają, dokąd jedzie tak sama, mówi, że do cioci.

Rano wysiada z pociągu i biegnie zanurzyć nogi w Morzu Czarnym. Kiedy wraca na dworzec, ktoś ją zaczepia i odprowadza do domu dziecka. Zostanie tam do pełnoletności, nigdy nikomu nie zdradzi, skąd pochodzi.

Ojciec dziewczynki z macochą dość szybko rezygnują z poszukiwań Walentyny. Mieszkają na Ukrainie, przez kraj przetacza się fala głodu, który za dwa lata spowoduje śmierć milionów ludzi, będą się zdarzać przypadki kanibalizmu.

– Myśleliśmy, że cię po prostu zjedzono – powiedzą jej, kiedy spotkają się znowu trzydzieści trzy lata później.

Walentina Nikołajewna śpiewa sopranem koloraturowym, ma encyklopedyczną pamięć i uczy się znakomicie, wielbi Lenina, nie lubi Stalina (ale o tym nikomu nie mówi). Mogłaby wybrać studia muzyczne, decyduje się jednak na naukę w szkole pedagogicznej w Noworosyjsku. Po skończeniu szkoły chciałaby wyjechać na studia do Leningradzkiego Instytutu Pedagogicznego, ale dyrektor noworosyjskiej szkoły radzi jej najpierw zdobyć doświadczenie. Akurat ma listę wakatów przysłaną przez władze. Dostał rozkaz, żeby jak najszybciej je zapełnić.

W sierpniu 1937 roku Walentina zostaje więc nauczycielką w szkole podstawowej na Sachalinie, wyspie położonej na Dalekim Wschodzie, którą Związek Radziecki dzieli z Japonią.

Człowiek, który na nią doniesie, jest kułakiem zesłanym na Sachalin wraz z całą rodziną. Odbył już karę, jest wolny, ale nie może wrócić do domu. Stalin nakazuje byłym więźniom osiedlać się w pobliżu łagrów. W szkole Walentyny pracuje jako pedagog, choć nie ma potrzebnego wykształcenia. Dziewczyna mu się podoba, zabiega o jej względy, ale jest to miłość bez wzajemności. Kiedyś, po alkoholu, Walentina żartuje, że jest na Sachalinie z tajną misją, o której nie może nikomu powiedzieć.

– Oj, bo doniosę – śmieje się zalotnik.

– Proszę bardzo – dziewczyna pęka ze śmiechu i nie pozwala się pocałować.

W grudniu 1938 roku zostaje skazana na siedem lat łagru i pięć lat pozbawienia praw obywatelskich za szpiegowanie na rzecz Japonii.

Wróg narodu Dobrowa trafia do łagru Tałon w obwodzie magadańskim.

Walentina i Iwan

Jest luty 1941 roku. Strażnik staje w drzwiach stodoły i wrzeszczy w ciemność budynku:

– Wyłazić mi natychmiast! Wiem, że tam jesteście.

Spod siana wygrzebuje się Iwan, a za nim Walentina.

On już skończył odbywanie kary. Dopóki był po tej samej stronie drutów co Walentina, stanowili obozową parę. Zeszli się z prawdziwej miłości. Spotykają się nadal, bo Iwan wciąż pracuje w sowchozie jako wolnonajemny (pracujący w łagrze z własnej woli). Nie dostał pozwolenia na opuszczenie obwodu magadańskiego. Jej do końca wyroku zostały jeszcze cztery lata. Obiecali sobie, że będą razem także na wolności.

W październiku 1941 roku Walentina rodzi w łagrze syna, Władimira.

Garri

Kobieta w łagrze należy do wszystkich mężczyzn. Każdy strażnik, każdy cywilny pracownik, każdy więzień (kryminalny czy polityczny) może z nią współżyć, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Takie jest niepisane prawo Gułagu⁵.

Istnieje wyjątek: jeśli kobieta zwiąże się z jednym mężczyzną, wtedy należy tylko do niego i nikt inny nie może jej tknąć. Musi to jednak być człowiek z pozycją w obozie: pracownik kuchni, administracji lub ktoś z samej śmietanki w łagiernym świecie – „wor w zakonie”, czyli ważny przestępca, z którym wszyscy się liczą. Taka para bierze ślub, respektowany przez władze obozu i współwięźniów, ale bez wartości poza drutami.

Lidia Filipowna Pogoniajło (rocznik 1906) wychodzi za mąż na stacji Plisieckaja w obwodzie archangielskim za Piotra Nikołajewicza Safronowa. Jej wybranek jest w łagrze wolnonajemnym księgowym.

Lidia chciała być lekarką, udało jej się wykształcić na felczerkę. Na wolności kilka razy wychodziła za mąż, ma dwoje dzieci. Z ostatnim mężem, oficerem Iwanem Fiedotowiczem Pogoniajłą, mieszkała w Mińsku. W roku 1937 Iwan został aresztowany. Lidia pojechała do Moskwy prosić o pomoc dobrego znajomego męża, marszałka Klimienta Woroszyłowa. Nie zdawała sobie sprawy, że Woroszyłow był odpowiedzialny za czystki w Armii Czerwonej. Funkcjonariusze NKWD zatrzymali ją, gdy wysiadała z pociągu na dworcu w Mińsku. Za działalność szpiegowską i antypaństwową została skazana na śmierć. Sąd zmienił jednak jej wyrok na piętnaście lat łagru i odesłał do obwodu archangielskiego.

Jest rok 1942, trwa wojna światowa. Jedzenia brakuje w całym kraju, produkcja idzie na front. Przede wszystkim trzeba nakarmić armię, cywile chodzą głodni, ale to wrogowie narodu są na samym końcu kolejki.

Ludzie umierają w łagrach dziesiątkami. Zimą nie można wykopać dla nich grobów w zamrzniętej ziemi, trupy układa się więc warstwami i podpala. Smród palonych włosów, kości i ludzkiego tłuszczu niesie się wśród obozowych baraków, wsiąka w ubrania, wchodzi do nosa. Kto raz go poczuł, będzie czuć zawsze.

Lidia Filipowna boi się, że wkrótce umrze z głodu i wycieńczenia. Pracuje z innymi kobietami przy lesorubce – odcina gałęzie i koruje pnie drzew na czterdziestostopniowym mrozie. Gorzej miałaby tylko wtedy, gdyby trafiła do pracy w kopalni.

Ratunkiem dla kobiety w łagrze bywa dziecko. Czasami na ostatnie miesiące przed porodem więźniarka jest przenoszona do lżejszej pracy. Lidia zachodzi w ciążę w lutym 1943 roku i dostaje pracę w obozowym szpitalu.

Synka, Garriego, rodzi w październiku. Karmi go piersią przez kilka tygodni, śpi z nim na łóżku w szpitalnym baraku. Wkrótce jednak dziecko zostaje jej odebrane i przekazane do obozowego żłobka. Jeśli chłopiec przeżyje, spędzi tam trzy lata.

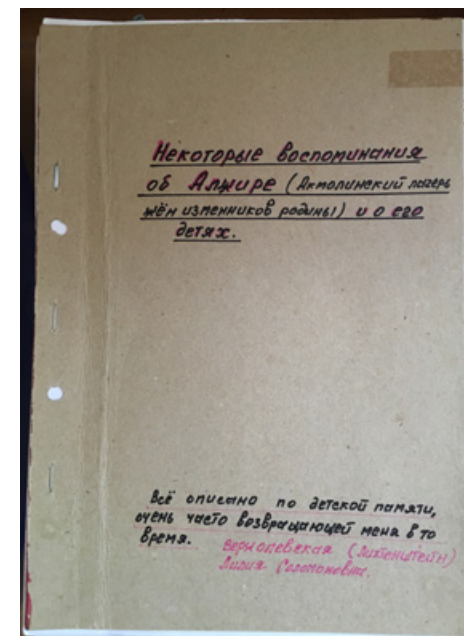
Niedługo później Piotr Nikołajewicz, ojciec Garriego, umiera na gruźlicę. Lidia Filipowna wie, że jeśli chce przetrwać, musi znaleźć jak najszybciej nowego opiekuna.

Część druga. Spotkania

Lubię trzymać w ręku przedmioty związane z opisywanym tematem. Łatwiej mi wtedy przychodzi zrozumienie opowieści, jakby rzeczy nieożywione potwierdzały słowa ludzi, z którymi rozmawiam, nadawały im wiarygodności.

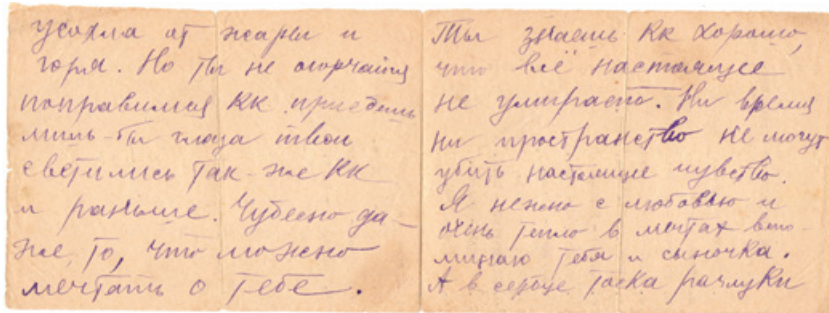
Od każdego więc coś biorę, choćby na moment.

cdjskfjksfjksfjAs atquunt
moluptatur audaepe rumquid
iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae
ommodit quam quam quisicii



Od Lilli Wercholewskiej z Izraela – absolwentki politechniki, która życie poświęciła pracom nad pierwszymi maszynami do liczenia Minsk-1 i Minsk-2, córki komunistów Salomona i Jenty – spisane ręcznie, po rosyjsku, na trzydziestu dwóch stronach, wspomnienia z łagru. Pismo ma ładne, równe, jeden wyraz na stronie siódmej się wyróżnia. Lilia Salomonowna pogrubiała czarnym długopisem słowo „człowiek”.

Od Georgija Karetnikowa z Moskwy – wybitnego pianisty, syna pianistki Olgi – listy miłosne ojca ślانة matce do łagru. „Jeśli trzeba, to część krwi i serca swego oddam Tobie i synowi, nie dla jakiejś korzyści, tylko dla naszego wspólnego szczęścia na ziemi” – pisał do niej w 1942 roku.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

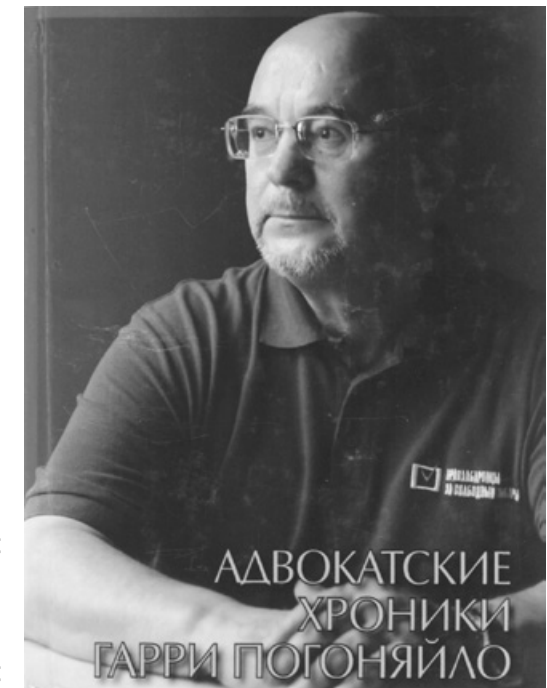
Od Władimira Romanowskiego z Mińska – absolwenta politechniki w Susumanie i Mińsku, syna nauczycielki Walentyny i Iwana, który zadał niewłaściwe pytanie na zebraniu Komsomołu – małą czarną skarpetkę z białą mreżką, która przetrwała siedemdziesiąt osiem lat (druga gdzieś zaginęła). Skąd więźniarki łagru w Tałonie



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

wzięły czarną i białą nić? Wyciągnęły osnowę z koca? Spruły kawałek ręcznika? A szydełko? Z tym pewnie poszło łatwiej, wystarczyło zagiąć kawałek drutu. Potem, niczym sowieckie Mojry, wdzierały parę skarpetek dla Wołodii, wplatając w nić długie życie chłopca. I podarowały je Walentinie. A ona zaśpiewała im za to jakąś pieśń sopranem koloraturowym.

Wreszcie, od Garriego Pogoniajło z Mińska – białoruskiego adwokata, działacza Fundacji Helsińskiej, syna Lidii, zatrzymanej na mińskim dworcu, i wolnonajemnego Piotra – autobiografię Adwokackie kroniki. I choć kartkuję strony, nie znajduję w książce zdjęcia Garrika z czasów niemowlęcych. W łagrach takich fotografii nikt przecież nie robił.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit

Część trzecia. Łagier

Lilia

Trzy razy dziennie kobiety wchodziły do baraku żłobka w łagrze AŁŻIR, w całkowitym milczeniu. Odpinają koszule, do piersi przystawiają dzieci podane im przez opiekunki.

Jest wśród nich Jenta Aronowna Lichtensztajn, wdowa po Salomonie. Karmi Lilię, swoją córkę, i milczy.

Dzieci wrogów narodu mają wyrosnąć na ludzi przyszłości, bez rodzinnych sentymentów. Kobiety, które je urodziły, powinny pozostać im obce, dlatego nie wolno się do córek i synów odzywać, uśmiechać ani im śpiewać. Kto by rozmawiał z własnym dzieckiem podczas karmienia, poniesie karę.

Po kwadransie strażnik daje znak. Matki oddają dzieci opiekunkom, zapinają koszule, w milczeniu wychodzą z baraku i wracają do pracy.

—
– Nie znałam takiego pojęcia jak „mama” – mówi Lilia. – Pewnie nikt w naszym żłobku nie znał. Żadna opiekunka nigdy nie użyła przy nas podobnego słowa. Kiedy kobietom kończył się pokarm w piersiach, już nie mogły do nas przychodzić. I wsio!

Dopóki nie chodziliśmy, leżeliśmy po prostu w łóżeczkach. Opiekunkami były przypadkowe więźniarki, nie miały żadnych kwalifikacji. Nie było mowy o czułości z ich strony, piosenkach, zabawkach. Chyba im tego zabroniono. Miały nas tylko utrzymać przy życiu, jak w hodowli zwierząt.

Gdy zaczynaliśmy już chodzić, opiekunki wyprowadzały nas na zewnątrz, przed barak. Wiem, że gdy matki szły do pracy, mogły nas widzieć z daleka. Każda szukała wzrokiem swojego dziecka



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii

w grupce jednakowo ubranych postaci. Nam to było całkiem obojętne, choć niektórym mamom jakoś udawało się skrycie nawiązać kontakt z dzieckiem. Mojej nie.

—
Jenta dotarła z córką do obozu Punkt 26. w Kazachstanie w styczniu 1938 roku, jednym z pierwszych transportów. Więźniarki nazywają to miejsce AŁŻIR-em – Akmolińskim Łagrem Żon Zdrajców Ojczyzny (Акмолінський лагерь жён изменников Родины). AŁŻIR jest jedynie częścią karagandyjskiego łagru zwanego Karłagiem – państwa w państwie tak wielkiego, że rozciąga się dwieście kilometrów wszerz i trzysta kilometrów wzdłuż, dzieląc się na dziesiątki podobozów. A to zaledwie jedna z wysp archipelagu Gułag.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

W 1939 roku w AŁŻIR-ze przebywa ponad cztery tysiące kobiet, nie ma tu żadnych więźniów mężczyzn. Istnieje tylko kilka takich obozów w Gułagu.

Kobiety i odebrane im dzieci żyją tu w małych ziemiankach, zabudowanych z góry suszoną cegłą, i dużych barakach z tego samego budulca – dla około dwustu pięćdziesięciu osób. Sypiają na piętrowych łózkach, ale te, dla których nie starczyło miejsca, kładą się na ziemi. Zimą temperatura na zewnątrz spada do minus trzydziestu stopni Celsjusza. Odmrożenia są powszechne. Baraki ogrzewa się kamyszem – trzcina ścinaną na pobliskim jeziorze. Mimo to temperaturę wewnątrz baraków udaje się podnieść najwyżej do pięciu stopni powyżej zera.

W latach 1938-1953 w AŁŻIR-ze przyjdzie na świat tysiąc pięćset siedmioro dzieci, przeżyje tylko sto z nich⁶. Z chłodu,

niedożywienia i chorób umierają też dzieci, które przyjechały do łagru z matkami. Zimą, kiedy nie można ich pochować, bo ziemia jest zamrznięta, ich zwłoki trafiają do beczek, gdzie mają czekać do wiosny. Raz się zdarza cud. Funkcjonariuszka NKWD o imieniu Walentina, pracująca w obozowym szpitalu, zauważa, że w beczce, obok której przechodzi, coś się poruszyło. Wyjmuje z niej żywą dziewczynkę. Zabiera ją do domu, a po ośmiu latach zwraca dziecko matce, gdy kończy odsiadywanie wyroku.

Jenta Salomonowna pracuje po kilkanaście godzin dziennie w obozowym sowchozie albo na budowie. Zimą spędza z innymi kobietami głównie na zbieraniu kamysza. Chodzi do pracy ze złamaną ręką, z bolącym żołądkiem i zwichniętą nogą. Obowiązuje zasada kto nie rabotajet, tot nie kuszajet (kto nie pracuje, ten nie je). Wśród kobiet w AŁŻIR-ze jest między innymi siostra marszałka Tuchaczewskiego; jest też Aszchen Nalbandjan – matka przyszłego barda Bułata Okudźawy, jest i Rachel Messerer, gwiazda kina niemego, matka Mai Plisieckiej, która w przyszłości zostanie największą artystką baletową świata. Jednak Jenta trzyma się raczej z kobietami, które znają polski lub jidysz. Wciąż słabo mówi po rosyjsku, choć uczy się cyrylicy, na skrawkach papieru ogryzkiem ołówka stawiając koślawe litery.

W 1941 roku Niemcy atakują Związek Radziecki i wybucha wojna ojczyzniana. W AŁŻIR-ze powstaje zakład odzieży wojskowej, więźniarki zostają szwaczkami. Ich los staje się nieco łżejszy.

Jest rok 1941. Podopieczni baraku żłobka, którzy ukończyli trzeci i czwarty rok życia, opuszczają AŁŻIR. Czteroletnia Lilia Salomonowna wraz z innymi dziećmi zostaje posadzona na ciężarówce, kierowca zapala silnik i auto powoli opuszcza teren łagru.

Obok Lilii na pace siedzi Maja, córka zamordowanego białoruskiego poety Todora Klasztornego. Po latach Klasztorna będzie wspominała: „Ciężarówka ruszyła, a matki biegną. My krzyczymy. Samochód się zatrzymuje, podobno na polecenie komendanta, a matki wskakują na ciężarówkę. Każda mówi coś do swojego dziecka, coś mu daje. Moja mama dała mi uszytego króliczka i marynarza, mówiąc: »On cię ochroni«⁷».

Nawet jeśli mama Lilii też zdołała pożegnać swoje dziecko, ona tego nie zapamiętała.

Dzieci nie wiedzą, dokąd jadą. Lilii jest wszystko jedno, za nikim nie będzie tęskniła. Ze wszystkich uczuć do tej pory najlepiej poznała głód.

Komendant

Więźniarki nazywają go Walerianem Walerianowiczem, bo jest jak lecznicze krople, potrafi uspokoić każdą. Naprawdę nazywa się Siergiej Wasiliewicz Barinow i jest funkcjonariuszem NKWD. Mógł zająć w życiu daleko, zrobić karierę, gdyby nie poważna wada – ma serce. Troszczy się o więźniarki w miarę możliwości i surowego regulaminu. Odwiedza je w barakach, zna z imienia, pociesza, że kiedyś opuszczą łagier. Dla każdej ma dobre słowo, niektóre widziały, jak płakał nad ich losem.

Na początku szło mu dobrze. W 1936 roku Barinow – młodszy porucznik bezpieczeństwa – awansował na stanowisko szefa departamentu NKWD okręgu toropieckiego w obwodzie kalinińskim⁸. Wróżyło mu przyszłość w Moskwie. Kiedy jednak rozpoczęły się masowe represje w ZSRR, idealista Siergiej Wasiliewicz zaczął informować centralę o nieprawidłowościach, które jego zdaniem zachodziły

podczas zatrzymań, przesłuchań i wydawania wyroków. Miał niebywałe szczęście. Nie oskarżono go za to o zdradę ojczyzny i nie rozstrzelano. Jednak zdegradowano, zdjęto ze stanowiska i odesłano karnie do Kazachstanu.

W styczniu 1939 roku Barinow objął stanowisko komendanta AŁŻIR-u.

Po zamknięciu łagru w 1953 roku komendant osiadł w Kazachstanie, w miejscowości Dolinka – jednym z dawnych ośrodków Karłagu. Zachował się czarno-biały film z wywiadem, jakiego po latach udzielił Siergiej Wasiliewicz Barinow.

Ktoś zza kamery go pyta: – A wy wierzyliście, że one były żonami wrogów narodu?

Odpowiada: – Nigdy nie wierzyłem, nigdy⁹.

Z byłymi więźniarkami będzie utrzymywał kontakt. Jednak zaproszony wiele lat później na otwarcie muzeum AŁŻIR-u, odmówił przyjazdu.

Powie: – Ludzie mogliby to źle odebrać. Jednak byłem komendantem łagru, a to jest święto ówczesnych osadzonych¹⁰.

W czasie pierestrojki byli enkawudziści będą stawiani przed honorowymi sądami. Barinowa uchronią przed procesem dawne więźniarki, podpisując list w jego obronie.

Georgij

Dowodem na istnienie Georgija Nikołajewicza Karetnikowa, pierwszego dziecka urodzonego w AŁŻIR-ze, jest tylko on sam. Nie istnieje najmniejszy papiererek, który mógłby potwierdzić datę i miejsce jego urodzenia. Wszelkie dokumenty z nim związane zaginęły albo nigdy nie powstały.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

– Moje pierwsze wspomnienie w życiu? – zastanawia się Georgij Karetnikow. – Zima. Spadło bardzo dużo śniegu, zawaliło nas. Naszą ziemiankę odkopują kobiety. Moje drugie wspomnienie? Wychodzę na dwór i korytarzem w śniegu idę pod płot. Tam jest rów, w którym latem sobie często biegam. I w tym rowie zasypanym śniegiem widzę malutkiego zajączka, jak próbuje się wydostać. Skaczę do rowu na ratunek i zabijam zajączka, przypadkiem na niego spadając. Mogłem mieć wtedy sześć lat. Bardzo to przeżyłem, bardzo. Moje trzecie wspomnienie? Wiosna i lato. Za ogrodzeniem z drutów rozciągają się na stepie dywany kwiatów, ogromnej piękności. Bardzo chcę dostać się za druty, do tamtego świata. Ale słyszę, że nieźlia, nie wolno.

Zamiast w baraku żłobku, jak Lilia Salomonowna, Georgij żyje w sekretnej ziemiance na terenie AŁŻIR-u. Wraz z nim mieszka tam kilkanaście dziewczynek i chłopców.

Dziwna to sprawa. Wszystko się dzieje za zgodą komendanta Barinowa i dotyczy zaledwie garstki dzieci. Ziemianka jest sekretna tylko z nazwy, muszą ją przecież znać też strażnicy, enkawu-dziści i inni więźniowie łagru, ale nie wie o niej nikt spoza AŁŻIR-u (lub nie chce wiedzieć).

Właściwie los Georgija i jego kolegów nie różni się niczym od pozostałych, głodują i marzną tak samo jak inne dzieci, też nie znają swoich matek, a one nie mają z synami i córkami żadnego kontaktu. Ich baraki są w innej strefie AŁŻIR-u, oddzielonej drutami.

– Sima Masiejewna, opiekunka naszej ziemianki, wskazała mi kiedyś grupę kobiet w oddali. „O, tam idzie twoja mama” – powiedziała. Ale ja nie wiedziałem, co to słowo znaczy – mówi Georgij Karetnikow.

Olga Siemionowna Galpirina, matka Georgija, interesuje się losem syna, choć on o tym nie wie. Czuwa nad nim na odległość. Dwa razy w roku – czyli najczęściej jak można – pisze do jego ojca listy.

Nikołaj Georgijewicz Karetnikow odpisuje jej w swoich listach: „Jak synek? Czy już biega? Czy jest zdrowy? Jak przeszedł ospę wietrzną, czy nie ma powikłań? Jak on jest ubrany, czego potrzebujecie w pierwszej kolejności? Napisz!”; „Jeśli on jest taki, jak ty go opisujesz, to cudownie i trzeba zrobić wszystko, żeby jego życie było wspaniałe. Czułość matki i ojca on musi dostać od nas, niczym słońce”; „Lepiej napisz mi, jak się ma Garrik, przecież on też musi być uzdolniony muzycznie i duchowo. Bardzo Cię proszę, wyślij mi jego zdjęcie”¹¹.

Jedno tylko różni dzieci z sekretnej ziemianki od tych z baraku żłobka – po ukończeniu trzeciego roku życia nie muszą opuszczać łagru, bo nie istnieją w żadnych rejestrach.

Matki wiedzą, że mają niewielkie szanse odnaleźć swoje dzieci, gdyby trafiły do któregoś z łagrowych domów dziecka. Jeśli ich córki i synowie tam w ogóle przeżyją, z dużym prawdopodobieństwem dostaną nowe imiona i nazwiska, a wychowawcy postarają się, żeby ślad po ich rodzicach został na zawsze wymazany.

Georgij Nikołajewicz Karetnikow spędzi w sekretnej ziemiance siedem pierwszych lat życia.

—

– Nasz dzień zwyczajny wyglądał tak, że o szóstej rano z głośników zawieszonych na słupach leciał hymn ZSRR – mówi Georgij Karetnikow. – Stawaliśmy na bacność, później znów kładliśmy się spać. Nie pamiętam, na czym spaliśmy, chyba na łózkach. Potem było śniadanie. Karmili nas kaszą manną, mało jej było i ona była niedobra, ale mnie smakowała, bo ciągle jeść się chciało. Po śniadaniu kto chciał, zostawał w środku, kto chciał, szedł przed barak.

Co bywało na obiad, nie pamiętam, coś mi się kołaczy po głowie, że kotlety. Czy to możliwe?

Wiedliśmy życie roślin. Można powiedzieć, że przez siedem lat spałem, jadłem, siedziałem na łóżku albo spacerowałem. Nikt nas niczego nie uczył, nikt z nami o niczym nie rozmawiał, nie bawił się z nami, nie śpiewał piosenek. Nie umiałem czytać ani pisać, mój zasób słów był bardzo ubogi. Kontakty między dziećmi chyba nie były zbyt wielkie, skoro nie pamiętam już nikogo z tamtego czasu. Tylko jedna dziewczynka zapadła mi w pamięć, Wieroczka Komisarowa. Zawsze szukałem jej ciepłej rączki, gdy wychodziliśmy z ziemianki. Próbowałem ją potem odnaleźć, ale nie udało się.

Całym naszym światem była nasza opiekunka Sima. Zwykła więźniarka, nie wiem – polityczna czy kryminalna – prosta, mało mówna kobieta. Kazali jej nas karmić, to karmiła. Nie kazali robić nic więcej, to nie robiła. Ale nie biła nas. Jaki ja byłem szczęśliwy, gdy chciała się poczęstować z mojej miski. Każdy walczył o ten zaszczyt. Nie potrafiłem sobie wyobrazić innego życia.

Władimir

Nikt nie pyta Walentyny Nikołajewny Dobrowej (tej, która w wieku jedenastu lat uciekła z domu), co zrobiła ze swoim synem. Był i przepadł.

Ten, kto wie, gdzie jest jej Wołodia, milczy i dzierga dla chłopca czarne skarpetki z białą mereżką, przerabia zużyte ubrania na ubranka niemowlęce, zastanawia się, czy kawałek płaszcza nada się na kocyk.

Kto nie wie, nie chce wiedzieć.

Strażnicy w łagrze Tałon przymykają oczy.

Walentina Nikołajewna zna odpowiedź na wszystkie pytania, jest jak encyklopedia. Każdy, nawet enkawudzista, przychodzi do niej, gdy chce wiedzieć, ile dni ma rok, jak daleko jest stąd do



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Księżycą, w jakiej temperaturze wrze woda. W dodatku Walentina Nikołajewna śpiewa jak nikt w obozie i chętnie to robi. Jest więc bezcenną więźniarką, ma wśród osadzonych wysoką pozycję. Ale od pracy w obozowym sowchozie się nie uchyla. Kiedy tylko może, zagląda do obory.

– Czy mama karmiła mnie piersią po urodzeniu, tego nie wiem – mówi Władimir Romanowski. – To jest nieznaną część mojej historii. Po jakim czasie ukryła mnie w oborze, też nie wiem. Za wszelką cenę chciała mnie uchronić przed łagiernym domem dziecka. Uważała, że to rozsądnik wszystkiego, co nieludzkie.

Moim wychowaniem zajęła się więc ciocia Liza, ciepła kobieta z sercem. Pochodziła z Syberii, już odbyła karę w Tałonie

i pracowała w sowchozie jako wolnonajemna. Odpowiadała za tę oborę.

Łóżko urządziła mi na drewnianej pokrywie kotła, który służył do odgrzewania karmy dla zwierząt. Kiedy szła paść krowy, niosła mnie na barana. Gdy je doła, wołała: „Chodź, napij się”, i lała mleko z wymiona prosto do mojej buzi. Pamiętam też, jak biegałem między krowami i moim zadaniem było w odpowiednim momencie zawołać: „Ciociu Lizo, nóżki widać!”. A ona się podnosiła i odbierała cielaka.

O mamie i tacie nigdy mi nie opowiadała. Nie wiedziałem nawet, że ktoś taki w ogóle istnieje.

Walentina Nikołajewna nie zbliża się do syna (nigdy mu nie powie, dlaczego tak robiła), ale przynosi dla niego ubrania, czasem coś do zjedzenia i zabawy, obserwuje go – zawsze z daleka. Podobnie jak ojciec chłopca, Iwan Fiodorowicz, który wciąż pracuje w sowchozie i widuje się z Walą.

Oboje planują wspólną przyszłość. Iwan jest już wolnym człowiekiem, nie ma jednak prawa opuścić Tałonu. Takim jak on władze postawiły domy poza terenem łagru. Drewniane budynki stoją na palach ze względu na wieczną zmarzlinę. Mają około czterdziestu metrów powierzchni, są podzielone równo między dwie rodziny. Wewnątrz przyszłego mieszkania Romanowskich stoi piec, na którym będzie spał Wołodia, jest miejsce na kurnik i półki na książki Walentiny, bez których ona nie wyobraża sobie życia na wolności. Mieści się tam jeszcze łóżko i stół z krzesłami. Pies będzie spał na ganku.

Rodzice Władimira liczą dni do końca wyroku Walentiny. Wtedy zamierzają pójść do obory i przedstawić się swojemu dziecku po raz pierwszy.

Część czwarta. Dom dziecka

Garri

Zanim dzieci wrogów narodu osiągną dojrzałość, mają przed sobą kilka etapów życia.

Trzy lata w przyłagiernym żłobku.

Cztery lata w domu dziecka dla podopiecznych w wieku przedszkolnym.

Siedem następnych lat w domu dziecka dla uczniów.

W wieku lat czternastu mają iść do pracy w fabrykach, kołchozach lub sowchozach. Najzdolniejsze jednostki mogą się uczyć dalej.

Oczywiście od każdej z powyższych zasad zdarzają się odstępstwa.

– Czasu w łagrowym żłobku nie pamiętam – przyznaje Garri Pogoniajło. – Jeśli się skupię, przypominam sobie tylko mnóstwo pełzających dzieci. Mama opowiadała mi potem, że odwiedzała mnie nawet, jak już przestała karmić, a nawet raz udało jej się przemycić mnie do swojego baraku na godzinę. Nic takiego jednak nie zapadło mi w pamięć.

Miałem trzy lata, była zima, pracownicy administracji ubrali nas ciepło, w walonki, czapeczki, kurteczki, opatulili kożuchami, posadzili po dziesięcioro w saniach zaprzężonych w konie i znów nakryli kożuchami. Dosiedli się do nas i ruszyliśmy w kierunku stacji. Jechaliśmy dwie godziny.

Po drodze narobiłem w majtki, musieli mnie umyć na peronie i przebrać. Zapamiętałem tę scenę, bo bardzo się tego wstydzilem, byłem już dużym chłopcem.

A potem wsadzili nas w wagon towarowy i zawieźli do domu dziecka, w którym miałem być do czasu, aż pójdę do szkoły. Nazwy miejscowości, w której stanął pociąg, już nie pamiętam.

Z tamtego domu najmocniej pamiętam zimno i głód, który sprawiał, że chciało się ciągle zjeść, a żołądek przyrastał do kręgosłupa.

Cztery lata później wychowawcy przyprowadzają do Garriego trzyletniego chłopczyka, który przyjechał z ostatnim transportem z łagru.

– To twój brat, Georgij, musisz się nim opiekować – mówią.

Chłopiec jest synem Lidii Filipowny Pogoniajło, matki Garriego, i jej nowego obozowego męża.

– No dobrze, jak brat, to brat, pomyślałem – wspomina Garri. – Było to dobre uczucie wiedzieć, że ma się bratnią duszę. Poprawiałem mu ubranie, podciągałem spodnie, prowadziłem za rękę. Nie pytałem nikogo, skąd ten brat się wziął, gdzie nasza mama. Gdybym jednak zapytał, usłyszałbym, że nie żyje. Takie odpowiedzi dostawali ci, co pytali.

Wtedy już wiedziałem, że ktoś taki jak mama istnieje. Fantazjowałem, że moja zginęła na froncie. W naszym domu były różne dzieci – z wyrokami za przestępstwa i sieroty wojenne. Myślałem, że jestem jedną z nich. Wkrótce zresztą wyjechałem do szkolnego domu dziecka i zapomniałem Georgija. Nie tęskniłem za nim, bo nie zdążyłem się do niego przyzwyczać. Jest brat, to jest, nie ma, to nie ma.

Lilia

Dom dziecka, do którego czteroletnia Lilia Salomonowna Lichtensztajn zostaje przywieziona ciężarówką w 1941 roku, znajduje się pięćdziesiąt kilometrów za AŁŻIR-em. Placówka jest przeznaczona dla trzydziściorga dzieci.

Kobieta napisze we wspomnieniach: „W zupełnie wyludnionym miejscu zbudowano malutką wieś – nie więcej niż dziesięć domków z suszonej cegły, postawionych w jednym rzędzie, dla dzieci i obsługi. W centrum była studnia, skąd czerpano wodę. W każdym domku mieszkała jedna grupa. Z trzech stron otaczał nas step, a z czwartej był las, co jest rzadkie dla Kazachstanu.

W jednej połowie domku stały żelazne łóżka i długi drewniany wieszak, druga część była przeznaczona do zajęć z wychowawcami – czytania i pracy. Ścian działowych nie było.

Spaliśmy po dwie osoby, na waleta, chłopcy z dziewczynkami. Zupełnie nago. Dopiero kiedy ktoś zaczynał chodzić do szkoły, dostawał osobne łóżko i piżamę¹².

Na czele kadry w domu dziecka stoi dyrektor. Podlegają mu wychowawczynie grup.

– Dobrze się do nas odnosili, z czułością – wspomina Lilia Salomonowna. – Dyrektor często przychodził i pytał, czy nikt nam nie dokucza, czy nikt nas nie bije. Pamiętam też Gindę Olfownę, najserdeczniejszą wychowawczynię. Prawdziwymi bestiami były za to opiekunki przydzielone wychowawczyniom do pomocy, nastoletnie dziewczyny.

Szydzą z dzieci, poniżają, biją przy każdej okazji. Zamiast paska używają zwiniętego ściśle wilgotnego ręcznika. Do bicia dziecko musi się rozebrać całkowicie, stoi potem nagie przy wieszaku i ma zakaz płakania. Za łzy są kolejne razy. Dzieci boją się opiekunek, dlatego na pytania dyrektora odpowiadają zawsze, że nikt ich nie krzywdzi.

– Te opiekunki były wiernymi komunistkami – mówi Lilia Wercholewska. – Szczerze wierzyły, że jesteśmy wrogami narodu.

Myślę, że tak okrutne zachowanie było, ich zdaniem, przejawem patriotyzmu.

Zimą śnieg zasypuje domki po sam dach. Żeby wyjść, trzeba je odkopać. Gdy się rozejrzeć, wokół widać tylko biel, jakby dom dziecka stał pośrodku ogromnego stołu nakrytego bieluśkim obrusem. Tylko las z jednej strony wyznacza horyzont. Pod wioskę podchodzą wilki. Dzieci widzą je z okien. Któregoś wieczoru, już po kolacji, wychowawczynie grupy Lilii wychodzi z domku. Tłumaczy, że zaraz wróci, zabierze tylko z sąsiedniej chałupy, oddalonej o trzydzieści metrów, potrzebne jej zeszyty.

– Rano znaleźliśmy jej nogi w wysokich butach – wspomina Lilia Wercholewska. – Wokół leżały też kości i mnóstwo wypalonych zapałek. Ona biedna wiedziała, że zwierzęta boją się ognia, więc wypaliła wszystkie zapałki, a potem wilki ją zjadły.

Trwa wojna, każdy musi pracować dla kraju. Wszystkie dzieci, które ukończyły już sześć lat, po śniadaniu siadają w kręgu na podłodze wokół wielkiego stosu wełny. „Czyściliśmy tę wełnę przez kilka dni z rzędu. Potem przez kolejne dni przędliśmy ją – każdy miał swoje małe wrzeciono. A kiedy była już z tego zrobiona włóczka, to znów, siedząc w kręgu na podłodze, robiliśmy na drutach wełniane skarpetki i rękawiczki z dwoma palcami dla żołnierzy na froncie. Działo się to metodą łańcuszkową, w pięć osób: pierwsza robiła na drutach kółko ściągacza i przekazywała je następnej osobie, która musiała zrobić swoją część, kolejna piętę i tak dalej, aż do palców. W taki sam sposób robione były też rękawiczki” – napisze Lilia we wspomnieniach¹³.

Największym szczęściem jest piętka chleba na śniadanie – najpierw wygryza się w niej środek, potem ssie długo. Zwykła kromka znika szybciej. Bywają domy dziecka w Karlagu, gdzie podopieczni umarli z głodu. Trawa została tam wyjedzona w promieniu wielu metrów od budynku. Lilia i jej koledzy także głodują, zawsze jednak wystarcza im jedzenia na tyle, żeby się utrzymać przy życiu.

Ratunkiem jest las. Każdego lata, po śniadaniu i przed kolacją, dzieci wychodzą szukać jadalnych roślin. Ulubionym przysmakiem Lilii jest czosnek niedźwiedzi i szczawik zajęczy. Czasem do któregoś z wychowanków przychodzi paczka z jedzeniem. Jej zawartość jest dzielona sprawiedliwie między wszystkich mieszkańców domku.

– Raz dostałam garstkę cukru w paczce – pamięta Lilia Wercholewska. – Każdemu przypadła odrobina kryształków.

Choroby dziecięce są dwojakiego rodzaju.

Pierwszy: jakkolwiek się czujesz, ale możesz jeszcze stać, pracujesz z innymi.

Drugi: możesz leżeć w łóżku, jeśli tracisz przytomność.

Lekarstw nie ma żadnych, lekarza tym bardziej. Jeśli organizm sobie poradzi z chorobą, dziecko przeżyje. Jeśli nie – umrze. Umierają więc, przeważnie na gruźlicę.

Lilia Salomonowna choruje raz na czyraczność. Opiekunki smarują jej ciało jakimś płynem, ból jest potworny, krzyczeć nie wolno. Po tygodniu dziewczynka zdrowieje. Zaraża się też prątkami gruźlicy, choroba będzie się w niej rozwijała. Najczęściej jednak w domu dziecka na stepie choruje się na dyzenterię, czyli czerwonkę, zwłaszcza latem. Choroba powoduje wymioty i częste wypróżnienia, także z krwią.

Lilia napisze we wspomnieniach: „Wszyscy byliśmy na zewnątrz.

Nagle ktoś krzyknął: »Chodźcie tu, Witia dostał konfitury w paczce!«. Przybiegliśmy na to wołanie i zobaczyliśmy, że ten, co krzyczał, ma w ręku talerzyk z konfiturami. Mnóstwo rąk sięgnęło w tym kierunku, nabrały konfitur i włożyły je do ust. Ale nagle ci, którzy już ich spróbowali zaczęli pluć i krzyczeć: »Fuj! To gówno!«. Kto nie spróbował, śmiał się. A reszta pluła, wyrywała trawę i wycierała buzię. Ta sytuacja pokazuje, jacy byliśmy głodni⁷⁴.

Garri

Każdego roku Garri Pogoniajło wraz z kolegami ucieka z domu dziecka. To swego rodzaju zabawa. Po pierwsze – ucieka się tylko w czasie wakacji, po drugie – niezbyt daleko.

Nikt rozsądny nie zamierza uciekać na zawsze. Los dzieci bezdomnych, zwanych w ZSRR bezpizornymi, jest bardzo ciężki. Żeby przeżyć, prostytuują się i zostają przestępcami. Złapane trafiają do obozów naprawczych, które niczym nie różnią się od łagrów dla dorosłych. Zresztą dokąd uciec z dalekiej północy? W tajgę? Pie szo? Nikt nie weźmie na ciężarówkę lub wóz dziecka machającego przy drodze, bo to zakazane.

– Uciekaliśmy na dzień, dwa, żeby się najeść – wspomina Garri. – Z ogrodów we wsi, w której stał nasz dom, kradliśmy marchew, jabłka, sałatę. Miejscowi bardzo nas nie lubili, jak złapali, to bili, toczyliśmy wojny z ich dziećmi.

Potem biegliśmy na stację, kraść towar z pociągów. Składy były przed nami chronione. Raz udało się nam otworzyć wagon żmicha – pozostałości po wyciskaniu oleju słonecznikowego – przeznaczonego dla zwierząt. W wagonach były skrzynie, które zimą wypełniano piaskiem sypanym pod koła, żeby pociąg nie ślizgał się po torach. Latem stały puste, chowaliśmy się w nich i jechaliśmy w nieznane. Kiedy pociąg się zatrzymywał, wyskakiwaliśmy i biegliśmy do miejsc, gdzie można było ukraść coś do zjedzenia.

Milicja wyłapuje wychowanków domu dziecka na bazarach i stacjach kolejowych. Łatwo ich rozpoznać po jednakowych ubraniach przypominających stroje więźniów. Odstawieni do domu trafiają za karę na kilka godzin do ciemnej komórki. Wychowawcy się na nich za bardzo nie gniewają – znają zasady tej gry.

Lilia

Jej dom dziecka należy do wyjątków. Dzieci nie wyjeżdżają stąd, gdy osiągną wiek szkolny, tylko zostają i idą do pierwszej klasy we wsi oddalonej o siedem kilometrów. Żadna, nawet najgorsza pogoda nie zwalnia ich od zajęć. Codziennie ktoś z dzieci niesie zeszyty całej grupy. I tylko ono wkłada rękawice. Reszta woli mieć gołe ręce. W rękawiczkach chowają się w ciągu dnia pluskwy, które chodzą po dzieciach nocami. Lepsze są odmrożenia niż pogryzienia.

– Wtedy już wiedziałam, że mam mamę, bo raz w roku dostawałam od niej list – mówi Lilia Wercholewska. – Kiedyś wysłała mi rękawice, które szyła w zakładzie (w nich też zamieszkały pluskwy). Miałam świadomość, że jest w łagrze. Ale nie byłam ciekawa, dlaczego nie może stamtąd wyjść i mnie zabrać. Nie tęskniłam za nią, bo nie wiedziałam za czym mam tęsknić. Wydawało mi się, że wszystkie dzieci świata mieszkają w domach dziecka, a ich mamy w łagrach. Dopiero szkoła pomieszała mi w głowie.

Klasa Lilii jest mieszana. Oprócz dzieci z jej grupy są też uczniowie mieszkający na wsi, z rodzinami. Dzieci z domu dziecka nie kontaktują się z dziećmi ze wsi, lecz obserwują się wzajemnie.

– Nagle zorientowałam się, że niektórzy żyją ze swoimi mamami w domach – wspomina Lilia Salomonowna. – My wszyscy byliśmy jednakowo ubrani, oni mieli swoje spodnie, sukienki, bluzki. Pamiętam białą chusteczkę w czerwone groszki jednej dziewczynki, wydawała mi się najpiękniejszą rzeczą na świecie. Najbardziej było



edjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii

mi dziwno, że oni mają coś na własność. Jak to jest, zastanawiałam się, mieć coś tylko swojego. I po co? Nie rozumiałam.

W szkole dzieci uczą się czytać, pisać i liczyć. Jakiegokolwiek wiedzy o świecie i człowieku nauczyciele nie przekazują.

– Nie widziałam na oczy jabłka ani śliwki – mówi Lilia. – A tu, w drugiej klasie, była czytanka o chłopcu i jego rodzicach. Kupili synkowi śliwki i kazali mu uważać na kostoczki (косточка – zarówno pestka, jak i kostka). To było dla mnie bardzo dziwne: kości w owocach? Co za świat.

Część piąta. Mama

Władimir

Jest rok 1945. Władimir Romanowski ma cztery lata i siedzi w oborze, okrakiem, na drewnianej belce. Drze się wniebogłoso, bo szarżuje na niego krowa, która chyba chce go ubość. Nagle przez wrota



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

wbiega jakaś kobieta i odgania zwierzę. To Walentina Nikołajewna Dobrowa, jego mama.

Już odbyła karę w łagrze. Właśnie szła przedstawić się swojemu synkowi, którego ukryła na kilka lat w oborze. Teraz już może go zabrać do domu.

– Jednak komunizm to jest dobra rzecz – będzie powtarzała do końca życia Walentina Nikołajewna. – Tylko trzeba nauczyć ludzi żyć w komunizmie.

Władimir będzie wtedy przewracał oczami i wchodził z nią w dyskusję. Nigdy nie zrozumie, dlaczego matka, której Związek Radziecki pozwolił opuścić Kołymę dopiero w 1971 roku, pozostała idealistką.

Lilia

Początek 1946 roku. Dziewięcioletnia Lilia opuszcza dom dziecka na zawsze. Do AŁŻIR-u wiezie ją znajomy matki, który przyjechał po swoją siostrę. Jenta Lichtensztajn skończyła odbywanie kary w listopadzie 1945 roku. Nie może się doczekać spotkania z córką.

– Nic nie myślałam w drodze do mamy – wspomina Lilia. – Byłam jakby pusta.

Jenta – w czasach przed łagrem szczupła, ładna kobieta – teraz wygląda jak własna babka, choć ma dopiero czterdzieści dwa lata. Jest wolnonajemną, ale nadal mieszka w baraku i pracuje w obozowej kuchni, bo nie ma dokąd wrócić. Gdyby chciała, może wyjść z łagru i nawet wyjechać w głąb Rosji, jednak istnieje lista dużych miast, które ona



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

i jej podobni muszą omijać w promieniu stu kilometrów. Najbliżej wolno im się zatrzymać na sto pierwszym kilometrze. Jenta wciąż jest przecież wrogiem narodu, fala rehabilitacji nadejdzie dopiero po śmierci Stalina. Jest jeszcze jeden przepis: żeby otrzymała papiery podrózne, ktoś musiałby zaprosić ją do siebie, zapewnić jej mieszkanie. Lichtensztajnowa jest wdową, nie ma nikogo w Związku Radzieckim poza starszą córką Sarą, która po aresztowaniu matki trafiła do domu dziecka. Teraz Sara studiuje medycynę i do końca nauki został jej rok. Po studiach zamierza osiąść w Borysewie pod Mińskiem i zabrać do siebie matkę z siostrą. Do tego czasu Jenta pozostanie w obozie.

– W końcu przyjechaliśmy do AŁŻIR-u – wspomina Lilia Salomonowna. – Mama od razu wzięła mnie na ręce, przytuliła i zabrała nad rzeczkę. A ja zaczęłam wołać: „Idź sobie! Jesteś brzydka! Moja mama na pewno była piękna, a ty masz gruby brzuch! Ty nie jesteś moją mamą!”. Długo nie byłam w stanie powiedzieć do niej „mamo”, miałam do niej żal, że mnie zabrała z domu dziecka, wypominałam jej to. Nie podobało mi się u niej w baraku.

Zachowywałam się tak do czternastego roku życia. Nie chciałam uznać, że jestem Żydówką. Krzyczałam: „Nie! Ja Ruska, ty Żydówka! W tym kraju wszyscy jesteśmy Sowieciami!”. Taka durna byłam, patriotka. Tak bardzo kochałam Stalina, że gdy umarł, to myślałam, że lepiej, żeby i ja umarła. Rozpaczałam tak, że nie sposób tego opisać. A moja mama powiedziała tylko: „Ten zwierz powinien dawno być zdechnąć”. Ja wtedy wrzasnęłam: „Widać, że ty sprawiedliwie w łagrze siedziałas i jeśli jeszcze raz coś takiego usłyszę, pójdę z tym na milicję”.

A ona wszystko mi wybaczała. Zdobyła moją miłość cierpliwością i sercem. My, wychowankowie domów dziecka, byliśmy jak wilczęta, szorstkie z zewnątrz, w środku jednak dobre, tylko nie mogliśmy sobie pozwolić na okazywanie uczuć. Bardzo się potem

związałyśmy z moją mamą, ale nigdy w życiu nie powiedziałam jej słowa „kocham”, nigdy nie przytuliłam, nie pocałowałam. Trudno to sobie nawet wyobrazić.

Wiarę w komunizm Lilia zaczęła tracić w 1956 roku, gdy ujawniono prawdę o zbrodniach Stalina.

W 1991 roku spakowała do czterech walizek ubrania, elegancki serwis obiadowy i wyemigrowała z synem do Izraela. Serwis z czasem się wytlukł, syn został lekarzem.

Każdego wieczoru, przed zaśnięciem, Lilia Salomonowna Wercholewska patrzy na portret mamy zawieszony nad łóżkiem i bez końca powtarza, jak bardzo ją kocha.

Georgij

Sima Masiejewna, opiekunka grupy dzieci z sekretnego baraku w AŁŻIR-ze, pochyla się nad siedmioletnim Georgijem Nikolajewiczem i mówi mu: – Patrz, kto idzie po ciebie.

Chłopiec widzi nieznajomą kobietę, która patrzy na niego onieśmielona. – To twoja mama, idź do niej. – Sima lekko popycha chłopca w stronę Olgi Siemionowny Galpiriny, która właśnie (w roku 1945) zakończyła odbywać wyrok.

– Szoku nie było, bo nie rozumiałem tego pojęcia: „mama” – wspomina Georgij Karetnikow. – Ale jakoś pojąłem, że w końcu wyjdę z obozu, i to była dla mnie wielka radość.

Po kilku miesiącach życia w kazachskim mieście Barawoje Georgij jedzie z mamą i jej przyjaciółkami z łagru do Moskwy. Na dworcu



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

odbiera go tata, który pisał listy pełne miłości do jego matki, gdy była w obozie.

– Mama musiała szybko opuścić Moskwę, wyjechała na sto pierwszy kilometr, do Aleksandrowa. Miała tam znaleźć pracę, mieszkanie i zabrać mnie do siebie – mówi Georgij Karetnikow.

—

Ojciec zamyka syna w domu i wychodzi do pracy. Syn wybija szybę nad drzwiami i wychodzi do miasta.

Karetnikow: – Moskwa była ciekawa, ogromna jak step. Włączyłem się trochę z poznanym bezprizornym. Nie bałem się niczego wtedy. Jedyne strach, jaki mnie trawił w życiu, to obawa przed ponownym zdeptaniem zajęczka.

—

Ojciec kupuje synowi za duży płaszcz, odwozi go do matki i zrzeka się go oficjalnie w urzędzie. Wciąż ma przecież żonę oraz syna i wciąż nie myśli o rozstaniu z nimi.

– Nie mam do niego o to żalu – wzrusza ramionami Georgij Nikołajewicz. – To nadal było bardzo niebezpieczne mieć z nami kontakt. Byłem wrogiem narodu, synem wroga narodu.

Garri

Rok 1953. Wezwany dziesięcioletek wchodzi do gabinetu dyrektora szkoły, inwalidy wojennego z drewnianą nogą, i widzi tam dwie kobiety – starszą i młodszą. Ta pierwsza to Lidia Filipowna Pogoniajło, mama chłopca. Druga jest córką Lidii z pierwszego małżeństwa i przyrodnią siostrą Garrika.

– Dla mnie to była sytuacja niezrozumiała, nierealna – mówi Garri Pogoniajło. – Jaka mama? Jaka siostra? Przecież jestem sierotą wojennym.

Rozmowa się nie klei. Kobiety wkrótce wychodzą z gabinetu. Uczeń wraca na lekcję.

– Mama zabrała wtedy z sobą mojego brata, Georgija, z przedszkolnego domu dziecka, w którym też byłem wcześniej – mówi Garri. – Tłumaczyła mi potem, że mieszkała skromnie, w małym mieszkaniu, nie dałaby rady nas obu utrzymać, wybrała więc jego, bo był młodszy.

—

Rok później Garri Pogoniajło ciężko choruje na zapalenie płuc. Lekarze nie dają mu wielkich szans na przeżycie. Chłopca ratuje decyzja Nikity Chruszczowa, następcy Stalina – chore dzieci z domów dziecka należy przенosić na Krym. Tam jest dobre powietrze, które je uleczy.

Garri Piotrowicz zostaje wytypowany do wyjazdu jako jedyny ze swojego domu.

Wspomina: – Zamieszkałem w willi z tarasem, kręconymi schodami, rzeźbami na sufitach. Nasz dom w pobliżu Symferopola w czasach carskich był siedzibą gubernatora Krymu. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego budynku, takiego słońca, jedzenia, ogrodów. Różnica między północą, z której przybyłem, a południem była taka, jak w tym czasie między Związkiem Radzieckim a Ameryką. Czuję się tam dobrze, wkrótce wyzdrowiałem. Nie kazali mi wracać.

—

Jest pierwszym uczniem, który przeczytał w szkolnej bibliotece wszystkie dwieście książek. Dobrze się uczy, lubi zadawać pytania,

czasem zastępuje nauczycieli w młodszych klasach. W pobliżu domu dziecka jest kołchoz z sadami i winnicą. Uczy się tam zawodu ogrodnika.

Do tej pory wierzył we wszystko, co mówiono mu w szkole i w pionierach. Jest wdzięczny ojczyźnie za jedzenie, zeszyty, podręczniki i ubrania. Za pokój na świecie, spokojny sen, szczęśliwe dzieciństwo. Coś mu jednak nie pasuje. Obraz w filmie dokumentalnym o kołchozie, który oglądał jeszcze na północy, nie pokrywa się z tym, co widzi w prawdziwym kołchozie na Krymie.

– W filmie ludzie mieli piękne stroje, tańczyli, byli weseli – mówi Garri. – A potem zobaczyłem ludzi, którym płacono kopiejkami, arbuzami albo karmą dla zwierząt. Z których ściągano podatki od kozy, krowy, drewna, a jeśli nie mogli zapłacić, trafiali do więzienia. Tego nie mogłem pojąć. Jak to? W kosmos lecą sputniki, a ludzie żyją nadal biednie? W siódmej klasie zwątpiłem w komunizm.

Lidia Filipowna śle do syna listy na Krym, ale nie przyjeżdża. Mieszka w Mińsku. W 1959 roku zaprasza Garriego do siebie na wakacje.

Pogoniajło wspomina: – W czasie tych dwóch miesięcy była dla mnie jak obcy człowiek. I tak do końca życia już było.

Dziesci Wobozie.



Sejgatoruna. Stefanija

CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII

KINDERSZENEN

Płaszcz ojca odkupił za pięćset dolarów od krewnej Waltera Steina, amerykańskiego porucznika.

– To było pięć lat temu – mówi i prowadzi mnie przez swój ogród w stronę małego stawu. Na niedbale zbitym krzyżaku, umocowanym nad samą wodą, wisi brązowe skórzane palto o wojskowym kroju, z kościanymi guzikami i szerokim kołnierzem. Zebrał je w talii paskiem z tej samej skóry i spiął zardzewiałą klamrą. – Od razu wpadłem na pomysł, żeby zrobić z niego stracha na wróble – uśmiecha się.

– Ale po co? – chcę wiedzieć.

– Bo teraz, gdy siadam w salonie, widzę z okna, jak tam wisi – mówi Niklas, syn Hansa.

Scena pierwsza. Osoby

Hans Frank: ojciec, jego oficjalny tytuł w latach 1939-1945 to generalny gubernator. Jednak Joseph Goebbels, minister oświecenia ludowego i propagandy, pisze o nim w swoim dzienniku: „Frank nie tyle czuje się przedstawicielem Rzeszy, ile raczej królem Polski”.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Plotkarze mówią na Franka „król Stanisław”. Jego siedzibą w tym czasie jest Wawel. Za nazistowskie zbrodnie zostanie skazany na śmierć przez powieszenie w wieku czterdziestu sześciu lat.

Brigitte Frank: matka, pięcioro dzieci. Hans klęka przed nią w ich berlińskim mieszkaniu wczesną jesienią 1939 roku i mówi: – Brigitte, będziesz królową Polski².

Ona ma na sobie w tamtej chwili długi jedwabny szlafrok. Starsza od męża o pięć lat. Przeżyje go o półtorej dekady, umrze ze zmęczenia życiem i od papierosów.

Sigrid: siostra, najstarsza z rodzeństwa. Urodzona w 1926 roku. W latach sześćdziesiątych przeprowadzi się do Republiki Południowej Afryki, bo tylko tam, jej zdaniem, będzie można wciąż poczuć ducha III Rzeszy. Do końca życia będzie zaprzeczała Holocaustowi. Uzależniona od trunkwilizatorów. Umrze śmiercią naturalną.

Norman: brat, ulubieniec rodziny. W latach osiemdziesiątych XX wieku powie Niklasowi:

– Wiem, że nasz ojciec był nazistowskim zabójcą. Ale wciąż go kocham.

Podejmie decyzję, że nie chce mieć dzieci, w obawie przed przekazaniem im zbrodniczych genów. Zapije się na śmierć.

Brigitte zwana Gitti: siostra, w wieku czterdziestu sześciu lat zachoruje na raka. Popęlni samobójstwo, bo nigdy nie chciała żyć dłużej niż jej tatuś.

Michael: brat, po wojnie będzie bezskutecznie próbował odzyskać majątek rodziny Franków odebrany na podstawie ustawy denazyfikacyjnej. Do czasu swojej przedwczesnej śmierci z powodu niewydolności narządów (w wieku pięćdziesięciu trzech lat) będzie wypijał trzynaście litrów mleka dziennie.

Niklas: najmłodsze dziecko królewskiej pary. Dziennikarz, korespondent wojenny, pisarz. Jedyny członek rodziny, który zaakceptuje prawdę o ojcu i powiadomi o tym świat.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Scena druga. Narodziny

Jest marzec 1939 roku, gdy w monachijskim szpitalu czterdziestoczteroletnia Brigitte rodzi swoje najmłodsze dziecko. Ktoś kręci amatorską kamerą matkę z noworodkiem, jak leżą razem w łóżku. Film jest niemy. Brigitte spogląda w obiektyw, a potem tuli i całuje syna. Operator kamery najeżdża na ogromny bukiet jasnych kwiatów, drżą mu ręce.

W następnym ujęciu nad żoną i synem pochyla się Hans Frank³. Nie lubi tego dziecka od początku. Podejrzewa, że Niklas jest synem jego przyjaciela, nazisty Karla Lascha, z którym Brigitte śpiała. Nie przekonuje go nawet to, że Niki jest podobny do niego, jakby został skopiowany przez kalkę. Najmłodszego syna będzie już zawsze nazywał „Fremdi” – od słowa *fremd*, obcy.

Wiosną 1939 roku doktor prawa Hans Frank jest na razie jeszcze tylko ministrem bez teki, powołanym przez Hitlera do gabinetu ministrów Rzeszy w 1934 roku. Jest też posłem w Reichstagu z ramienia NSDAP i twórcą Akademii Prawa Niemieckiego, która opracowuje podstawy hitlerowskiego ustroju prawnego. Führera zna od dawna, jako członek SA uczestniczył w jego nieudanym puczu w Monachium w 1923 roku. Dwa lata później został osobistym doradcą prawnym Adolfa Hitlera, bronił przed sądami także jego zwolenników. Mówi się o nim, że nie jest zbyt zdolnym adwokatem, a procesy wygrywa agresją, zastraszaniem i podstępem. Powiada się też, że jest znakomitym mówcą, być może drugim po Führerze. Powszechnie wiadomy jest fakt, że Hans Frank jest wielkim megalomanem, lubi władzę i pieniądze.

– A teraz ojciec Nikiego jest martwy – Hans Frank powie z satysfakcją w 1942 roku. Karl Lasch, gubernator dystryktu Galicja z jego nadania, oskarżony o korupcję i kradzieże na masową skalę, w areszcie w Breslau popełni samobójstwo lub zostanie zastrzelony z rozkazu zwierzchnika SS i policji Heinricha Himmlera. Zarówno Brigitte, jak i Hans mogli wstawić się za swoim przyjacielem, ale tego nie zrobili.

Scena trzecia. Katastrofy

To jedna z ulubionych zabaw Niklasa Franka. Ma duże blaszane auto na pedały. Chowa się z nim za rogiem i czyha na gości albo pracowników ojca, którzy idą długimi korytarzami królewskiego zamku. Kiedy się zbliżają, rusza z impetem przed siebie i wjeżdża im w nogi.

– Ach, Niklas! – syczą z bólu i krzywią się w uśmiechu jednocześnie. – To wspaniała zabawa. Musimy ją powtórzyć.

Chłopiec wie, że sprawia ludziom ból, i czerpie z tego przyjemność. Jest bezkarny. Jego ojciec od października 1939 roku jest

władcą Generalnego Gubernatorstwa, tworu skonstruowanego z centralnych ziem okupowanej Polski – dystryktu warszawskiego, lubelskiego, radomskiego, krakowskiego, a od sierpnia 1941 roku również dystryktu Galicja. Pan życia i śmierci początkowo siedemnastu milionów poddanych już w październiku 1939 roku zakazał rytualnego uboju zwierząt, żeby chronić je przed śmiertelnym cierpieniem, a w grudniu nakazał wszystkim Żydom powyżej dziesiątego roku życia noszenie opasek z gwiazdą Dawida. Kilka tygodni później zakazał polowań na bobry i świstaki, by w styczniu 1940 roku powiedzieć na posiedzeniu rządu:

– Mój stosunek do Polaków jest stosunkiem analogicznym do relacji mrówki do mszycy⁴.

W Niemczech niektórzy nazywają Generalne Gubernatorstwo *Frank-Reich* – Rzeszą Franka.

Najmłodsze dziecko Franków nie rozumie pozycji ojca, ma jednak świadomość, że to ktoś potężny. O szczegóły nie pyta z trzech powodów.

Po pierwsze, jest szczęśliwym, sytym dzieckiem.

Po drugie, jest za małe na zrozumienie dorosłych odpowiedzi.

Po trzecie, przyswoiło sobie już żelazną zasadę niemieckiego wychowania: dziecko, które zadaje za dużo pytań, idzie spać bez kolacji.

Niklas nie ma więc pojęcia, że zamek na Wawelu, przemianowany przez tatę na Krakauer Burg, nie jest ich domem rodzinnym od pokoleń. Że dama z gronostajem z obrazu Leonarda da Vinci wiszącego w gabinecie ojca nad kaloryferem to nie jest ich dawna krewna, a w grobowcu królowej Jadwigi, za którym lubi się ukrywać podczas zabawy w chowanego, nie leży jego prababka.

Frank wybrał Kraków na swoją siedzibę, bo Hitler nie chciał, by Warszawa była stolicą czegokolwiek. A Wawel dodatkowo kuśił swoim bogactwem. Hans pisał do żony po pierwszej wizycie w Krakowie: „Zamek jest bajeczny. Złoto na oknach, wszystkie



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

pomieszczenia, skarby sztuki – niezwykle⁵. Oczywiście zamek trzeba będzie przebudować i unowocześnić, burząc pewne budynki na jego terenie, dobudowując reprezentacyjną kancelarię i wpuszczając w podłogę ogromną wannę w nowej łazience, dla większego komfortu.

Każdy gość oznacza nową zabawkę dla każdego z dzieci Hansa Franka. Niklas i Michael, z racji wieku najbardziej ze sobą związani bracia, uwielbiają dostawać prezenty. Od razu je niszczą. Rozkręcają samochodziki, rozpruwają brzuchy misiom, odrywają głowy pajacom. Nikt się na nich za to nie gniewa. Mają dwa pociągi elektryczne, stoją gotowe do jazdy. Obaj chłopcy ustawiają tory wyłącznie w taki sposób, żeby za każdym razem dochodziło do katastrofy.

– Sądę, że codzienne zbrodnie, które działy się wokół, podświadomie zatruwały nasze dusze. Sprawiały, że byliśmy agresywni wobec zabawek – tłumaczy Niklas Frank po powrocie z nad stawu.

Choć na wiele rzeczy im się pozwala, są granice. Kiedy Niklas wynosi z zamku zabytkowy miecz wysadzany kamieniami szlacheckimi i stacza nim walkę z pokrzywami w ogrodzie, zabawka zostaje mu natychmiast odebrana. Dziecko czuje się pokrzywdzone.

Scena czwarta. Pałac

Niklas najbardziej lubi jeździć do Kressendorfu. To odebrany Potockim pałac z końca XVIII wieku, zbudowany w stylu renesansu włoskiego, trzydzieści kilometrów od Krakowa, w miasteczku, które do niedawna nazywało się Krzeszowice. Frankowie bywają tam niemal w każdy weekend, który spędzają w gubernatorstwie, zostają na dłużej w czasie wakacji. Hans, jeśli ma obowiązki w mieście, dojeżdża do nich wtedy na noc. W miejscowości żyje około pięciu tysięcy mieszkańców, w tym pięciuset siedemdziesięciu



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Żydów. W marcu 1941 roku starosta powiatowy Krakau-Land zarządza, że „ze względu na letnią siedzibę pana generalnego gubernatora wkrótce wszyscy Żydzi zostaną wysiedleni z miasta Krzeszowice”⁶.

Matka Nikiego poleciła wydrukować kilkaset pocztówek z wizerunkiem pałacu i wysłała je teraz do swoich przyjaciółek z podpisem: „Jak widzisz, znowu się przeprowadziłam”⁷. Odkąd jej mąż stał się ważnym człowiekiem, niektórym z nich każe zwracać się do siebie „szanowna pani ministrowo” lub „doktorowo Frank”, choć kiedyś pracowały razem jako stenotypistki w kancelarii prawnej.

W pałacu dzieci robią, co chcą. Rodziców widują najwyżej raz dziennie, bo oni są zajęci organizowaniem przyjęć, koncertów i drenowaniem krzeszowickich dóbr. Do rodzinnego domu Schoberhof w bawarskiej miejscowości Fischhausen, nieopodal Neuhaus, Frankowie ślą prywatną salonką wykładaną mahoniem tysiące słoików z przetworami z owoców i warzyw zebranych

w pałacowych ogrodach i ukradzionych ze spiżarni. W jednym z transportów jadą siedemdziesiąt dwa kilogramy wołowiny, dwadzieścia dwa kilogramy wieprzowiny, dwadzieścia gęsi, pięćdziesiąt kurczaków, jedenaście kilogramów salami i trzynaście kilogramów kielbasy szynkowej, osiemdziesiąt kilogramów masła, pięćdziesiąt kilogramów oleju, dwadzieścia kilogramów kawy ziarnistej, pięćdziesiąt sześć kilogramów cukru, tysiąc czterysta czterdzieści jaj i dwanaście kilogramów sera⁸. Wszystko zostaje zapisane w odpowiednich rubrykach.

Dzieci nie jedzą w ich towarzystwie, śpią w innym skrzydle budynku (podobnie jest zresztą na Wawelu – żeby dojść ze swojej sypialni do pokoió dziecięcych, Brigitte musi iść szybkim marszem kilka minut). Razem z rodzicami występują najczęściej na pozowanych fotografiach, niczym rodzina królewska na portretach. Noszą wtedy ubrania z identycznej tkaniny (często w pepitkę), o kroju dostosowanym do wieku, gołe nogi do połowy łydek zasłaniają im podkolanówki. Brigitte lubi do zdjęcia wkładać suknie, które przypominają nieco renesansowe stroje Barbary Radziwiłłówny. Hans, który ma setki garniturów i dziesiątki zaprojektowanych przez siebie mundurów, zwykle fotografuje się w smokingu, ale lubi też założyć strój bawarski.

Czasem jednak cała rodzina spotyka się w komplecie.

– Od samego początku do końca był wtedy śmiech i żarty – opowiada Niklas Frank. – Nasza rodzina miała zawsze ogromne poczucie humoru. Wiem to z opowieści Normana, mojego brata. Dla mnie przebywanie z ojcem było zawsze rozczarowujące, choć do pewnego momentu bardzo go kochałem. Cały czas starałem się zasłużyć na jego przychylność. Pamiętam tylko jedno miłe zdarzenie z nim związane. Byliśmy sami w jego łazience, golił się, ja patrzyłem. Nagle, wesoło, zrobił mi pędzlem kropkę z piany na nosie. A tak, poza tym, ciągle mówił do mnie „Fremdi” i że nie należę do tej rodziny.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Rodzeństwem w Kressendorf zajmuje się służba i żołnierze oddelegowani do pilnowania terenu i budynku. Niklas przepada za nimi. Jedzą wspólnie rosół z kluseczkami w pałacowej kuchni (Frankom gotuje Netty – kucharka sprowadzona z Wiednia), biegają po parku, wojskowi noszą najmłodszych chłopców na barana.

Niklas lubi ludzi w mundurach. Są dla niego zawsze życzliwi. Raz pojechał na wycieczkę do miejsca, w którym były baraki otoczone drutem kolczastym. Tam jeden z jego umundurowanych wujków trzymał dzikiego osła. Wezwał do siebie kilku chudych mężczyzn z baraków i kazał im wsiadać na grzbiet zwierzęcia dla uciechy Niklasa. Osioł wierzgał, mężczyźni spadali za każdym razem, dziecko biło brawo. Potem w baraku oficerskim chłopiec napił się gorącego kakao.

W latach osiemdziesiątych XX wieku Niklas Frank opublikuje w Niemczech książkę o swoim ojcu. W następnej dekadzie ukaże się ona w Polsce. Wtedy autor dostanie list.

– Od człowieka, który był służącym w Kressendorfie – mówi Niklas Frank. – Jego obowiązkiem było dbanie o piec w pałacu. Któregoś razu zostawił na pościeli w sypialni matki drobinki popiołu. Ona to zobaczyła i zaczęła na niego krzyczeć, że trafi za ten czyn do obozu koncentracyjnego. Ten człowiek był moim przyjacielem, towarzyszyłem mu od kominka do pieca, zainteresowany jego pracą. Miałem kilka lat i pewnie wydawało mi się to wspaniałym zajęciem. Wszedłem gwałtownie do pokoju, skąd dobiegał krzyk, a moja matka umilkła. I nic się więcej nie wydarzyło. Ja tej sceny nie pamiętałem, opisał mi ją ten człowiek, autor listu. Uważał, że zawdzięcza mi życie.

Starsze dzieci zapraszają do pałacu swoich przyjaciół z krakowskiej szkoły. Zachowa się amatorski film z Kressendorfu. Migawka zaledwie – na tarasie, w wiklinowych fotelach, leży Norman w skórzanych bawarskich krótkich spodenkach i jego kolega Voigt. Udają, że zasnęli w słońcu, mają zamknięte oczy, nie wytrzymują jednak napięcia i wybuchają śmiechem, psując kamerzyście scenę⁹.

Niklas Frank: – Mam bardzo dobre wspomnienia z tamtego czasu.

Niania Hilde jest główną opiekunką najmłodszej trójki. Prosta dziewczyna z wiejskiej bawarskiej rodziny, ma około dwudziestu trzech lat, nosi na co dzień strój, który przypomina ubranie przedwojennej pielęgniarki, i bezgranicznie kocha Gitti, Michaela oraz Niklasa. Zwłaszcza tego ostatniego, którym zajmuje się od niemowlęctwa. Dziewczyna ma szczery, tubalny śmiech, który idzie z głębi jej trzewi, nie czyta dzieciom książek i chyba ich nie przytula, w każdym razie Niklas tego nie będzie pamiętał.

– Ale jeżeli jest we mnie cokolwiek ludzkiego, pochodzi od niej – wyjaśnia.

Hilde ma romansową naturę, lubi spotykać się z żołnierzami. Kiedyś umawia się z jednym z nich w więzieniu Gestapo przy ulicy Montelupich 7 w Krakowie. Zabiera chłopca ze sobą. Jeden z esesmanów podsadza go i pozwala zaglądać do cel przez małe okienka.

Hilde po wojnie wyjdzie za mąż i urodzi syna. Będzie prowadziła sklep z nabiałem. Najpierw jej mąż strzeli do siebie z powodu niepowodzeń w biznesie. Potem samobójstwo popełni syn chory na depresję. Ona sama umrze na raka, po siedemdziesiątce.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Scena piąta. Kinderstube

Wyobrażam sobie, że pierwszym słowem dziecka generalnego gubernatora nie jest „mama” ani „tata”, tylko „Hitler”. Pierwszym świadomym gestem – wyprostowanie prawej ręki w faszystowskim pozdrowieniu. Ulubionym ubraniem – mundurek chłopięcej organizacji Deutsches Jungvolk, do której musi jeszcze dorosnąć. Ukochaną lekturą – *Mein Kampf*. Że tu, w rodzinnym gronie, tłumaczy się synom i córkom, jak źli są Żydzi, jak prymitywni są Polacy i jak bardzo niemiecki jest Krakau.

Nic z tego.

W domu Franków jest zakaz mówienia antysemickich dowcipów, bo matka ich nienawidzi. Przed wojną handlowała z Żydami futrami i twierdzi, że ich szanuje. Jej zdaniem to najlepsi kuśnierze, krawcy i jubilerzy na świecie. Dzieciom zabrania się też mówić źle o Polakach. Tylko ojciec czasem pozwala sobie na uwagę, że polscy mężczyźni są bardzo leniwi, ale polskie kobiety za to – bardzo ładne.

Nie wolno też jednak pytać o to, co się dzieje wokół. Pewnego razu podczas gry w piłkę Norman słyszy, jak za murem Polacy śpiewają swój hymn, a potem padają strzały. Opowiada o tym ojcu, ale Hans Frank urywa wątek, nie chce o tym rozmawiać. Najstarszy syn generalnego gubernatora zwiedza też warszawskie getto. To sam początek izolacji Żydów w stolicy, jest najwyżej styczeń 1941 roku. W wywiadzie rzece udzielonym kilkadziesiąt lat później Niklasowi powie: „Wówczas było to schludne i dobrze zorganizowane miejsce. Nie widziałem nic strasznego. [...] Podjechałem do bramy z miłym szoferem taty Schamperem. [...] Przeszliśmy przez getto, kilka ulic. Nie rozumiałem, dlaczego ojciec uważa, że powinienem zobaczyć to miejsce. [...] Nie uważałem za niezwykle, że w getcie mieszkają sami Żydzi. Myślałem, że zawsze tak było”¹⁰.

Niklas jednak nie wierzy bratu, że był tak nieświadomy spraw toczących się w Generalnym Gubernatorstwie:

– Kiedy pisałem książkę o ojcu, spotykałem się z kolegami i koleżankami Normana z krakowskiej szkoły. Wszyscy pamiętali wiszących na szubienicach Polaków, egzekucje Żydów. Każdy wiedział dokładnie, co się tam działo.

Sigrid i Norman chodzą do zwykłej szkoły dla Niemców i volks-deutschów w Krakowie, choć rodzice mogli ich posłać do jednego z narodowo-politycznych zakładów wychowawczych zwanych Napola (Nationalpolitische Erziehungsanstalten), gdzie edukuje się przyszłe nazistowskie elity. W 1942 roku Norman wstępuje w szeregi Hitlerjugend. Od tego nie można się było wykręcić. Odznakę organizacyjną podczas uroczystości wręcza mu sam ojciec. Gadzinówka „Krakauer Zeitung” informuje o tym na pierwszej stronie, ze zdjęciem.

– Mój brat nie cierpiał tego gówna – tłumaczy Niklas Frank.
– Gardził tą całą otoczką. Jego przełożeni chyba to wiedzieli, ale nie mogli mu nic zrobić, bo był synem generalnego gubernatora.

– Myślisz – pytam – że twoi rodzice budzili się czasem w nocy przerażeni tym, co robią?

– Jestem tego pewny – odpowiada Niklas. – Ale chciwość tłumiła ich sumienia. Mój ojciec był karierowiczem, ale nie był tak naprawdę antysemitą.

Trudno w to uwierzyć.

Poza domem Hans Frank ma twarz szczerego i oddanego nazisty. To on zamknął Żydów w gettach, to przez Kraków jadą transporty ludzi do Auschwitz (który leży na terytorium Rzeszy), w całym Generalnym Gubernatorstwie codziennie rozstrzeliwani są ludzie. Frank ponosi administracyjną odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie na podległym mu terenie. Nikt nie może zostać zabity bez jego wiedzy. Generalne Gubernatorstwo jest dla niego jedynie magazynem zapasów dla Rzeszy, który należy bezwzględnie eksploatować. Chce utrzymać Polaków przy życiu, póki

są potrzebni jako siła robocza, choć obniża im z czasem porcje jedzenia do sześciuset kilokalorii dziennie (norma dla pracującego człowieka wynosi dwa tysiące dwieście kilokalorii). Mówi: „W Generalnym Gubernatorstwie mamy mniej więcej dwa i pół miliona Żydów, a razem ze wszystkimi spokrewnionymi i związanymi z Żydami obecnie – trzy i pół miliona. Tych dwa i pół miliona nie możemy zastrzelić, nie możemy otruć, będziemy jednak musieli przedsięwziąć zabiegi, które w jakiś sposób doprowadzą do zniszczenia [...]. Generalne Gubernatorstwo musi być uwolnione od Żydów, tak samo jak jest uwolniona Rzesza”. A także: „Żydzi są rasą, która musi być unicestwiona. Gdziekolwiek byśmy złapali chociażby jednego, zrobi się z nim koniec”¹¹.

Scena szósta. Zakupy

Tego dnia jest niedziela. Niklas ma więc na sobie miniaturowy garnitur w pepitkę, a na głowie, zgodnie z modą, zakręcony lok. Stoi na tylnym siedzeniu mercedesa, który wraz z szoferem został oddany do dyspozycji gubernatorowej Brigitte Frank. Obok chłopca siedzi niania Hilde. Niklas rozgląda się za matką, ale ona wyszła w towarzystwie uzbrojonych esesmanów na zakupy. Zamiast niej widzi na ulicy ludzi w ciemnych ubraniach, każdy z nich nosi na ramieniu opaskę z dużą gwiazdą. Spostrzega też małego chudego chłopca, który przystanął na chwilę i wpatruje się w auto Franków. Niklas pokazuje mu język i się z niego śmieje. Hilde szarpie podopiecznego, żeby usiadł, nic przy tym nie mówi.

Brigitte Frank uwielbia robić zakupy w getcie, zarówno warszawskim, jak i krakowskim. Czasem zabiera z sobą wierne przyjaciółki. Wszystkie uważają, że nigdzie indziej nie można dostać piękniejszych gorsetów. Brigitte wchodzi do getta jak do domu towarowego i pyta, kto ma do sprzedania jakieś futro albo biżuterię,

każe szyć żydowskim krawcom swoje kreacje. Płaci wprawdzie za towar oraz usługi, ale ludzie przymuszani są do obniżania stawek niemal do zera. Czasem zachęca Żydów do robienia jej prezentów, na przykład pierścionka z brylantem dla jej siostry.

Niklas Frank: – Pewnie ci ludzie liczyli, że to im uratuje życie, ale przeliczyli się. Matka i ojciec nie uratowali nigdy nikogo, choć przecież mogli.

Bywa, że Brigitte robi w getcie zakupy na odległość. Na papierze firmowym męża pisze wówczas list do Judenratu w Warszawie z prośbą o wystaranie się dla niej na przykład o turecki ekspres do kawy i dwa skórzane kufry piknikowe dla gubernatora dystryktu warszawskiego Ludwiga Fischera. Innym razem urzędnik Hansa Franka zamawia dla niego z getta złote wieczne pióro (za bardzo niską sumę) i najlepsze konserwy.

Frankowie są bogaci. Oficjalnie Hans dostaje siedem tysięcy marek miesięcznej pensji (przed wojną, jako minister, zarabiał około dwóch tysięcy), dodatek urlopowy i rozmaite premie. Nieoficjalnie na jego tajne konto w Rzeszy płyną pieniądze z łapówek i oszustw. Czasem po prostu wydaje polecenia bankom na terenie gubernatorstwa, żeby dokonywały przelewów na jego nazwisko. To się nazywa sprzeniewierzeniem. Rodzina gubernatora żyje za darmo, wszelkie wydatki pokrywane są z funduszu państwowego, choć nie mają na to zgody Hitlera. Hans dba także o bliższą i dalszą rodzinę, jego krewni i szwagrowie zatrudniani są w urzędach Generalnego Gubernatorstwa. I podobnie jak on bogacą się nieustannie.

Wszystko, co znajdzie się w zasięgu ręki Franków, uważają za swoje. Z polskich kościołów i muzeów rekwirują rzeźby, barokowe putta i obrazy. Nie gardzą niczym – przyda im się każdy zegar, najmniejszy srebrny widelec, poszewka na jasiek, puchowa kołdra. Część rzeczy zostawiają dla ozdobienia Wawelu. W jednej z komnat, zwanej pokojem muzycznym, stoi XV-wieczna rzeźba Madonny z Kruźlowej. Lipowa Maryja, wygięta w prawo, buja na lewym

biodrze synka z odstającymi uszami i wśluchuje się w lekcje gry na fortepianie, które pobiera tam Sigrid. Resztę zrabowanych przedmiotów Frankowie wysyłają do Schoberhofu w Bawarii. Brigitte za każdym razem robi spis rzeczy, które do niej od tej pory należą. Jedną z list po wojnie znajdzie Niklas Frank. Jego matka zapisała na niej trzydzieści jeden pozycji, a wśród nich: podgrzewacz do kawy, trzydzieści jeden nowych serwetek, francuski srebrny brokat, jeden flakon srebrnych guzików, świecznik ceramiczny i ogony ze srebrnego i rudego lisa.

Największą obsesją życia Brigitte Frank są futra. Ma ich setki. Pochodzą z getta i z magazynów, gdzie selekcjonuje się odzież ludzi wywiezionych do obozów koncentracyjnych, każe sobie też szyć nowe. Zbiory futer Franków zostaną wycenione w przyszłości na siedemdziesiąt pięć tysięcy marek.

W Rzeszy krąży powiedzonko: „Francja leży na zachodzie, Frank bogaci się na wschodzie”. Tymczasem Hans nakazuje rozwiesić na terenie gubernatorstwa plakaty o treści: „Tylko człowiek nikczemnego i małego serca myśli dziś o swej karierze. Dr Frank”¹².

Berlin jest informowany przez urzędników generalnego gubernatora o jego bizantyjskim rozmachu. W 1942 roku Frank zostaje wezwany na rozmowę dyscyplinującą przez Hansa Lammersa, szefa kancelarii Hitlera. Na spotkaniu zorganizowanym w pociągu specjalnym jest też Heinrich Himmler, zwierzchnik SS i Gestapo (nienawidzą się z Frankiem), i Martin Bormann, zastępca i sekretarz Hitlera. Generalny gubernator próbuje się bronić przed zarzutami korupcji i zachłanności, tłumaczy, że złote pióro dostał od pracowników w prezencie. Udaje zdziwionego i próbuje zrzucić winę na żonę, z którą się właśnie zamierza rozwieść. Obiecuje, że ukroci te poczynania, zwolni z pracy szwagrow i zadba, żeby od tej pory panował porządek. Hitler nie chce usuwać Franka ze stanowiska, zgadza się jednak na zmniejszenie jego kompetencji na rzecz SS i Gestapo.

Scena siódma. Amerykanie na horyzoncie

Drugą połowę wojny Niklas z mamą i rodzeństwem spędza głównie w Schoberhof. Tylko Norman został z ojcem w Krakowie ze względu na szkołę. Bywają dni, gdy pogrążony w smutku generalny gubernator improwizuje na fortepianie romantyczne melodie – jest znakomitym pianistą – a Norman ich słucha.

Brigitte z dziećmi mieszka w starym, piętrowym wiejskim domu, typowym dla Bawarii, który Hans Frank kupił i przebudował. Do tej pory gubernatorowa krążyła regularnie między Krakau a Bawarią, ale w 1942 roku jej stosunki z Hansem uległy pogorszeniu na tyle, że przeniosła się do Schoberhof niemal na stałe.

Frank poprosił Hitlera o zgodę na ich rozwód. Oboje się zdradzają i nie lubią, piszą na siebie donosy do Berlina, wmawiają sobie choroby psychiczne. Zdarza się jednak, że Hans jeździ do Schoberhof z wizytą (wówczas na maszt wciągana jest nazistowska flaga), a Brigitte z rzadka odwiedza Krakau. Ona nie zamierza godzić się na rozwód, bo to by znacznie obniżyło jej stopę życiową. On chce się związać z Lilly, kobietą, którą kochał w młodości, co nie przeszkadza mu romansować jednocześnie z innymi. Ostatecznie Adolf Hitler nie wyraża zgody na rozstanie Franków, dopóki wojna się nie skończy. W 1943 roku pozew rozwodowy zostaje więc wycofany.

Brigitte nadal prowadzi ożywione życie towarzyskie, a kiedy wyjeżdża ze wsi, dzieci zostają z nianią i służbą.

Niklas Frank: – Moja mama była zimna i nieczuła. Właściwie nie znaliśmy jej. Raz, po tygodniach nieobecności, przyjechała do Schoberhof i była bardzo szczęśliwa, że widzi swoje ukochane dzieci. Dała Hilde dzień wolnego, bo chciała z nami pobyc sama. Niania się ucieszyła, bo miała we wsi ukochanego, więc ubrała się i szybko do niego pobiegła. Dwadzieścia minut później w domu, gdzie była Hilde, zadzwonił telefon. Mama wołała do słuchawki:

„Nianiu, proszę wracać, one mnie bardzo denerwują!” – Niklas się śmieje. – A było nas wtedy w domu tylko troje najmłodszych. Taka była moja matka.

Nikt nie tłumaczy Gitcie, Michaelowi i Niklasowi tego, co się dzieje na świecie. Są wciąż za mali. Nie mają więc świadomości, że Polacy z Armii Krajowej przeprowadzili na ich ojca dwa nieudane zamachy – w styczniu i lutym 1944 roku. Nikt im nie mówi, że pod koniec tego roku klęska Niemiec jest już tylko kwestią czasu. Wprawdzie powstanie, które wybuchło w Warszawie w sierpniu, zostało stłumione przez Niemców, ale Armia Czerwona stoi już na prawym brzegu Wisły, a w połowie roku w zachodniej Europie wylądowali żołnierze amerykańscy i prą do Niemiec. Hans Frank udaje przed żoną, że się tym nie przejmuje. Píše do niej w październiku 1944 roku: „Wszędzie poruszenie, a ja siedzę jak palladyn na moim zamku i mój spokój udziela się innym”¹³.

Brigitte chodzi jednak po bawarskim domu przerażona perspektywą utraty majątku. Niklas słyszy, jak mówi, że przyjdzie jej odkurzyć maszynę do pisania, żeby znów zarabiać na życie. Na razie decyduje, że trzeba ochrzcić troje najmłodszych dzieci. Frankowie są katolikami. Hitler uważa się za chrześcijanina, ale nienawidzi wszelkich religii. Kościoły pod jego panowaniem są prześladowane. Wprawdzie obrzędy religijne nie zostały zakazane, ale Führer niechętnie patrzy na udział w nich swoich ludzi.

– Sigrid i Normana rodzice zdążyli ochrzcić jeszcze w latach dwudziestych, ale naszej młodszej trójki już nie – mówi Niklas Frank. – Matka zdecydowała się na to, gdy wojna miała się ku końcowi, ale nie w kościele, tylko w naszej bawarskiej posiadłości. Moim ojcem chrzestnym był któryś z przyjaciół ojca.

Po wakacjach w 1944 roku szkoła średnia Normana przenosi się do Tschaslau (w Protektoracie Czech i Moraw). W Krakau może być zbyt niebezpiecznie. W grudniu jednak szkoła zostaje całkowicie zamknięta i Norman żegna się z kolegami. Powie bratu

w wywiadzie: „Wiedzieliśmy, że wojna jest dla nas przegrana. Mie- liśmy tylko nadzieję, że Amerykanie nas złapią i zabiorą do Stanów Zjednoczonych. A potem spotkamy się na Broadwayu”¹⁴. Najstarszy syn Franka najpierw zgłasza się w Pradze do komisji poborowej, chce walczyć za Niemcy, ale potem wraca na Wawel.

Na początku stycznia 1945 roku do Krakau przyjeżdża Sigrid, jest teraz pielęgniarką Czerwonego Krzyża. Ojciec cieszy się z jej obecności, choć narzeka na makijaż córki. Jesienią dziewczyna usiłowała popełnić samobójstwo z powodu nieszczęśliwej miłości.

W połowie stycznia jasne jest, że koniec Generalnego Gubernatorstwa nastąpi w ciągu kilku najbliższych dni. Rosjanie 16 stycznia zajmują Częstochowę. Hans Frank wydaje tego dnia pożegnalny obiad dla swoich pracowników (trzydziestu sześciu osób). Na dziedzińcu zamkowym płoną akta, a „król Polski” po raz ostatni robi obchód swojego zamku i ze wzruszeniem ściąga z masztu flagę ze swastyką. Dzień później, około godziny 14.00, kolumna ciężarówek i aut osobowych opuszcza Wawel, wywożąc dokumenty i zrabowane zabytki. Wśród nich jedzie między innymi *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci, obrazy Rembrandta, Rubensa, Dürera i Breughla z „prywatnych zbiorów” Hansa Franka. On sam porusza się mercedesem z tablicą rejestracyjną Ost-4¹⁵. W służbowym dzienniku zapisze pod datą 17 stycznia: „Pan generalny gubernator opuszcza krakowski zamek w kolumnie samochodów przy pięknej zimowej pogodzie, w promieniach słońca”¹⁶.

Podróż do Bawarii trwa tydzień. Po drodze Frank ze swoją świtą zatrzymuje się w zaprzyjaźnionych miejscach, gdzie zleca dalsze palenie dokumentów i urządza wystawne przyjęcia. Ostatecznie, 24 stycznia 1945 roku, dociera do Neuhaus. Od gauleitera Monachium otrzymał do swojej dyspozycji dom Café Bergfrieden w pobliskim Josefthal. W specjalnie przygotowanym pokoju każe rozwiesić skradzione obrazy. Spędza tam dużo czasu na kontemplacji sztuki.

Jego nowy dom jest oddalony tylko o trzy kilometry od Schoberhofu, gdzie przebywa Brigitte ze wszystkimi dziećmi. Hans ich czasem odwiedza. Podczas jednej z wizyt Niklas łamie mu niechcący okulary. Ojciec daje mu w twarz.

Rodzinie brakuje tylko Sigrid, która jest pielęgniarką w lazarecie na Śląsku. Píše stamtąd listy. Jest wstrząśnięta, bo dowiedziała się właśnie o istnieniu obozów koncentracyjnych. Uważa, że tysiące lat nie będą w stanie zmasać niemieckiej winy (później jednak uzna, że uległa propagandzie, i zmieni zdanie). W końcu i ona dołącza do bliskich w Bawarii.

Wszyscy czekają na przybycie Amerykanów. Kobiety ze wsi przychodzą do Schoberhof i szyją białe flagi, które Brigitte postanowiła wywiesić, kiedy tylko ich czołgi pojawią się na horyzoncie.

Scena ósma. Marsz z Hilerem dobiegł końca

4 maja Sigrid i Norman wsiadają na rowery i jadą z Schoberhofu do Josefthal, żeby wypić kawę i zjeść ciasto w towarzystwie ojca. Hans Frank przeczuwa, że wkrótce zostanie aresztowany. Nie zamierza uciekać ani się ukrywać. Nie czuje się bardzo winny, nigdy nikogo osobiście nie zabił, roi sobie nawet, że alianci docenią jego zmysł organizacyjny, który wykorzystał przy zarządzaniu Generalnym Gubernatorstwem. Zaprosił starsze dzieci, żeby się z nimi pożegnać. Spotkanie trwa krótko, żegnają się chłodno.

Kiedy syn i córka Franka wjeżdżają rowerami na leśną ścieżkę za jego domem, przed drzwiami od frontu podjeżdża jeep. Pierwszy wysiada porucznik Walter Stein z Siódmej Armii Stanów Zjednoczonych w towarzystwie wachmistrza policji ze Schliersee i dwóch żołnierzy USA.

Niklas Frank: – Stein był niemieckim Żydem, któremu udało się uciec do Stanów Zjednoczonych przed nazizmem. Wrócił

z Amerykanami do Europy, a ponieważ znał język niemiecki, był w grupie, która aresztowała między innymi mojego ojca.

Hans Frank oddaje się do dyspozycji Amerykanów, a Stein z żołnierzami rozgląda się po domu. Zabezpieczają obrazy i rzeźby z kolekcji Franka, Stein zabiera sobie na pamiątkę brązowy skórzany płaszcz o wojskowym kroju, spinany w talii paskiem z tej samej skóry, zeszyt z notatkami Franka i kilka szpul amatorskich nagrań filmowych. Odbiera też z rąk byłego generalnego gubernatora czterdzieści dwa tomy jego dzienników. Już w więzieniu w Norymberdze Hans Frank napisze we wspomnieniach: „Z własnej woli przekazałem im dziennik wojenny. Nie chciałem ukrywać żadnej winy. Co wie Bóg, powinni wiedzieć także ludzie. Mój marsz z Hitlerem, po prawie ćwierćwieczu, dobiegł końca”¹⁷.

Führer już wtedy nie żyje. Popełnił samobójstwo 30 kwietnia 1945 roku.

Osiem dni później w Europie kończy się II wojna światowa.

Scena dziewiąta. Butelka przy szyi Normana

– Z naszego domu zostaliśmy wyrzuceni na dwór – opowiada Niklas Frank. – Padał deszcz, siedzieliśmy na stacji kolejowej w Neuhaus. Płakaliśmy i mama z nami. Nie mieliśmy dokąd iść. Jakaś kobieta odprowadzała swoją matkę na dworzec, potem stała na peronie i machała odjeżdżającemu pociągowi. Wracając do domu, zauważyła nas: przemoczoną gromadkę siedzącą na kilku walizkach. „O, frau Frank – powiedziała – co pani tu robi?”. Mama spojrzała na nią: „Freulein H., potrzebujemy się gdzieś zatrzymać na noc”. Zabrała nas do siebie, miała niedaleko prawie pusty dom. Pozwoliła nam zająć jeden pokój, nie mieliśmy nawet koców do przykrycia. Było nam ciężko, ale dla naszej najmłodszej trójki to była prawdziwa przygoda.

Musieli opuścić Schoberhof. Już nie należał do nich, tak jak konta bankowe, meble, kołdry, obrazy. Nie wolno im było zabrać stamtąd nic poza rzeczami osobistymi. Rodzinom wysoko postawionych nazistów odebrano cały majątek. Brigitte Frank w walizce ukryła pięćdziesiąt tysięcy marek, które krótko przed aresztowaniem wręczył jej Hans Frank, i woreczek z biżuterią, którą przywiozła z Generalnego Gubernatorstwa.

W Schoberhofie nie byli zresztą bezpieczni. Dom, stojący na uboczu, najpierw został splądrowany przez grupę ludzi wypuszczonych z obozu pracy, zwanych dipisami (*displaced persons*). Jeden z nich przyłożył Normanowi stłuczoną butelkę do szyi – najstarszy syn Franka przysięga, że mężczyźni rozmawiali z sobą po polsku. Potem Schoberhof zajęli Amerykanie, przeważnie pijani winem z piwnicy byłego gubernatora. Aż wreszcie nakazano im się wynosić.

Brigitte Frank nie ma zwyczaju się załamywać. Inaczej niż jej mąż, który dwa razy próbował popełnić samobójstwo podczas pobytu w areszcie. Obie próby nieudane. Podczas jednej z nich poszarpał sobie żyły w jednej ręce kawałkiem szkła znalezionym w celi, wskutek czego stracił władzę w dłoni. Siedzi teraz w więzieniu w Norymberdze, jest przesłuchiwany przez śledczych, badany przez psychologów i odwiedzany przez katolickiego księdza Sixtusa O’Connora. Czeka na rozpoczęcie procesu i odkrywa w sobie żarliwą wiarę w Boga. Jego żona nie zamierza odbierać sobie życia. Ma na utrzymaniu pięcioro dzieci.

Scena dziesiąta. Chleb za pierścionek

Jesienią 1945 roku sześciolatek Niklas idzie do szkoły. Chłopiec żyje teraz z mamą i rodzeństwem w dwupokojowym wilgotnym mieszkaniu przy ulicy Dürnbachstrasse 7, które dostali od miasta Neuhaus. Jego tata jest w więzieniu. Ludzie przestali się do nich

uśmiechać, nikt nie kłania się uniżenie mamie na ulicy, nikt nie mówi do niej „pani gubernatorowo”. Tylko znajomy gospodarz, kiedy jedzie drogą z wozem wypełnionym gnojem, nigdy nie zapomina zawołać do Brigitte „Uszanowanie pani ministrowej!”. I nie wiadomo, czy to wciąż uprzejmość, czy szyderstwo z jego strony.

Michael, który ma już osiem lat, któregoś dnia przychodzi ze szkoły z płaczem. Coś mu się nie spodobało na lekcji, więc nauczycielka nakrzyczała na niego:

– Ach, może się przyzwyczyłeś do czegoś lepszego?! Wyobrażam sobie, skoro twój ojciec wszystko ukradł w Polsce⁸.

Norman nie uczy się wcale. Żadna szkoła średnia w okolicy nie chce przyjąć syna Hansa Franka. Do matury musi przygotować się samodzielnie.

Mamy wciąż nie ma w domu. Nie wolno jej pracować, bo jest żoną nazisty, ale też nie przysługuje jej żadna zapomoga, bo jest żoną nazisty. Głodują więc. Brigitte jeździ na wieś i wymienia złote pierścionki i kolczyki na chleb, kielbasę i mleko. Wszystkie pieniądze już wydała. Na miejscowym targowisku oddaje swoje ubrania w zamian za jedzenie.

Wśród obrazów skradzionych przez Hansa Franka Amerykanie nie mogą się doliczyć *Portretu młodzieńca* Rafaela.

– Może matka go wcześniej zabrała ojcu i wymieniła potem z jakimś bawarskim chłopem za dzban smalcu? – żartuje Niklas Frank. – I wisi ten obraz do tej pory w jakiejś wiejskiej chałupie, upstrzony muchami.

Brigitte próbuje wciągnąć do pomocy dzieci. Michael i Niklas hodują w szopie króliki, które zabija dla nich na obiad znajomy emeryt (lubią patrzeć, jak mężczyzna ukręca głowę zwierzęcia i rozpruwa mu brzuch), i łowią niesmaczne ryby w jeziorze, których nikt potem nie chce jeść, więc matka pozbywa się ich dyskretnie. Najmłodszemu synowi Brigitte daje kartkę z informacją, że jest synem Hansa Franka i prosi o pomoc, bo głoduje z całą



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

rodziną. Niklas ma chodzić od domu do domu i żebrać o jedzenie. Bardzo się wstydzi tego zadania. Udaje mu się wyłudzić jedynie ćwierć bochenka chleba.

Jedynym człowiekiem, który nie odwrócił się od Franków, jest kardynał Michael von Faulhaber. Zaprasza raz Brigitte z dziećmi do swojego monachijskiego pałacu na obiad, a potem przez swojego szofera przesyła im czasem paczki z jedzeniem.

Kiedy matka opada już całkowicie z sił, rozdarta między procesem norymberskim męża a opieką nad dziećmi, co pewien czas oddaje je do domu dziecka w oddalonym o pięćdziesiąt kilometrów Schäftlarn.

Niklas Frank: – Mama była po wojnie bardzo nieszczęśliwa. Nagle znalazła się w małym mieszkaniu z piątką niezbyt znanych sobie dzieci. Ona też była dla nas obcą osobą. Michael i ja byliśmy bardzo niegrzeczni, agresywni. Nikt nas przecież tak naprawdę nie wychował, a teraz było za późno. Moja siostra Gitti bez przerwy się z matką kłóciła. W domu wciąż słychać było ich krzyki.

Scena jedenasta. Czy twój tata będzie wisiał?

To ostatnie spotkanie Niklasa z ojcem. Siedzi na kolanach mamy, obok stoją Michael, Gitti, Norman i Sigrid. Za krzesłem Hansa Franka czeka amerykański strażnik w białym hełmie. Dzieli ich szyba, w której nawiercono otwory. Jak w wielokrotnym lustrzanym odbiciu na prawo i lewo od Franka siedzą inni oskarżeni na ziści a naprzeciwko nich blade żony i dzieci. Jest połowa września 1946 roku, więzienie w Norymberdze.

Proces byłego generalnego gubernatora trwał czterysta trzy dni. W tym czasie oskarżony nie mógł zobaczyć nikogo z bliskich. Frank wymieniał jedynie korespondencję z rodziną i swoimi kochankami (Lilly nie odpisywała). Oficjalne listy przechodziły przez więzienną cenzurę, nieoficjalne przemycał adwokat Hansa, doktor Alfred Seidl.

Frankowie, zgromadzeni teraz po obu stronach szyby, zdają sobie sprawę, że to już być może ich ostatnie spotkanie. Wprawdzie wyrok jeszcze nie zapadł, ale wszyscy mówią, że Hans Frank, siódmy na liście zbrodniarzy według Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze, nie może liczyć na nic innego poza karą śmierci. O procesie mówi cały świat, wie o nim każde niemieckie dziecko.

– Niki, twój tata naprawdę będzie wisiał? – pytali Niklasa koledzy jeszcze przed rozpoczęciem wakacji, w czerwcu 1946 roku, a on kiwał twierdząco głową¹⁹.

Teraz więc Frankowie muszą przez dziurkowaną szybę, w ograniczonym czasie, powiedzieć sobie wszystko, czego nigdy jeszcze nie powiedzieli. Następnej okazji nie będzie.

Norman jest zdruzgotany. Ojciec jest dla niego wyrocznią, punktem odniesienia w życiu, kocha go bezwarunkowo. Nie wierzy że ojciec jest odpowiedzialny za ludobójstwo, to kłamstwo i propaganda. Czuje i wie, że jest ukochanym dzieckiem

Hansa Franka, i nie zmieniają tego nawet listy Sigrid do taty, pełne zazdrości o brata, w których opisuje jego lenistwo i niechęć do niesienia pomocy matce. Ojciec jest wychudzony, spokojny i opanowany.

– Marnie ze mną – mówi do Normana. A potem napomina go, żeby zawsze był silny i swoje zdanie wypowiadał po długim namyśle. „Niech słowa raczej uwięzną mi w gardle, niż gdybym miał mówić zbyt szczerze. Jego doprowadziło to do zguby, więc teraz mnie ostrzega” – Norman Frank opowie po latach dziennikarzowi o ostatniej rozmowie z ojcem²⁰.

– Nie pamiętam, co ojciec powiedział wtedy reszcie mojego rodzeństwa i jak oni zareagowali – mówi Niklas Frank. – Gitti na pewno była bardzo smutna. W końcu zwrócił się do mnie. Powiedział łagodnie, że wkrótce będzie Boże Narodzenie i wszyscy spotkamy się w Schoberhofie. Siedziałem tam, wiedziałem, że kłamie, i nie rozumiałem, dlaczego to robi. Na końcu podarował mi swój modlitewnik z dedykacją „Dla Nickiego”. Zrobił błąd w moim imieniu! Nawet nie wiedział dokładnie, jak się nazywam. Tego się swoim dzieciom nie robi.

Ostatni kwadrans należy do żon oskarżonych. Dzieci czekają w pomieszczeniu obok. Potem wszyscy wychodzą. Najmłodsza trójka wraca do domu dziecka, pozostali do mieszkania w Neuhaus.

1 października 1946 roku zapada wyrok. Hans Frank zostaje uznany za winnego stosowania terroru w Polsce; gospodarczej eksploatacji tego kraju w sposób, który doprowadził do śmierci głodowej dużą liczbę ludzi; deportacji ponad miliona Polaków jako niewolniczych robotników do Niemiec i realizacji programu, którego skutkiem była śmierć przynajmniej trzech milionów Żydów²¹. Ma ponieść śmierć przez powieszenie. Były generalny gubernator odrzuca głowę do tyłu i mówi: – Zasluguje i czekam na to²².

Ogłoszenie wyroku jest transmitowane w radiu, Brigitte słucha go w kuchni. Wstaje, zdejmuje fartuch i rusza do Norymbergi spotkać się z adwokatem męża. Namawia go o wniesienie w imieniu rodziny prośby o ulaskawienie do Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec. Zwraca się też do kardynała von Faulhabera z prośbą o wstawiennictwo u papieża Piusa XII. Zarówno papież, jak i Rada rozpatrują jej prośby odmownie.

Scena dwunasta. *Jezu, miłosierdzia!*

Dziesięć szubienic rozstawiono w więziennej sali gimnastycznej. Wśród widzów są dziennikarze, wojskowi, prawnicy. Rodzin nie zaproszono. Kiedy skazani na powieszenie naziści wejdą po schodkach na drewniany podest, znikną za czarną kotarą. Ich śmierć będzie można jedynie usłyszeć.

Katem jest starszy sierżant John C. Woods z San Antonio. Lubi fotografować się w trakcie przygotowań do pracy, szczególnie dobrze wychodzi na zdjęciach z solidną pętlą szubieniczną w ręku. Przepada za swoją pracą. Jeszcze w latach dwudziestych XX wieku psychiatra wojskowy zdiagnozował u niego psychopatyczne poczucie niższości bez psychozy²³ i odesłał do cywila. Woods wstąpił ponownie do armii jako ochotnik w 1943 roku i rok później trafił do Europy w sam środek II wojny światowej. Kiedy znalazł ogłoszenie o naborze dla wojskowych katów, zgłosił się od razu.

Pojednany z Bogiem Hans Frank ostatnie chwile w celi spędza na gorliwej modlitwie. Pod szubienicę odprowadza go ojciec Sixtus O'Connor. Kiedy pod Frankiem otwiera się zapadnia, były gubernator woła: – Jezu, miłosierdzia!

Jest 16 października 1946 roku. Obok Hansa Franka wisi dziegiu innych nazistów, między innymi minister spraw zagranicznych Rzeszy Joachim von Ribbentrop.

John C. Woods jest zadowolony z wykonanej pracy. Powieszenie wszystkich skazanych zajęło mu sto trzy minuty. Świadkowie twierdzą jednak, że kat nie wykonał swojej roboty dobrze. Pętla zawieszona była zbyt nisko, więc niektórzy, zamiast umrzeć od razu, wisieli ze złamanym karkiem, dopóki się nie zadusili. Konanie jednego z powieszonych było słychać zza kotary przez dwadzieścia osiem minut. Ale czy ktoś ich żałuje?

Sierżant Woods umrze cztery lata później, na jednej z Wysp Marshalla. Zostanie śmiertelnie porażony prądem podczas naprawy więziennego krzesła elektrycznego.

Scena trzynasta. Pewien chłód

Brigitte kuca i spogląda w twarz Nikiego. – A ty czemu nie płaczesz? – pyta.

Minęły dwa dni od śmierci Hansa. Matka przyjechała do domu dziecka w Schäftlarn, żeby powiedzieć dwóm synom i córce, że ich tato nie żyje. Spacerują po wzgórzach, Gitti zanoszą się szlochem, Michael płacze bezgłośnie, tylko Niklas ma suche oczy.

„Od tego czasu datował się pewien chłód w stosunkach między moją matką a mną” – Niklas Frank napisze po latach²⁴.

– Myślę, że mama lubiła mnie najmniej – doda w rozmowie ze mną. – Byłem cichy, małomówny, nigdy nie było wiadomo, o czym myślę. Chyba się tego bała.

W maju 1947 roku Brigitte Frank wraz z żonami innych najważniejszych nazistów zostaje internowana w obozie Augsburg-Göggingen. Po procesie, w którym ją uniewinniono, wraca do domu.

Scena czternasta. Duch ojca

Jamnik ma na imię Waldi i należy do starszej pani żyjącej w Neuhaus. Niklas Frank sądzi, że mieszka w nim dusza jego ojca. Podkrađa się więc do psa i próbuje nawiązać z nim kontakt:

– Tatusiu, to ty? – woła półgłosem. Waldi jednak nie reaguje, co złości jedenastolatka.

Frankowie wciąż zajmują dwa pokoje w Neuhaus, ale matka i jej dzieci mają teraz więcej miejsca, bo Sigrid wyszła już za mąż, a Norman jest w Ameryce Południowej.

Wcześniej Norman oblał maturę, choć był znakomicie przygotowany. Bez trudu przetłumaczył tekst z greki na niemiecki, potem na łacinę. Fizyka i matematyka były jego najmocniejszymi stronami. Jednak oddał puste kartki i wyszedł ze szkoły. „Siedziałem nad zadaniami i nic nie mogłem wymyślić” – powie bratu po latach. „Poczułem się niesamowicie wolny! Wcale nie jak przegrany”²⁵. Przez jakiś czas pracował jako robotnik w odlewni żeliwa. „Nie miałem celu. Wcale. [...] Przychodziłem na czas, ciężko pracowałem. Zarabiałem osiemdziesiąt fenigów na godzinę”²⁶.

Brigitte chciała lepszej przyszłości dla ukochanego syna. Popłynęła do Argentyny, gdzie zamieszkało po wojnie wielu jej przyjaciół z czasów III Rzeszy. Ustosunkowani, zamożni, namawiali ją, by została. Nie chciała, ale w 1950 roku wyszła do nich Normana. A oni przyjęli go serdecznie i zaferowali zatrudnienie w swoich biurach. Ostrzeżli tylko, żeby nie zadawał się z Żydami, podczas kolacji wspominali z rozrzewnieniem dawne czasy i kazali mu powtarzać bez końca historię o tym, jak w wieku pięciu lat siedział na kolanach Hitlera.

„Nie chciałem, żeby mój tyłek stał się dobrem kulturowym w Buenos Aires. Zdecydowałem, że zrywam z nimi” – powie Norman²⁷.

Znalazł pracę samodzielnie. Najpierw w porcie jako pomocnik, potem w pralni i przedzalni, następnie na fermie drobiu, aż w końcu jako zaopatrzeniowiec rzeźni przy kopalni ołowiu wysoko w Andach. Pisze stamtąd do matki, że jest w końcu szczęśliwy.

Brigitte jest zajęta. Dzieli dnie na zdobywanie jedzenia dla dzieci i opracowywanie wspomnień napisanych przez Hansa w więzieniu. Chce je wydać i zarobić na sprzedaży. Nie wie nic o nowym hobby Niklasa i Michaela. Jej synowie zbierają porzuconą amunicję, odzyskują proch strzelniczy i kolekcjonują petardy. Mają spory arsenał broni porzuconej przez esesmanów. Poza tym źle się uczą, są leniwi, kłamią i zdarzają się im drobne kradzieże. Matka nie słucha skarg na nich. „Była jak lwica – powie po latach w wywiadzie Niklas Frank. – Nigdy nie pozwoliła powiedzieć nic złego o swoich dzieciach”²⁸.

Za to wieczory była gubernatorowa spędza nad planszą do wywoływania duchów. Medium jest ciotka H., żona szwagra Brigitte. Michael i Niklas bardzo lubią te chwile, gdy ciotka przymyka oczy i wzywa ducha taty. Hans Frank przekazuje z zaświatów, że jest tam szczęśliwy, a rząd niemiecki wkrótce go zrehabilituje i da jego żonie rentę z małym domkiem. Ciotka H. wierzy, że jej mąż, który popełnił samobójstwo, skacząc pod pociąg, ukazał się w parku pod postacią motyla. Najpierw ją okrążył, a potem przysiadł na torebce. Niklas też by chciał nawiązać taki kontakt ze swoim tatą. Przygląda się więc różnym zwierzętom w okolicy, próbuje rozmawiać z krowami, kotami, patrzy w oczy także wyłowionym rybom. Jednak, jego zdaniem, tatę najbardziej przypomina jamnik Waldi. Niestety, mimo ponawianych prób pies nie chce nawiązać kontaktu. Michael i Niklas owijają więc zwierzę petardami i podpalają je. Pies z rozerwanym brzuchem biegnie jeszcze przez chwilę ulicami Neuhaus, a Brigitte Frank musi w końcu przyznać, że nie radzi

sobie z synami. Postanawia odesłać ich do szkoły z internatem na północy Niemiec. To ponad tysiąc kilometrów od domu.

Scena piętnasta. Prinz von Polen

Niklas Frank nigdy niczego nie wyrzucił. Zachowuje każdy dokument i zdjęcie, jeśli miały związek z jego życiem. W swoim archiwum przechowuje zeszyty szkolne, rachunki matki i notatki ojca. Siedzę przy długim stole w sieni kilkusetletniego, krytego strzechą domu, we wsi Ecklak niedaleko Hamburga. Oglądam zdjęcia i wycinki z gazet, które Niklas przytargał w kartonach z jednej z izb. Gospodarz znika znów na chwilę, żeby zaraz pojawić się z dużymi rulonami brystolu. Rozwija je teraz przede mną.

– Kiedy miałem czternaście, piętnaście lat, nauczyciel rysunku zmuszał nas do malowania domów i drzew, a to mnie bardzo nudziło. Pozwolił mi więc malować, cokolwiek chciałem. Ja te prace schowałem i zapomniałem o nich. Znalazłem je dziesięć lat temu. Obrazki są dwa. Na mniejszym, przez cmentarz, wśród trumien, nagrobków i krzyży idą trzy zakonnice. Na większym widać przerażoną postać, ni to człowieka, ni to szkieletu, z pętlą wisielczą na szyi.

– Ten nauczyciel niechący otworzył moją duszę – mówi Niklas.

– Wiedziałeś już wtedy wszystko o ojcu? – pytam.

– Nie! Zdawałem sobie sprawę, że był odpowiedzialny za ludobójstwo, ale innych rzeczy, szczegółów nie znałem – odpowiada.

– Research na jego temat miałem zacząć około dwudziestki. I nigdy już nie zaprzestałem poszukiwań.

Zastępczym ojcem Niklasa w latach pięćdziesiątych zostaje pastor Hans Lohmann, dyrektor męskiej szkoły z internatem na



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

północnofryzyjskiej wyspie Föhr, do której trafili bracia Frankowie. Pastor przed wojną był dyrektorem podobnej szkoły w nadmorskiej miejscowości Misdroy, przemianowanej potem na Międzyzdroje. Jest antysemitą i cichym wielbicielem nazizmu. Niklasowi mówi, żeby pamiętał, jak wspianiałym człowiekiem był jego ojciec. Jednocześnie jednak Lohmann nie zaprzecza zbrodniom III Rzeszy. Wprawdzie na lekcjach w jego szkole nie rozmawia się o II wojnie światowej, historię Niemiec nauczyciele kończą na Republice Weimarskiej, ale Lohmann wyświetla za to wszystkim uczniom jeden z pierwszych filmów o Auschwitz. Oprócz Niklasa w szkole są też inne dzieci nazistów, między innymi synowie Joachima von Ribbentropa.

Szkoła ma surowe zasady. Uczniom przyznaje się stopnie: nowicjusza, uczonego i członka kapituły. Codziennie rano, przed śniadaniem, odbywają się obowiązkowe apele w stylu wojskowym. Chłopcy uczą się dobrych manier i dyscypliny, duży nacisk dyrektor kładzie na braterstwo, sport i kulturę (chór, koncerty, teatr, film). Bardzo ważna jest wiara, uczniowie modlą się przed posiłkami, uczestniczą w nabożeństwach, przystępują do konfirmacji. Katolicy mogą brać udział w swoich obrzędach²⁹.

– Byłem tam bardzo szczęśliwy – mówi Niklas Frank. – Zacząłem pisać, stworzyłem z moją klasą szkolną gazetkę, ale pokłóciłem się z wydawcą, więc otworzyłem własną. Dyrektor wspierał moje pisanie.

W każdy niedzielny poranek uczniowie obowiązkowo piszą listy do domu. Niklas lubi to zajęcie. Wie, że matce podobają się jego spostrzeżenia i refleksje. Brigitte żadnego z listów od niego nigdy nie wyrzuciła.

– Jedną z kopert podpisałem „Niklas Frank, Prinz von Polen”. Dyrektor wezwał mnie do siebie. „Nie możesz tego robić” – powiedział. Wy tłumaczyłem mu, że to dla żartu, że chciałem rozbawić mamę, która pewnie by się z tego śmiała.

Scena szesnasta. Autostop

Niklas lubi pisać do domu listy, ale jeździć nienawidzi. Stara się robić to jak najrzadziej. Wraca do Neuhaus w Boże Narodzenie i Wielkanoc. Na dłużej zostaje w czasie wakacji. Liczy wtedy dni do końca, włączając się po okolicy, żeby jak najrzadziej być w domu, gdzie Gitti kłóci się wciąż z matką. Nadal nie mają pieniędzy. Wprawdzie w 1951 roku Brigitte wydała wspomnienia Hansa pod tytułem *W cieniu szubienicy*, jednak okazały się klapą. Postanawia więc sama podjąć się sprzedaży. Spędza czas na pisaniu listów do znajomych, przyjaciół, rodziny, śle prośby do szkół i klasztorów, urzędów i fabryk, kominiarzy i zakładów fryzjerskich o zakupienie choćby egzemplarza za dziesięćnaście marek i pięćdziesiąt fenigów, bo jest biedną wdową z dziećmi na utrzymaniu i nie ma z czego żyć. Powoli zaczynają sphywać pieniądze. Ale na razie jeszcze Brigitte nie stać na kupienie Niklasowi biletu na pociąg z Bawarii pod granicę duńską, gdzie jest szkoła. Radzi mu więc, żeby zabierał się okazją.

– Zatrzymywałem auto. Wtedy samochody były drogie, mogłem więc założyć, że jeżdżą nimi głównie byli naziści, którzy dorobili się podczas wojny, a potem też krzywda im się nie stała. Wsiadałem i obserwowałem kierowcę, zgadując, jak zareaguje na to, co miałem zamiar powiedzieć. „Wiesz, kogo wiesz? – zaczynałem. – Jestem synem Hansa Franka, generalnego gubernatora”. Za każdym razem wpadali w entuzjazm. Wychwalali ojca, wyrażali tęsknotę za minionymi czasami, przeważnie zapraszali mnie na obiad i wciskali w rękę na pożegnanie parę marek. Robiłem to cynicznie, gardziłem tymi ludźmi, zafascynowanymi moim ojcem zbrodniarzem.

– I nigdy nie spotkałeś się z niechęcią? – pytam.

– Tylko raz. Człowiek, który mnie zabrał, zjechał na pobocze i krzyknął: *Raus!*, żebym się wynosił. To był jedyny porządny człowiek, jakiego spotkałem w tym czasie.

Scena siedemnasta. Matka odchodzi

I znów Brigitte jest bogata. Na sprzedaży wspomnień męża zarobiła dwieście tysięcy marek (parcela w Monachium, którą w 1953 roku sprzedał Tomasz Mann, kosztowała dwadzieścia tysięcy marek). Kobieta wynajmuje duże mieszkanie w monachijskiej dzielnicy Schwabing i wiecie dość przyjemne życie, spotykając się z przyjaciółkami w kawiarni na popołudniowych herbatkach. Kupuje sobie też futro z czarnych karakułów. Mieszka z nią Norman, który po pięciu latach wrócił do Niemiec. Pieniądze byłej gubernatorowej szybko się jednak rozchodzą, większość pożyczyla swoim córkom. One nigdy nie spłacą długu.

Więc Brigitte znów jest biedna. Wydaje swoją korespondencję z Hansem pod tytułem *Listy z Norymbergi*, licząc na kolejny sukces wydawniczy. Ale nikt nie jest zainteresowany. To może lepiej pójdzie z nowelą Hansa *Chłopiec okrętowy Kolumba*, którą napisał w czasie wojny? Jednak też nie. W dodatku urząd skarbowy zablokował jej konto, ponieważ nie zapłaciła nigdy podatku od sprzedaży *W cieniu szubienicy*.

Kobieta jest już zmęczona. Jesienią 1958 roku ma sześćdziesiąt cztery lata. Wynajęte mieszkanie, za pomocą prześcieradeł, dzieli na jednoosobowe klitki, wstawia tam łóżka, przykrywa je pościelą. Na dworcu w Monachium zaczepia pasażerów wysiadających z pociągów i proponuje im nocleg u siebie, po pięć marek za dobę. Klientów jej nie brakuje. W lutym 1959 roku przechodzi zawał serca. Jeden z mieszkańców jej „hotelu” znajduje ją leżącą w kuchni pod stołem.

Brigitte Frank umiera 9 marca, w dniu dwudziestych urodzin Niklasa. Syn od trzech dni siedzi przy jej łóżku.

– Czekala na mnie, bo zdawałem maturę – wspomina Niklas Frank. – Była bardzo ze mnie dumna. Umarła ze zmęczenia. Całkiem wypalona, wykończyło ją zarabianie pieniędzy. Żal mi jej było.

Scena osiemnasta. Gorszy od ojca

Niklas nie ma pieniędzy i musi zarabiać na studia. Najpierw jest robotnikiem budowlanym, potem zaczyna pisać recenzje filmowe. Studiuje prawo przez jeden semestr. Potem semestr łaciny i greki, pięć semestrów historii, osiem semestrów socjologii, trzynaście germanistyki. Już nikomu nie mówi, że jest synem Hansa Franka. O ojcu potrafi mówić tylko źle, a ludzie go wtedy próbują przekonać, że nie ma racji. Na szczęście nazwisko Frank jest popularne w Niemczech, więc z czasem zaczyna mówić, że jego zmarły ojciec był po prostu adwokatem. Tak jest lepiej.

– Zacząłem zbierać wszelkie informacje o ojcu. Zabrałem z domu matki, za zgodą rodzeństwa, wszystkie listy i dokumenty. Jeździłem do archiwów i bibliotek. Czytałem przemówienia ojca. Spotykałem się z jego znajomymi, wypytywałem krewnych. Każdą książkę o III Rzeszy zaczynałem czytać od indeksu, sprawdzając, czy jest tam nazwisko Hansa Franka. Pojechałem nawet do Ameryki do ojca Sixtusa. Rekonstruowałem swoje dzieciństwo, konfrontowałem moje wspomnienia z pamięcią innych, odnalazłem moją nianię, zamęczałem pytaniami o czas wojenny moich braci – mówi Niklas Frank.

Odchodzi z uczelni przed dyplomem, choć promotor proponuje mu asystenturę, i zatrudnia się w ilustrowanym tygodniku „Stern”. Jest dziennikarzem. I wciąż gromadzi materiały dotyczące ojca. Żeni się z prawniczką, mają córkę Franziskę. Mówi:

– Ona wyrosła wśród tych dokumentów. Kiedy tylko trafiałem na jakiś ciekawy fragment, wołałem ją: „Córeczko, chodź, popatrz, co znowu narobił twój dziadek Hans”.

Zostaje korespondentem wojennym. Redakcja wysyła go po materiał w miejsca, gdzie toczą się walki. Jest na Bałkanach, w Iraku, Kambodży, Afryce Południowej, Angoli, Kolumbii, Haiti.

– To dziwne, ale dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że w czasie II wojny światowej tak naprawdę nie widziałem wojny – mówi.

W latach osiemdziesiątych pierwszy raz jedzie do Polski. Wraca do niej potem wiele razy. Robi wywiad z Lechem Wałęsą po wygranych wyborach prezydenckich. Opowiada:

– Spotkanie odbywało się w Belwederze. Siedzieliśmy z prezydentem Wałęsą przy okrągłym stole, a mnie cały czas kusiło, żeby mu powiedzieć, że to była kiedyś warszawska siedziba mojego ojca. Że być może goniłem swojego tatę wokół tego stołu, wołając, żeby mnie wziął na ręce i przytulił. Ale on tylko uciekał przede mną, wołając do mnie: „»Fremdi«, nie jesteś nasz!”

Pod koniec lat osiemdziesiątych Niklas Frank bierze urlop i w dziesięć tygodni pisze książkę o ojcu. Płacze, klnie, złości się, wali z furją w klawisze maszyny do pisania, którą odziedziczył po matce. Fragmenty książki, jeszcze przed jej publikacją, przedrukowuje „Stern”. W Niemczech rozpoczyna się debata na temat nazistowskiej przeszłości rodziców i odpowiedzialności, jaką ponoszą ich dzieci. Niklas mówi publicznie, że synowie i córki powinni pytać ojców i matki o ich przeszłość. Nie można zamieść wszystkiego pod dywan.

– Tak jak robiła moja babcia – mówi. – Opowiadała mi, jak wspałałym małżeństwem byli moi rodzice, że tata był dobrym człowiekiem, niestety musiał umrzeć.

Niemcy nienawidzą Niklasa. Co to za syn, który niszczy pamięć zmarłego ojca? Ślą listy do redakcji z życzeniami śmierci. Piszą mu, że jest gorszy od Hansa, że kłamie i powinien się leczyć psychiatrycznie.

Niemcy kochają Niklasa. Gratulują mu odwagi. Te listy przeważnie są anonimowe.

Rodzeństwo Franków się dzieli. Norman przyznaje Niklasowi, że dopiero po przeczytaniu książki dotarła do niego prawda o ojcu i matce. Pisze w liście do redakcji: „Jestem dumny ze swojego brata”. Michael walczy z Niklasem publicznie. Nazywa go obcym, kłamcą i twierdzi, że nikt mu nie wierzy. Bracia jednak nie zrywają kontaktu. Sigrid przestaje się do niego odzywać. Gitti już nie żyje.

Niklas Frank napisze jeszcze książkę o swojej matce i przeprowadzi wywiad rzekę z Normanem. Wystąpi w niezliczonych programach telewizyjnych, weźmie udział w filmach dokumentalnych o swoim ojcu. Nigdy nie uchyli się od udzielenia wywiadu.

Scena dziewiętnasta. Ostatnia

– Dlaczego nie zmieniłeś nazwiska? – pytam Niklasa Franka. – Nie byłoby ci łatwiej?

– Nie, dlaczego? Wciąż byłbym Niemcem, synem Hansa, generalnego gubernatora. Jakikolwiek będę miał nazwisko, zawsze będę musiał mierzyć się z jego ofiarami – odpowiada.

Bibliografia:

https://collections.ushmm.org/oh_findingaids/RG-50.030.0880_trs_en.pdf, dostęp: 20.07.2020

14

JZKOŁA N^o 1 KRASNIK.



KLIVA

RAK.M.

CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII

ELEMENTARZ ZESŁAŃCA

ELŻBIETA

S jak suseł

To step. A tam kogoś widać.

– Kto tu stoi?

– To ja, Ela. Mam dziesięć lat.

– Co tu robisz, Elu?

– Poluję na susły.

Ela wlewa wodę do nory susła. A potem, kiedy zwierzę ucieka, ona łapie je za ogon. Trzask-prask! Dziewczynka rozbija mu głowę o kamień.

– Ojej, Elu. Nie żal ci susła? To takie ładne zwierzątko.

– Żal, bardzo. Łzy mi kapią kap-kapu. Ach, mój Boże, ale nie mamy co jeść.

– Sama sobie nóż zrobiłam do sprawiania susłów – wspomina Elżbieta Jankowska, z domu Dziarska (rocznik 1931). – Ucięłam z ogrodzenia kawałek drutu kolczastego i uklepałam go młotkiem na płasko. Jeden koniec naostrzyłam, drugi owinęłam szmatką. Nieprzytomnego susła, o tutaj, od pyszczka, trzeba było przeciąć, tak, tak, i odwrócić – kolega mnie nauczył. Raz jeden suseł mnie



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

ugryźł, bo oprzytomniał. Ale jakie dobre to mięso było! Mama wytapiała tłuszcz z susłów na zimę, a skórkę się przylepiało na ścianie rozprostowaną. Wyschniętą zdawałam władzom kolchozu, oni to zaliczali do trudodni¹. Najlepsze sobie jednak odkładałam na powrót do kraju. Dwieście skórek uzbierałam w pięć lat.

Spis z natury

Rzeczy, które należy pamiętać z Polski (zwłaszcza zimą, która w Kazachstanie trwa od września do kwietnia):

Karpie ze stawu ojca, Juliana Dziarskiego.

Kompot z jabłek z rodzinnego sadu ugotowany przez mamę, Zofię Dziarską.

Koszyczek z robótkami ręcznymi od babci.

Spalony dom i sklep kolonialny taty w Nowogrodzie pod Łomżą.

Naftę, cukier i sól zakopane w ogrodzie.

Ucieczkę ojca z sowieckiego aresztu na niemiecką stronę okupacji.

Sen przerwany przez enkawudzistów 19 czerwca 1941 roku. Sześćdziesiąt minut, jakie dali Zofii z trzema córkami na przygotowanie się do wyjazdu. Gryzące wełniane rajstopy, które wciska na Elę jedna z mieszkających z nimi ciotek. Widok mamy zwijającej pierzyny w toboły. Widok Rosjanina pilnującego Dziarskich, który mówi do Zofii: – *Żenka, sobiraj wsio, szto twoje* – i podchodzi do pieca w kuchni. Zdejmuje z wierzchu wystudzoną przez noc stalową płytę z fajerkami i pakuje ją do wielkiego worka po soli. – *Wsio* – powtarza z naciskiem i podaje jej wór.

Należy pamiętać także miesiąc podróży wagonem towarowym z innymi zesańcami. I korzystanie ze wspólnej toalety, którą była dziura wybita w podłodze wagonu.

I moment, gdy Ela pierwszy raz zobaczyła step. – Jak tu szaro, mamusiu.

Wywózka

Za każdym razem jest niemal tak samo. Do wsi wjeżdża ciężarówka lub podwozy. Gdzieś zaczyna szczekać pies, zaraz dołączają do niego wszystkie okoliczne kundle. Świta. Funkcjonariusze NKWD i sowieccy żołnierze zeskakują z wozów i rozchodzą się do wyznaczonych domów. Wałą w drzwi. W oknach zapalają się światła.

Nie ma tu żadnego przypadkowego działania czy możliwości pomyłki. Listy „elementów antyradzieckich” przeznaczonych do deportacji przygotowano jeszcze jesienią 1939 roku. Rodziny osadników wojskowych, byłych legionistów, pracowników służby leśnej, przedsiębiorców i policjantów³ otrzymują od teraz kategorię specprzesiedleńców i mają opuścić tereny dawniej polskie, obecnie pod okupacją sowiecką.

Wywózka odbywa się o tej samej porze na całym wyznaczonym terenie. Wybudzone dzieci płaczą. Matki miotają się między pakowaniem pierzyn, garnków i jedzenia a chaotycznym ubieraniem siebie, córek i synów. Soldaci poganiają, a żeby nie wzbudzać paniki, kłamią, że to wyjazd niedaleko, nie ma więc sensu zabierać tyle rzeczy. Tylko niektórzy dają dyskretnie znak, żeby przygotować się na bardzo długą podróż. Ojcowie próbują bezskutecznie negocjować z żołdatami. Nie wszyscy dojadą z rodzinami na miejsce. Część z mężczyzn, uznanych za najbardziej niebezpiecznych, zginie na miejscu lub trafi do łagrów.

Najtrudniej ma pierwsza grupa – około dwustu pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Nieprzygotowani, czasem w dwóch różnych butach, w futrach narzuconych na koszule nocne (jest mroźna zima), z płaczącymi dziećmi na rękach, ruszają w nieznaną. Kolejni wysiedleńcy będą już zwykle lepiej przygotowani do ewentualnej wywózki. Każdej nocy przed zaśnięciem sprawdzają, czy pod łóżkiem leży spakowany tobołek z ciepłymi ubraniami, biżuterią zaszytą w bieliźnie i żelaznym zapasem jedzenia. Wszyscy

jednak do ostatniej chwili będą wierzyć, że deportacja ich akurat nie dotknie.

Wywózki obywateli polskich w głąb ZSRR odbędą się w czterech falach – w lutym, kwietniu i czerwcu 1940 roku. Oraz rok później – w czerwcu 1941 roku. Dotkną prawie dwa miliony ludzi, w tym trzysta siedemdziesiąt dziewięć i pół tysiąca dzieci³ (ponad sto tysięcy z nich umrze na wschodzie z głodu, zimna i wyczerpania). Warszawa w chwili wybuchu wojny liczyła milion trzysta tysięcy mieszkańców.

Ciężarówki wypełnione ludźmi z listy ruszają w stronę najbliższej stacji kolejowej. Psy znów podnoszą raban. Mieszkańcy wsi, którzy zostali, już dziś nie zasną.

Na dworcach specprzesiedleńcy wsiadają do pociągów złożonych przeciętnie z sześćdziesięciu wagonów towarowych lub bydłowych. Do każdego z nich wsiada od trzydziestu do pięćdziesięciu ludzi. Bywają wagony z prowizorycznymi pryczami i piecykiem ustawionym pośrodku, ale niektórym przyjdzie podróżować w zimnie lub upale, na podłodze, bez żadnych wygod. Wielu umrze w drodze. Kolejarze, którzy plombują drzwi wagonów z zewnątrz, słyszą płynące ze środka płacz, modlitwy, a czasem *Pierwszą Brygadę*.

Z jak ziemianka

Ojej, jaki tu ścisk. W kącie ziemianki widać Elę, jej siostrę Tereskę i Marysię. Jest i mama dziewczynek.

– Co tutaj robicie?

– Układamy się do snu. To teraz nasz dom.

– Przecież tu nie ma łóżek.

– Ale mamy sienniki, kładziemy je na glinianej podłodze i przykrywamy się pierzynami z Polski. Obok nas śpią inni. Chrapu-chrap całą noc.

– Czy nie jest wam zimno, Elu?

– *Bardzo, brr-brr. Zimą woda spływa po ścianach ziemianki i mo-
czy nasze sienniki.*

Elżbieta Jankowska: – Pociąg zatrzymywał się po drodze wiele razy. Ludzie wysiadali, a my ruszaliśmy dalej. Nasza meta była w powiecie Dżurun, w zachodnim Kazachstanie, na stacji Izembet. Staliśmy w grupach, a gospodarze z kołchozów wybierali ludzi, których mieli zabrać ze sobą. Najcenniejsi byli silni mężczyźni, bo mogli dużo pracować. Samotna kobieta z małymi córkami (moja starsza siostra miała czternaście lat, a młodsza – cztery) nie przedstawiała wielkiej wartości. Byłyśmy więc z mamą zesłankami ostatniej kategorii, nikt nas nie chciał. Uratowała nas płyta z fajerkami zabrana z pieca w Polsce. Rzecz wówczas bezcenna w Kazachstanie. Ktoś się ulitował i zabrał płytę z nami do kołchozu Pachar, trzy kilometry od stacji.

Najpierw była tam wieś. Założyli ją Ukraińcy, którym car nadał ziemię w zamian za zasiedlanie tych terenów. Komuniści po przejęciu władzy wcielili wszystkich gospodarzy do kołchozu, opornych wysłali do łagrów. Zesłańcy z Polski zajmowali po nich domy, a gdy zabrakło miejsca – inne budynki. Razem z naszym transportem w kołchozie było już około stu pięćdziesięciu Polaków.

Przeznaczono nam do życia ziemiankę o powierzchni około piętnastu metrów kwadratowych i słoczono z nami jeszcze trzynaście osób. My zajęłyśmy kąt, a samotna pani Wilkowa – jehowitka z naszego Nowogrodu – miejsce przy filarze. Leżałyśmy zaraz za czteroosobową rodziną Kozłowskich. Kiedy wychodziłam w nocy przed ziemiankę na siusiu, deptałam po ludziach, bo po ciemku nie umiałam trafić. Pan Kozłowski denerwował się wtedy: „Chole-
ra, ta znowu łązi!”. Od października do kwietnia prawie w ogóle nie opuszczaliśmy ziemianki, byle się załatwić i wrócić. Najpierw

jednak trzeba się było odkopać w śniegu. Z powodu zimna zachorowałam na ostre zapalenie stawów, które lecę do dziś.

Co można zjeść

Rzeczy, które są jadalne albo przynajmniej nadają się do zjedzenia:

- Kluski z mąki pszennej
Mąkę mama zabrała z Polski. Kończy się najszybciej.
- Kluski z mąki razowej
Starcza tylko na trochę dłużej.

W kącie ziemianki mężczyźni zbudowali duży piec, w który wmontowali płytę Dziarskich. Opał stanowią zbierane latem krzewy i wysuszony krowi nawóz. Kobiety gotują po kolei.

– Błat mój, ale nasz garnek zawsze na końcu – narzeka cicho Zofia, mama Elżbiety. Nie ma przy sobie mężczyzny, jest więc mniej ważna od innych.

Gdy kończą się zapasy, mąkę trzeba sobie zrobić. Zofia Dziarska wymienia pierścioneńkę zaręczynową i obrączkę ślubną na szesnaście kilogramów pszenicy. Elżbieta i Marysia znajdują w śmieciach na terenie kołchozu małe żarna.

Można jeszcze zbierać na polu kłosa, których nie wychwylił kombajn podczas zbiorów. Pierwszą ich partię zbierają kołchozowe dzieci tuż po żniwach i oddają do magazynu. Za worek kłosów zalicza im się jedną dziesiątą trudnodnia. Dla siebie kłosa trzeba zbierać nocą, najlepiej gdy pola zakrywa już pierwsza warstwa śniegu. Nie należy dać się na tym przyłapać, bo choć nikt już tych kłosów nie potrzebuje, są własnością kołchozu. Mówi się, że za kieszeń skradzionej pszenicy grożą cztery lata łagru.

- Balanda

Zupa na mleku z posiekanych młodych liści łobody i ostu. Przepada za nią najmłodsza z sióstr, Marysia. Krowie mleko, pozbawione tłuszczu, przysługuje zesłańcom za wypracowane w kołchozie trudnodni.

- Mięso z susła

Jest białe jak z kurczęcia. Tylko Teresa go nie je – najstarsza z siostr nie potrafi przełamać obrzydzenia. Z susła kobiety wytapiają także tłuszcz. Zimą stanowi jedyne lekarstwo na wszystkie choroby. W kolchozie Pachar nie ma lekarza.

- Bliny usmażone w baranim tłuszczu

Ela opiekuje się Gienoczką, synem ukraińskiej gospodyni. Kobieta częstuje ją blinami.

– *Jisz, dietka, jisz* – zachęca. A Ela nie może. Pierwszy kęs przełyka z trudem, przy drugim zaczyna płakać. Jest niejadkiem, bliny jej nie smakują, śmierdzą owczym futrem.

- Owoce

Głównie arbuzy z upraw kolchozowych, przy których pracuje mama i Teresa. Część owoców to zapłata za wyrobione trudodni, czasami nadzorujący pracę po prostu częstuje robotników, bywają też kradzieże arbuźów. W ogrodzie uprawia się również ziemniaki, ogórki, pomidory i kapustę.

- Kapusta kiszona

Wymieniana z gospodarzami za robótki ręczne (o nich potem).

- Rośliny stepowe

- Odrobina zupy

Latem mama pracuje na polu oddalonym od kolchozu o osiem kilometrów. Wieczorem kolację uwarzoną w kotle zawieszonym na trójnogu zjada z innymi robotnikami na miejscu. Kiedy wszyscy kładą się spać pod gołym niebem, ona wyrusza w stronę ziemianki z resztką zaoszczędzonej zupy i chleba dla swoich córek. Zaraz potem wraca na pole. Córki widzą, że mama jest na granicy śmierci głodowej. Błagają, żeby całą zupę zostawiała dla siebie, one sobie jakoś poradzą. Ale Zofia Dziarska ich nie słucha.

- Dwie kromki chleba, a między nimi słonina

Elżbieta dostała raz taką kanapkę od wojskowego, który przejeżdżał pociągiem przez stację Izembet.

Elżbieta Jankowska: – W kolchozie byliśmy cały czas głodni. Zimą leżałyśmy we cztery pod pierzyną i rozmawiałyśmy o jedzeniu. A we mnie z każdą sekundą narastał nadmiar śliny, aż do wymiotów. Marysi też szkodziło rozmawianie o jedzeniu. Tak mam do dzisiaj. Zawsze pilnuję, żeby mieć przy sobie choć trochę jedzenia.

WERONIKA

R jak rodzice

To Werka. A to Polcio, jej brat.

Werka ma osiem lat. Polcio wkrótce skończy dwa. Siedzą razem pod pryczą.

A co to za dźwięk stamtąd dobiega?

Chlipu-chlip, buu-buu – rozlega się na cały barak. To Werka płacze.

– Dlaczego płaczesz, dziewczynko?

– Bo mój tatuś zginął podczas lesorubki.

– Ojej, jak mi przykro. Poproś mamę, żeby cię przytuliła.

– Mamusi też nie mamy. Kiedy tato umarł, nie miała nas czym nakarmić. Wyszła z baraku, żeby zdobyć coś do jedzenia. I nigdy już nie wróciła. Tak płaczę, bo mi ciężko.

– Nie mogę podać adresu miejsca, do którego nas wywieziono – mówi Weronika Prokopowicz, z domu Barton (rocznik 1933).
– Ono zwyczajnie adresu nie miało. To były baraki w szczerym polu, pod lasem. Najbliższa miejscowość to Solwyczegodzk w pobliżu Kotłasu, sześćset pięćdziesiąt kilometrów na południe

od Archangielska, stolicy obwodu. Nasz adres to była po prostu Syberia.

Pochodziliśmy z Wołynia, z kolonii Sulkowszczyzna w pobliżu Łucka. Mój tato – Bernard Barton – jako siedemnastolatek zaciągnął się ochotniczo do Legionów. Ziemię dostał za szczególne zasługi.

Razem z rodzicami i rodzeństwem na Syberii było nas ośmioro. Do roboty w lesie nadawali się tylko ojciec (wyrąbywał las), mama Apolonia (korowała pnie i odcinała gałęzie) i najstarszy, siedemnastoletni brat Józef. W stołówce wydzielano im dziennie trzy porcje zupy. Nam, dzieciom, polewka się nie należała, bo nie „rabotaliśmy” (pracowaliśmy). Oni więc, zjadłszy trochę, przynosili nam resztę do baraku. W efekcie wszyscy ślanialiśmy się z głodu.

Ratował nas las. Od wiosny do jesieni zbierałam szczaw, korzonki skrzypu, ziarenka z szyszek, lebiodę, pokrzywę, grzyby i jagody. Zimowe dni przesypialiśmy pod kołdrą, na ziemi, zbici w kupę, byle bliżej piecyka. Mieliśmy za mało sił, żeby żyć, ale za dużo, by umrzeć.

Tato zginął zimą 1942 roku, mama kilka miesięcy po nim. Nigdy się nie dowiedziałam, co się z nią stało.

A potem nas rozdzielono.

Wyliczanka

Żeby nie zapomnieć swojej rodziny:

Najstarszy brat – Józef. Ma już siedemnaście lat. Zostaje w osadzie przy lesorubce.

Drugi z kolei – szesnastoletni Marian. Zostaje z Józefem.

Edward, lat czternaście, trafia do rozdzielczego domu dziecka w Kotłasie.

Małgosia, starsza o dwa lata od Weroniki. Dom dziecka, Kotłas.

Dziewięcioletnia Weronika – dom dziecka, Kotłas.

Apoloniusz, zwany Polciem, lat dwa i trochę. Zabraný do domu dla dzieci w wieku przedszkolnym.

K jak kocówa

Małgosia klęczy i Werka klęczy. Złożyły ręce, patrzą w sufit i szepczą do siebie.

– Co to? – dziwią się radzieckie koleżanki. – Co wam się stało?

– Modlimy się do Pana Boga – mówi Werka. – Tak jak nas mamusia nauczyła.

– Cha, cha, przecież Boga nie ma – śmieje się Masza i Katia.

Werka kręci głową. – Przysięgam na Boga, że Bóg istnieje.

Ale koleżanki z sypialni jej nie wierzą. Każą złożyć inną przysięgę.

– Czestnoje słowo, leninowskie słowo i stalinowskie słowo – mówi Werka.

Ojej, Rosjanki nie wiedzą, co o tym sądzić. Jutro zapytają panią, kto ma rację. A teraz już pora spać. Dobranoc!

– I zapytały – pamięta Weronika Prokopowicz. – Wychowawczynie powiedziały, że Boga oczywiście nie ma. Koleżanki urządziły nam za karę kocówę.

Dom radziecki, dom polski

Domy dziecka w obwodzie archangielskim, do których trafia Werka z siostrą:

- Radziecki dom dziecka – Kotłas.

Tutaj umiera ich brat Edward. Urodził się chorowity, nie zniósł trudów życia na Syberii.

- Radziecki dom dziecka – Wierchnia Tajma.

Tutaj siostry kłócą się o Boga i idą do radzieckiej szkoły.

Rosyjska koleżanka Wery z ławki nie wierzy, że Bartonowie w Polsce mieli dwa sady.

– Nikt na świecie nie ma takich rzeczy tylko dla siebie – uważa.

– Jak wrócę do Polski, przyślę ci w liście suszone jabłko – obiecuje jej Weronika.

- Polski dom dziecka – Cisowa.

Tutaj Bóg istnieje, a polskie nauczycielki korygują język zruszczonych podopiecznych. W repertuarze dziecięcych piosenek jest *My, Pierwsza Brygada* i *Góralu, czy ci nie żal*.

Po ataku Niemiec na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku na terenie ZSRR zaczęło powstawać polskie wojsko, mające składać się z Polaków specprzesiedleńców i więźniów Gułagu. W lipcu porozumienie w tej sprawie podpisał w Londynie premier rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Emigracji Władysław Sikorski i ambasador ZSRR Iwan Majski. Na czele armii stanął generał Władysław Anders, który wraz wojskiem chciałby ewakuować jak największą liczbę cywilów, głównie dzieci⁴. W grudniu 1941 roku władze sowieckie wyraziły zgodę na powstanie polskich domów dziecka w większych skupiskach Polaków.

W sumie zostaną uruchomione dwadzieścia cztery sierocińce, w tym dziesięć na Syberii dla prawie dwóch tysięcy stu pięćdziesięciorga dzieci, a także trzydzieści pięć ochronek dla prawie dziewięciuset dzieci oraz sześćdziesiąt osiem punktów odżywczych dla ponad trzech tysięcy stu dzieci⁵.

Werka, podopieczna polskiego domu dziecka w Cisowej, nienawidzi „Rusków”, przyczyny swoich nieszczęść. Po lekcjach zbiera z koleżankami kamienie do fartucha, następnie podaje je chłopcom ze starszych klas.

To amunicja na wychowanków z pobliskiego sierocińca dla dzieci radzieckich.

Polscy chłopcy stają w pierwszym rzędzie, dziewczyny za nimi. Po drugiej stronie formuje się taki sam szyk.

– Polaczka sraczka! – słychać z sowieckiej strony.

– Bij Ruska! – odkrzykują Polacy.

– Przestańcie żreć nasz chleb, Polaczki.

Kamienie idą w ruch.

Weronika Prokopowicz wspomina: – Tamte dzieci też potraciły rodziców na wojnie albo w łagrach, z czasem odkryliśmy, że są takie jak my. I zamiast kamieni w ruch poszły podarki. Zaprzyjaźniliśmy się. Haftowałam chusteczki dla Rosjanki Marusi, ona raz przyniosła mi prawdziwy pomidor. Podzieliłam go na dziesięć cząstek, tyle ile dziewczyn było w mojej sali.

Stosunki polsko-radzieckie odbijają się na kondycji polskich domów dziecka. Im trudniej porozumieć się polskiemu rządowi na uchodźstwie ze Stalinem, tym gorzej dla polskich dzieci.

NKWD aresztuje nauczyciela muzyki w domu dziecka w Cisowej. Personel z polskiego wymieniany jest na rosyjski. Bóg ponownie znika. Dzieci postanawiają mówić szyfrem. Od tej pory Werka to *Werfarakafiri*, a pani Nina to *pafaranifiri Nifaranafiri*. Rosyjskie nauczycielki myślą, że to język francuski.

Kiedy w lipcu 1943 roku Władysław Sikorski ginie w Gibraltarze w katastrofie lotniczej, Weronika śladem innych dzieci przypina do piersi czarną, żalobną kokardkę. Kierownictwu sierocińca się to nie podoba, zakazują żałoby. Wychowankowie przyczepiają więc kokardki pod ubraniami. Na hasło „Masz zielone?” należy dyskretnie odwinąć rąbek bluzki lub swetra i pokazać wstążkę.

- Polski dom dziecka – Solwyczegodzk.

Polskie domy dziecka przejmuje teraz Związek Patriotów Polskich – założony w czerwcu 1943 roku przez polską komunistkę Wandę Wasilewską i działacza Alfreda Lampego, całkowicie zależny od Kremla. Z inicjatywy Wasilewskiej powstaje też 1 Dywizja Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki oraz 1 Armia Polska w ZSRR. A Weronika Barton wraz z siostrą w tym samym roku trafia do Solwyczegodzka.

Tutaj Boga zdecydowanie nie ma. Jest jednak Józef, ich najstarszy brat. Tędy wiedzie jego droga do Sielc nad Oką, gdzie zamierza zaciągnąć się do polskiej dywizji. Rodzeństwo widzi się przez dwadzieścia pięć minut. Ich brat Marian nie jest jeszcze pełnoletni, więc nie może zostać żołnierzem. Wkrótce przyjmie go jednak Armia Czerwona. Obaj będą walczyć pod Lenino, nie wiedząc o sobie.

Żadne z nich nie wie, co się dzieje z Polciem.

ELŻBIETA

W jak wełna

Wrr-wrr obraca się wrzeczono w palcach Eli. Jakie ładne, jakie szybkie. Skąd je masz, Elu?

– Sama wystrugałam! Podpatrzyłam w modlitewniku, jak Matka Boża na obrazku przedzie Jezuskowi wełnę, i zrobiłam podobne wrzeczonko z pomocą noża do sprawiania susłów.

Ziuu-ziuu, szara nitka jest coraz dłuższa. Wełnę dla Eli kradną w kołchozie Polacy, którzy pilnują owiec. Fruwają szare obłoczki po całej ziemi. Co będzie z tej włóczki, Elu?

– Chusty. Mamusia robi je zimą na drutach, siostry robią i pani Wilkowa też. Podpatrujemy wzory z rosyjskich chust. Azurowe ścięgi takie.

– Ojej, jakie one są piękne.

– Wymieniamy je potem na jedzenie. Sobie też robię ubrania z tej wełny. Sukienkę i sweter, i kaptur taki. Bardzo mnie gryzą. Tylko majtek nie mam żadnych.

– Moja starsza siostra, Teresa, dowiedziała się, że w powiecie powstaje polski dom dziecka. Ubłagała mamę, żeby ją tam puściła. Dzieci stamtąd miały pojechać do Taszkientu i ewakuować się z armią Andersa do Iranu – wspomina Elżbieta Jankowska. – Ale mama nie chciała jej puścić. Teresa nie mogła już znieść życia w kołchozie, pracy ponad siły. Chciała się uczyć, studiować. „Sama nie pojedziesz” – powiedziała jej mamusia. Więc siostra mnie ubłagała i ruszyliśmy.

Wszystko poszło źle. Okradziono mnie w drodze z osobistych rzeczy. Dojechaliśmy z naszą grupą do Taszkientu o jeden dzień za późno – wojsko i dzieci były już w drodze do Krasnowodzka. Pojechaliśmy w pogoni za nimi do Jangijulu w Uzbekistanie, nasze kierownictwo starało się zdobyć dla nas pozwolenie na dołączenie do ostatniej grupy generała Andersa, ale się nie udało. Tysiące Polaków były w takiej sytuacji jak my.

Zostałyśmy w Jangijulu przez miesiąc. W końcu przyszedł czas powrotu. Większość zdecydowała się zostać, ale my chciałyśmy do mamy. Oprócz nas wróciło jeszcze czworo dzieci i wychowawcy.

Był październik 1942 roku, w Uzbekistanie wciąż ciepło, u nas, na Syberii, już zima. Podróż trwała trzy dni. Wyjeżdżając latem, byłyśmy skromnie ubrane, nasze sukienki w podróży poniszczyły się. Nie miałam na sobie już kawałka całego ubrania. Na gołych nogach tylko treпки. Te trzy kilometry od stacji Izembet do kołchozu bardzo przemarzłyśmy. Na miejscu okazało się, że mama sprzedała moje zimowe palto, bo myślała, że my już

w Iranie i nie wrócimy. Pani Wilkowa wycięła więc podszewkę ze swojego płaszcza i uszyła mi sukieneczkę. Weszłam pod kołdrę i całą zimę tam siedziałam, przędąc wełnę, aż miałam co na siebie włożyć.

WERONIKA

B jak braciszek

Ile tu dzieci, jaki gwar i zamieszanie. Cha-cha, chi-chi – słyhać śmiech. To świetlica domu dziecka w Stawropolu. Tu stoi Werka, a tam grupa przedszkolaków.

Ojej, jak one wyglądają.

Każde w kufajce przepasanej sznurkiem, na nogach walonki, a na głowie czapka uszanka. Co to za dzieci tutaj, Werko?

– Przywieziono je dziś do naszego domu dziecka. Patrzę, czy nie ma wśród nich mojego braciszka Polcia.

Dziewczynka przygląda się każdemu.

– Ty nie, bo oczy masz niebieskie. Ty też nie. A może ty, chłopczyku? Masz oczy brązowe jak nasz tata i nosisz nazwisko Barton.

Och, Werko, ale on ma na imię Wiktor, nie Apoloniusz. I nie mówi po polsku.

Weronika kuca przed chłopcem.

– Ale to on. Poznaję go! To mój braciszek. Pocio! Polcio!

– Czewo? – mały Wiktor burczy do Werki.

– W 1944 roku mnie i siostrę wraz z innymi dziećmi przeniesiono do polskiego domu dziecka w mieście Stawropol nad Wołgą⁶. Była nas tam setka dzieci – wspomina Weronika Prokopowicz.

– Wychowawcy pytali, czy szukamy zaginionych krewnych, więc powiedziałam im o Polciu. Raz przyjechała grupka z radzieckiego domu dziecka, wypatrzyłam wśród nich brata. Imię mu wprawdzie zmieniono, ale to był on. Dzikie dziecko. Miał już cztery lata i nadal robił w spodnie. Myłam go i zmieniałam mu ubranie. Prawie nic nie mówił, nie miał żadnych manier. W poprzednim domu dziecka żył jak zwierzątko, zjadł – nie zjadł, przeżył – nie przeżył, ukradł coś komu – jemu coś ukradli. Polcio nie pamiętał rodziców ani rodzeństwa. Bardzo go kochałam, stałam się jego zastępczą mamą. On był w przedszkolnej grupie, ja w starszej, ale widywałam go codziennie.

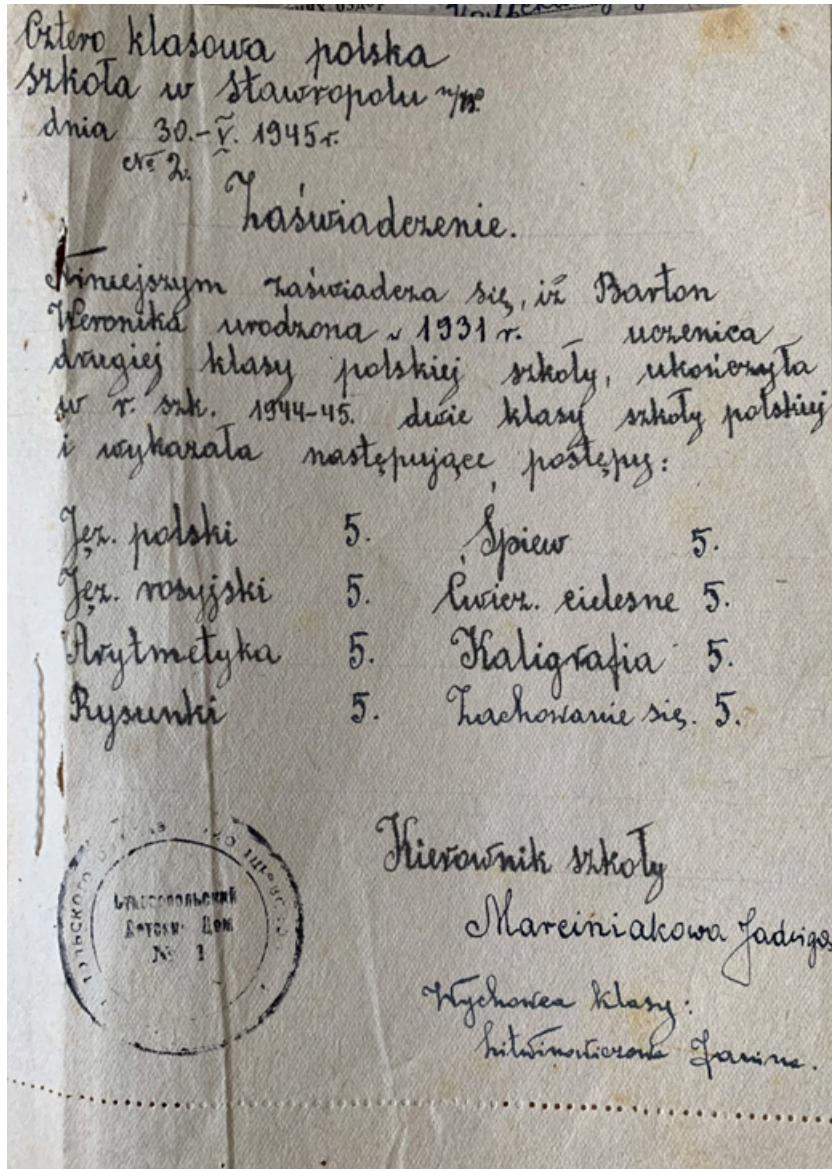
Sprawy szkolne

- Lekcje

Weronika Barton w maju 1945 roku kończy w Stawropolu drugą klasę szkoły podstawowej. We wrześniu ukończy dwanaście lat. Gdyby nie było wojny, powinna być już w szóstej klasie. Uczy się znakomicie. Z języka polskiego, rosyjskiego, arytmetyki, rysunków, śpiewu, ćwiczeń cielesnych, kaligrafii i zachowania się ma same piątki. Z braku druków nauczycielka wypisuje świadectwo na szarym papierze wyrwanym z zeszytu.

- Zajęcia dodatkowe

W szkole działa chór (należy do niego czterdzieścioro dzieci) i zespół choreograficzny (pięćdziesięcioro ośmiorgo dzieci). Werka tańczy poloneza (są suknie i kontusze), taniec łabędziątek, ćwiczy akrobacje i łamańce. Na jednym z placów zebrań w Stawropolu wychowankowie domu dziecka występują przed zgromadzoną publicznością. Werka robi szpagaty, mostki i wraz z koleżankami stawia ludzką piramidę. Babuszki zgromadzone pod sceną przymykają oczy ze strachu i krzyczą: – *Ojoj, diwoczki, słomajeties, słomajeties!*



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
 itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

- Apele

Nauczycielka Stanisława Rudnikowa przygotowała szczególnie starannie apel z okazji rewolucji październikowej. Na sali są goście, partyjni oficjele, wojskowi. Ze ściany spogląda Józef Stalin. Po występach dzieci (chór, recytacje, gimnastyka) pani Rudnikowa wznosi uroczysty okrzyk na cześć generalissimusa:

– Niech żyje marszałek Józef Piłsudski!!!

Sala milczy skonsternowana, ale po chwili odkrzykuje: – Niech żyje!

Po apelu dyrektorka domu dziecka tłumaczy gościom, że nauczycielka cierpi na zaniki pamięci.

ELŻBIETA

P jak Polska

Co my robimy na tym placu?

– Stoimy i patrzymy do góry.

A na co patrzymy?

– Na czerwoną flagę wciągniętą na kołchozowy maszt.

Co ta flaga oznacza, Elu?

– To znak, że skończyła się wojna. Jest maj 1945 roku i mam już czternaście lat.

Płacze Ela. Mama też płacze. Siostrze Eli leżą łzy po policzkach. Wszyscy ludzie na placu płaczą, ojej.

– Może teraz wrócimy do Polski – cieszy się Ela przez łzy. – Tatus na nas już czeka. List od niego przyszedł z kraju.

– List był złożony w trójkąt, pisany po rosyjsku – mówi Elżbieta Jankowska. – Tato pisał, że był w wojsku, walczył na wojnie, a teraz

mieszka w Łomży. Odnalazł nas przez szwajcarski Czerwony Krzyż. Ponieważ wojna się skończyła, pojawił się cień szansy na powrót. Pozwolono nam wyrobić dokumenty wyjazdowe. Do kraju zaczęli wyjeżdżać pierwsi zesłańcy z naszego kołchozu. Pod koniec 1945 roku zostało już tylko pięćdziesięciu Polaków, wśród nich my. Przeprowadziłyśmy się do opuszczonego domu, a gdy rozniosła się wieść, że mama ma żyjącego męża wojskowego, ludzie zaczęli odnosić się do niej z większym szacunkiem. Pierwsza teraz wybierała owoce i warzywa z przydziału, a jak przyszły dary, to dostała grubą kurtkę z wełny.

Byłam kilka razy w szkole sowieckiej kołchozowej, ale radzieckie dzieci znęcały się nade mną, siadały mi na głowie i mama mnie stamtąd zabrała. Potem była już polska szkoła, Wanda Wasilewska przysłała nam podręczniki, było w nich dużo o Stalinie, ale napisane były w naszym języku. Nauczycielka miała dar poetycki i pisała dla nas wiersze i teksty okolicznościowe.

Żegnaj nam, Kazachstanie

Elżbieta Jankowska już siódmą dekadę przechowuje w pamięci twórczość nauczycielki: „Trzy lata temu, szczęśliwa i wzniosła, weszłam do polskiej szkoły w kołchozie, wśród stepów. Weszłam, a ze mną też radosna i wzniosła piosenka ojczysta. Wspomnienie ojczyzny dalekie i mgliste zaczęło ożywać w każdym moim słowie i w każdej nieudanej literce stawianej ręką maleńkich pierwszaków. A godziny mijały szybko, a zeszyty były pełne coraz udolniejszych znaków. Mijały miesiące, tygodnie, mijały upalne dni lata i dni zimy w śnieżnych burzach drżące. A na świecie szalała wojna. Płynęły krwi potoki. I spadła z wyżyn, w proch wybita, swastyka przeklęta. I zrodzony z tęsknoty i bólu wstał dzień oczekiwany. Otwierają się przed nami, Polsko, twoje bramy! Idziem do ciebie my, dzieci stepowej polskiej szkoły,

zahartowane w pracy i trudzie, idziem. A ten dzień, wzniosły i wesoły, na zawsze nam w sercu i duszy zostanie. Żegnaj nam stepowy, szary Kazachstanie”.

– Najpierw okazało się, że nie możemy wracać do kraju, bo nie ma wagonów dla nas – wspomina Elżbieta Jankowska. – Zgodziliśmy się jechać z Izembetu do Dżurunu w popsutych wagonach, bez drzwi. A mróz sięgał pięćdziesięciu stopni. Był 3 marca 1946 roku. Na miejscu nie chciano na nas czekać, ale Polacy z innych regionów powiedzieli, że nie pojedą do kraju bez rodaków z kołchozu Pachar. W Dżurunie dzieci przesiadły się do ogrzewanych wagonów, dorośli nadal jechali w tych zepsutych. Dopiero w Aktiubińsku dali naszemu kołchozowi duży wagon z piecykiem. Tam też pociąg ozdobiono flagami biało-czerwonymi i ruszyliśmy do domu. Podróż trwała długo, kilka tygodni.

W Równem zabrano nas do łaźni i zdezynfekowano nasze ubrania. Na granicy żołnierze sprawdzali, czy czegoś nie przemycamy. Zabrali mi dwieście skórek susłów, które ususzyłam przez te wszystkie lata. U jednej pani w bagażu znaleźli komplet srebrnych sztućców i dwa futra. Ona była przed wojną służącą u jakichś ludzi i kierowana uczciwością wiozła te rzeczy właścicielowi, choć przecież mogła je wymienić na jedzenie.

Na granicy też daliśmy występ dla Polaków pracujących na kolei. Recytowałam tekst naszej pani. Cały czas byłam w gryzących wełnach z Kazachstanu, nie miałam też butów, więc wyszłam na scenę w walonkach pana Świerszcza, sąsiada z Pacharu. Dopiero w Polsce rozdano między nas ubrania z UNRRA. Mnie przypadła flanelowa koszula nocna. Jak ją założyłam, jak mi mięciutko było, zaczęłam tańczyć ze szczęścia na torach. Ludzie bili brawo. Potem jeszcze dostałam granatową sukienkę.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

WERONIKA

W jak więzi

Tu stoi Weronika. A tam Wiktor. Obok Małgorzaty przystanął Józef i Marian. To rodzeństwo Bartonów. Są już dorośli. Nie widzieli się razem ponad dwie dekady. A dlaczego oni nic nie mówią? Tylko płaczą i płaczą.

– W marcu 1946 roku zaczęliśmy podróż ze Stawropola do Polski – wspomina Weronika Prokopowicz. – Już od połowy stycznia mieliśmy przygotowane plecaki, czekano tylko na telegram z wiadomością, że droga wolna. Była nas ponad setka dzieci i trzydzieścioro dorosłych. Po drodze niektórzy wysiadali. Bardzo smutne były rozstania z dziećmi, które w dokumentach zadeklarowały narodowość białoruską, bo musiały zostać po sowieckiej stronie. Nauczycielki starały się wszystkich przekonywać do wpisywania narodowości polskiej.

Wielkanoc spędziliśmy już w Polsce, w domu rozdzielczym w Gostyninie. A potem mnie z Wiktozem wysłano do domu dziecka w Łapinie na Pomorzu, a moją siostrę Małgosię do Łodzi. Rozdzielano wtedy rodzeństwa bez żadnych sentymentów.

Z siostrą miałam potem kontakt, ale okazjonalny. Tylko z Witusem bardzo się związałam. Wojna odcięła go od rozumienia pewnych emocji i uczuć już na zawsze, pojęcie rodziny było mu obce, musiał się go na nowo nauczyć. Pomagałam mu w tym.

Jest koniec lat pięćdziesiątych. Wiktor Barton (dawniej Polcio) dostaje powołanie do wojska. Służy w jednostce w Elblągu. Jego



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

dowódca jedzie służbowo do Warszawy na uroczystość z okazji Dnia Wojska Polskiego. Tam spotyka uczestnika szturm na Berlin Józefa Bartona.

– U mnie w jednostce służy chyba pański krewny – informuje go dowódca z Elbląga.

Józef, który nie ma kontaktu z rodziną od spotkania z siostrami w Solwyczegodzku w 1943 roku, jedzie na Warmię. Wprawdzie jego brat miał na imię Apoloniusz, ale chce się upewnić.

Weronika Prokopowicz: – Myślałam, że nikt mnie nie szuka. Miałam kontakt z Polciem, wiedziałam, gdzie jest siostra, nie miałam żadnych wieści o starszych braciach. Przez kilkanaście lat nie dali znaku życia, więc wzruszyłam ramionami – to ja też ich nie będę szukać. Skończyłam studia pielęgniarские, pracowałam w szpitalu Marynarki Wojennej w Gdańsku. Byłam dość samotna i samodzielna. Na zewnątrz, do ludzi, starałam się być opanowana. Czasem tylko taki smutek mnie ogarniał i płakałam, kiedy nikt nie widział.

Gdy Józek odnalazł Polcia, spotkaliśmy się całą piątką. My z Witkiem mieszkaliśmy blisko siebie. Marian przyjechał ze Szczecina, Józek z Mławy, Małgosia z Aleksandrowa Łódzkiego.

Starsi bracia wiedzieli, jak zmarła mama, ale nie chcieli nic powiedzieć. Stali i ryczeli. Ja pytałam: „Co z mamą? Co z mamusią?”, a oni nic, tylko płacz. Nie powiedzieli nigdy. Nie udało nam się wtedy nawiązać głębszej więzi. Byliśmy sobie obcy. Poza Witkiem bliższe mi były przyjaciółki z domu dziecka niż rodzeństwo. Pisyaliśmy do siebie listy, ale po tym spotkaniu obu starszych braci widziałam jeszcze tylko raz. Tak się jakoś ułożyło.

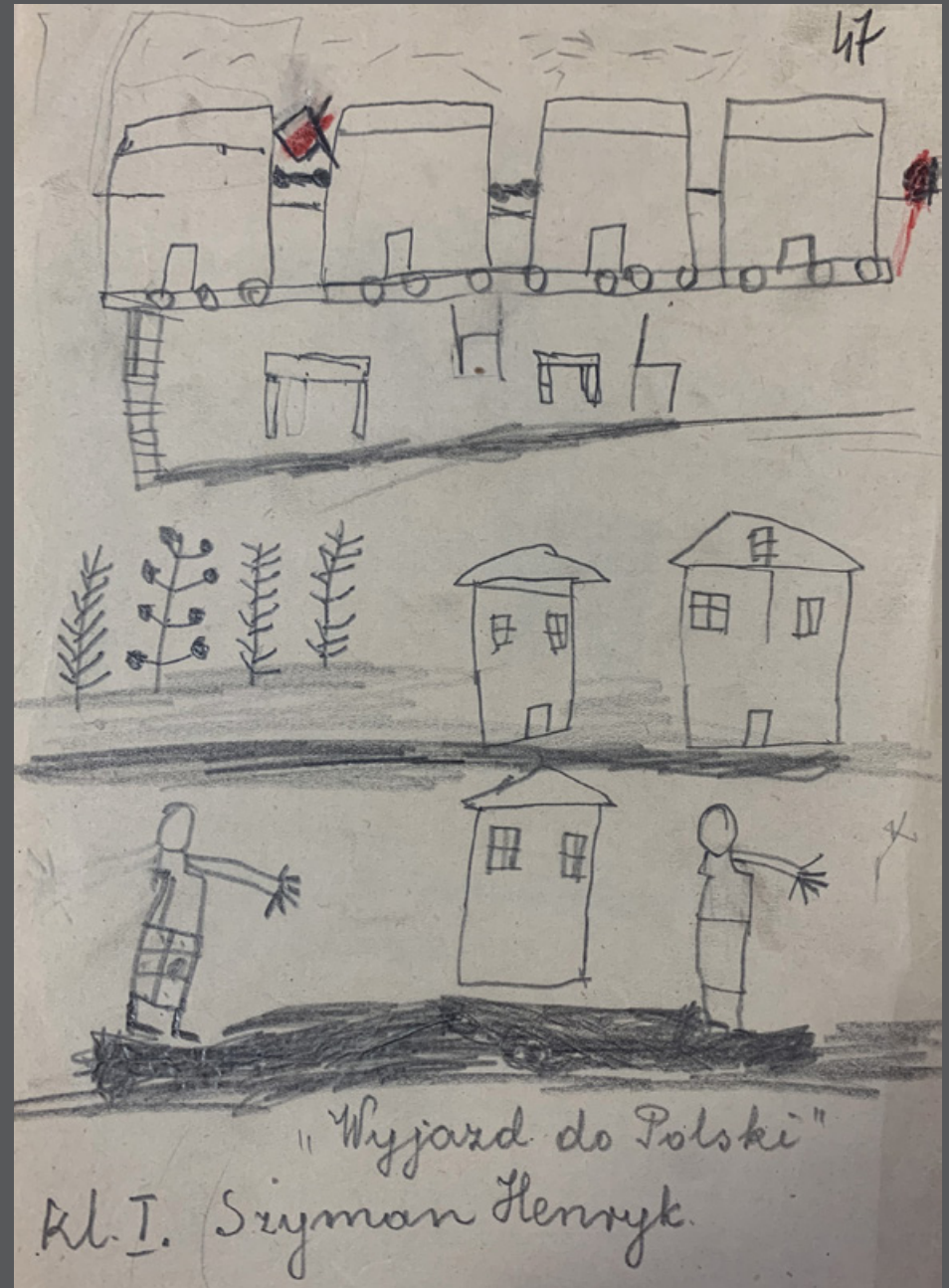
ELŻBIETA

K jak koniec

Elżbieta Jankowska chciałaby powiedzieć na koniec, że Kazachstan nie złamał jej rodziny. Ani Teresy, która wstąpiła do zakonu, ani Marysi, która została lekarką, ani jej samej, matki trzech synów.

Wyjaśnia: – Nigdy nie wpadam w histerię i rozpacz, gdy się coś wydarza. Myślę sobie wtedy: „Panie Boże, ja tyle przeżyłam, a tu nie dam rady?”.

CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII



SHIKATA GA NAI

Teraz

Luty 2019 roku.

Dom pana Minoru Tonai, północne Los Angeles, USA

Minoru Tonai chyba dziwi się mojemu pytaniu. Przechyla lekko głowę w prawo, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Milczymy teraz oboje.

Powtarzam więc: – Dlaczego poszedł pan na wojnę w 1952 roku?

Odpowiada: – Chciałem udowodnić Ameryce, że na nią zasługuję.

Teraz ja się dziwię: – Po tym gdy pana upokorzyła w dzieciństwie?

Uśmiecha się: – Takie jest moje dziedzictwo.

Luty 2019 roku.

Dom pana Richarda Iseri, południowe Los Angeles, USA

Richard Iseri poprawia czapkę, po którą przed chwilą zawrócił w głąb domu. Zerka, czy zauważyłam napis nad daszkiem: *24th Infantry Division. Korean war veteran 1950-53.* (24 Dywizja Piechoty. Weteran wojny w Korei 1950-53).

– Wstąpiłem do armii na ochotnika – mówi. – Nie wiem czemu, czułem, że muszę. Ironia losu, prawda? Wcześniejszy wróg Ameryki chciał oddać za nią życie.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Tonai

Niedziela, 7 grudnia 1941 roku, godzina dwunasta w południe.

Dom zamożnej rodziny Tonai, dzielnica San Pedro, Los Angeles

W holu słychać dzwonek telefonu. Dwunastoletni Minoru podnosi z aparatu ciężką, ebonitową słuchawkę i przykłada ją do ucha. Dzwoni kuzynka. Chłopiec słucha, kończy rozmowę i biegnie do ojca, który siedzi w salonie. Mama jest w tym czasie w kuchni.

Minoru (przestraszony): – Tato! Japonia zaatakowała Pearl Harbor.

Ojciec (spokojnie): – Niemożliwe. To na pewno Niemcy.

Do salonu wchodzi mama i włącza radio. Duże pudło połączone z adapterem, ostatni nabytek rodziny Tonai, szybko się rozgrzewa. Mama kręci gałką w poszukiwaniu amerykańskiej rozgłośni. Słuchać głos reportera: „Raz, dwa, trzy, cztery, halo NBC, halo NBC, tu [radio] KGU Honolulu, Hawaje. Nadaję z dachu budynku Advertiser Publishing Company. Byliśmy dziś świadkami, z pewnej odległości, bitwy o Pearl Harbor i ciężkiego bombardowania przez samoloty wroga, bez wątplenia japońskie”.

Mama szuka teraz rozgłośni japońskiej (w Tokio jest już piąta rano następnego dnia). „Wiadomości specjalne! Ogłoszenie Cesarzowskiej Kwatery Głównej, Sekcja Armii i Marynarki Wojennej [...]. Od wczesnego rana, dnia ósmego tego miesiąca, cesarska armia i flota są zaangażowane w walkę z amerykańskimi i brytyjskimi siłami zbrojnymi ulokowanymi na zachodnim Pacyfiku”.

Ojciec Minoru, pan Gengoro Tonai, wstaje bez słowa z kanapy i zamyka się na cały dzień w swoim gabinecie.

Mama, pani Toyone Tonai, wraca do kuchni.

Ich syn zostaje sam w salonie.

Poniedziałek, 8 grudnia 1941 roku.

Kongres Stanów Zjednoczonych, Waszyngton

Prezydent Franklin D. Roosevelt od siedmiu minut czyta przygotowane wczoraj emocjonalne przemówienie o sytuacji w kraju.

Kończy je słowami: „Proszę Kongres, aby z powodu niesprovokowanego i nikczemnego ataku Japonii w niedzielę, 7 grudnia 1941 roku, ogłosił stan wojny między Stanami Zjednoczonymi a Cesarstwem Japońskim”³.

Trzydzieści trzy minuty później Kongres przychyliła się do prośby prezydenta.

Tego samego dnia.

Dom rodziny Tonai

Minoru obserwuje, jak do gabinetu taty wchodzi dwóch agentów Federalnego Biura Śledczego (FBI). Chłopiec zauważa, że panowie noszą jednakowe ciemne płaszcze. Mężczyźni proszą ojca, żeby z nimi poszedł. Jest podejrzany o sprzyjanie Japonii. Pan Gengoro gwałtownie zaprzecza. Jest wprawdzie *Issei* – japońskim imigrantem w pierwszym pokoleniu – ale żyje w Stanach Zjednoczonych od dwudziestu jeden lat, prowadzi ze współnikiem, panem Kenichim Shintani, sieć dwudziestu pięciu sklepów spożywczych (dwanaście dużych i trzynaście małych) pod nazwą Garden Basket. Dom, w którym żyje z rodziną, nie należy do nich tylko dlatego, że Stany Zjednoczone nie przyznają *Issei* obywatelstwa amerykańskiego, a Japończyk bez obywatelstwa nie może posiadać nieruchomości.

Agenci FBI pozostają obojętni na tłumaczenia ojca Minoru. Mówią, że pan Tonai całkiem niedawno, podczas zbiórki ulicznej, wpłacił pewną kwotę na japoński okręt wojenny. I dlatego teraz pójdzie z nimi.

Minoru z mamą i trojgiem rodzeństwa patrzą, jak tato, skuty kajdankami, wychodzi z domu. Spotkają się dopiero za trzy lata, w obozie Amachi.

cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos
earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam



Również poniedziałek, 8 grudnia 1941 roku.

Zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych

Agenci FBI aresztują także pana Kenichiego Shintani, współwłaściciela sieci Garden Basket. Jedynym powodem są jego kontakty ze współnikiem.

Podobne sceny dzieją się teraz w wielu domach japońskich imigrantów, zwłaszcza liderów lokalnych społeczności, biznesmenów i duchownych buddyjskich. Listy nazwisk czekały przygotowane od dawna.

Japońska diaspora, zwana *Nikkei*, w całych Stanach Zjednoczonych liczy około stu dwudziestu sześciu tysięcy osób⁴. W nocy z 7 na 8 grudnia do aresztów trafia tysiąc pięciuset Japończyków. Z czasem liczba ta wzrośnie do ponad dwóch tysięcy.

Od tej pory każdy *Nikkei* (członek diaspory) jest podejrzany o sprzyjanie Japonii, działania sabotażowe i szpiegowanie na jej rzecz.

Iseri

Poniedziałek, 8 grudnia 1941 roku.

Farma rodziny Iseri, przedmieścia Wapato, Yakima Valley, stan Waszyngton

Rodzina jedenastoletniego Richarda wychodzi przed dom. Ktoś podpalił stóg siana sąsiadowi, który – tak jak ojciec chłopca – jest japońskim imigrantem w pierwszym pokoleniu. Mama, pani Shigeko Iseri, robi z dłoni daszek dla osłony przed słońcem i patrzy na dopalające się resztki.

Tato, pan Naoki Iseri, zauważa dym nad miasteczkiem Wapato, w którym większość mieszkańców stanowią imigranci. To płonie japońska szkoła podstawowa, w której od sześciu lat Richard uczy się po lekcjach w szkole amerykańskiej.

Z radia dowiadują się, że w miastach Zachodniego Wybrzeża ludzie wybijają witryny w sklepach prowadzonych przez *Nikkei*,

na ścianach ich domów mażą napisy *No Japs wanted* (Nie chcemy Japońców).

Koniec lutego 1942 roku. Farma rodziny Iseri

Ojciec Richarda siedzi w kuchni przy stole. Mama nakrywa do kolacji. Rozmawiają po angielsku. Pan Naoki w 1918 roku przyjechał do Ameryki z Japonii – jest więc *Issei*. Jednak Pani Shigeko urodziła się już na Hawajach, jest *Nisei* – imigrantką drugiego pokolenia. Dzięki temu ich pięcioro dzieci to *Sansei* – trzecie pokolenie: wszystkie urodziły się w Stanach Zjednoczonych i mają amerykańskie obywatelstwo. Język japoński znają biernie.

Państwo Iseri są zmartwieni. 19 lutego prezydent Roosevelt podpisał dekret wykonawczy 9066. Na jego podstawie sekretarz wojny może wyznaczyć niektóre obszary kraju jako strefy wojskowe, „z których dowolna lub wszystkie osoby mogą być wykluczone”⁵. Wykluczonych mieszkańców prezydent zobowiązał się przetransportować w inne miejsce, zapewnić im kwatery i wyżywienie.

Ludzie w Wapato powiadają, że wszystkich Japończyków amerykański rząd pozamyka wkrótce w obozach. Jednak Naokiemu Iseri nie chce się w to wierzyć. Uważa te plotki za absurdalne.

Shigeko Iseri zgadza się z mężem. Kto by wtedy zorał pola na wiosnę? Kto je obsiał? Kto zaopiekowałby się końmi, krowami i kurami? Wprawdzie ziemia, na której gospodarują, jest wdzierżawiona, ale traktują ją jak swoją.

Historia

Pierwsza połowa XX wieku. Stany Zjednoczone Ameryki

Ameryka nie lubi Japończyków. Nawet bardzo.

Zwłaszcza Zachodnie Wybrzeże ich nie toleruje.

A już szczególnie Kalifornia.

Są żółci. Dziecinni. Upośledzeni. Prymitywni. Mają wystające zęby. Zabierają pracę porządnym ludziom. Namawiają do palenia opium, wpędzając w uzależnienie. Ich cesarz prowadzi agresywną politykę zagraniczną, to barbarzyńca.

Mawia się o nich: „Japońcy” (*Japs*) oraz „żółte brzuchy” i „wściekłe psy”, ponadto „żółte robactwo”⁶. Rysownicy przedstawiają ich w gazetach jako karaluchy.

Zbiera im się, zdaniem białych Amerykanów, od dawna. Najechali ich kraj na początku wieku. Osiedli głównie na wybrzeżu zachodnim (stąd najbliższej do Japonii). W rybołówstwie, rolnictwie, przemyśle spożywczym i na kolei zatrudnili się za tak niskie stawki, że biały człowiek by się nawet nie schylił po nie. Wzbogaceni, zaczęli wykupywać amerykańską ziemię.

Już w 1905 roku w San Francisco dla obrony przed „żółtym niebezpieczeństwem” powstaje Liga Wykluczenia Azjatów (Chińczyków Ameryka też nie lubi)⁷. W 1913 roku Kalifornia wprowadza prawo stanowe, które zakazuje Azjatom kupowania ziemi i zezwala im na maksymalnie trzyletnią dzierżawę gruntów. Japonia uznaje to za rasizm. W 1922 roku Sąd Najwyższy orzeka, że Azjaci nie są biali i w związku z tym nie mają prawa do naturalizacji. Wzorem prawdziwego Amerykanina ma pozostać biały Anglosas wyznania protestanckiego – WASP (*White Anglo-Saxon Protestant*). W 1924 roku amerykański Kongres zakazuje imigracji azjatyckiej. Moment wejścia ustawy w życie Japonia ogłasza Narodowym Dniem Upokorzenia. Na znak protestu kilka osób popełnia harakiri (rytualne samobójstwa)⁸. W latach trzydziestych napięcie między Japonią a Stanami Zjednoczonymi wzrasta. W 1937 roku japoński imigrant drugiego pokolenia, student University of California, w artykule opublikowanym w „*Campanile Review*” pisze, że w razie konfliktu między obu krajami jego generacja nie dostanie szansy walki za Stany Zjednoczone. Przewiduje raczej konfiskatę majątku całej społeczności *Nikkei* i zamknięcie jej członków w obozach⁹.

Ograniczenia dotyczące zakupu ziemi i nieruchomości nie dotyczą Japończyków urodzonych w Ameryce – obywateli USA i Japonii jednocześnie. Można jednak na każdym kroku pokazywać im, jak bardzo są niepożądani. Japończyk w dzielnicy obniża wartość nieruchomości. Mimo więc, że mogą kupować domy, często daje im się do zrozumienia, w jakich dzielnicach nie powinni tego robić. Nie trzeba z nimi nawet rozmawiać. Zwłaszcza po ataku na Pearl Harbor. Wystarczy powiesić na swoim domu transparent z napisem „Japońcy, wynocha. To okolica białych ludzi”.

W marcu 1942 roku, zgodnie z dekretem 9066, na zachodzie kraju powstają strefy wojskowe. Obejmują stan Waszyngton, Oregon, Kalifornię i Arizone. Jak najszybciej trzeba stamtąd ewakuować wszystkich *Nikkei*, bo są potencjalną japońską piątą kolumną, a wraz z nimi amerykańskich Niemców i Włochów, którzy z racji pochodzenia podejrzewani są o sprzyjanie Hitlerowi i Mussolinemu. Do czasu ewakuacji wszystkich amerykańskich Japończyków obowiązuje ich godzina policyjna.

Głosy białych Amerykanów, którzy sprzeciwiają się ewakuacji, są niemal niesłyszalne.

Tonai

Koniec marca 1942 roku.

Stajnia przy torze wyścigów konnych Santa Anita Park, tymczasowe centrum ewakuacyjne, Arcadia, hrabstwo Los Angeles, Kalifornia

Dwunastoletni Minoru zauważa, że koński boks, w którym teraz musi mieszkać, ma powierzchnię o wymiarach dywanu z ich salonu. Jeden boks przypada na sześć osób. Z chłopcem mieszka mama, troje rodzeństwa i kuzynka. Śpią na rozłożonych na ziemi materacach. Wszędzie jest brudno. Centrum ewakuacyjne Santa Anita, w którym razem z nimi jest kilka tysięcy ludzi,



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

przygotowano w pośpiechu. Końskie łajno wymieciono z boksów niezbyt dokładnie.

Kiedy ojca zaaresztowano, matka Minoru – pani Toyone Tonai – postanowiła prowadzić sklepy Garden Basket z żoną wspólnika. Zbankrutowały niemal od razu. Amerykanie przestali kupować u Japończyków.

Potem Tonai stracili dom. Wynajmujący kazał im się wyprowadzić. Żona wspólnika zaproponowała im mieszkanie u siebie. Miała pełnoletniego już syna urodzonego w Stanach Zjednoczonych, więc jeszcze przed wojną kupiła dom w Los Angeles na niego.

Na początku marca Minoru zauważył, że słupy w okolicy zostały oklejone „Instrukcją dla wszystkich osób pochodzenia japońskiego”. Mieszkańcom wymienionego w obwieszczeniu kwartału ulic nakazano stawić się za siedem dni w wyznaczonych miejscach celem ewakuacji. Wolno było zabrać z sobą pościel, artykuły toaletowe, sztucce i naczynia, dodatkową zmianę ubrania. Jedna osoba mogła wziąć tylko jedną walizkę lub pakunek. Radioodbiorniki i aparaty fotograficzne podlegały konfiskacie. Pianina, lodówki, pralki i ciężkie meble można było przechować w rządowych magazynach, jednak przechowujący nie ponoszą odpowiedzialności.

Japończycy mieli też siedem dni na sprzedaż sklepów, restauracji i punktów usługowych. Oddawali je więc za bezcen. Niektórzy wierzyli, że ewakuacja jest pomyłką, a oni zaraz wrócą do domów – ci zamykali tylko swoje nieruchomości na klucz.

Gorączka ewakuacyjna objęła sto tysięcy amerykańskich Japończyków na Zachodnim Wybrzeżu. Dwie trzecie z nich było obywatelami USA. Niektórzy zawieszali na oknach domów i sklepów transparenty z napisem „Jestem obywatelem amerykańskim” i szli z walizkami w rękach w kierunku punktów zbornych, skąd – oznaczeni numerami – mieli zostać wywiezieni do jednego z czternastu tymczasowych centrów ewakuacyjnych.

List od męża z więzienia matka Minoru czyta w rodzinnym końskim boksie.

Kończy i mówi: – Tato pyta, czy chcemy wyjechać do Japonii. Wtedy go wypuszczą. Ale nie będziemy mogli już nigdy tu wrócić.

Minoru Tonai wspomina: – Byłem wtedy za młody, żeby się zastanawiać nad swoją tożsamością. Czułem się zarówno Japończykiem, jak i Amerykaninem. Znałem Japonię, byliśmy tam całą rodziną w 1934 roku. Matka ojca napisała, że jest umierająca, pojechaliśmy się z nią pożegnać. Ale to była nieprawda. Była zdrowa, chciała tylko, żebyśmy wrócili z Ameryki. Zostaliśmy przez jakiś czas u niej na wsi. Żyliśmy zgodnie z japońskim zwyczajem. Mężczyźni jedli osobno, dzieci i kobiety razem. Trzy razy dziennie był ryż i do tego po kawałku ziemniaka. Mięso było dla mężczyzn. Babcia mnie nie znosiła, bo byłem krnąbrnym dzieckiem, chciałem jeść po amerykańsku. Wrzeszczała na mnie. Kochała za to moją siostrę i dla niej wydłubywała ziemniaki z misek innych. Wróciliśmy do domu po ośmiu miesiącach. W Japonii musiał zostać mój starszy, dziewięcioletni wówczas brat Ichiro, bo japońska część rodziny nie miała męskich potomków. On miał więc w przyszłości zostać głową rodu. Przymuszono też do zostania moją jedenastoletnią siostrę Mary, żeby bratu nie było smutno. Bardzo płakała, chciała wracać do USA. Kiedy mama przeczytała nam list w obozie, wpadliśmy w rozpacz i zdecydowaliśmy, że zostajemy w Stanach, nawet kosztem uwięzienia taty. To było bardzo trudne. Mama zawiadomiła ojca w naszym imieniu. Nie miał do nas nigdy o to żalu.

Iseri

Czerwiec 1942 roku.

Stajnia na terenie rodeo, tymczasowe centrum ewakuacyjne,
Portland, Oregon

Richard Iseri nie lubi spać w końskim boksie. Nie ma tu okien, w ciągu dnia powietrze w stajni się rozgrzewa, oddając nocą

duszący zapach łajna i uryny. Wieczorami chłopiec wychodzi na zewnątrz. Niedaleko rodeo płynie rzeka. Tam, nad wodą, jest wesołe miasteczko Jantzen Beach. Richard nie widzi go spod stajni, jednak rzeka niesie odgłosy karuzeli, śmiechy ludzi i muzykę. Najbardziej ze wszystkiego jedenastolatka ciekawi roller coaster – zapętlone tory, po których z ogromną prędkością pędzą wagoniki. Chłopiec marzy, że kiedyś wsiądzie do jednego z nich.

Poza tym jednak podoba mu się życie w obozie przejściowym. Na farmie miał dużo pracy. Każdego dnia, po szkole, musiał pomagać rodzicom w gospodarstwie. Tutaj całymi dniami może się bawić. Żał mu tylko rodziców. Pamięta dzień wyjazdu z farmy. Ojciec pytał policjantów nadzorujących ewakuację: – Co z naszymi końmi, co ze świniami? Co z rzeczami w domu?

Jeden z funkcjonariuszy się roześmiał. – Jestem pewny, że ktoś się nimi chętnie zajmie, Japońcu.

Richard Iseri wspomina: – Nie potrafię sobie przypomnieć, co wtedy czułem. Byłem chyba zbyt młody, żeby przejmować się ewakuacją i utratą majątku przez rodziców. W obozie tymczasowym matka i ojciec nie narzekali. Wydawali się obojętni na swój los, ale oni tylko godzili się z sytuacją. Istnieje japońska sentencja *shitaka ga nai*, czyli *you can't help it* (nic nie poradzisz) – powtarzali ją często. Zresztą nie tylko oni. Większość *Nikkei* stosowała się do tej zasady. Drugim często powtarzonym przez Japończyków zdaniem było: *kodomo no tame ni*, co dosłownie znaczy „dla dobra dzieci”. Amerykańscy Japończycy chcieli przez to pokazać, że uwięzienie ich nie złamie. Dzieci nie zobaczą płaczących rodziców. Pokażmy tym, co nas tu zamknęli, że jesteśmy od nich lepsi. Aż w końcu nas docenią.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Historia

Rok 1942.

Puste przestrzenie USA, byle daleko od wybrzeża

Pierwszy stały obóz internowania dla *Nikkei* zostaje otwarty już na początku marca 1942 roku. Ostatni, dziesiąty – pod koniec października. Z lotu ptaka obozy przypominają upiorne miasteczka z podzielonymi na kwartały dzielnicami i ulicami pod kątem prostym: nie rośnie tu najmniejsze drzewo, nie ma chodników ani samochodów, sklepów i zakładów fryzjerskich.

Znalezienie terenów pod ich budowę nie było proste. Musiały być w miarę blisko tymczasowych centrów ewakuacyjnych, żeby transport internowanych ludzi nie trwał za długo, do trzech dni jazdy pociągiem (podczas przejazdów przez miasta *Nikkei* byli proszeni o zasłanianie okien, żeby nie drażnić Amerykanów swoim wyglądem). Wystarczająco jednak daleko od Zachodniego Wybrzeża i terenów militarnych, żeby amerykańscy Japończycy nie zagrażali bezpieczeństwu państwa. Większość ośrodków internowania postawiono na terenach pustynnych, z majestatycznymi górami na horyzoncie, niektóre jednak stanęły na terenach bagiennych. Czasem rząd wykupywał ziemię pod obozy od farmerów, częściej jednak odbierał im grunty, nie wypłacając w zamian odszkodowań. W wielu przypadkach ziemia, na której stały obozy, należała do rdzennych mieszkańców Ameryki. Zarządzaniem obozami miała się zająć specjalna agencja rządowa – War Relocation Authority (WRA). Pierwsi internowani przybywali często do jeszcze niewykończonych obozów. Jeśli chcieli mieć dach nad głową, musieli pomagać przy stawianiu baraków.

Ostatecznie obozy dla *Nikkei* zbudowano w Manzanarze i Tule Lake (Kalifornia), w Poston i Gila (Arizona), Minidoce (Idaho),



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Heart Mountain (Wyoming), Granadzie, obóz zwany Amache (Kolorado), w Topaz (Utah), Rohwer i Jerome (Arkansas)¹⁰.

Tonai

Lata 1942-1945.

Obóz Amache, Granada, Kolorado

Nauczyciel w obozowej szkole jest białym Amerykaninem. Rozgląda się po klasie. – Czy ktoś ma jeszcze pytania?

Zgłasza się Minoru Tonai, trzynastoletni uczeń, od roku mieszkający w Amache: – Mówił nam pan, że zostaliśmy tu zamknięci dla ochrony przed Amerykanami, którzy są na nas źli za Pearl Harbor i mogliby nas skrzywdzić. Obóz otoczono drutem kolczastym, na wieżyczkach strażniczych stoją ludzie, którzy pilnują naszego bezpieczeństwa.

Nauczyciel potakuje: – Bo tak właśnie jest, Minoru.

Uczeń: – To dlaczego ich karabiny są skierowane w naszą stronę?

W każdym baraku jest sześć pokoi. Ściany między nimi są tak cienkie, że rodzina Tonai słyszy, co się dzieje u najdalszych sąsiadów. W innych obozach ścian nie doprowadzono nawet do sufitu – ludzie żyją w rytmie płaczu dzieci, chrapania ojców, kłótni małżeńskich. Obite papą ściany zewnętrzne mają szpary, przez które nieustannie sypie się do środka piasek. Jeśli w nocy obóz zaatakują burza piaskowa, co zdarza się bardzo często, Minoru budzi się rano pokryty szarym pyłem. Piasek wpada też przez podłogę – to cegły bez zaprawy ułożone na gruncie. Konstruktorzy zaplanowali wprawdzie drewnianą podłogę w barakach, i tak jest w pozostałych miejscach internowania, ale Amache zostało zbudowane na końcu, pośpiesznie, nie było już czasu na układanie desek. To sprawia, że czasem podczas silnych wiatrów ściany baraków, których nie scalono z podłogą, rozkładają się na boki.

W każdym pokoju mieszka jedna rodzina – od trzech do dziesięciu osób. Bywa jednak, że umieszcza się w nich obcych sobie ludzi. Na każdego amerykańskiego Japończyka przypada jedno łóżko, wypchany sianem materac i koc wojskowy. Z sufitu w każdym pomieszczeniu zwisa jedna żarówka. W kącie stoi piecyk, który zimą ogrzewa pokój. Nie ma szaf, wieszaków, stołów ani krzeseł. Mama Minoru buduje więc tymczasowe konstrukcje z walizek, jakby była małą dziewczynką i tylko bawiła się w dom. Każdy śmieć pozostały po budowie obozu jest w Amache bezcenny. Minoru nauczył się stolarki jeszcze od swojego ojca. Z resztek desek i pordzewiałych gwoździ konstruuje wieszaki na ubrania i półki na naczynia. Mama ze zdobytych kawałków materiału szyje zasłonki na okna.

W każdym kwartale obozu stoi osiem identycznych baraków. W całym Amache jest kilkanaście kwartałów. W obozie mieszka

ponad siedem tysięcy ludzi. To najmniejsze z dziesięciu miejsc internowania *Nikkei*.

Każdy kwartał ma swoją stołówkę. W Amache ludzie wymieniają się informacjami, gdzie można najlepiej zjeść. Wyprawa do stołówki w innym kwartale to namiastka rodzinnego wyjścia do restauracji. Minoru uważa jednak, że nie ma to większego sensu. Jego zdaniem jedzenie wszędzie jest tak samo niesmaczne, codziennie to samo, żadnego wyboru. Ryż podawany jest na słodko, choć Japończycy tak nie jadają. Do każdego posiłku dostarczane jest mleko. Prawie nikt go nie pije, bo Japończycy źle je trawią. Minoru i jego kuzyn stanowią tu wyjątek, mleko im nie szkodzi. Warzyw nie ma wcale. *Nikkei* pochodzący z farm dostali od władz obozu zgodę na uprawę ziemi, więc to się powinno wkrótce zmienić. Mięso trafia się rzadko, kilka razy na stołach pojawia się konina. Sytuacja się poprawi, gdy *Nikkei* zaczną hodować kurczaki.

Każdy barak ma swoją łazienkę podzieloną cienką ścianką na strefę damską i męską. W drodze do męskiej toalety Minoru mijają dziewczęta w towarzystwie matek. Niosą z sobą złożone kartony lub kawałki materiału. Chłopca nie dziwi ten widok, podobnie czyni jego mama i siostra. Wie, że łazienki dla kobiet są urządzone identycznie jak męskie: to ciąg kilkunastu sedesów ustawionych jeden obok drugiego. Bez przegródek, zasłonek, ścianek. Dla kobiet to prawdziwy kłopot. Japońskie dziewczęta są nieśmiałe, toaleta jest dla nich tabu. Któraś wymyśliła więc kurtynę z tkaniny, którą jej towarzyszka musi trzymać podczas korzystania z ustępu. To pozwala zachować minimum intymności. Inna dziewczyna znalazła duży karton, który nałożyła na siebie, zamykając się w przenośnej budce. Za jej przykładem poszły inne.

Mężczyźni na początku narzekali na łazienki, ale już przywykli. Minoru też korzysta z toalety jednocześnie z sąsiadami z baraku.

Iseri

Lata 1942-1945.

Obóz Heart Mountain, Wyoming

Richard Iseri, skaut z drużyny chłopięcej 323, przykłada do ust trąbkę i gra hejnał *To the color* na cześć Stanów Zjednoczonych. Jego koledzy w tym czasie wciągają na obozowy maszt amerykańską flagę. W Heart Mountain rozpoczyna się dzień. Wieczorami, podczas ściągania sztandaru, Richard gra *Retreat*, wojskową melodię na zakończenie dnia.

Wspomina: – Grałem siedem dni w tygodniu, w deszczu, słońcu, burzy piaskowej czy śniegu. Bywały tak mroźne dni, że ustnik trąbki przymarzał mi do warg. Do skautów należałem jeszcze przed wojną, więc kiedy okazało się, że powstaje drużyna w Heart Mountain, od razu wstąpiłem wraz z bratem, George’em. Świątynia buddyjska Koyasan z Los Angeles przysłała nam trąbki i bębny, stworzyliśmy więc zespół. Zostałem trębaczem, bo w szkole grałem na tym instrumencie od czwartej klasy. Mój brat z tego samego powodu dostał bęben. Byliśmy bardzo zajęci, bo nasz zespół grał na każdej obozowej uroczystości i paradzie. Ze wszystkich sił starałem się grać najlepiej, jak umiałem. Chciałem, żeby moja ojczyzna – Ameryka – była ze mnie dumna. Nie zostawiłem patriotyzmu za kolczastymi drutami obozu. Wciąganie flagi było dla mnie zaszczytem.

O ile Richard nie przepadał za pracą na rodzinnej farmie, teraz – ku zdumieniu swoich rodziców – sam zgłosił się do pomocy przy uprawie



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

ziemi za drutami obozowymi, nad rzeką. Wiosną, zwolniony z lekcji, orze traktorem ziemię, z której wyrosną ziemniaki i groch. Latem uczestniczy w zbiorach upraw. Pomaga też w kurniku.

Zapytany o zmianę upodobań, wyjaśnia mamie: – Teraz to jest dla mnie zabawa. Przedtem musiałem to robić.

Po latach przyznaje, że czuł się w obozie szczęśliwy: – Mówię to z niechęcią, bo wiem, jak wielka niesprawiedliwość spotkała moich ludzi. Ale wtedy miałem trzynaście, czternaście lat i tamten czas był dla mnie beztroski. Pani mówi, że zdjęcie z obozu, które pokazuję, jest smutne. Zostało zrobione zimą. Na śniegu wokół masztu stoi kilkuset *Nikkei*. Salutują amerykańskiej fladze. Z ust wylatują im obłoczki pary. Też tam jestem, skończyłem grać i stoję na baczność. To czas mojego dzieciństwa, nie widzę tam smutku. W naszym obozie byliśmy dobrze traktowani, nikt nas nie dyskryminował, obsługa odnosiła się do nas uprzejmie, strażnicy pewnie nudzili się na wieżyczkach, bo nikt nie próbował uciekać. Japończyków wychowuje się w szacunku do władzy. Teraz wiem, że niektórzy protestowali przeciwko łamaniu praw człowieka, ale wtedy polityka była daleko ode mnie.

Historia

Lata 1942-1945.

Stany Zjednoczone Ameryki

Fred Korematsu, Japończyk urodzony w Oakland, ukrywa się przed wywiezieniem. Złapany, zostaje skazany na podstawie dekretu wykonawczego 9066 na pięć lat więzienia w zawieszeniu. Wraz z rodziną trafia do obozu internowania Topaz w stanie Utah.

Student Gordon Hirabayashi celowo wychodzi na ulicę w czasie godziny policyjnej, twierdząc, że ogranicza ona jego wolność i prawa. Zostaje skazany na dziewięćdziesiąt dni więzienia.



cdjskfjsfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii

W obozie przejściowym Santa Anita *Nikkei* protestują, bo Amerykanie nie dali im odżywek dla niemowląt. Dzieci matek, które nie mają pokarmu, głodują.

Ludziom nie podobają się kwestionariusze, które muszą wypełnić po przybyciu do stałych obozów internowania. A zwłaszcza dwa punkty.

Pytanie numer 27: „Czy jesteś gotów służyć w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych, gdziekolwiek otrzymasz rozkaz?” (w domyśle – także w Japonii).

I pytanie 28: „Czy przysięgasz bezwarunkową wierność Stanom Zjednoczonym Ameryki i będziesz wiernie bronił Stanów Zjednoczonych przed jakimkolwiek atakiem ze strony sił zagranicznych lub krajowych oraz przewidujesz jakąkolwiek formę lojalności lub posłuszeństwa wobec cesarza Japonii lub innego obcego rządu czy organizacji”¹¹.

Ci, których oburza kwestionowanie przez rząd ich lojalności wobec Ameryki, wpisują na karcie dwa razy „nie”. Nazwani *no-no boys* zostają odseparowani od rodzin i przewiezieni do obozu Tule Lake w Kalifornii, gdzie mają przebywać w sektorze dla szczególnie niebezpiecznych *Nikkei*.

Trzystu internowanych mężczyzn, którzy odmówili w 1944 roku służby wojskowej, skazuje się na trzy lata więzienia. Jest wśród nich student Gordon Hirabayashi. Największa grupa opozycjonistów – osiemdziesięciu pięciu – pochodzi z obozu Heart Mountain.

W obozach zdarzają się przypadki honorowych samobójstw internowanych Japończyków. Bywa, że ci, którzy czuli się stuprocentowymi Amerykanami, radykalizują się i odkrywają swoją japońskość. Ktoś zaczyna deklorować sympatię wobec cesarza, ktoś inny obchodzi uroczyste dzień ataku na Pearl Harbor. Rośnie w siłę, zwłaszcza w Manazanar, grupa japońskich nacjonalistów skupionych wokół skrajnie prawicowej organizacji Black Dragons.

Ci spośród młodych mężczyzn, którzy zdecydowali się wstąpić do wojska, po przeszkoleniu zostają wcieleni głównie do 442 Pułku Piechoty, składającego się z obywateli amerykańskich azjatyckiego pochodzenia (przede wszystkim Japończyków). Przejdą szlak bojowy we Włoszech i we wschodniej Francji, gdzie wsławią się niezwykłą walecznością. Żołnierze 442 Pułku otrzymają najwięcej odznaczeń bojowych w historii armii amerykańskiej.

Tonai

Lata 1942-1945.

Obóz Amache, Kolorado

Rano, przed rozpoczęciem lekcji, Minoru wraz ze wszystkimi kolegami ze szkoły kładzie prawą dłoń na sercu i powtarza:

– Ślubuję wierność fladze Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz republice, którą symbolizuje. Jeden naród niepodzielny, ofiarujący wolność i sprawiedliwość wszystkim.

Nauczyciele przyznają, że nigdy jeszcze nie mieli takiego komfortu uczenia. Dzieci są zdyscyplinowane, posłuszne, nie



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

rozmawiają podczas zajęć. Osiągają wysokie wyniki w nauce, o wiele lepsze niż ich koledzy na wolności.

Minoru Tonai tłumaczy: – Cały czas myślałem o tym, że muszę się jeszcze bardziej starać.

Chłopiec lubi swoich nauczycieli. Kilkoro z nich jest Japończykami, tak jak internowany doktor Torami, matematyk ze Stanford University. Większość to jednak biali Amerykanie. Jest wśród nich pani Hopcraft, wiekowa nauczycielka z aparatem słuchowym, autorka książek dla dzieci. Zgłosiła się do obozu jako wolontariuszka, uważając, że Japończykom stała się krzywda. Dzieci ją kochają, ale lubią też płatać figle. Jeden z kolegów Minoru udaje, że mówi coś do nauczycielki, ale porusza tylko ustami. Kobieta irytuje się wtedy, że znów zepsuł się jej aparat.

Nauczyciele mieszkają poza obozem, w oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów miasteczku Lamar. Do pracy dowozi ich

codziennie autobus i zaraz po lekcjach zabiera do domów. To im się jednak nie podoba. Chcieliby poznać swoich uczniów lepiej, żeby móc im pomagać. Składają więc prośbę o postawienie na terenie obozu baraków nauczycielskich, żeby mogli zamieszkać ze społecznością *Nikkei* w Amache.

Po przeprowadzce do obozu pani Hopcraft organizuje po lekcjach godzinę w świetlicy. Rozmawia wtedy z uczniami o ich marzeniach, ambicjach i doradza w kłopotach. Szybko orientuje się jednak, że tylko chłopcy zostają po zajęciach.

Minoru Tonai: – Dowiedziała się od nas, że dziewczyny po szkole od razu wracają do domów, bo mają dużo obowiązków. Sprzątają, piorą, gotują, opiekują się młodszym rodzeństwem. Ubłagała jednak rodziców, żeby uczennice też mogły zostawać w świetlicy.

Ponad dwa lata po aresztowaniu, na początku lutego 1944 roku, do rodziny Tonai dołącza ojciec, pan Gengoro. W jego uwolnieniu pomógł sąsiad z San Pedro, Amerykanin o nazwisku Meechum. Na prośbę pani Tonai trzykrotnie wysyłał do władz list z poświadczeniem, że pan Gengoro jest dobrym i prawym człowiekiem.

Minoru Tonai: – Tato wrócił z zupełnie białymi włosami, ale nigdy nie opowiadał o tamtym czasie. Wiem tylko, że był w ośmiu więzieniach z rzędu.

W obozie każdy dorosły stara się pracować. Za zarobione pieniądze można robić zakupy w kantynie, internowani mogą też wychodzić do pobliskiej Granady. Miasteczko, początkowo niechętnie obecności obozu *Nikkei*, zaczyna rozkwitać. Japończycy są klientami miejscowych sklepów, zatrudniają się też chętnie u farmerów, którym z powodu wojny brakuje rąk do pracy. Można też zarabiać na terenie obozu. Jeśli komuś uda się sprowadzić maszynę do

szycia, zostaje krawcem, zdobyte szewskie narzędzia przekwalifikowują człowieka w szewca. Powstają też nowe zawody. Na terenie obozu nie brakuje węży, pożądani są więc łapacze żmij i grzechotników. Mięso gadów sprzedają jako afrodyzjak, skórę – na paski dla elegantek, jad – na surowicę dla ukąszonych. Mama Minoru, pani Toyone, pracuje na terenie Amache jako pomywaczka w kantynie. Ojciec jest palaczem w kotłowni, która ogrzewa wodę dla ich kwartału. Tak sumiennie przykłada się do pracy, że pewnego razu kocioł wybucha, doprowadzony do zbyt wysokiej temperatury. Minoru w wolnym czasie pomaga na obozowej farmie. Panują tu sprzyjające warunki do uprawy, więc nadwyżki, które produkuje Amache, są wysyłane do innych obozów.

Minoru Tonai: – Mój ojciec nigdy na nic nie narzekał. Na bankructwo firmy. Na uwięzienie. Na ciężką pracę. Miał fatalistyczne podejście do życia i godził się z losem. Ja na jego miejscu wygrażałbym niebu, a on powtarzał *shikata ga nai*. Im byłem starszy, tym mniej mi się w obozie podobało. Raz, przypadkiem, pod koniec pobytu, wpadł mi w ręce wewnętrzny raport War Relocation Authority. Mój przyjaciel Satoshi Hayashi wszedł do baraku kwatery głównej obozu, zobaczył go na stole, schował pod bluzę i wyniósł. To było coś w rodzaju raportu dotyczącego ewakuacji *Nikkei*. Jego autor napisał, że informacje o zagrożeniu płynącym ze strony społeczności japońskiej w Ameryce były fałszywe i celowo rozpowszechniane, żeby się nas pozbyć. Duży udział mieli w tym brać amerykańscy farmerzy, którzy chcieli przejąć majątek *Nikkei* – zwierzęta, ciężarówki, plony i domy. Że wspierali ich politycy, zwłaszcza z Kalifornii. Wykorzystali uprzedzenia, żeby się wzbogacić. Był tam też cytat z jednego z generałów: „Japoniec zawsze zostanie Japońcem, niezależnie od tego, gdzie się urodził”.

Podrzuciliśmy ten raport z powrotem, nie mieliśmy jak go skopiować. Popadłem w przygnębienie. Miałem szesnaście lat. Postanowiłem zrezygnować ze szkoły, nie iść na studia. Nie widziałem sensu w kształceniu, skoro w oczach Amerykanów pozostanę na zawsze tylko Japońcem. Czułem, że tam, za drutami, czeka mnie już zawsze tylko nienawiść. Przestałem nawet chodzić na zbiórki skautów. Uratowała mnie matka. Powiedziała: „Och nie, synu, nie martw się. Jeszcze będzie lepiej, niech tylko skończy się wojna. Życie nie jest tak złe, jak teraz myślisz”.

Sierpień 1945 roku.

Obóz Amache, Kolorado

Pani Hopcraft, nauczycielka z aparatem słuchowym, wchodzi do klasy Minoru i mówi wzruszona: – Dzieci jestem tak szczęśliwa. Tak bardzo szczęśliwa. To najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Zgłasza się uczeń: – Dlaczego jest pani szczęśliwa?

Nauczycielka uśmiecha się: – Właśnie się dowiedziałam, że w końcu jesteście wolni! Wojna się skończyła. Możecie opuścić obóz.

Minoru się zgłasza: – Pani Hopcraft, co się z nami teraz stanie? Czy wyrzucą nas z obozu? Zostaniemy w Kolorado czy każą nam wyjechać? Co będziemy jeść, za co żyć? Moi rodzice stracili wszystko, są już starzy, nie mają dokąd iść.

Nauczycielka smutnieje: – Och, przykro mi. Przepraszam, tak mi przykro.

Minoru Tonai: – Całe życie żałowałem, że tak się wtedy do niej odezwałem. Nie powinienem. Ona myślała o wszystkim w kategoriach wolności człowieka, to było dla niej najważniejsze. A ja bałem się o nasze przetrwanie. Potraktowałem ją zbyt surowo. Kiedy dowiedziałem się, że umarła, napisałem list do jej córki

z przeprosinami. Nigdy mi nie odpowiedziała. Prawdopodobnie pomyślała, że jestem okropnym człowiekiem.

Iseri

Lata 1945-1948.

Wyoming, Oregon, Kalifornia

Internowani opowiadają sobie legendę o amerykańskiej rodzinie z Livingston, która zaopiekowała się gospodarstwem swoich japońskich sąsiadów, a potem je im oddała. Nie jest to jednak przypadek rodziny Iseri. Farmę, na której pracowali, dzierżawi już ktoś inny. Ich ruchomości ludzie rozdzielili między sobą. Rodzina nie ma żadnych oszczędności.

Shigeko i Naoki dowiadują się, że we wschodnim Oregonie jest farma, która przyjmuje byłych internowanych do pracy. Decydują się tam zatrudnić. Na drogę dostają od amerykańskiego rządu bilet kolejowy i dwadzieścia pięć dolarów. W październiku 1945 roku rodzina Iseri opuszcza Heart Mountain w Wyoming na zawsze.

Ludzie nazywają to „garbatą robotą”. Iseri są na polu, zanim jeszcze wstanie słońce. Pracują, dopóki cokolwiek widać. Schyleni przez cały dzień, pielą sałatę albo podpierają trzcinę cukrową. Przerwę robią w samo południe, kiedy jest zbyt gorąco. Ból pleców nie pozwala się wyprostować przez cały dzień. Richard z rodzeństwem pomaga na polu, ale chodzi też do szkoły, trenuje bieganie, baseball i football amerykański. Dyrektor szkoły, komandor marynarki wojennej, który w czasie wojny walczył na Pacyfiku, za każdym razem, gdy mija na korytarzu *Nikkei*, woła za nim: – Ty Japońcu!

Pani Shigeko nigdy nie odpoczywa. W wolne dni sprząta i pierze. Pan Naoki kocha żonę, ale jest japońskim mężczyzną, więc jej nie pomaga. Martwi się jednak, że Shigeko ma wysokie ciśnienie, więc po trzech latach decyduje o przeniesieniu rodziny do Los Angeles.

Iseri stawiają mały dom na obrzeżach miasta, wśród swoich. Początkowo planowali osiedzić się w Long Beach, dzielnicy sąsiadującej z San Pedro, w której przed wojną żyło wielu *Nikkei*. Jednak obecni mieszkańcy szybko im uświadomili, że to nie jest już okolica dla Japończyków.

W 1948 roku, by zajmować się babcią, do Japonii wyjeżdża na stałe jedna z siostr Richarda, a on sam – na ochotnika – wstępuje do wojska.

Tonai

Lata powojenne.

Los Angeles, Kalifornia

Jeszcze w obozie Gengoro Tonai planował odtworzenie biznesu sprzed wojny. Nie udaje mu się to jednak. W Los Angeles nikt już nie potrzebuje sklepów w starym stylu. Teraz liczy się tylko samoobsługa. A na to Tonai i jego wspólnik nie mają pieniędzy.

Ojciec Minoru postanawia więc, że zostanie farmerem w głębi Kalifornii. Po roku zdaje sobie sprawę, że jednak nie jest urodzonym rolnikiem. Poza tym ma już pięćdziesiąt dziewięć lat, prawie nic nie słyszy i brakuje mu sił do ciężkiej pracy.

Po powrocie do Los Angeles pan Gengoro dostaje pracę u dawnego znajomego, który wzbogaciwszy się na akcjach studiów filmowych, otworzył rynek z farmerskimi produktami. Przedwojenny właściciel sieci Garden Basket teraz nocami przygotowuje

warzywa i owoce do porannej sprzedaży. Odcina zżółnięte końcówki selerom, nacie marchwi i rzodkiewek, wybiera najładniejsze owoce, odrzuca przegnite.

Minoru pracuje w weekendy na targowisku Grand Central Market, gdzie warzywa, owoce i mięso sprzedaje się taniej niż w sklepach. Zarobione pieniądze oddaje rodzicom. Jego mama jest krawcową, nie zna na tyle dobrze języka angielskiego, żeby pracować w biurze. Minoru martwi się, że ojciec pracuje bardzo ciężko. Chce rzucić szkołę średnią i zastąpić tatę w pracy.

– Wolałbym pracować tak jeszcze dziesięć lat, niż zobaczyć, że nie idziesz na studia – mówi mu Gengoro Tonai.

Syn uczy się więc, a ojca zastępuje w czasie przerw świątecznych i wakacji.

W czerwcu 1950 roku wybucha wojna w Korei. Minoru dostaje powołanie do armii.

Teraz

Luty 2019 roku.

Dom pana Richarda Iseri, południowe Los Angeles, USA

Richard Iseri mówi: – Dziewięć miesięcy szkoliłem się na radio-officera w Baltimore, a potem poprosiłem o służbę w Japonii, żeby być bliżej mojej siostry.

Zastanawiam się: – Ameryka okupowała wówczas Japonię. Jak się pan tam czuł? Jako okupant czy okupowany?

Wzrusza ramionami: – Trudno odpowiedzieć. Z jednej strony byliśmy okupantami, z drugiej – wszyscy byli tam wolni. Zresztą 1 lipca 1950 roku byłem już w Korei. Wróciłem po sześciu miesiącach bez paznokcia dużego palca prawej stopy. Straciłem go w północnej Korei, gdzie walczyliśmy z dwoma wrogami – Chińczykami i mrozem. Wracalem do domu z radosną myślą: „Ocaliłem wszystkie moje palce!”

Luty 2019 roku.

Dom pana Minoru Tonai, północne Los Angeles, USA

Pytam jeszcze raz: – I naprawdę nie chciał pan wykręcić się od wojska?

Śmieje się. – To wojsko chciało się wykręcić ode mnie. Zawsze miałem słabe kolana, uszkodziłem je w szkole na treningach koszykówki. A podczas szkolenia dla rekrutów paskudnie zerwałem sobie więzadła. Chciano mnie odesłać do domu, uparłem się jednak. Gdybym nie walczył, byłbym tchórzem, okryłbym hańbą siebie i mój naród. Uparłem się więc, że muszę iść do wojska. Moi przełożeni zobaczyli, że jestem uparty, powiedzieli: „Dobrze, weźmiemy cię do służby medycznej, wyślemy na przeszkolenie, zostaniesz sanitariuszem”. Ale ja chciałem walczyć, a nie opatrywać rany gdzieś na tyłach. Powiedziałem więc: „Nie”. I tak kilka razy się spieraliśmy, aż w końcu usłyszałem: „Wybieraj: służba medyczna czy więzienie za odmowę służby wojskowej”. „Służba medyczna” – odpowiedziałem natychmiast.

Przyjęto mnie do dywizji Gwarii Narodowej, do batalionu sanitarnego. Zrozumiałem, że trafiłem bardzo dobrze. Byłem tam jedynym Japończykiem, ale wszyscy byliśmy dziećmi, które przeżyły wojnę światową. Staralem się na szkoleniu, wiedząc, że będę mógł uratować komuś życie. Ukończyłem kurs z pierwszą lokatą, nie dlatego, że byłem najmądrzejszy, ale najbardziej mi zależało.

Po przeszkoleniu medycznym 1 kwietnia 1951 roku wsiadłem na statek do Japonii. W mojej kompanii znów byłem jedynym Japończykiem. W Tokio spotkałem się z siostrą, którą zostawiliśmy w 1935 roku, żeby nie było smutno naszemu bratu. Wyszła za mąż, miała dzieci. W PX – sklepie tylko dla żołnierzy – kupiłem jej amerykańskie słodczyce, za którymi bardzo tęskniła.

Dziesięć miesięcy później wyruszyliśmy do Korei. Pilnowaliśmy tam więźniów, kopaliśmy latryny, leczyliliśmy ludzi. Dowodziłem oddziałem, bo jako jedyny znałem japoński, a starsi Koreańczycy znali ten język. Wróciłem do domu po kolejnych ośmiu miesiącach.

Historia

Druga połowa XX wieku. Stany Zjednoczone Ameryki

Prezydent USA Gerald Ford podpisuje proklamację formalnie kończącą działanie dekretu wykonawczego 9066. Przeprasza *Nikkei* za internowanie. Jest rok 1976.

Cztery lata później komisja powołana przez prezydenta Jimmy'ego Cartera, dochodzi do wniosku, że ewakuacja społeczności japońskiej do obozów została podjęta z powodów „uprzedzeń rasowych, hysterii wojennej i upadku przywództwa politycznego”¹².

Fred Korematsu, skazany na pięć lat w zawieszeniu za odmowę ewakuacji, w 1983 roku zostaje zrehabilitowany. W roku 1987 sąd uchyla wyrok skazujący Gordona Hirabayashi na czterdzieści dni więzienia za wyjście z domu podczas godziny policyjnej oraz na trzy lata więzienia za odmowę służby wojskowej.

Rok później prezydent Ronald Reagan podpisuje ustawę o wolności obywatelskiej. Rząd amerykański wypłaca każdemu internowanemu *Nikkei* dwadzieścia tysięcy dolarów odszkodowania (w sumie jeden miliard dwieście milionów dolarów).

W czasie II wojny światowej żaden *Nikkei* nie został przyłapany na szpiegowaniu lub sabotowaniu Ameryki. FBI wiedziało o tym już w 1945 roku, ale raporty na ten temat „zaginięły”. Odnalazły się dopiero we wczesnych latach osiemdziesiątych XX wieku.

Teraz

Minoru Tonai po wojnie w Korei studiował zarządzanie biznesem na uniwersytecie w Los Angeles. Jest wdowcem, ma córkę i syna. Przez wiele lat prowadził firmę specjalizującą się w nowoczesnych technologiach. Działa na rzecz społeczności *Nikkei*.

Po powrocie z wojny Richard Iseri ożenił się. Do czasu przejścia na emeryturę prowadził firmę koszącą trawniki.

W połowie lat sześćdziesiątych pojechał z rodziną do wesołego miasteczka Jantzen Beach w Portland, które mieściło się w pobliżu tymczasowego obozu internowania. Zdziwił się, że roller coaster, który słyszał nocami sprzed rodzinnego końskiego boksu, jest tak mały.

CDJSKFJKSFIKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
IGIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCH



ZWIZYTĄ U RADZIECKIEGO WĄSATEGO KRÓLA

Santurce

Taśma filmowa jest już bardzo zużyta i wszystko rozmywa się w odcieniach szarości. W drugiej minucie filmu jest 13 czerwca 1937 roku¹, w Hiszpanii od jedenastu miesięcy trwa wojna domowa. Cofam nagranie i puszczam jeszcze raz. W tłumie utrwalonym tamtego dnia przez radzieckich reporterów kroniki filmowej wypatruję dwóch chłopców.

Widzę smutną kobietę, która tuli nastoletnią dziewczynę w szarym swetrze. Obserwuję, jak dym unoszący się z komina statku „Habana” szarymi kłębamii zasnuwa niebo. Podglądam skrępowaną obecnością kronikarzy mamę, która wyciera dłonią buzię zapłakanej siedmiolatce i zerka w stronę obiektywu. Zatrzymuję ujęcie na żołnierzu w szarym mundurze – nachyla się nad dwójkiem dzieci i całuje je bez końca.

Chłopcy, których szukam, są w zbliżonym wieku – José María Bañuelos Hidalgo ma dziewięć lat, Serafin González Martínez jest o rok starszy. I choć ich życie zaczyna właśnie biec równoległymi torami, będą się znać najwyżej przelotnie.

Pierwszy czeka na zaokrętowanie w baskijskim porcie Santurce w towarzystwie mamy, siostry i dwóch braci – popłynie w rejs z rodzzeństwem. Nie płaczą, to ich rodzinna dewiza.

Drugi jest jedynakiem. Podczas rejsu zaopiekują się nim córki sąsiadów. Przyjechał do portu z rodzicami. Płaczą wszyscy.

Nie umiem ich znaleźć wśród ludzi utrwalonych na filmie, panuje tam bałagan. Matki, ojcowie, babki, dziadkowie, ciotki, wujowie odprowadzili do portu cztery i pół tysiąca dzieci. Nad chaosem próbują zapanować opiekunowie. Przypinają dzieciom do ubrań kartoniki z imieniem, nazwiskiem i portem docelowym. Niektórzy wysiądą we Francji, inni w Anglii. Tysiąc pięciuset pasażerów przesiądzie się w Bordeaux na statek „Santoy” i popłynie aż do Leningradu w Związku Radzieckim. Wśród nich José María i Serafin.

Radzieccy kronikarze filmują starszego mężczyznę w berecie, który klepie jedno z dzieci w plecy, jakby dawał do zrozumienia, że pora już iść.

Ruszają więc.

Najmłodsi mają po pięć lat, najstarsi – po piętnaście. W szarych płaszczach uszytych na wyrost, świeżo podstrzyżonych włosach, nieco krótszych na zapas, dźwigają torby i walizy, na dno których matki włożyły skarpetki na zmianę, a na wierzch położyły kromkę czarnego, wojennego chleba.

Ostatnie porady. „Bądź grzeczna”. „Zjedz coś na statku”. „Ciepło się ubieraj”. „Napisz list, jak dołyniecie!”. „Nie płacz, najdalej za pół roku wrócisz do domu”.

(Tak naprawdę pierwsi z tych, którzy popłyną do Leningradu, wrócą po dziewiętnastu latach, ale teraz nikomu z obecnych w porcie nie zmieściłoby się to w głowie).

Kamera śledzi chłopaczka w bluzie z białym kołnierzykiem. Dziecko wyciera twarz chustką wielką jak poszewka jaśka i idzie z innymi w stronę statku.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii

Pada deszcz, drobna, ale męcząca mżawka, która choć ledwo widoczna, potrafi przemoczyć na wylot w kilka minut. Baskowie mają dla niej specjalną nazwę – *sirimiri*.

Matki rozkładają czarne parasole i długo spoglądają w morze, aż stary francuski statek „Habana” z ich dziećmi na pokładzie rozplynie się na szarym horyzoncie.

Dziennikarze kroniki filmowej dokręcają na koniec jeszcze Baska, jak wymachuje karabinem na pożegnanie odchodzącej jednostce.

Leninград

Dziewięć dni później towarowy statek „Santoy” wchodzi do leninградzkiego portu w eskorcie radzieckiej floty. Jest ciemno, druga w nocy. To martwi oficera NKWD o nazwisku Trojanowski², który odpowiada za wyokrętowanie półtora tysiąca Hiszpanów. Rano statek i jego pasażerów mają witać na nabrzeżu setki ludzi. Dziesiątki chórzystów od wielu dni ćwiczyły *Międzynarodówkę* w języku hiszpańskim, orkiestry dęte wprawiały się w *Himno de Riego* – hymnie Republiki. Młodzież wyhaftowała powitalny sztandar z hasłem „Pionierom bohaterskiej Hiszpanii od pionierów miasta Lenina”, przygotowano też setki flag radzieckich i republikańskich, którymi mają wymachiwać roześmiane tłumy. Czekają stanowiska dla dziennikarzy, komisarzy ludowych i oficerów NKWD. Trojanowski postanawia więc, że dzieci opuszczą statek dopiero, gdy zrobi się jasno.

Płynęli przez sztormowe morze. Wymiotowali wszyscy. Większość z nich – pod pokładem, gdzie zamiast beczek czy paczek podłogę w grodziach przykrywały materace. Brakowało bulajów, morza więc nie było stamtąd widać. Można je było jednak poczuć, bo

bujało statkiem z lewej strony na prawą, z przodu w tył. Nikt nie biegał do toalety, nikt nie szukał wiadra czy choćby nocnika. Każdy zwracał tam, gdzie akurat stał, siedział lub leżał. Kwaśny odór towarzyszył wszystkim podczas jedzenia codziennie tej samej porrawy z ryżu, w trakcie zabawy w wojnę, ssania kciuka przez sen i rozdzierającego szlochu za mamą po przebudzeniu.

Teraz są u kresu podróży i sił. Brudni (na statku nie myli się ani razu), potargani, wygnieceni. Ściskają w rękach walizki, tobołki i plecaki. Oszołomieni i wystraszeni. Wystarczy, że jedno zaczyna płakać, a tży lecą jak iskra po kablu i za chwilę kilkaset najbliższych dzieci rozmywa łzami brud na policzkach.

W końcu zaczynają schodzić z trapu.

W ich kierunku lecą wiązanki kwiatów, gra orkiestra.

Pierwsze hiszpańskie dziecko stawia stopę w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Biały chleb i kasza gryczana

– Płynęliście do sowieckiego rajy – mówię do Serafina Gonzáleza Martíneza.

– Tak nam mówiono na statku – potwierdza. – I to się okazało prawdą.

– Jak to?

– No choćby taka rzecz, że w Leningradzie pierwszy raz w życiu umyłem zęby. Dali nam wszystkim proszek i szczoteczki, pokazali, jak ich używać. Po raz pierwszy wziąłem też prysznic. Nie mieliśmy w domu łazienki. Między Hiszpanią a Związkiem Radzieckim była wtedy przepaść cywilizacyjna. Myślę, że żadne spośród ewakuowanych ze mną dzieci nie myło zębów wcześniej – Serafin González Martínez uśmiecha się w moim kierunku. Nie widzi od kilku lat. Rozmawiamy po rosyjsku, bo nie zapomniał języka. Kiedy jeszcze mógł, czytał *Sołżenicyna* w oryginale.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Wspomnienia z pobytu w Związku Radzieckim spisał jednak po hiszpańsku³. Zaczął na maszynie do pisania jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku, skończył na komputerze tuż przed początkiem XXI wieku. Nie chce publikować swojej książki, została napisana wyłącznie dla rodziny, ale pozwoli mi ją przeczytać.

Milkniemy na chwilę. Za oknem jego mieszkania w małym nadmorskim, baskijskim Getxo zaczyna *sirimiri*. Jest koniec lutego 2020 roku.

Z José Marią Bañuelosem Hidalgo spotkam się dzień później w tym samym miasteczku. Zamówi mocną kawę i kieliszek białego wina w kawiarni w pobliżu portu. Zdejmie z głowy baskijski beret i spróbuje powiedzieć coś do mnie po rosyjsku.

– Mówię już tylko trochę. Kilka słów, nic więcej – zaśmieje się, gdy w miejsce rosyjskich zwrotów będą pchać się hiszpańskie. Skorzystamy więc z pomocy tłumacza – syna ludzi ze statku „Santoy”, który w latach pięćdziesiątych XX wieku urodził się w Związku Radzieckim i przyjechał z rodzicami do Hiszpanii w latach siedemdziesiątych. – W leningradzkim porcie podzielono nas na grupy, mniej więcej po dwieście dzieci, i rozwieziono autokarami do różnych budynków. Tam mieliśmy spędzić trzy dni.

– Coś pana wtedy zaskoczyło? – zapytam go.

– Jedzenie. Dano nam biały chleb i kaszę gryczaną, której wcześniej nie znałem. Dano ser, szynkę, masło. Do picia było kakao i café con leche. To była rozpusta po roku głodowania. Myślałem, że jesteśmy gośćmi radzieckiego wąsatego króla. Jego portrety wisiały wszędzie.

Niegrzeczne, choć jedzą warzywa

Radzieccy lekarze badają hiszpańskich uchodźców. Dzieci są w większości niedożywione, bywają wśród nich skrajnie wygłodzone. Część ma wszy – doktorzy zalecają obcięcie warkoczy niektórym dziewczynkom. Zaglądają do tysiąca pięciuset gardeł,

śluchają serc i płuc. Zlecają prześwietlenia. Kilkadziesięcioro dzieci ma gruźlicę, wypisują im skierowania do sanatoriów.

Radzieckie kucharki nie mogą się nadziwić, że mali Hiszpanie jedzą tyle warzyw i owoców. Miejscowe dzieci trzeba zmuszać.

Radzieccy tymczasowi wychowawcy uważają, że hiszpańskie dzieci są niegrzeczne. Dziewczynki i chłopcy nie chcą się kąpać wspólnie pod prysznicami. Mówią, że nagość jest zła. Płaczą, choć tłumaczy im się, że sowieckie dzieci nie robią z tego problemu. Rozmawiają podczas jedzenia. Nie potrafią stać na baczność w czasie apelu. Bez przerwy dopytują o bagaże, które im odebrano, a niektóre narzekają na stroje pionierów, które dostały w zamian. W leningradzkiej filharmonii buczały i tupały, gdy orkiestra grała specjalnie dla nich utwory muzyki klasycznej. Uspokajały się tylko przy *La Cucarachy* i *Cielito lindo*.



Prysmaki dla wielbłądów

José María Bañuelos Hidalgo pochodzi z rodziny tak biednej, że nawet Trzej Królowie nie przynoszą mu podarków. Co roku, 5 stycznia, każde hiszpańskie dziecko, nim pójdzie spać, kładzie w domu jakiś przysmak dla królewskich wielbłądów, bo wie, że rano znajdzie w tym miejscu prezenty. Jednak u José Maríi żadne z jego rodzeństwa 6 stycznia nigdy nic nie dostawało. Każde z nich nauczyło się więc samo robić zabawki dla siebie. José najbardziej lubi statki.

Chłopiec urodził się w baskijskiej miejscowości Ortuella, oddalanej od miasta Bilbao o trzy godziny marszu. Do najbliższego portu w Santurce idzie się tylko godzinę.

Jego ojciec, Benigno, jest Baskiem, górnikiem i należy do anarchosyndykalistycznej Krajowej Konfederacji Pracy (Confederacion

Nacional del Trabajo). Matka José – María, Baskijka, pracownica w sklepie rybnym, także jest anarchistką. Najstarszy brat, też Benigno, urodzony w 1925 roku, sprzyja komunistom. Reszta rodzeństwa – Cecilia, Paco i on, najmłodszy (rocznik 1928), nie ma jeszcze określonych poglądów.

Zbiorowy obłąd

W 1931 roku, kiedy José María miał trzy lata, wybory w kraju wygrali socjaliści i liberałowie. Ogłosili powstanie Republiki, przyznali kobietom prawa wyborcze i wprowadzili świeckie szkoły. Ludziom związanym z lewicą, takim jak ojciec José Maríi – a były ich w Hiszpanii miliony – podobały się nowe porządki. Na zwycięstwie lewicy tracił jednak Kościół, arystokracja i posiadacze ziemscy. Gdy w 1933 roku władzę przejęła znów prawica, zaczęła cofać wprowadzane reformy. Jednak trzy lata później, w lutym 1936 roku, lewica zjednoczona we Froncie Ludowym (partie komunistyczne, socjalistyczne, anarchistyczne, syndykalistyczne i liberalne) ponownie wygrała. Hiszpania pogrążyła się w chaosie. Ludzie wyszli walczyć ze sobą na ulice, mordowano księży, płonęły kościoły, w siłę rosła faszystowska organizacja Falanga i jej bojówki. Ultraprawicowe ugrupowania wsparte przez prawicowych wojskowych deklarują gotowość do obrony starego porządku i przeprowadzenia zamachu stanu.

Miguel de Unamuno, hiszpański pisarz zamknięty w areszcie domowym, skłócony z lewicą i prawicą, w 1936 roku udzieli wywiadu polskiemu reporterowi Romanowi Fajansowi. Będzie ubolewał: „Stawianie sobie koncepcji: »walka chrystianizmu lub nacjonalizmu z bolszewizmem« jest, może mi pan wierzyć, zbyt upraszczaniem zagadnienia. [...] To jest obłąd, zbiorowy obłąd, psychoza, przy czym nie brakuje jej z obu stron. Hiszpanie to chory naród. Jak katolicyzm hiszpański nigdy nie był i nie jest podobny do

katolicyzmu w innych krajach, tak i ateizm jest różny. Nasz ateizm to negacja nie tylko Boga, ale wszystkiego, chęć absolutnego burzenia, anarchizm duchowy⁴.

19 lipca 1936 roku generał Francisco Franco na czele zbuntowanego wojska rozpoczyna w Hiszpanii „chrześcijańską krucjatę przeciw komunizmowi”. Wybuchła wojna domowa, a Baskowie, którzy właśnie zyskali autonomię, opowiadają się po stronie republikańskiej. José María kończy wtedy osiem lat.

Gra w pelotę

Mama Serafina González Martíneza namacza w misce z ciepłą wodą czystą szmatkę i myje swojego jedynaka od stóp do głów. Chłopiec jest najładniej ubranym dzieckiem w okolicy. A w pele-rynce od ciotki Paquity wygląda jak mały księżę.

– Rozpieszczają go – mówią sąsiadki.

Ojciec Serafina, także Serafin, pokorny i skromny sklepikarz, sam doszedł do wszystkiego, zaczynając od pracy chłopca na po-сылki. Jest Hiszpanem, do Bilbao trafił przypadkiem. Marcela González – Baskijka od pokoleń, kiedyś pracowała w fabryce, ale teraz pomaga mężowi w sklepie. Oboje są bardzo pobożni – nigdy nie zdarzyło im się opuścić niedzielnej mszy, wieczornej modlitwy, świątecznych procesji za figurą Maryi przez jedną z ubogich dzielnic Bilbao, w której mieszkają.

Jedynak Gonzálezów uczy się w szkole prowadzonej przez zakonników. Do klas nie dociera tu nigdy słońce, a na dzieci spogląda ze ścian ukrzyżowany Chrystus. Podczas przerw na klasztor-ny dziedzińcu chłopcy grają w pelotę – baskijską grę, daleką kuzynkę tenisa ziemnego. W Boże Narodzenie rodzice uczniów prześcigają się w obdarowywaniu nauczycieli prezentami. Rodzice Serafina zanoszą do szkoły kosz pełen przysmaków ze swojego sklepu.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Mimo to Francisco Franco uważa ich za swoich wrogów, bo żyją na północy Hiszpanii, w autonomicznej części Kraju Basków, i popierają Republikę.

Kiedy generał zaczyna swój marsz przez Hiszpanię, Serafin González Martínez ma dziewięć lat.

Morze krwi i zbrodni

Ksawery Pruszyński, reporter, korespondent wojenny w Hiszpanii, pisze w 1937 roku: „Ktoś powiedział, że ta wojna będzie początkiem przyszłej wojny europejskiej – walki między dwoma światami, komunizmem i faszyzmem”⁵. Choć pisarz Miguel de Unamuno nazwałby te słowa uproszczeniem, rozmówca Polaka ma wiele racji – Półwysep Iberyjski stanie się polem badawczym dla nowych rodzajów broni, które wejdą do masowego użytku już dwa lata później.

Hiszpańskich nacjonalistów wspierają faszystowskie Włochy i III Rzesza. Z Niemiec płyną do nich pieniądze, czołgi, działa, samoloty i tysiące żołnierzy.

Po stronie republikanów, poza Francją i krajami Ameryki Południowej, stoi głównie Związek Radziecki. Sowieci ślą hiszpańskim towarzyszom pomoc materialną i około dwóch tysięcy wojskowych. Wśród nich są oficerowie NKWD, którym postawiono zadanie przejęcia wpływów wśród lewicy, co czynią nad wyraz skutecznie. Stalin marzy o radzieckiej republice Hiszpanii.

Około pięciu tysięcy Polaków również walczy po stronie republikanów, w Brygadzie imienia Jarosława Dąbrowskiego. Są częścią Brygad Międzynarodowych utworzonych przez Międzynarodówkę Komunistyczną i pozostają pod sowieckim nadzorem. Rząd polski zabrania swoim obywatelom wstępowania bez zgody władz do obcych wojsk, dąbrowszczacy tracą więc automatycznie polskie obywatelstwo i prawo powrotu do kraju.

W Hiszpanii ofiary wojny liczone są już w setkach tysięcy. Cywile, do niedawna sąsiedzi, mordują się wzajemnie. Wojska obu stron zostawiają za sobą spalone wsie, zgwałcone kobiety i martwe dzieci, masowe groby. Z rąk republikanów giną księża i zakonnice, frankiści zabijają sprzyjających lewicy intelektualistów, nauczycieli i urzędników – rozstrzelali między innymi poetę Federico Garcíę Lorcę. Na miasta spadają bomby.

Miguel de Unamuno mówi Fajansowi: „Przyznam się, że nie spodziewałem się takiej mordowni jak obecna. Jestem przerażony, ogłuszony tym, co się teraz dzieje w Hiszpanii. Przerażony i zaskoczony. Nie mogę myśleć o niczym innym. Takie morze krwi i zbrodni! Taki bezmiar okrucieństwa! Jakie tajemnicze moce drzemały w duszy tego narodu? Jaka trucizna płynęła w jego żyłach?”⁶.

Guernica

Jesienią 1936 i zimą 1937 roku bywają dni, gdy Serafin z rodziną spędza godziny w schronie urządzonym w piwnicy sąsiadów. Jej okienka zasłonięto workami z piaskiem dla ochrony przed odłamkami. Owinięci w koce, zaopatrzeni w jedzenie i świece, wsłuchują się w wycie syren alarmowych i jęk spadających na miasto bomb. Wychodzą potem z ciemności i liczą ofiary – kilkunastu nieżywych sąsiadów pod ruinami domu w ich dzielnicy, sto trzynaście zwłok za rzeką. Dowiadują się o zabitych krewnych, znajomych, przyjaciółach. Dociera do nich plotka o niemieckim pilocie zestrzelonym nad terenem opanowanym przez republikanów i mieszkańcach, którzy dosłownie rozdarli Niemca na kawałki.

Domy w mieście trawią pożary. Panuje głód. Kawalek czarnego, niesmacznego chleba musi czasem wystarczyć Serafinowi na tydzień.

Pod koniec kwietnia 1937 roku Wolfram von Richthofen, dowódca Legionu Condor, niemieckiego korpusu ekspedycyjnego

Luftwaffe, podejmuje decyzję o zbombardowaniu małego baskijskiego miasteczka Guernica. Miejscowość jest pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia militarnego, ale od kilkuset lat na jednym z placów rośnie dąb – Gernikako Arbola – symbol wolności baskijskich. W ciągu kwadransa piloci zrzucają na Guernicę dwadzieścia osiem ton bomb. Jest dzień targowy, na ulice wyszło pełno ludzi.

Wujek wpisuje na listę

– Moi rodzice nigdy nie byli dalej niż w Bilbao – mówi José María Bañuelos Hidalgo. – Początkowo więc wpisali nas na listę do Francji, bo było najbliżej. Zaraz okazało się jednak, że mają tam rozdzielać rodzeństwa. Poza tym pierwszeństwo mieli katolicy. Do Belgii nie chcieli nas wysłać, bo dzieci miały mieszkać przeważnie w klasztorach. Do Anglii nie było już chyba miejsc, panował wielki chaos. Można było jeszcze płynąć do Meksyku i Chile, ale tato zapisał nas na wyjazd do Związku Radzieckiego. Tylko moja siostra miała trafić do rodziny belgijskiego dentysty.

Trzydzieści tysięcy dzieci, których rodzice sprzyjają republikanom, ma wyjechać z kraju.

Od października 1936 roku ewakuację koordynuje republikański Komitet do spraw Uchodźców. W pomoc zaangażował się Międzynarodowy Czerwony Krzyż przy wsparciu obu stron konfliktu. Z Hiszpanii uciekają też dorośli, ich liczba sięgnie czterystu tysięcy.

– Moi rodzice wciąż się wahali: posłać mnie w nieznaną czy zostawić w domu, ryzykując życie. A gdy już się zdecydowali, to nie wiedzieli, który kraj wybrać – mówi Serafin González Martínez. – Decyzję podjął wujek Ramón, mąż ciotki Paquity. Angażował się politycznie po stronie lewicy, więc zapisał mnie na rejs do Związku Radzieckiego.

Jak pilot Czkałow albo aktorka Orłowa

Przyjazd hiszpańskich dzieci do ZSRR zaplanowano szczególnie starannie. Pierwszy dom, w którym mogłoby zamieszkać stu małych Hiszpanów, jest gotowy już w grudniu 1936 roku. Zgodę na jego powstanie i utrzymanie wyraził sam Józef Stalin. Pierwsze sieroty po republikańskich bohaterach wojny domowej mają trafić do najlepszego moskiewskiego sierocińca. To miejsce wybrał dla nich marszałek Klimient Woroszyłow, członek Politbiura (który w tym czasie odpowiada też za czystki w Armii Czerwonej, a w następnym roku odmówi pomocy Lidii Filipownie Pogoniajło, matce Garrika, i przyczyni się do skazania jej na piętnaście lat łagru).

Hiszpańskim dzieciom nie powinno nigdy brakować jedzenia, ubrań i zabawek. Natychmiast po przyjeździe powinny być wcielone do Wszechzwiązkowej Organizacji Pionierskiej imienia Włodzimierza Iljicza Lenina, gdzie będą zapoznawać się z ideologią komunizmu. Jednocześnie jednak nie wolno im utracić kontaktu z językiem i kulturą swojego kraju. Ze strony Stalina nie jest to gest bezinteresowny.

Opiekę nad uchodźcami ma przejąć NKWD i Ludowy Komitet Oświaty Rosyjskiej (Narkompros).

Rozpoczynają się poszukiwania kolejnych domów, w których Hiszpanie będą żyć. W republice rosyjskiej, ukraińskiej i białoruskiej wyznaczono dwadzieścia dwa miejsca – pałace z czasów carskich, sanatoria dla robotników, domy wczasowe, dawne klasztory i szkoły z internatem. Zleca się tłumaczenie na język hiszpański radzieckich podręczników.

Rusza też machina propagandowa, która ma przekonać Rosjan, że przyjęcie hiszpańskich dzieci jest ich obowiązkiem. Radzieccy korespondenci, którzy są w Hiszpanii od początku wojny, teraz poza informacjami o postępach działań wojennych ślą też wzruszające teksty o losach dzieci żyjących w cieniu bomb. Kroniki

filmowe pokazują zniszczone miasta, trupy, rozpacz i głód. „My, hiszpańskie dzieci – napisze w swoich wspomnieniach José Fernandez, jeden z ewakuowanych – byliśmy w tym czasie tak sławni jak pilot Czkałow albo aktorka Orłowa”⁷.

Pierwsza ekspedycja do ZSRR rusza w marcu 1937 roku, miesiąc przed atakiem na Guernicę. Na pokładzie statku „Cabo de Palos” z Walencji do Jałty wypływa siedemdziesięcioro dwoje dzieci z centralnej i południowej Hiszpanii. Po wakacjach spędzonych nad Morzem Czarnym mają zamieszkać w Moskwie, w wybranym przez Woroszyłowa „domu hiszpańskiego dziecka”.

Kolejna wyprawa do ZSRR płynie z portu Santurce w czerwcu – z Serafinem i José Marią na pokładzie. We wrześniu tysiąc sto dzieci rusza na francuskim statku „Deriguerina” z portu w Gijon. Wkrótce potem ostatni Hiszpanie wyjeżdżają z kraju autobusami, dalej pociągiem przez Francję i w końcu wypływają z portu Le Havre⁸.

W 1937 roku Związek Radziecki przyjmuje w sumie dwa tysiące osiemset dziewięćdziesięcioro pięcioro hiszpańskich dzieci.



Nowy, wspaniały dom

Serafin González Martínez jedzie z Leningradu na południe. Jego grupa liczy dwieście czterdzieścioro dzieci. Męczy ich wielodniowa podróż pociągiem, Serafin kilka razy spada we śnie z kuszetki na podłogę. Podobają im się za to postoje. Hiszpańskich uchodźców na każdym peronie witają pionierzy – kwiatami i śpiewem.

Czas do końca wakacji mają spędzić nad jeziorem w kurorcie Chołodna Bałka, potem zamieszkają w pobliskiej Odessie. Dom, który do tej pory służył radzieckim robotnikom jako ośrodek



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

wczasowy, od teraz będzie nosił nazwę hiszpańskiego domu dziecka numer 3 imienia Siergieja Kirowa (słynnego rewolucjonisty).

Dzieci będą tu miały do dyspozycji dwa budynki (Serafin zamieszka w głównym, z półkolistym tarasem widokowym nad portykiem, drugi zajmą przedszkolaki), dwa duże ogrody, staw, boisko i plac, na którym każdego ranka będzie odbywać się gimnastyka, a w dni świąteczne – uroczyste apele. Szkoła jest w pobliżu. To dwa drewniane piętrowe budynki. Dom hiszpańskiego dziecka numer 3 stoi przy Bulwarze Proletariatu (obecnie Francuskim).

Po drugiej stronie ulicy jest już tylko morze.

Koń Przewalskiego

Występuje w kółku śpiewaczym i tanecznym. Bawi się we wszystkie zapamiętane z domu gry, także w pelotę. Strzela z procy do ptaków (nigdy żadnego nie trafi). W warsztacie ślusarskim i stolarskim uczy się obsługi narzędzi, ale nie lubi tych zajęć. Uwielbia za to szkolną modelarnię – buduje samoloty ze śmigłem

napędzanym gumką, puszcza nad morzem klejone przez siebie latawce. Gdyby tylko chciał, mógłby hodować gołębie, bo w internacie jest gołębnik i urządziła się zawody dla tych ptaków. Albo mógłby uprawiać ogród pod okiem nauczyciela. Ma też psa, wspólnego, bo każda z grup w jego domu opiekuje się zwierzęciem trzymanym od szczeniaka. Im przypadł owczarek niemiecki, nazwali go Herr.

Z okazji świąt proletariackich współtworzy z kolegami gazetki ścienne. Jego przyjaciel Carmelo jest uzdolniony plastycznie – Józef Stalin i Włodzimierz Lenin, którzy wyszli spod pędzla szkolnego artysty, patrzą ze ściany jak żywi. Grupa Serafina wygrywa konkurs na najlepszą gazetkę internatu.

Pewnego razu hiszpański dom dziecka imienia Kirowa odwiedzają słynni badacze Arktyki z grupy Iwana Papanina, zwani „papanincami”. W sąsiednim ośrodku wczasowym wypoczywają po powrocie z pierwszej, kilkumiesięcznej radzieckiej ekspedycji na dryfującej krze. Przynoszą dzieciom w prezencie tort w kształcie mapy świata.

Serafin zwiedza też miasto, idzie z grupą do teatru, kilka razy odwiedza miejscowe fabryki. Regularnie bywa w lokalnej jednostce wojskowej, która objęła hiszpańskie dzieci opieką.

Jest prymusem. W nagrodę popłynął na dwutygodniową wycieczkę statkiem po Dnieprze. Zwiedził Zaporozże, Dniepropietrowsk i Kijów. Wraz z innymi prymusami widział zabytki, fabryki i lotnisko. Najbardziej jednak z tamtej podróży zapamiętał wizytę w kijowskim ogrodzie zoologicznym. Żadne zwierzę nie zrobiło na nim większego wrażenia niż koń Przewalskiego.

Oddalenie

– Tęsknił pan wtedy za rodzicami? – pytam Serafina Gonzáleza Martíneza.

– Nie sędzę – odpowiada po sekundzie zawahania. – Dobrze nas traktowano, ludzie byli dla nas mili. Nie płakałem za mamą. Dzień za dniem oddalaliśmy się od siebie.

Eksperyment

„Opis wspaniałości domu dziecka, choć prawdziwy, jest niepełny – Serafin González Martínez napisze po latach. – Zarówno rezydencja, otoczenie, jak i sam personel, który traktował nas z miłością i ciężko pracował, aby nasze życie było przyjemne – były bardzo cenne. Negatywną częścią pobytu okazało się życie wśród niektórych członków społeczności, którzy zachowywali się jak nasi właściciele i panowie sytuacji”⁹.

W odeskim domu imienia Kirowa przeprowadzono eksperyment pedagogiczny. Zamiast łączyć dzieci w grupy według roczników, stworzono klasy na podstawie wyników testów na inteligencję i umiejętności. Dzieci w różnym wieku mają mieszkać i uczyć się razem, starsi powinni pomagać młodszym i dawać im przykład. Dziesięcioletni Serafin trafił do grupy, w której jest jednym z najmłodszych uczniów. Wraz z nim uczy się kilku nastolatków, którzy wciąż nie radzą sobie dobrze z czytaniem i pisaniem.

Pozwalają mu zjadać tylko połowę mięsa z obiadu, drugą część musi wrzucać do miski Herra. Psa konkurencyjnej grupy wrzucili do rowu i ukamienowali. Nauczyli Serafina nurkować w morzu, siadając mu w wodzie na ramionach i zmuszając do zanurzenia głowy (wynurza się fioletowy). Kradnie dla nich owoce z prywatnych ogrodów i na ich rozkaz bierze udział w walkach dzieci, na wzór walk gladiatorów. Jednemu z kolegów – Alfonso Fernándezowi – kazali chwycić w dłonie nieuzbrojony kabel podłączony do prądu. „Upokarzali nas również – pisze Serafin we wspomnieniach – zmuszając do masturbacji w czasie przerwy na odpoczynek. Musieliśmy leżeć na plecach bez przykrycia, a oni z nas szydzili”¹⁰.

Nauczyciele są wobec nich bezradni. Nie pomagają kary, upomnienia, wywieszanie nazwisk na tablicy w korytarzu, nie chcą składać samokrytyki podczas codziennych zebrań. Nie pomagają nawet bicie. Każdy się ich boi.

Idealni Hiszpano-Sowieci

W centrum Odessy stoi tablica z wyrysowanymi konturami Hiszpanii. Codziennie ktoś zmienia na niej położenie miniaturowych czołgów, samolocików i żołnierzy symbolizujących wojska republikańskie i faszystowskie. 1 kwietnia 1939 roku figurki przestają się przesuwac. Skończyła się hiszpańska wojna domowa – zwyciężył generał Francisco Franco. Powrót hiszpańskich uchodźców z komunistycznego kraju do faszystowskiej ojczyzny jest teraz niemożliwy. Byłoby to zbyt niebezpieczne.

To nic. Sowieci – w porozumieniu z Komunistyczną Partią Hiszpanii, zreorganizowaną na uchodźstwie po klęsce Republiki – mają już plany wobec tych dzieci. Spisują założenia w kilku punktach¹¹. Każdemu dziecku należy zapewnić: domowe warunki, opiekę zdrowotną i psychiczną; obowiązkową siedmioklasową szkołę podstawową (do czternastego roku życia); później zdobycie zawodu i naukę wieczorową lub dalszą edukację aż do wyższego wykształcenia.

Najważniejsze jest wychowanie ich na „energicznych komunistów, budowniczych społeczeństwa, bezinteresownie oddanych Związkowi Radzieckiemu – socjalistycznej ojczyźnie robotników na całym świecie”¹².

Mają wyrosnąć na bojowników z faszyzmem o wolną i niepodległą Hiszpanię. Ukształtowani w ten sposób idealni Hiszpano-Sowieci będą załączkiem przyszłych elit w komunistycznej Hiszpanii, kiedy już uda się pokonać generała Franco.

IV

Patron Pawlik

José María Bañuelos Hidalgo wraz z braćmi i sześćdziesięciorgiem innych dzieci mieszka i uczy się w Obnińsku, sto piętnaście kilometrów od Moskwy. Patronem domu jest Pawlik Morozow – idol radzieckich pionierów, który według propagandy doniósł na ojca kulaka i został za to zamordowany przez dziadka. W najbliższym sąsiedztwie jest kolonia dla bezprizornych – bezdomnych dzieci i sierot, w dużej części młodocianych przestępców. To miejsce o surowej dyscyplinie. Podopieczni z obu placówek nie mają z sobą kontaktu.

Uchodźcami z Hiszpanii zajmują się przede wszystkim Rosjanie, głównie przeszkoleni tłumacze i nauczyciele języka hiszpańskiego. Resztę brakującej kadry uzupełniono emigrantami powracającymi z Ameryki Południowej, którzy wyjechali z Rosji po rewolucji 1917 roku. Wielu nie ma właściwego wykształcenia i zostało pedagogami z przypadku. Jednak są wśród nich także ludzie z powołaniem, dzięki którym dzieci z biednych hiszpańskich rodzin, niemające niemal żadnych szans na wykształcenie w swojej ojczyźnie, ukończą studia.

Wraz z dziećmi do Związku Radzieckiego przyplłynęło też kilkuset hiszpańskich dorosłych – krawcy, kucharze, gospodynie domowe. Mieli tylko odwiedzić podopiecznych do Leningradu i wrócić do Hiszpanii, stało się to jednak niemożliwe, bo kilka dni po tym, gdy „Habana” odpłynęła z Santurce, frankiści zdobyli Bilbao. Zostali więc w ZSRR jako nauczyciele, wychowawcy i obsługa domów dziecka. Wszystkich przeszkolono z marksizmu-leninizmu, sowieckiej pedagogiki i poddano obserwacji, czy są wystarczająco oddani sprawie.

W 1940 roku niemal połowa z nich straci pracę, bo przełożeni dojdą do wniosku, że nie wykazali właściwego zaangażowania.

Grafit w oku bohatera

– Któregoś dnia do mojej klasy wszedł nauczyciel historii – opowiada José María Bañuelos Hidalgo. – Kazał nam wyjąć podręczniki i zamazać ołówkami twarze wszystkich wrogów narodu. Dużo się na lekcjach mówiło o tym, że należy zachować czujność, bo wróg czyha wszędzie.

Nauczyciel chodzi po klasie i sprawdza, czy uczniowie przykładają się do zadania. José María na wszelki wypadek wkłada grafit ołówka w oczy wrogich generałów, marszałków i komisarzy ludowych, którzy do niedawna uważani byli za bohaterów.

– Jak już zamazaliśmy wszystkich, nauczyciel nakazał nam wyrwać kartki, na których były ich fotografie – mówi José María. – Mówiono nam, że Józef Stalin jest najlepszy, i ja w to wierzyłem. Znałem słowa *кулак* (kułak), *саботаж* (sabotaż) i *унуон* (szpieg). Wiedziałem, że *тунядеу* (pasożyt) to ten, kto uchyla się od pracy na rzecz wspólnoty.

Z rozkazu Stalina w Związku Radzieckim trwa właśnie czystka – oskarżani o szpiegostwo czy kułactwo są zatrzymywani, torturowani, skazywani na śmierć lub wysyłani do łagrów.

Miortwyj czas

Za nauką José María nie przepada. Zwłaszcza za lekcjami rosyjskiego. Dziwne litery i monotonne recytowanie wierszyków ku czci Stalina nie wydają mu się specjalnie atrakcyjne ani potrzebne, skoro wszystkie inne lekcje odbywają się po hiszpańsku. Po szkole też mówią w ojczystym języku.

Najbardziej ze wszystkich zajęć chłopiec lubi *miortwyj czas*, czyli godziny odpoczynku. Pływa w rzece latem, zimą jeździ

na łyżwach. Przepada za kinem. W świetlicy dorośli rozwieszają wtedy prześcieradło i wyświetlają filmy z projektora. José María najbardziej lubi *Czapajewa* i *Wołgę, Wołgę*. Ponieważ dialogi rosyjskie wciąż są za trudne dla hiszpańskich dzieci, z tyłu za widownią staje ktoś z wielką metalową tubą i tłumaczy filmy symultanicznie. Nad ekranem wiszą wycięte z papieru słowa Włodzimierza Iljicza Lenina: „Ze wszystkich sztuk najważniejszy jest dla nas film”.

VI

Odległe i dość nieistotne

– Dokładnie cztery lata po naszym przybyciu do Związku Radzieckiego wybuchła II wojna światowa – mówi Serafin González Martínez.

– No skąd! – protestuję. – Ta wojna zaczęła się we wrześniu 1939 roku, od ataku Niemiec na Polskę.

– Ja to wszystko teraz wiem – uśmiecha się ugodowo. – Ale do nas wtedy nie docierały wieści o niej. Byliśmy odcięci od informacji. Zналиśmy na pamięć życie Lenina, nie wiedzieliśmy za to, co się dzieje na świecie. Owszem, kilku naszych profesorów pojechało na wojnę z Finlandią w 1939 roku, ale dla nas to było odległe i dość nieistotne. My w Odessie do czerwca 1941 roku czuliśmy się bezpiecznie. Czuwał nad nami Stalin.

Wygnanie z rajy

Serafin wkłada na dno plecaka nowe, skórzane buty z majowego przydziału. Dorzuca zapas ubrań i notes z ołówkiem, a na wierzch kładzie suchy prowiant. Plecak jest wykonany z delikatnej tkaniny,

szwy naprężają się pod wpływem ciężaru. Kilka dni temu dziewczęta z kółka krawieckiego uszyły takie plecaki dla wszystkich wychowanków domu dziecka imienia Kirowa w Odessie. Hiszpańskich uchodźców znów czeka ewakuacja.

22 czerwca 1941 roku Niemcy w ramach operacji Barbarossa zaatakowały Związek Radziecki. Jest teraz tak, jak kiedyś w Bilbao. Syreny wyją niemal nieustannie, a Serafin z kolegami kilka razy dziennie zbiega do rowów przeciwlotniczych, które uczniowie wykopali w ogrodach. Z sąsiedniej Rumunii, która zawarła sojusz z Trzecią Rzeszą, nadlatują nad Odessę niemieckie samoloty. Bombardują port, centrum i dzielnicę, w której stoi dom dziecka imienia Kirowa. Fala uderzeniowa wybija szyby w budynku.

„Pewnego razu przeciwlotniczy karabin maszynowy, znajdujący się w niewielkiej odległości od naszego schronienia, strącił bombowiec latający nad naszym domem – zapisze Serafin González Martínez. – Samolot, dymiąc, wpadł do morza, zaledwie kilkaset metrów od brzegu. Wskoczyliśmy z okopu jak szaleni, krzyczeliśmy przepętnieni radością na widok upadku znieawidzonej maszyny”¹³.

Władze Narkomprosu i NKWD decydują o jak najszybszej ewakuacji dzieci hiszpańskich na wschód kraju. Liczą, że tam Niemcy nie dotrą. Gromadzą w jednym budynku podopiecznych obu hiszpańskich domów w Odessie i każą czterystuosobowej grupie czekać na rozkaz wyjazdu. Radzieckie sieroty z domów dziecka też mają być ewakuowane, ale dopiero po Hiszpanach.

„Podróż rozpoczęliśmy od jazdy tramwajem w stronę portu. Dostaliśmy wagony tylko do naszej dyspozycji. Ludzie na przystankach byli zdumieni, obserwując mijające ich tramwaje pełne dzieci”¹⁴ – napisze Serafin González Martínez.

Statek przewozi ich przez Chersoń do Zaporozża. Dalszą podróż odbywają pociągiem, w wagonach towarowych. Skład zatrzymuje

się czasem w polu, wtedy dzieci wybiegają na zewnątrz rozprostować nogi. Bywa, że lokomotywa rusza bez ostrzeżenia. Wtedy trzeba gonić swój wagon i łapiąc wyciągnięte ręce kolegów, wskoczyć w biegu na platformę. Benito, jednemu z chłopców, ta sztuka się nie uda. Będzie biegł za pociągiem, póki starczy mu sił. W końcu przestanie. W ten sam sposób, na innym przystanku, grupa Serafina straci ukochanego psa Herra.

Kury i sztachety

Tymczasowym celem wyprawy dzieci z Odessy jest stacja Lawinskaja¹⁵ – mała kozacka wieś pod Armawirem, miastem w Kraju Krasnodarskim. Zostają tu przez kilka miesięcy.

Mieszkańcy Lawinskiej uważają Hiszpanów za dzikich i nieokrzesanych.

Po pierwsze, kradną im kury.

– Nie z głodu, tylko z nudów – zapamięta Serafin.

Po drugie, wyłamują z płotów sztachety, żeby robić z nich ogniska, na których pieką skradziony drób.

Po trzecie, żadne drzewo owocowe się przed nimi nie uchowa. Oskubią najmniejszy krzaczek, jeśli zobaczą na nim cokolwiek jadalnego.

Po czwarte, narzekają na pracę w kołchozie. A to źdźbła słomy z młockarni wbijają im się w twarze, a to woźnice jadą na pola zbyt wolno, a to sama robota jest dla nich zbyt męcząca. W dodatku zakwaterowani w domach gospodarzy nie podlegają kontroli wychowawców, którzy z trudem radzą sobie z wojenną rzeczywistością. Władzę wśród dzieci przejmują więc najbrutalniejsi hiszpańscy wychowankowie. Choć ukończyli już czternaście lat, z powodu wojny wciąż pozostają w domu dziecka.

Kiedy pod koniec listopada 1941 roku Hiszpanie z Odessy opuszczają stanicę, miejscowi żegnają ich z prawdziwą ulgą.

Sotto voce

Już czwarty rok bawią się z wojną w berka. Hiszpańscy uchodźcy uciekają przed nią po całej Europie, a ta ich goni, za każdym razem niemal dopada. Wtedy jednak znów zrywają się do ucieczki. Teraz przed dziećmi miesiąc podróży pociągiem na północ. Są głodne. W menu podróznym jest czarny chleb i twarda, zamarznięta marmolada krojona nożem. Piją wodę, która służy do chłodzenia lokomotywy, lub rozpuszczony śnieg zgarniany ze stacji po drodze. Chorują. Zaburzenia jelitowe, biegunka i przypadki czerwoności są codziennością. Kto nosił w sobie prątki Kocha, u tego zaczyna rozwijać się gruźlica. Nie myją się, bo nie ma gdzie. Nie zmieniają ubrań, bo nie wzięli zapasowych. Wszyscy mają wszy. Serafin González Martínez zapamięta: „Jedną z naszych ulubionych rozrywek było polowanie na te cholerne insekty. [...] Używaliśmy metody, która polegała na przesuwaniu nad płomieniem świecy brudnej bielizny w najbardziej strategicznych miejscach, czyli szwach”⁶. Rozgrzane wszy pękają od gorąca, wydając dźwięki jak miniaturowe karabiny maszynowe. Serafin uwielbia ten odgłos. Kiedy zostanie już muzykiem, będzie umiał określić, że wszy umierały *sotto voce* (półgłosem).

Sylwestra 1941 roku spędza z resztą dzieci w pociągu na stacji Saratów. To ich miejsce docelowe. Pada śnieg, temperatura na zewnątrz spadła do minus czterdziestu stopni Celsjusza. Miasto leży nad Wołgą, a po drugiej stronie szerokiej rzeki jest Engels – stolica Niemieckiej Nadwołżańskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Niemcy żyją na Powołżu od końca XVIII wieku, przyjechali tu na zaproszenie carycy Katarzyny. W 1941 roku było ich w republice ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Po ataku Hitlera na ZSRR Stalin zaczął obawiać się z ich strony aktów sabotażu, więc pod koniec sierpnia wszyscy Niemcy zostali przesiedleni na

Syberię i do Kazachstanu. Władza radziecka decyduje, że miejsca po Niemcach mają zajmować wychowankowie ewakuowani z hiszpańskich domów dziecka w całym ZSRR.

VI

Resztki ciepła

Kiedy w grudniu 1941 roku pociąg dzieci z Odessy zatrzymuje się na stacji w Saratowie, José María Bañuelos Hidalgo z domu dziecka w Obnińsku jest tu już od pięciu miesięcy.

– Pierwszego dnia poszliśmy do Engelsu. Wchodziliśmy do polniemieckich domów, a tam piece trzymały jeszcze resztki ciepła – mówi José María. – Po ogrodach chodziły świny, krowy. Rosły arbuzy, bo ludzie nie zdążyli zebrać plonów. Był z nami od początku nauczyciel gimnastyki. Komunista, Niemiec, walczył po stronie republikańskiej, a kiedy został ranny, uciekł z nami statkiem do Związku Radzieckiego. Któregoś dnia do szkoły w Engelsie przyjechało NKWD i aresztowało naszego nauczyciela.

– Za co? – pytam.

– Bo był Niemcem. W ogóle ich nie obchodziło, że to wierny komunista. I też go deportowali na Syberię.

Tysiąc czołgów miesięcznie!

– Wie pani, co to znaczy *tank*? – pyta mnie José María.

– No jasne, czołg – odpowiadam.

– W czasie oblężenia Stalingradu z fabryki na Uralu, w której pracowałem, wychodziło tysiąc *tanków* miesięcznie. Tysiąc! – podkreśla, podnosząc palec wprost pod swój nos, dla wzmocnienia przekazu.

Oblężenie miasta nazwanego imieniem dyktatora trwa od sierpnia 1942 roku. Hitler chce je zdobyć, Stalin nakazuje bronić za wszelką cenę. Radzieccy mężczyźni walczą, kobiety i dzieci zastępują ich w fabrykach. José María jest uczniem szkoły zawodowej w Saratowie w klasie o profilu mechanik tokarz. Z powodu wojny nauka zostaje skrócona z czterech lat do roku. Nim jednak Bask ukończy choćby tę jedną klasę, trafia z kolegami do fabryki w Tanogrodzie – tak nazywa się teraz Czelabińsk na Uralu. W dzień José María produkuje czołgi, wieczorami się uczy. Odkąd poszedł do szkoły zawodowej, z braćmi nie ma kontaktu.

Kiedy w lutym 1943 roku Niemcy przegrywają walki o Stalingrad, wraca do Saratowa z dyplomem tokarza i rozpoczyna naukę w szkole kolejowej. Marzy o pracy mechanika maszynisty.

VII

Flecista

Serafin González Martínez, lat piętnaście, wychowanek hiszpańskiego domu dziecka imienia Kirowa w Saratowie, uczeń gimnazjum, w przyszłości zamierza być architektem. Jednak kapelmistrz Jewgienij Matwiejewicz Guzik¹⁷ uważa, że ten młody Bask powinien być flecistą.

Jest lato 1942 roku. Guzik ma w swojej orkiestrze wojskowej za ledwie kilkunastu muzyków, bo resztę wysłano na front. Potrzebuje ludzi do instrumentów dętych. Zbadał już słuch kandydatów, oddech, poczucie rytmu i na tej podstawie wybrał dwudziestu pięciu rokujących hiszpańskich wychowanków, wśród nich Serafina. Opuszczają więc teraz dom dziecka i maszerują na przedmieścia do Saratowskiej Wojskowej Szkoły Piechoty, która mieści się w dawnym klasztorze.

Serafin uczy się tam stawać na baczność, bać się dowódców, korzystać ze zbiorowej toalety, myć się pod kranem w zimnej wodzie w piwnicy i jeść rozwodnioną niesmaczną zupę solankę, na dnie której pływają blade kawałki kiszonych ogórków. Ubrano go, wraz z całą orkiestrą, w niewygodny mundur składający się z przypadkowych elementów – czapki budionnówki, obcisłych, napoleońskich spodni, za długiej i za dużej (armia nie ma rozmiarów dziecięcych) prążkowanej koszuli, tak zwanej gimastiorki, która zebrana i spięta w pasie przypomina sukienkę z falbanami. Stopy owija onucami, na które wsuwa za duże wojskowe buty z cholewkami. Cienki płaszcz bez podpinkki nie chroni przed zimnem. Serafin uważa, że wygląda bardziej jak pajac niż jak żołnierz. Choć zakazane jest noszenie zimą jakiegokolwiek nieregulaminowej odzieży, owijanie ciała gazetami czy nakładanie rękawic, to jednak saratowskie mrozy każą omijać przepisy. Oficjalnie nie wolno też wlewać alkoholu do instrumentów. Bez niego jednak przymarznięte ustniki trąbek lub fletów muzycy odrywają ze skórą warg. I tego zakazu nie przestrzega się więc ściśle.

Dobry wybór

Podstaw gry na instrumentach udzielają Hiszpanom rosyjscy członkowie orkiestry kapelmistrza Guzika. We wrześniu 1943 roku uchodźcy zostają uczniami szkoły muzycznej przy konserwatorium w Saratowie. Za złe wyniki w nauce lub wagary grozi im wydalenie z orkiestry. Po lekcjach mają próby, odrabiają lekcje, obowiązkowo pomagają przy wojskowych koniach, wieczorami ćwiczą na swoich instrumentach.

Jewgienij Matwiejewicz Guzik dokonał dobrego wyboru. Już w 1944 roku jego Zespół Wojskowy Garnizonu Saratowskiego zdobywa pierwsze miejsce podczas konkursu orkiestr wojskowych w Kujbyszewie.

Latem 1945 roku szkolna orkiestra wojskowa w Saratowie jest szalenie zajęta. Właśnie skończyła się wojna. Serafin González Martínez wraz z innymi wita na dworcu z honorami i muzyką pociągi pełne żołnierzy powracających do domów. Po raz ostatni tego lata grają na pogrzebie dwóch kolegów z orkiestry, którzy zginęli przy rozbrajaniu granatu przeciwpancernego znalezioneego na dnie rzeki.

VIII

Hiszpański temperament

José María Bañuelos Hidalgo chce powiedzieć teraz coś ważnego, więc prostuje się na krześle. Zależy mu, żebym dobrze zrozumiała, więc patrzy mi w oczy.

– W czasie wojny były kartki żywnościowe. W Saratowie panował głód, można było jednak coś na te kartki dostać. Ale wiosną 1945 roku kartki zlikwidowano, choć jedzenia od tego nie przybyło. Głód się zwiększył, ludzie tracili przytomność na ulicach. Więc my, Hiszpanie, zaczęliśmy kraść.

– Co kradliście?

– Nic innego niż jedzenie. Pamiętam, wiosna jeszcze była, siedłem z kolegami po ulicy i zobaczyłem, że w czyimś mieszkaniu na parterze leży chleb na stole, przy samym oknie. Wsadziłem rękę, żeby go zabrać, ale ktoś ze środka mnie złapał. Sąd nas skazał na miesiąc aresztu.

– A Rosjanie? – pytam. – Też kradli?

– Nie! Sowietci nie! Hiszpanie są specyficzni, mamy inny, dzikszy temperament – mówi z naciskiem.

A ja sobie myślę, że José María Bañuelos Hidalgo wciąż kocha swoją drugą, radziecką ojczyznę.

Nowy kombinezon

Pewnego dnia José María wchodzi do magazynu. Jest rok 1947, a on pracuje w fabryce optycznej w Krasnogorsku. Zakład produkuje między innymi aparaty fotograficzne Zorka (są kopią niemieckiej Leiki II), co napawa José Marię dumą. W rękach trzyma kombinezon roboczy. Prosi magazyniera o wydanie nowego, bo ten ma już same dziury i plamy, trudno w nim wydajnie pracować. Kierownik magazynu rozkłada ręce:

– Dałbym, dałbym chętnie, ale nie mam, towarzyszu.

Bask wychodzi niezadowolony. Kiedy idzie przez magazyn, widzi na regałach nowe, poskładane w kostkę kombinezony, jakby tylko czekały na niego. Ogląda się za siebie, sprawdza, czy nikt nie patrzy, i ściąga jedno ubranie robocze z półki.

– Przyłapali mnie na tamtej kradzieży – opowiada José María. – Naczelnik wezwał milicję, trafiłem do aresztu na Tagance w Moskwie. Tam siedziałem dwa miesiące. Sąd skazał mnie na dwa naście lat łagru. Nie mam o to żalu do Rosjan. To przez ten mój hiszpański temperament. Złego słowa nie powiem na komunizm. Sam w sobie był dobry, tylko niektórzy ludzie, zwłaszcza z bliskiego otoczenia Stalina, go wypaczyli. Zresztą wtedy wszyscy musieli pracować – i wolni, i w łagrze. Co za różnica, po której stronie drutów byłem?

IX

Drewniany flet

Jesienią 1946 roku Serafin González Martínez, tak jak wszyscy Hiszpanie żyjący w ZSRR, dostaje nakaz przeniesienia się do obwodu moskiewskiego. W ten sposób uchodźcom łatwiej można

pomóc i jednocześnie ich nadzorować. O ich losie zdecydowała hiszpańska komunistka Dolores Ibárruri zwana La Pasionarią (autorka słynnego okrzyku z czasów wojny cywilnej *¡No pasarán!*), która po zwycięstwie Franco uciekła do ZSRR i od niedawna rządzi Komunistyczną Partią Hiszpanii z Moskwy.

Serafin i kilku jego kolegów z orkiestry ropiczyzna naukę w Państwowym Muzycznym Instytucie Pedagogicznym imienia Gniesinych w stolicy.

Mieszka w akademiku i nie posiada nic poza mundurem, zegarkiem i drewnianym fletem poprzecznym, który kupił w Saratowie na targu. Od państwa dostaje ubranie cywilne i pięćset rubli miesięcznego stypendium (radzieckim studentom przysługuje połowa tej stawki). Z czasem będzie dorabiał jako drugi flet w orkiestrze studia operowego konserwatorium moskiewskiego, z pensją w wysokości dziewięćset rubli. Wykwalifikowany pracownik zarabia wówczas tysiąc rubli miesięcznie, ale uciekinierzy z wojny w Hiszpanii wciąż są traktowani lepiej niż Rosjanie w ich własnym kraju.

W bagażu argentyńskiego dyplomaty

Jedynie, czego im nie wolno – to wrócić do ojczyzny. To ostatnia grupa dziecięcych emigrantów z czasów wojny cywilnej, która nie wróciła jeszcze do Hiszpanii. Tuż po zwycięstwie Franco ruszyły transporty z Anglii, Belgii i Francji. Część uchodźców została na emigracji, bo nie mieli do kogo wracać – ich rodzice zginęli podczas wojny lub siedzieli w więzieniach i obozach. A nawet jeśli przeżyli i pozostali na wolności, bywali na granicy śmierci głodowej i nie stać ich było na utrzymanie dziecka. Większość jednak – dwadzieścia tysięcy z około trzydziestu czterech tysięcy wywiezionych dzieci – wróciła. Niektórzy, zamiast do domów rodzinnych, trafili od razu do domów dziecka prowadzonych przez reżimową Pomoc Społeczną¹⁸. Zewnętrzne służby Falangi dopuszczały się porwań

hiszpańskich dzieci z zagranicy do kraju. Tysiące z nich nigdy nie spotkały swoich rodziców. Oddawane do adopcji rodzinom sprzyjającym reżimowi lub na wychowanie do przykościelnych sierocińców, z fałszywymi danymi, nowymi metrykami urodzin, zostały poddane procesowi kształtowania w duchu frankistowskim¹⁹.

Ze Związku Radzieckiego tuż po wojnie udało się wyjechać tylko kilkuset Hiszpanom, którzy mieli krewnych w krajach utrzymujących ze Związkiem Radzieckim stosunki dyplomatyczne.

Niektórzy próbują uciekać. Wśród emigrantów krąży opowieść o Hiszpanie, którego dyplomaci argentyńscy chcieli przemyścić samolotem do swojego kraju w bagażu niepodlegającym kontroli. Uciekinier został jednak przyłapany w powietrzu i zesłany na Syberię.

Rodzice Serafina już w 1947 roku starają się ściągnąć syna do Paryża.

Ojciec prosi o pomoc znajomego z Francji, który – wyposażony w odpowiednie papiery – próbuje udowodnić w ambasadzie radzieckiej, że chłopiec jest jego krewnym. Niestety, znajomy jest tylko bratem szwagra, żadne to pokrewieństwo, więc Serafin zostaje w Związku Radzieckim.

Napisze we wspomnieniach: „Byłem pewny, że te zabiegi są skazane na porażkę, ale odwiedzałem w Moskwie różne urzędy i konsulaty. Wyniki wizyt były zgodne z przewidywaniami. W mojej sprawie nic nie można było zrobić. W tamtym czasie nie czułem pilnej potrzeby powrotu do kraju, czyniłem starania głównie po to, żeby nie zdenerwować rodziców”²⁰.

Teraz Serafin González Martínez zamyśla się. – Wie pani, w tamtym czasie już straciłem nadzieję na powrót. Między Związkiem Radzieckim a Hiszpanią nie było żadnych stosunków. Ale nie tęskniłem za rodzicami. Chyba utraciłem synowskie uczucia. Nad miłością trzeba pracować, nie da się kochać kogoś niewidzianego tyle lat. Postanowiłem więc, że już na całe życie zostanę w Moskwie.



cdjskfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Wierzyłem jeszcze wtedy w to, co nam mówiono: że żyjemy w najlepszym z krajów, że wstąpienie do partii to zaszczyt, że Stalin jest światłem narodu, a student konserwatorium musi mieć jak najlepsze oceny z marksizmu-leninizmu, inaczej nie stanie się dobrym muzykiem. I ja miałem z tego przedmiotu najwyższe noty.

W dniu śmierci Józefa Stalina, 5 marca 1953 roku, Serafin płacze z bólu. Właśnie przeszedł operację wyrostka, a lekarze w szpitalu, do którego trafił, uważają, że środki znieczulające nie są mu potrzebne.

Sześć metrów kwadratowych

Na egzaminie dyplomowym w 1955 roku flecista Serafin González Martínez gra *Trockne blumen* Franza Schuberta. Zdaje z wyróżnieniem. Otrzymuje też obywatelstwo radzieckie. Hiszpańskie, jemu i innym emigrantom, Franco odebrał już dawno temu i przez długi czas ewakuowani Hiszpanie mieli status bezpaństwowców.

Każdy absolwent radzieckiej uczelni wyższej ma obowiązek wyjechać na kilka lat do pracy w miejsce wskazane mu przez państwo. Rosjanie z roku Serafina zostali wysłani jako nauczyciele muzyki lub członkowie orkiestr do najdalszych republik w kraju. Hiszpanie znów są uprzywilejowani – mogą sami zdecydować o miejscu, w którym chcieliby pracować. Serafin jako drugi flet zostaje zatrudniony w Orkiestrze Kinematografii ZSRR w stolicy.

Wynajmuje kąt w pokoju u znajomych Hiszpanów, w którym swoje miejsce oddziela zasłoną z prześcieradła. W 1956 roku niespodziewanie dostaje przydział na własny, sześciometrowy pokój w centrum Moskwy.

Białe majtki

W tym samym roku grupa uchodźców pisze do rządu radzieckiego list z prośbą o repatriację.

Serafin González Martínez będzie wspominał: „Nasi hiszpańscy przywódcy w Moskwie określili ten list jako niewdzięczny i nie- lojalny wobec sprawy socjalizmu. [...] To był policzek wymierzony najwyższej instancji ZSRR. Przecież od lat nam tłumaczono, że owszem, wrócimy do Hiszpanii, ale dopiero gdy upadnie reżim frankistowski”²¹.

Wobec autorów listu muzyk ma ambiwalentne uczucia. Z jednej strony zazdrości im odwagi, z drugiej – ich postawę także uważa

za nieojalną. Ma ich za głupców, szaleńców – nie wierzy w możliwość powrotu.

Tymczasem, wbrew wątpliwościom Serafina, Sowieci zaczynają powoli wypuszczać Hiszpanów. Najpierw na wycieczki do krajów, z którymi ZSRR utrzymuje stosunki dyplomatyczne. Przyjaciel Serafina ma brata w Anglii, więc jedzie go odwiedzić.

Serafin González: „Wrócił odmieniony. Nosił doskonały płaszcz przeciwdeszczowy wykonany w Anglii [...]. Ale to, co mnie najbardziej zaskoczyło, to majtki: białe, obcisłe, krótkie i ciasne! Tak zwane slipy. Dla mnie autentyczna nowość, odkrycie w męskiej bieliźnie. My nosiliśmy czarne luźne gacie, na które mówiliśmy *trusy*”²².

Sceptyczny flecista podejmuje więc starania o turystyczny wyjazd do Paryża. Chciałby się spotkać z rodzicami. Serafin ma też młodszego o siedem lat brata, którego nigdy nie widział. Chce go poznać.

X

Pięć razy

Pierwszy łagier jest na północy Uralu. Dziewiętnastoletni José María Bañuelos Hidalgo młotem pneumatycznym wydobywa węgiel spod ziemi. Razem z nim pracuje dwóch skazanych Hiszpanów.

Drugi łagier to Ural południowy i praca w kamieniołomach.

Położenia trzeciego José María nie zapamięta. Znow tam pracuje w kopalni.

W czwartym trafia do *lesorubki* – to praca przy wyrębie lasu.

Po siedmiu latach przenoszą go po raz kolejny. Tym razem do Karłagu w kazachskiej Karagandzie. Jest rok 1956. Do końca odsiadki José Maríi zostały jeszcze cztery lata.

Są tu między innymi niemieccy i włoscy jeńcy wojenni. José nie jest też jedynym Hiszpanem w łagrze. Oprócz ludzi skazanych za przestępstwa jak on przebywa tu trzystu siedemdziesięciu dwóch hiszpańskich żołnierzy z czterdziestopięciotysięcznej Błękitnej Dywizji, która została powołana przez Franco do pomocy Hitlerowi po inwazji na Związek Radziecki²³.

Po śmierci Stalina o swoich rodaków zaczynają upominać się ich rządy. Przy współpracy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża uwolnieni jeńcy zaczynają wracać do Niemiec i Włoch. Hiszpania nadal nie utrzymuje oficjalnych stosunków z ZSRR, jednak MCK podejmuje się negocjacji między obu krajami. Sowieci wyrażają zgodę na wypuszczenie Hiszpanów z łagrów.

– Wszystkich zaczęli koncentrować w Karagandzie – mówi José María. – Pewnego dnia wezwali mnie do obozowego biura i zapytali, czy chcę wracać do Hiszpanii, czy może wolę odsiedzieć wyrok do końca i zostać w ZSRR. Wiadomo, że chciałem wracać. Tym, którzy obawiali się generała Franco i nie mogli pojechać do domów, zaproponowano wyjazd do Ameryki Łacińskiej.

XI

Futro z lisów, zegarek, aparat

Zaskoczyli go. Czekał na wyjazd do Paryża, tymczasem we wrześniu 1956 roku Serafin González Martínez, obywatel ZSRR, mieszkawiec Moskwy, muzyk moskiewskiej orkiestry, który od dawna lepiej posługuje się językiem rosyjskim niż hiszpańskim, a po przemówieniu Chruszczowa o zbrodniach Stalina wprawdzie stracił pewne złudzenia, ale nadal uważa ustrój socjalistyczny za najlepszy z możliwych, dostaje informację, że wkrótce statkiem „Krym” odpływa z Odessy do Hiszpanii. Na zawsze. Rosjanie ostatecznie

zgodzili się na repatriację wszystkich chętnych „hiszpańskich dzieci”. „Nie miałem czasu na długie przemyślenia. Zdecydowałem, że popłynę. Moi rodzice robili wszystko, żeby mnie odzyskać. Nie mogłem ich zawieść”²⁴ – Serafin napisze we wspomnieniach.

Ma trzy dni na zamknięcie wszystkich spraw. Posiada dwanaście tysięcy rubli oszczędności, mógłby kupić za te pieniądze auto marki Moskicz. Nie może wymienić ich na dolary, bo oficjalnie dolarów w ZSRR nie ma. Nie może też zabrać rubli z sobą. Wolno mu je za to wydać na miejscu.

Kupuje: dwie walizki; futro ze srebrnych lisów w prezencie dla matki (za cztery i pół tysiąca rubli); złoty zegarek marki Moskwa (za dwa tysiące dwieście rubli); aparat fotograficzny Kiev; złotą biżuterię; kilka zestawów matryoszek; figurkę kobiety z kości słoniowej i inne drobiazgi. Dorzuca do bagażu flet (już metalowy) i książki.

19 września o godzinie 7.30 rano Serafin wsiada na moskiewskim dworcu do pociągu w kierunku Odessy. Odprawiają go przyjaciele hiszpańscy i rosyjscy. W kilku wagonach większość pasażerów stanowią uchodźcy, którzy po dziewiętnastu latach wracają do kraju.

„W porcie w Odessie byłem świadkiem dramatycznych scen między małżonkami mieszanych małżeństw. Rząd sowiecki pozwolił Rosjankom, które wyszły za Hiszpanów, wyjechać z kraju. Ale radzieccy mężczyźni żonaci z Hiszpankami mieli zakaz opuszczania ZSRR. Niektóre Hiszpanki decydowały się zostać z mężami, inne zrywały małżeństwa, żeby powrócić do ojczyzny”²⁵ – będzie wspominał Serafin González Martínez.

Trudności z wyjazdem mają też uchodźcy o wysokiej specjalizacji zawodowej lub pracujący przy tajnych projektach. Im nakazano zwolnić się z dotychczasowej pracy i zezwolono na wyjazd najprędzej za pięć lat. Wielu z nich ostatecznie wyjedzie na Kubę w latach sześćdziesiątych.

22 września 1956 roku od nabrzeża odbija statek „Krym” z pierwszą grupą hiszpańskich repatriantów. Wśród pięciuset trzydziestu dwóch pasażerów są też jeńcy i więźniowie Gułagu (José María Bañuelos Hidalgo wyruszy do domu kilka miesięcy później). Znikający brzeg obserwują z pokładu „hiszpańskie dzieci” – teraz w wieku od dwudziestu czterech do trzydziestu czterech lat – a także ich dzieci, urodzone w ZSRR.

CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII



MURCZYNEK DN/10 V 46+

WARSZAWSKIE DZIECI

1. POCZĄTEK

Jest wtorek, 1 sierpnia 1944 roku. Słońce wzeszło o godzinie piątej jedenaście, zajdzie o dwudziestej czterdzieści cztery. Na niebie w Warszawie dużo chmur, będzie padało. Średnia temperatura w ciągu dnia wyniesie osiemnaście stopni Celsjusza.

Przed południem łącznik zawiadamia czternastoletnią „Myszkę”, że nadchodzi godzina „W” (jak walka). Dziewczyna jak najszybciej ma się zameldować na placu Dąbrowskiego 2/4, u komendantki „Rakiety”.

Janina Suchorzewska, z domu Tatarkiewicz, wspomina: – Byłam nieco rozczarowana, ponieważ kilka dni wcześniej był już alarm do powstania, który potem odwołano. Ale powiedziałam do mamy: „Wiesz, coś tam się będzie znów działo, jest zbiórka, może będzie powstanie. To ja idę”. Chciałam się ubrać jakoś po żołniersku, żeby poważniej wyglądać, była też taka moda. Zapytałam: „Czy ja mogę skarpetki tatusia wziąć te długie? I buty na gumie, zimowe?”. A mama: „Janeczko, proszę nie ruszać rzeczy tatusia, wróci i nie będzie miał co włożyć”. W końcu się jednak zgodziła. Do chlebaka z osobistymi rzeczami schowałam obrazek z Maryją – taką kalkomanię na szarej tekturce – i wyszłam.

Przy placu Dąbrowskiego 2/4 stoi nowoczesny dom. Na pierwszym piętrze Janina spotyka młodych ludzi w furazerkach z orzełkiem, na rękawach mają biało-czerwone opaski. Podchodzi do wysokiej kobiety w średnim wieku i mówi jej, że miała się zgłosić.

– Boże, kogo tu przysyłają. Nawet nie umiesz się zameldować – komendantka „Rakieta” odwraca się w jej stronę.

O godzinie dziesiątej rano szesnastoletni Jan Rybak, pseudonim „Tarzan”, dostaje od dowódcy rozkaz przeniesienia meldunku ze Starego Miasta na Pragę. Przed południem przechodzi przez most Kierbedzia i przekazuje meldunek. Około godziny dwunastej Niemcy zamykają mosty w Warszawie. „Tarzan” zostaje na Pradze.

Agnieszka Wróblewska, z domu Barlińska, rocznik 1933: – Tego dnia sklep był jeszcze otwarty. Przed wyjściem do pracy mama dała nam pieniądze i powiedziała, żebyśmy przynieśli, co się da. Poszliśmy z moim starszym o trzy lata bratem Krzyśkiem do sklepu koło kościoła i tam były już tylko herbatniki. Kupiliśmy więc worek. Około piętnastej przez okno w kuchni zobaczyłam uciekających mężczyzn z pistoletami, gonił ich niemiecki patrol. Strzelali do siebie. Jestem pewna, że widziałam wtedy początek powstania na Żoliborzu.

Trzej chłopcy leżą na podłodze balkonu i zza zasłony zwisających ze skrzynek pelargonii wyglądają na ulicę Narbutta.

Pierwszy z nich to jedenastoletni Jurek Świtalski, pozostała dwójka to synowie wojskowego, który jeszcze w 1939 roku ewakuował się z rządem na Węgry. Braci wychowuje matka, której siostra działa w konspiracji i ma kontakt z komendą AK. Wczoraj wieczorem zawiadomiła ich o nadchodzącym wybuchu powstania.

Jerzy George Świtalski: – Wypatrywaliśmy powstańców. Po siedemnastej patrzymy – leci pierwszy, prosto do naszej bramy. Taki zwyczajnie ubrany? Bez munduru? Miał tylko opaskę na rękawie. Leci, leci, już prawie wbiegł, kiedy Niemiec do niego strzelił i chłopak upadł na ulicy pod kamienicą tuż obok. Chcieliśmy pójść i przyjrzeć mu się, ale mamy nas nie puszczają. On leżał, usta miał otwarte, nie było jak go zabrać. Dopiero po dwóch dniach zakradliśmy się do niego. Patrzymy, a jemu pełno much z tych ust wychodzi.

Ryszard Sempka, pseudonim „Sztychnicki”, rocznik 1928: – Około siedemnastej zobaczyłem, jak ulicą Zakroczymską, przy której mieszkałem, biegną powstańcy z pistolecikami. Zaraz się zorientowałem, że ludzie budują barykadę przy naszym domu. Zbiegłem ze Zbyszkim, przyjacielem z mojej kamienicy, na dół, do budowy. Znosiliśmy płyty chodnikowe, ktoś przyturlał żelazny słup ogłoszeniowy, ludzie rzucali meble z okien. Barykada była ostrzeliwana przez Niemców z Wytwórni Papierów Wartościowych, więc nie mogliśmy wrócić na noc do domu.

– Tego dnia mój nastoletni kuzyn Zbyszek, który mieszkał ze swoją mamą u nas, przy ulicy Gdańskiej 2, zszedł do piwnicy, zabrał stamtąd ukryte w przyrmie węgla karabiny i poszedł do powstania – wspomina Andrzej Bober, rocznik 1936.

2. PRZYGOTOWANIA

Trwają wakacje 1944 roku. Kto mógł, wyjechał już na letnisko, kto musiał zostać w mieście, nosi się lekko – mężczyźni podwijają rękawy koszul, kobiety malują atramentem na łydkach pionową linię, która imituje szew pończochy (czynią to także z oszczędności). Warszawę czeka ładny sierpień. Noce będą ciepłe, zdarzą się upalne dni.

Afiszę rozwieszoną na słupach ogłoszeniowych uprzejmie zawiadamiają, że od 1 lipca przy ulicy Sienkiewicza 11 działa restauracja Nowa Esplanada, a w Teatrze Rozmaitości Jar (Senatorska 29) w Wielkim Poranku Artystycznym wystąpi pieśniarz Zbigniew Krukowski.

Gadzinówka „Nowy Kurier Warszawski” pod koniec lipca informuje w dziale nekrologów, że „po dług. i ciężk. cierp. zasn. w Bogu” świętej pamięci mistrz krawiecki Urban Stefan Stankiewicz. W dziale nieruchomości osiemnastu pośredników kupi natychmiast willę lub plac w mieście. Majsterkiewicz z Karowej 4 sprzeda sześciotygodniowe szczeniaki jamniki, Wolskiemu Antoniemu z Ogrodowej 7 skradziono kenkartę, legitymację więzienną, nocną przepustkę i ausweis, zaś Orczyńska ze Szczygłej 8-13 skleja bez śladu porcelaną i dorabia brakujące części.

Redakcja dziennika przypomina, że od godziny dwudziestej dziesiątej do czwartej piętnaście obowiązuje zaciemnienie.

Gdy przyłożyć ucho do warszawskich murów, można usłyszeć brzęczenie jak w ulu. Nie ma w mieście człowieka – żołnierza i cywila – który by nie słyszał o nadchodzącym powstaniu. Czterdzieści tysięcy zaprzysiężonych ludzi czeka na rozkaz do walki. Nie znają jednak dnia ani godziny.

Armia Czerwona zbliża się do prawego brzegu Wisły. Generał Tadeusz „Bór” Komorowski, dowódca Armii Krajowej, uważa, że w razie wybuchu powstania Sowieci pomogą Polakom pokonać Niemców. Tym bardziej że hitlerowcy w Warszawie zaczynają panikować. Przez miasto przechodzi armia niemiecka wracająca ze wschodu. Widok brudnych, zmęczonych i rannych żołnierzy cieszy Polaków. Dowódca garnizonu Warszawa nakazuje ewakuację wszystkich niemieckich kobiet. Ten i ów z niemieckich urzędników pakuje bagaże i wynosi się z miasta. Doradcy „Bora” przekonują go, że stolica zaraz opustoszeje, a powstanie potrwa krótko i zakończy się pewnym zwycięstwem. Tymczasem Hitler nie zamierza tak łatwo poddać się Rosjanom. Ogłasza Warszawę miastem fortecą i śle na wschód kilka tysięcy wagonów sprzętu i amunicji. Wysła też swoje jednostki, w tym elitarną dywizję „Hermann Göring”.

27 lipca 1944 roku z głośników ulicznych, zwanych szczekaczkami, płynie zarządzenie Ludwiga Fischera, gubernatora dystryktu warszawskiego. Sto tysięcy mieszkańców ma się stawić nazajutrz rano w wyznaczonych miejscach. Polacy będą kopać rowy strzeleckie na przedpolu miasta. Armia Krajowa zakazuje jednak podporządkowania się zarządzeniu Fischera, więc do pracy przychodzi tylko kilkaset osób.

Pułkownik Antoni Chruściel „Monter”, komendant Okręgu Warszawa Armii Krajowej, obawia się, że Niemcy siłą zaciągną ludzi do kopania rowów, a to mogłoby zniszczyć strukturę AK w stolicy. Bez porozumienia z innymi dowódcami zarządza stan pogotowia do powstania.

Żołnierze – kobiety, mężczyźni i dzieci – stawiają się na rozkaz w wyznaczonych rejonach, gotowi do walki. Gdy Niemcy

postanawiają zignorować akt niesubordynacji Polaków, pułkownik Chruściel odwołuje rozkaz, a powstańcy wracają rozczarowani do domów.

W dowództwie AK panuje chaos. Generał Komorowski uważa, że początek sierpnia nie jest najlepszym terminem na rozpoczęcie powstania. Ani alianci, ani Sowieci nie potwierdzili, że pomogą Polakom w Warszawie.

Jednak 31 lipca po południu pułkownik Chruściel wsiada na rower i jedzie na Pragę. Tam wydaje mu się, że widzi, jak Sowieci przełamują niemiecką obronę i są już na prawym brzegu Wisły w rejonie Warszawy. Komorowski na podstawie tej informacji wyznacza moment wybuchu powstania na 1 sierpnia, godzinę siedemnastą.

Do wszystkich oddziałów w mieście natychmiast rozbiegają się łączniczki z rozkazem o godzinie „W”, podpisanym przez „Montera”. Jest już wieczór, wkrótce nastanie godzina policyjna – większość powstańców zostanie poinformowana o wyznaczonym początku powstania dopiero nazajutrz rano.

Chwilę po wyrażeniu zgody na powstanie generał „Bór” zostaje zawiadomiony, że „Monter” się pomylił – Niemcy powstrzymali sowieckie natarcie tuż pod Warszawą. Komorowski osuwa się na krzesło, pociera czoło i mówi: – Za późno, nie możemy już nic poradzić¹.

3. OSOBY DRAMATU

MYSZKA. Tata Janiny, Jan Tatarkiewicz, jest adwokatem, bratem filozofa Władysława i oficerem rezerwy. We wrześniu 1939 roku przekroczył z wojskiem granicę z Rumunią i został internowany (spędzi tam całą wojnę). Mama dziewczynki, Zofia, mówi wtedy do drugiej, starszej o sześć lat córki:

– Nie zamierzasz chyba, Elu, siedzieć tak beczynnio?

I wysłała ją do pomocy w punkcie sanitarnym, który otwarto w ich kamienicy. Janka chce iść z siostrą, ale mama nie pozwala.

W maju 1942 roku Elżbieta wstępuje do Armii Krajowej i przyjmuje pseudonim „Żabska” (od nazwy majątku dziadków ze strony mamy).

– Popatrz – mówi Janina do koleżanki z klasy – wszyscy już poszli na wojnę, tylko my jeszcze nie.

– To też chodźmy – odpowiada przyjaciółka.

Postanawiają wyruszyć jak najprędzej. Wieczorem Janina przyczepia sobie do palca stopy sznurek, który spuszcza przez balkon i zasypia. Koleżanka pociągnie za niego o świcie, kiedy tylko skończy się godzina policyjna. Mama jednak odkrywa sznurek i zabrania iść córce na wojnę.

W 1943 roku nauczycielka z tajnych kompletów wyjaśnia uczniom, że istnieje podziemne harcerstwo – Szare Szeregi. Janina wstępuje, przybiera pseudonim „Myszka” i nie zdradza w domu, że jest harcerką. Działa w zastępie „Dzięcioły” I Warszawskiej Żeńskiej Drużyny Harcerek „Zielona”, która wchodzi w skład Hufca „Wybrzeże Kościuszkowskie”. Gdyby wybuchło powstanie, będzie łączniczką. Uczy się na pamięć wszystkich przeżyć w kamienicach Śródmieścia, sporządza mapę fortu Mokotów. Gdy ma przenieść powielacz w wielkiej płaskiej obudowie, na warkoczach wiąże różowe kokardy, by wyglądać dziecinniej (Janinie nie podoba się ten pomysł, ale rozkaz to rozkaz).

Matka domyśla się, że córki są w konspiracji, obie dostarczają do domu podziemną prasę.

W 1944 roku druzna Zofia Zawadzka odwiedza rodziców sześciu najmłodszych harcerzek z zastępu „Dzięcioły”. Pyta ich, czy w razie wybuchu powstania pozwolą córkom iść do walki. Rodzice nie wyrażają zgody. Tylko mama Janiny odpowiada:

– Pani Zofio, nawet jeśli powiem „nie”, ona i tak pojdzie.

AGNIESZKA I KRZYSZTOF. Na wieść o wybuchu wojny, 1 września 1939 roku, służąca podnosi fajerki w piecu i wrzuca do ognia gotowy obiad. Agnieszka słyszy, jak gospościa woła przy tym:

– Ja jestem pan Wołodyjowski! – Krzysztof zwykł jej czytać dla rozrywki „Trylogię” Sienkiewicza. Służąca trafia do szpitala psychiatrycznego w Tworkach.

Barlińscy mieszkają na Powiślu. Kazimierz, ojciec Agnieszki i Krzysztofa, przed wojną dyrektor fabryki fajansów we Włocławku, działa w konspiracji. Ich mama, Bolesława, jest księgową w fabryce sztucznego jedwabiu. Niecały rok później przenoszą się na Żoliborz.

Gdy grupa ojca zostaje zdekonspirowana, on musi uciekać na wschód. Kuca przed córką i mówi do niej: – Jak wrócę, na pewno będziesz umiała już dobrze czytać. – Agnieszka zapamięta, że tato miał na sobie szare spodnie. (Kazimierz nie wróci, zginie w stalinowskim więzieniu). Bolesława zostaje sama z dziećmi, jeździ do urzędniczej pracy w Śródmieściu, uczy się gotować i prowadzić gospodarstwo. Jej pierwszą fasolową zupę jedzą nożem i widelcem.

Polskie dzieci mają prawo do sześciu klas szkoły podstawowej. Później muszą się uczyć zawodu i iść do pracy. Krzysztof uczęszcza na tajne komplety do Prywatnej Szkoły Rolniczej II stopnia inżyniera Stanisława Wiśniewskiego w Śródmieściu.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii

– Podczas przerwy w zajęciach tośmy raz napluli z balkonu niemieckiemu żołnierzowi na czapkę – mówi Krzysztof Barliński. – Wpadł na górę z awanturą, na szczęście pan Wiśniewski zażegnał ją płynnym niemieckim.

Po lekcjach Krzysztof bierze udział w tajnych zbiórkach harcerskich. Przybrał pseudonim „Kazan” – od imienia psa zmieszanego z wilkiem, bohatera książki Jamesa Olivera Curwooda.

Jego młodsza siostra Agnieszka ma przyjaciółkę Krysie z za płotu. Obie chcą walczyć z Niemcami jak dorośle.

Zbierają owoce łopianu, zwane rzepami, i obrzucają nimi idący chodnikiem dwuosobowy patrol niemiecki. Jednemu z żołnierzy kłująca kulka wpada za kołnierz. Wyjmuje pistolet z kabury i grozi dziewczynkom. Uciekają przerażone.

Na strychu odkrywają polskie flagi narodowe. Wspinają się na dach i wywieszają sztandary na kominie. Widzi je Krzysztof, natychmiast ściąga flagi z budynku i spuszcza obu lanie.

Podpatrują wymalowane w nocy przez harcerzy z Szarych Szelegów napisy na murach. Nie rozumieją ich znaczenia, ale znalezioną farbą malują swoje o identycznej treści.

TARZAN. Aż dziwne, że Jan Rybak nie został nazwany Józefem, bo naczelnika Piłsudskiego ojciec chłopca, były legionista, obdarza najwyższym kultem. Kiedy w maju 1935 roku umiera marszałek, uczniowie ze szkoły Jana idą pożegnać wodza.

– 13 albo 14 maja zaprowadzono naszą szkołę do Belwederu. Nosiła imię marszałkowej Piłsudskiej. „Dziadek” leżał w otwartej szklanej trumnie, z jednej strony klęczała jego żona i dwie córeczki, z drugiej stał jego adiutant. Przesuwano nas dość szybko, żeby jak najwięcej dzieci mogło pożegnać marszałka – wspomina Jan Rybak.

17 października 1943 roku czternastoletni Janek stoi w grupie gapiów i patrzy na dwudziestu mężczyzn, których Niemcy wyładowują z ciężarówki i ustawiają pod ścianą. Pojechał do Śródmieścia odebrać umówioną książkę, trafił na ulicę Piusa XI (przed wojną Piękna). Naprzeciwko skazańców staje pluton żołnierzy uzbrojonych w karabiny. Zaraz się odbędzie druga w stolicy publiczna egzekucja z rozkazu generalnego gubernatora Hansa Franka.

Jeden z Niemców trzyma wiaderko z rozrobionym gipsem. Zapycha usta skazańcowi, który chce coś krzyknąć. Padają strzały, zabici się osuwają. Żołnierze zaraz wrzucają ich ciała na ciężarówki.

Jan Rybak: – Szok to był, ludzie płakali, kobiety podchodziły do kałuży krwi i maczały w niej chusteczki. Pamiętam, że miałem w tamtym momencie dziwne poczucie, że już mnie w życiu nic nie

zdziwi. To był dla mnie moment przełomowy, jakbym nagle dorósł i wiele rzeczy zrozumiał.

W połowie lutego 1944 roku kolega ze starszej klasy zaczepia Janka:

– Chcesz dokuczać Niemcom?

– No pewnie, że chcę – odpowiada chłopak.

– No to byś się zapisał do organizacji. Tylko musisz przejść okres próbny.

Organizacją jest lewicowa Polska Armia Ludowa, utworzona w Warszawie w 1943 roku (w czasie powstania podporządkuje się Armii Krajowej).

Próba pierwsza. Na Dworcu Wschodnim Janek Rybak biega między pociągami towarowymi i zrywa listy przewozowe na wagonach. Przez to Niemcy nie wiedzą, jaki towar jest w środku, muszą odpłombować wagony, co wprowadza zamieszanie na kolei i opóźnia odjazd. Chłopak zwinnie wspina się na wagony, mówią na niego „Małpa”.

Próba druga. Do ośmiuset odbiorców, przypadkowo wybranych z książki adresowej, wysyła z kolegami puste koperty. Sam wpadł na pomysł akcji. Na każdą z kopert naklejają po kilka znaczków z portretem Adolfa Hitlera, obowiązujących w Generalnym Gubernatorstwie, i jeden przedwojenny polski znaczek wydany w 1938 roku z okazji dwudziestej rocznicy odzyskania niepodległości. Znaczki sprzedał im ojciec kolegi, który ma sklep filatelistyczny, pieniądze dała organizacja. Koperty przechodzą przez wiele rąk, zanim trafią do adresata. Celem akcji jest dodanie ludziom otuchy.

– W maju 1944 roku w parku Skaryszewskim podpułkownik Mieczysław Pałłucha-Przyłudzki „Jurek” odebrał od nas przysięgę – wspomina



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii

Jan Rybak. – Było nas jedenaścioro, staliśmy w szeregu i powtarzaliśmy za nim, że jesteśmy gotowi oddać swoje życie za ojczyznę.

– Był pan gotowy na śmierć? – pytam.

– No co pani? Dla mnie śmierć to była abstrakcja. Kto chce umierać, zwłaszcza w tym wieku?

Chcą mu nadać oficjalny pseudonim „Małpa”, ale on woli być „Tarzanem”.

Niemiecki żołnierz, który jedzie z frontu wschodniego na urlop do domu, ma wielogodzinną, czasem kilkudniową, przesiadkę na Dworcu Wschodnim. Wolny czas chce wykorzystać na rozrywkę i kupno prezentu dla bliskich. Dowiaduje się, że jedynym miejscem w pobliżu, które spełni jego wymagania, jest Bazar Różyckiego.

„Tarzan” wspomina: – Wchodził taki Niemiec na bazar, rozglądał się, a tam mój przełożony „Majtek” już do niego podchodził: „O, *guten Tag, Herr Soldat*, co pan sobie życzy? Co by pan chciał kupić? Mamy tu gęsi, kaczki, jajka, masło, szpek. A może królika?”. I tak go podprowadzał pod stolik, gdzie grano w trzy karty. „Pan Niemiec spróbuje szczęścia?”. On się przeważnie wykręcał, że nie ma pieniędzy, ale wtedy mu się pożyczało młynarkę, czyli okupacyjne pięćset złotych. „Postaw, żołnierzu”. I on, oczywiście, wygrywał. „O, *Herr Soldat*, masz pan *Glück*. To się napijmy za to bimbru”. I podawali mu szklaneczkę, namawiali na dalszą grę. Za każdym razem wygrywał. Pijanemu, zajętemu grą żołnierzowi starszy kolega odpinał delikatnie kaburę i podawał któremuś z nas, młodszych, pod pachę, jego pistolet. Leciąło się wtedy do wysokiej kamienicy na Żąbkowską, róg Targowej, gdzie był skład broni. Kilkanaście razy wziąłem udział w takiej akcji.

Czasem Niemcy sami sprzedawali broń, zdarzało się wciągać ich do bramy, rozbierać do bielizny i wypuszczać na ulicę.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

JERZY. W 1940 roku siedmioletni Jurek – syn Leona, trębacza i handlarza skórami, oraz Józefy, śpiewaczki estradowej – konstruuje z kolegami z podwórka pistolet. Planują zabić Niemca. Broń składa się z rurki (do której należy napchać siarki oskrobanej z zapalek) i gumy przytrzymującej gwóźdź. Naciśnięcie cyngła sprawia, że gwóźdź przelatuje przez rurkę i wbija się w cel – przeważnie w deskę. Kiedy broń zostanie udoskonalona, chłopcy chcą zwabić jakiegoś Niemca na podwórko, zaprowadzić go w ciemny kąt i zastrzelić.

Jerzy George Świtalski wspomina: – Mieszkał w naszej kamienicy człowiek, który grał na mandolinie. Raz, publicznie, nasikał na ulicy na plakat z obwieszczeniem, a może go tylko zdarł, już nie pamiętam. Został złapany. Niemcy przyprowadzili go na nasze podwórko i powiesili na drzewie. Wyszedł mu język, głowa zwisała, strasznie było tam przechodzić. Po tym wydarzeniu zrezygnowaliśmy z planu zabicia Niemca. Ale nienawiść do okupanta została.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

SZTYCHNICKI. Przed wojną każdego ranka ojciec Ryszarda, brygadzi-
sta stolarzy w zakładach Polskiego Fiata, uczestniczy w nabożeństwie.
W drodze powrotnej kupuje mleko i chleb na śniadanie. Dom przy uli-
cy Zakroczymskiej 1, w którym urodził się Rysiek w 1928 roku, przylega
do kościoła i klasztoru Franciszkanów. Trzy razy w tygodniu bywa tam
ojciec Maksymilian Maria Kolbe. Chłopiec służy mu wtedy do mszy.

W 1942 roku Ryszard kończy szkołę powszechną i dzięki protekcji
ojca natychmiast znajduje zatrudnienie w warsztacie Obsługa Samo-
chodowa przy ulicy Tamka 28. Uczy się zawodu elektryka samocho-
dowego.

Załoga warsztatu działa w konspiracji. Ryszard wraz z nimi
uszkadza w niewidoczny sposób startery i prądnice niemieckich

samochodów wojskowych, które zostają wyłączone z obsługi na dłuższy czas. (W czasie powstania w tym warsztacie zostanie skonstruowany wóz pancerny Kubuś.)

ANDRZEJ. Dwa plastry soczystej szynki leżą tylko na jednym talerzu. Trzydzieści pozostałych, ustawionych przed gośćmi na białym obrusie, jest pustych. Na Żoliborzu, przy ulicy Gdańskiej, trwa przyjęcie komunijne ośmioletniego Andrzeja, syna Tomasza, byłego legionisty, przed wojną dyrektora Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, oraz Wiesławy, laborantki. Jest 1943 rok.

Andrzej Bober wspomina: – Zacząłem ją jeść pospiesznie. Nagle zorientowałem się, że wszyscy zamilkli i wpatrują się we mnie. Pomyślałem, że może zagiął mi się kołnierzyk albo mam plamę na ubraniu. Okazało się, że mojej mamie z tej uroczystej okazji udało się zdobyć siedem dekagramów szynki, którą dostałem tylko ja. Wszyscy czekali na moją reakcję. Rozczarowałem ich, bo nie byłem olśniony.

INNI. Na początku sierpnia 1944 roku w okupowanej Warszawie żyje od dziewięciuset tysięcy do miliona stu tysięcy ludzi. Do końca października zginie około stu osiemdziesięciu tysięcy z nich. Ile jest wśród nich dzieci?

Proszę o pomoc pracowników Muzeum Powstania Warszawskiego. Przychodzi odpowiedź: „Nie posiadamy szczegółowych danych na temat cywilów. Trudno nawet pokusić się o próbę szacowania takiej liczby bądź podawanie wartości procentowych, gdyż źródła nie są kompletne i są rozproszone”².

Łatwiej policzyć dzieci żołnierzy. W szeregach powstańczych (według danych z muzeum) będzie walczyło pięć tysięcy osiemset czterdzieścioro siedmioro dzieci z roczników 1927-1934. Osiemnastolatków w powstaniu będzie dwa tysiące dziewięćset dwanaścioro³. Ogólna liczba powstańców – Armii Krajowej

i innych formacji – wyniesie czterdzieści pięć tysięcy ludzi. Śmierć poniesie osiemnaście tysięcy z nich, dwadzieścia pięć tysięcy zostanie rannych.

4. POWSTANIE

1 sierpnia

INNI. Choć powstanie ma się rozpocząć o godzinie siedemnastej w całej Warszawie, już dwie godziny wcześniej niemiecki patrol przypadkowo zatrzymuje w pobliżu ulicy Krasińskiego na Żoliborzu mężczyzn, którzy mimo upału mają na sobie grube, zimowe płaszcze. To powstańcy przenoszą w fałdach ubrań broń na miejsce zbiórki. Padają pierwsze strzały powstania, nazywanego początkowo „sierpniowym”.

Uzbrojenie powstańców jest nędzne. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi ma do dyspozycji: tysiąc karabinów, tysiąc siedemset pistoletów, trzysta pistoletów maszynowych, sześćdziesiąt karabinów półautomatycznych, siedem ciężkich karabinów maszynowych, trzydzieści pięć działek przeciwzołgowych i dwadzieścia pięć tysięcy granatów ręcznych⁴.

„Monter” zdaje sobie z tego sprawę, mimo to przemawia do swoich żołnierzy: – Kto nie będzie miał broni palnej, dostanie granaty, a dla kogo zabraknie granatów, niechaj bierze do ręki kamień, łom czy siekierę i tym zdobywa broń dla siebie⁵.

Nie obowiązuje jeden plan powstania, nic nie zostało ostatecznie przygotowane, łączność między walczącymi dzielnicami zerwie się już na początku. Najbliższe sześćdziesiąt trzy dni będą



cdjskfkjskfsjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii

polegały głównie na improwizacji. Niemcy przez pewien czas będą uważali, że powstanie wybuchło spontanicznie i nikt nim nie dowodzi.

2 sierpnia. Stare Miasto

SZTYCHNICKI. Noc spędził na barykadzie. Na Zakroczymskiej, w pobliżu jego domu, powstańcy próbują zdobyć Wytwórnę Papierów Wartościowych, a Niemcy się ostrzeliwiają. Wśród walczących spotkał kolegów ze szkoły, są żołnierzami AK, ludźmi z batalionu „Gozdawy”. Chciałby zostać jednym z nich. Przed godziną jedenastą Wytwórnia przechodzi w polskie ręce, a szesnastoletni Ryszard Sempka zgłasza się do punktu rekrutacyjnego.

2 sierpnia.

„Biuletyn Informacyjny. Wydanie Codzienne”

„W opustoszałej po gwałtownej serii ognia ulicy pojawia się malec, może ośmioletni. Wdrapuje się na budkę od papierosów – zatyka na niej biało-czerwoną chorągiewkę. A wielka biało-czerwona chorągiew powiewa już przed godziną 18-stą na szczycie drapacza Prudencjału, zdobytego szturmem”.

„Przy murze przemyka się pod gęstym ogniem koszącym niemieckich kaemów młoda dziewczyna. Raniona w biodro pada. Ktoś się nad nią nachylił. »Opatrzcie mnie – mówi kurierka – muszę doręczyć meldunek«. Młody chłopiec przejmuje od niej adres i zlecenie i rusza biegiem”.

2 sierpnia. Praga

TARZAN. Dzień wcześniej, gdy utknął na Pradze, Jan Rybak zgłosił się do swojego dowódcy „Majtka”. Przeniósł kilka meldunków, pomógł przetransportować rannych i martwych w głąb ulicy

Kijowskiej (doszło do strzelaniny między żandarmami a powstańcami). Ogłuszył go wystrzał z granatnika.

Jest wieczór drugiego dnia powstania, gdy „Majtek” mówi do swoich podwładnych:

– Zakopcie opaski, służba wasza się skończyła, marsz do domu.

Początek sierpnia. Żoliborz

ANDRZEJ. Część domu przy ulicy Gdańskiej z zajmują powstańcy (jest wśród nich kuzyn Zbyszek, który dzień wcześniej zabrał ukryte w piwnicy karabiny). Sypią piasek do worków i uszczelniają nimi okna na parapecie. Ośmioletni Andrzej im pomaga.

– Chłopaki, dacie postrzelać? – pyta któregoś z powstańców. Stawiają go przy oknie i opierają karabin o worek z piaskiem.

– Jak zobaczysz Niemca, to wal – radzą. Andrzej naciska spust. Karabin ma duży odrzut, chłopiec ląduje pod ścianą.

4 sierpnia. Śródmieście

MYSZKA. Wraz z bombą upuszczoną przez niemieckiego pilota na „Myszkę” zaraz spadnie dorosłość. Ostatnie dwadzieścia minut dzieciństwa ta szczupła, niewysoka czternastolatka z warkoczem, w podkolanówkach tatusia i zimowych butach na gumie, spędza w bocznym korytarzu piwnic pod gmachem PKO przy ulicy Świętokrzyskiej. Przed chwilą zameldowała doktor Marii Piekarskiej „Joannie”, że wszyscy pacjenci zostali już bezpiecznie przetransportowani ze szpitala przy placu Dąbrowskiego do podziemi banku. Teraz odpoczywa wśród zmęczonych koleżanek z I plutonu Wojskowej Służby Kobiet. Nie słychać stąd nadlatującego samolotu. Od razu jest huk, zapada ciemność, „Myszka” traci przytomność.

– Ocknęłam się. Byłam zasypana, nie mogłam się ruszyć. Słyszałam krzyki. Nie wiem, jak długo to trwało, ale po jakimś czasie

skądś zaczęła się lać woda, chyba pękła rura, i poczułam, że mnie wymywa. Wyrwałam się i ruszyłam w ciemności do jakiegoś światła – wspomina Janina Suchorzewska, z domu Tatarkiewicz. – Do tego momentu wyobrażałam sobie udział w powstaniu jako przedłużenie dobrej, harcerskiej gry. Podobało mi się nawet. Nagle zrozumiałam, że gra się skończyła, a ja jestem dorosła.

Na dziedziniec banku „Myszka” wychodzi niemal nago, na sobie ma tylko postrzępioną koszulkę. Jest w szoku. Stąpa boso po stłuczonym szkle okiennym, ale tego nie czuje. Płacze, że chce wracać do mamy. Porucznik Alicja Kadler „Wiarna” narzuca jej na plecy koc i przytula:

– Nie możesz iść do mamy, ja cię rozumiem, ale nie możesz.

Przynosi jej popielaty uniform ze zdobytych niemieckich magazynów, który będzie jedynym ubraniem „Myszki” do końca powstania.

Oprócz niej bombardowanie przeżyły tylko trzy osoby. Z gruzów ratownicy wyciągają ciała trzydziściora czworga ludzi. „Myszka” rozpoznaje wśród zmarłych „Joannę”, której przed chwilą składała meldunek.

– Pochowaliśmy ich wszystkich na podwórku. Z jakichś beleczek drewnianych, może framug okiennych, robiliśmy krzyżyki i temu, kto był rozpoznany, zapisywaliśmy sygnaturkę.

5 sierpnia.

„Biuletyn Informacyjny. Wydanie Codzienne. Nie strzelać niecelowo”

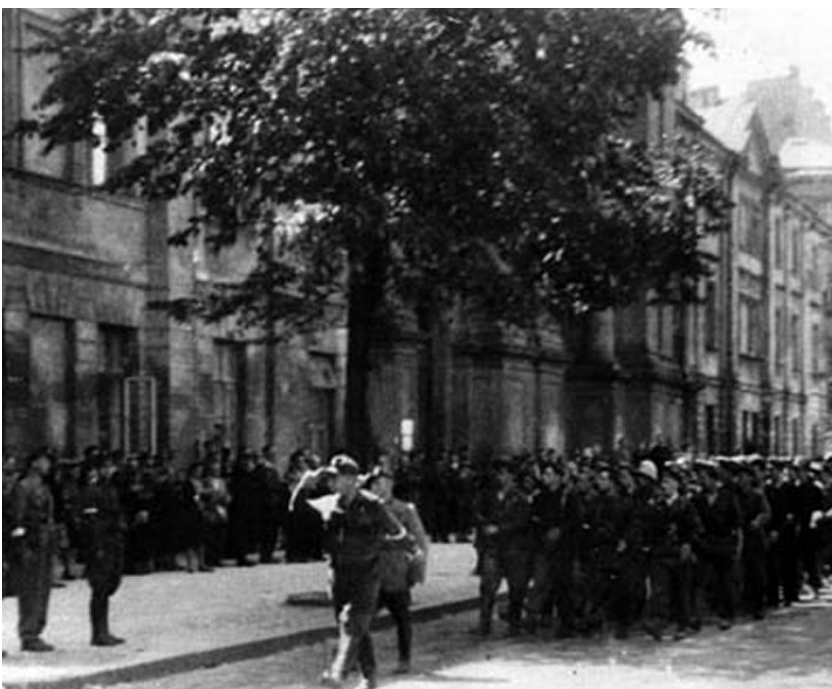
„Na jednym z odcinków walczy kilka batalionów, których główny trzon stanowią harcerze. Znamy ich – to młodzież z »Kamieni na szaniec«. [...] Mundury mają jednakowe i pierwszorzędne: opanowali pociąg dla Waffen SS i zdobyli w nim świetne, ochronne bluzy”.

6 sierpnia. Stare Miasto

SZTYCHNICKI. Zdjęcie jest słabej jakości⁶. Twarze modlących się ludzi to jedynie jasne plamki światła na ciemnym tle filarów



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

kościół garnizonowy przy ulicy Długiej w Warszawie. Jest jednak wystarczająco wyraźne, żeby odróżnić upięte wysoko fryzury kobiet od krótko ostrzyżonych mężczyzn, zauważyć białoczerwone opaski na rękawach. Fotograf stanął z lewej strony ołtarza, tuż za powstańcami służącymi do mszy, i nacisnął spust migawki. Wierni, wpatrzeni w księdza, nie zwrócili na niego uwagi. Tylko jeden mężczyzna, z małym wąsikiem pod nosem, spojrzał prosto w obiektyw. Nie mam szans odnaleźć w niewyraźnym tłumie Ryszarda Sempki, który wraz z innymi powstańcami, przysięga wierność Bogu, ojczyźnie, prezydentowi, rozkazom naczelnego wodza i dowódcy Armii Krajowej. To już czwarty dzień, jak Rysiek jest żołnierzem. Przyjmuje pseudonim „Szychnicki”.

Po nabożeństwie żołnierze batalionu „Gozdawa” czwórkami defilują spod kościoła w kierunku ulicy Freta. Ubrani w zdobyczne niemieckie uniformy, nieliczni z bronią, nigdy razem nie ćwiczyli musztry, nie trzymają więc równego kroku. Jest słonecznie, drzewa rzucają cień, tłumy ludzi zgromadziły się na chodniku. To dopiero początek powstania, cywile jeszcze nie przeklinają walczących. „Szychnicki” widzi, że tuż przy krawężniku defiladę odbiera generał Tadeusz „Bór” Komorowski wraz z dowództwem Starego Miasta. Fotograf wybiega z kościoła i uwiecznia chwilę na kliszy⁷.

Nowo przyjeści żołnierze dostają w prezencie po pięć papierosów z machorki.

6 sierpnia.

„Biuletyn Informacyjny. Wydanie Codzienne.

Każda kula jeden Niemiec”.

„[...] Wczoraj w południe oddział SS z Uniwersytetu [...] wpadł do kilku domów u początku Krakowskiego Przedmieścia i wypędził wszystkich mieszkańców na ulicę. [...] Z tłumy wydzielono około 50 osób i skierowano Nowym Światem i Świętokrzyską jako osłonę niemieckich czołgów. [...] Na skutek obustronnych strzałów

większość pędzonych padła trupem na jezdni. [...] Postawa Polaków, od najmłodszych do najstarszych, mężczyzn i kobiet, była bohatera – żadnych płaczów, krzyków, próśb o litość”.

Sierpień. Śródmieście

MYSZKA. Kwateruje z oddziałem w gmachu PKO, w części, która ocalała w bombardowaniu 4 sierpnia. Wstaje wcześnie rano i biegnie na plac Dąbrowskiego do majora Lesława Węgrzynowskiego „Bartosza”, następcy „Joanny”. Odbiera kilkanaście zapisanych na maszynie cieniutkich bibulek i roznosi je do szpitali i punktów sanitarnych Śródmieścia. Przenosi środki opatrunkowe i suchary dla chorych. Wraca po kilkunastu godzinach śmiertelnie zmęczona. Koledzy zsuwają dwa krzesła: – Kładź się, Myszka, bo się nachodziłaś – mówią. Zaspia.

Sierpień. Praga

TARZAN. Jest sam w mieszkaniu przy Waszyngtona 77, gdzie mieszkał z mamą, nim pod koniec lipca przeprowadzili się do stryja na Nowym Mieście. Żywi się resztkami kartkowego, ususzonego przez matkę chleba. Wieczorami zakrada się na działki przy swojej ulicy i wyrywa warzywa. Dokarmiają go też sąsiadki.

Sierpień. Śródmieście

MYSZKA. Powstańcze plakaty ostrzegają: „Gdy krowa ryczy, nie stać w bramie”. Nie chodzi jednak o zwierzęta. Niemcy nazwali swoje nowoczesne, śmiercionośne pociski bardziej romantycznie – „miotaczami mgły” (*Nebelwerfer*). To Polacy mówią na nie „szafy” lub „krowy”, Amerykanie określają je jako „wrzeszczącą Mimi”. Kiedy człowiek słyszy płynący z nieba ryk, powinien jak najszybciej się schować,



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

najlepiej w piwnicy lub schronie. I liczyć do sześciu – tyle pocisków wysłała do celu za jednym razem wieloprowadnicowa wyrzutnia raketowa. Krowa rozlewa naftę, która w promieniu dwustu metrów wywołuje piekło. Przebija ściany i stropy, pali ludzi żywcem. Potrafi zabić siłą podmuchu, zedrzeć ubrania, wbić w ciało piasek z ulicy. W epicentrum wybuchu powstają gwałtowne zmiany ciśnienia, od których pękają pęcherzyki płucne i naczynia krwionośne.

Janina Suchorzewska wspomina: – Widziałam ofiary krów. Spaleni ludzie, czarni jak smoła. Tylko usta mieli różowe i piszczeli przez nie: „pi, pi, pi”. Musieli znosić ból, bo nie było morfiny. Zawieszano się ich w prześcieradłach nasączonych olejem lnianym między krzesłami, żeby jakoś złagodzić ich cierpienie. Umierali wszyscy. Ludzie się dziwią, że przez całe życie jestem pesymistką. A ja w środku pozostałam małym dzieckiem, bardzo okaleczonym psychicznie. Widok tamtych ciał niosę z sobą od zawsze.

Mimo ostrzeżeń na plakatach „Myszka” przeczekuje bombardowania w bramach. Wie, że to tak nierozsądne, jakby w czasie burzy stanęła pod drzewem, ale nie potrafi się przemóc. Od 4 sierpnia nie schodzi do piwnic. Wyjmuje więc z kieszeni obrazek z Maryją i mówi do niej:

– Nigdzie nie pójde, Matko Boska, jesteś cały czas ze mną.

12 sierpnia.

„Jawnutka. Codzienne Pisemko dla Dzieci”

„Obywatele dzieci! »Jawnutka« będzie przychodziła do Was codziennie. W każdej klatce schodowej otwórzcie »kółko Jawnutki« w celu zbiorowego słuchania naszego pisemka. Mamy mało papieru i jeden egzemplarz musi starczyć na kilkanaście klatek. »Jawnutka« prosi, żebyście do niej pisały. Listy do »Jawnutki« należy oddawać w mieszkaniu 104/9 klatka/na IV kolonii W.S.M. w godzinach 14-18. Na każdy list będzie wydrukowana niezwłocznie odpowiedź w »Jawnutce«. Redakcja”.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Sierpień. Żoliborz

AGNIESZKA I KRZYSZTOF. Lalka jest piękna. Ma długie loki, zamknięte oczy i sukienkę. Jest prezentem świątecznym od niemieckiego właściciela firmy, który zatrudniał mamę Agnieszki. Dziewczynka ma już jedenaście lat, ale za każdym razem, kiedy trzeba zejść do piwnicy podczas bombardowania, zabiera lalkę z sobą.

Agnieszka Wróblewska: – Nie rozumiałam nic z tego zamieszania. Nie dochodziło do mnie.

Na Żoliborzu, w porównaniu z resztą ogarniętej powstaniem Warszawy, panuje względny spokój. W dzielnicy zdobytej na początku miesiąca przez Polaków, mimo nalotów i ostrzeliwań artyleryjskich przez chwilę trwa „Rzeczpospolita żoliborska”. Oprócz gazet dla dorosłych wychodzi tu pismo dla dzieci „Jawnutka”, w sali kinowej przy ulicy Suzina odbywają się koncerty i wieczory poetyckie. Powołana zostaje władza cywilna, wojskowa i sądownicza.

Krzysztof Barliński: – Mimo że byłem w Szarych Szeregach, w zasadzie pozostałem widzem powstania. Raz czy dwa miałem zlecenie, żeby zanieść jakiś meldunek, kiedyś postawiono mnie na czatach, ale poza tym nic. Ulica Kossaka, przy której mieszkaliśmy, wraz z Kozietułskiego, Niegolewskiego i Kochowskiego tworzyły kwadrat, w środku którego był skwer, zamknięty w czasie wojny. Wspinaliśmy się tam na drzewa, graliśmy w siatkówkę, jeździliśmy na rowerze. W sierpniu skwer stał się miejscem spotkań powstańców. Siedzieliśmy z nimi, śpiewaliśmy piosenki, nastrój był niesłychanie podniosły. I ja wtedy czułem z nimi jedność.

13 sierpnia. Stare Miasto

SZTYCHNICKI. – To była niedziela. Akurat miałem służbę przy barykadzie po drugiej stronie placu Krasińskich, tam gdzie przed powstaniem tramwaj wjeżdżał przez bramę w budynku – wspomina Ryszard Sempka. – Takiego huku, jaki się nagle rozległ od strony Kilińskiego, jeszcze nie słyszałem, a przecież codziennie leciały na nas krowy.

Ciężki transporter ładunków, który z samego rana Niemcy porzucili przy barykadzie na Podwalu, około siedemnastej zostaje przejęty przez powstańców. Objeżdżają nim Stare Miasto, budząc entuzjazm cywilów i żołnierzy. Podczas próby zawrócenia transportera przy barykadzie na ulicy Kilińskiego z maski pojazdu zsuwa się metalowa skrzynia, w której znajduje się pięćset kilogramów materiału wybuchowego. W eksplozji pojazdu ginie około trzystu osób, kilkaset jest rannych. Wybuch rozrzuca rozerwane ciała w promieniu kilku ulic. Strzępy ofiar spadają na parapety okien, zwisają z gzymsów i rynien.

Ryszard Sempka traci wielu kolegów z oddziału. Zdaje sobie sprawę, że gdyby przypadła mu służba na Kilińskiego, już by nie żył.

14 sierpnia.

„Robotnik – Centralny Organ PPS. Poniedziałek”

„Słusznie zwracają nam uwagę, że zakłady fryzjerskie, przede wszystkim na terenach zajętych przez nasze oddziały, powinny być uruchomione na potrzeby wojska i ludności cywilnej. Komen-danci domów powinni odnaleźć właścicieli zakładów fryzjerskich i nakłonić ich do pracy, przestrzegając przy tym, aby nie pobierano nadmiernie wysokich cen”.

15 sierpnia.

„Biuletyn Informacyjny. Wydanie Codzienne. Warszawa, wtorek”

„Poszukiwania zaginionych. Matka Wisia prosi o wiadomość córkę Haneczkę. Waliców 14 m. 7”;

„Wanda Stefan prosi o wiadomość o jej dzieciach: Jerzyku lat 7, Zosi lat 3 i Józefie Kuczyńskiej, pl. Kazimierza 5 u p. Sasinowskich”;

„Janina Ź. z Elektorальной 30 m. 3 prosi o wiadomość córkę Natalię, Sienna 22, schron”.

Sierpień. Śródmieście

MYSZKA. Jest najmłodsza w swoim oddziale i dość samotna. Ludzie z jej grupy zachowują wobec siebie życzliwy dystans, są pomocni, ale nie jest to przyjaźń. Nie mówią o sobie za wiele, znają tylko swoje pseudonimy. Dawne koleżanki Janiny z drużyny harcerskiej dostały przydział w innych punktach miasta. Tęskni za nimi. Spotka je za kilka tygodni w punkcie przy Mokotowskiej. Rozplotą jej wtedy warkocze i umyją włosy, wyflukując pył i kurz z 4 sierpnia. Zapytają, o czym marzy.

– O majtkach – zwierzy im się czternastolatka. – Od tamtej pory mam na sobie tylko ten uniform.

Podarują jej bieliznę i utulą.

– Z nimi miałam prawdziwą więź – wspomina. – Pozostałam jednak przy swoim oddziale, bo tam był mój przydział. Nie tęskniłam za domem, nie zajmowałam głowy mamą. „Żebyśmy zwyciężyli”, „żebym wyszła z tego żywo” – tylko o tym myślałam.

Sierpień. Żoliborz

ANDRZEJ. Najlepsze miejsce do przeczekania ataku, zdaniem cywilów, jest pod schodami klatki schodowej. Z obserwacji zburzonych budynków wynika, że właśnie tam konstrukcja jest najmocniejsza i zapada się najpóźniej. Wiesława Bober siada więc z dziećmi w korytarzu piwnicy pod schodami. Obok kuca jej siostra i chowa głowę w ramionach. Tomasz, ojciec Andrzeja, ma dyżur na dachu – wypatruje z innymi lokatorami niemieckich samolotów.

Czołgi ustawione na ulicy Gdańskiej kierują lufy w stronę domu pod numerem drugim i strzelają w okna piwnic i parteru. Znajduje się tu silny ośrodek powstańczy, który Niemcy zamierzają zlikwidować. Jeden z wystrzelonych pocisków rozcina klatkę schodową, ale nie wybucha. Słychać tylko huk i budynek zaczyna osiadać, gruz zasypuje rodzinę Boberów – tracą przytomność.

Andrzej Bober wspomina: – Ocknąłem się, ludzie krzyczeli, nic nie widziałem. Nie mogłem oddychać, dusił mnie pył ceglany. Na całe życie mi potem pozostał wstręt do tego zapachu. Krzyki cichły, a ja pomyślałem, że wszyscy oprócz mnie umarli. Ale po pewnym czasie znów usłyszałem głosy. To ojciec zorganizował ekipę ratunkową, ludzie odgarniali gruz gołymi rękami. Akcja ratunkowa trwała półtora dnia, w końcu zdjęto z nas ostatnią warstwę. Byłem w szoku, miałem poranioną twarz, poza tym nic mi nie było. Siostra wyszła bez szwanku.



edjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Ciotka miała poharatane nogi, trzeba ją było wyciągać delikatnie. Mamie drobinki piwnicznego węgla wbiły się w skórę. Do końca życia pozostały jej czarne kropki na czole, zaczesywała grzywkę, by je ukryć.

20 sierpnia.

„Warszawa Walczy. Żołnierska Gazeta Ścienna”

„Bohaterem walk w rejonie ulicy Wroniej i Grzybowskiej jest 12-letni ochotnik AK Henryk »Tygrys«. Ten niepozorny blondynek w furażerze z proporczykiem, spadającej mu na uszy, wstawił się podpaleniem czołgu szturmującego barykadę [...] W chwili, gdy lufa działa skierowała się na obrońców barykady, malec podskoczył do czołgu i z odległości 10 metrów rzucił dwie butelki benzynowe w koła obracające taśmę nośną i w tylne opancerzenie przy szczelinie wyzierowej. Już pierwszy pocisk zdołał podpalić rozbijającego barykadę Tygrysa”.

Sierpień. Stare Miasto

SZTYCHNICKI. – Wpadałem czasem do rodziców, zobaczyć, jak się mają. 18 sierpnia nasz dom przy Zakroczymskiej został zburzony, lokatorzy przenieśli się do piwnic. Na parterze był skład szyb samochodowych. Płonące szkło stopiło się w lawę i podgrzewało strop. W piwnicy było z tego powodu bardzo gorąco.

Pamiętam, sąsiadka zapytała mnie wtedy, czy mam papierosa. Chciała wyjść na zewnątrz, zapalić. Poczęstowałem ją. Paliłem już od dwóch lat, nauczyłem się w warsztacie. Staliśmy przed wejściem, raptem drzwi się uchyliły i wyszła moja mama. A ja zareagowałem jak dzieciak: „Ojej, tego, mam, przepraszam”. Ale ona machnęła tylko ręką: „A mnie to jest już wszystko jedno”.

20 sierpnia.

„Warszawa Walczy. Żołnierska Gazeta Ścienna”

„Pisaliśmy niedawno o ludziach, którzy za punkt »honoru« obrali sobie stałe siedzenie w schronach i piwnicach domów. Istnieje druga grupa osób, bez porównania liczniejsza od tamtej, która nabrała zwyczaju bezcelowych włóczęg po ulicach. [...] Jesteśmy świadkami zupełnie bezsensownego kręcenia się osób ściąganych na miejsca obstrzału najgłupszą z ludzkich ciekawości. Powstanie warszawskie nie jest widowiskiem teatralnym przeznaczonym dla spragnionych sensacji tłumów”.

Sierpień. Śródmieście

MYSZKA. Suchary podlegają ścisłej reglamentacji, wydaje się je tylko chorym na biegunkę. „Myszka” staje na baczność przed majorem „Bartoszem” i prosi o przydział dwóch, najwyżej trzech sucharów.

– Bo ja właśnie mam tę biegunkę – melduje dziewczyna. Bartosz przygląda się jej.

– Mała, masz kłamstwo w oczach. Dla kogo te suchary?

– Dla mojej chorej siostry Eli – przyznaje.

Spotkały się przypadkiem, dzięki pośrednictwu wspólnej znajomej. Elżbieta Tatarkiewicz, pseudonim „Żabska”, przydzielona do IV Zgrupowania „Gurt” II Harcerskiej Baterii Artylerii Przeciwlotniczej „Żbik”, jest na Chmielnej w drukarni Wierzbickiego.

Janina Suchorzewska: – Udało nam się zobaczyć ze dwa razy. Nie pamiętam, jaką drogą dowiedziałam się, że Ela choruje na dyzenterię. Zaraz poszłam do niej z tymi sucharami. Niosłam je, a byłam strasznie głodna i siłą woli, największą w moim życiu, powstrzymałam się, żeby nie zjeść ani kawałeczka.

26 sierpnia.

„Demokrata. Codzienne Pismo Ilustrowane”

„Na imię ma Leszek. Ma lat 15. Przynieśli go do szpitala na noszach – prosto spod PAST-y, gdzie brał udział w akcji. [...] Trzeba było nogę amputować i to powyżej kolana. Stało się – już po wszystkim. Leży sobie Leszek na szpitalnym łóżku i głaszcze burego kotka. [...] Kręci się koło niego cały szpital – lekarze, siostry, sanitariuszki – przechodząc koło łóżka każdy przystaje i patrzy na tego gładko uczesanego chłopca. [...]

– Słuchaj no, Leszku – pyta pewnego dnia lekarz. – Byłby już czas zawiadomić twoją matkę.

– Nie! Nie chcę – proszę tego nie robić, bo jak mama się dowie, to dopiero będzie awantura”.

Koniec sierpnia. Żoliborz

AGNIESZKA I KRZYSZTOF. Mieszkańcy kilkurodzinnej willi przy Kossaka 11 wspólnie pogłębiają dół. W ogródku przed domem,



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

gdzie Krzysztof niedawno uprawiał marchewkę i groszek, teraz będzie grób sąsiadki z parteru. Jedenastoletnia Agnieszka stoi z boku, żeby nie przeszkadzać. Przypatruje się ciału sanitariuszki Alusi, której niemiecka krowa, rzucona na powstańczy szpital przy placu Wilsona, wyszarpała bok. Widzi, jak jej starszy o cztery lata brat, który podkochał się w dziewczynie, macha łopatą. Obserwuje jej matkę: rozpacz, niemoc, ręce, które raz wygrażają niebu, żeby zaraz tulić ciało córki złożone na noszach. Słyszy sanitariuszy, którzy mówią do osieroconej kobiety: – Proszę pani, trzeba umyć nosze z krwi. Mamy następnych zmarłych. – W końcu nosze płucze jedna z sąsiadek, bo do matki nie docierają ich słowa.

Agnieszka Wróblewska, z domu Barlińska, wspomina: – Ten pogrzeb w ogródku wyznaczył symboliczny koniec mojego dzieciństwa. Bawiłam się też i potem, ale wtedy coś we mnie zgasło.

Ostatni tydzień sierpnia. Praga

TARZAN. Z dachu wojskowego baraku w koszarach przy ulicy 11 Listopada (obecnie Esplanadenstrasse) widać Wisłę, w której odbija się płonąca Warszawa. Janek Rybak szuka wzrokiem Nowego Miasta, gdzie 1 sierpnia zostawił mamę. Nie ma o niej żadnych wieści. Tak jak pozostali mieszkańcy Pragi powstaniu może się tylko przyglądać z daleka.

– Mamo, co ty tam robisz? – szepcze do siebie.

Od początku powstania Niemcy oczyszczają Pragę z mężczyzn zdolnych do walki. Wygarniają ich z domów, organizują łapanki i wywożą poza Warszawę. Jan Rybak za pierwszym razem uciekł z grupy zatrzymanych, ale dwa tygodnie później znów został złapany. Barak, w którym ma spać, jest tak zapchlony, że woli siedzieć na dachu, zwłaszcza że noc jest ciepła.

Rano Niemcy zaganiają zatrzymanych mężczyzn do pracy przy zrywaniu macew na cmentarzu żydowskim. Każą układać je w stos, który ma być barykadą przeciwko czołgom radzieckim. Janek celowo przecina sobie rękę i ucieka z punktu sanitarnego.

Znów jest sam w swoim mieszkaniu.

31 sierpnia. Stare Miasto

SZTYCHNICKI. Walki na Starym Mieście toczą się o każdy fragment ulicy. Niemcy wysadzają kolejne budynki, mordują pacjentów zdobytych szpitali. Od rana trwają naloty. Powstanie na Starej Wólce upada.

„Sztychnicki” pełni służbę z bronią na barykadach, wyciąga rannych spod gruzów, przynosi meldunki, gasi pożary, przynosi jedzenie, stara się nie zginąć. Jest zmęczony. Jeśli ma kwadrans odpoczynku, zasypia tam, gdzie stoi, na ziemi, wśród ludzi. Martwi

się o bliskich. Ostatniego dnia sierpnia prosi swojego dowódcę, porucznika „Jara”, o zgodę na wypad do domu. Zobaczy, jak się czuje jego rodzina, i zaraz wróci. Dostaje zezwolenie, poznaje hasło („Zamek”) i odzew („Zamość”).

Ryszard Sempka wspomina: – Żyli. W okropnych warunkach, w piwnicach, ale nic im się nie stało. Nie wiem, czy godzinę u nich byłem, czy dwie, kiedy usłyszałem, że Niemcy nas odcięli. Nie miałem szans, by wrócić do oddziału. Kazali wszystkim wychodzić, bo zaczęli bombardować po kolei wszystkie budynki. Skontaktowałem się z trójką powstańców, którzy siedzieli z bronią w bramie przy Zakroczymskiej 3 – byli w takiej samej sytuacji jak ja. Co robić? Wychodzimy czy nie? Może bronić się? Postanowiliśmy wyjść z cywilami.

„Sztynnicki” przebiera się w swoje ubrania, które matka trzymała w piwnicy, mundur i opaskę powstańczą wciska pod odpadki w śmietniku na podwórzu. Legitymację powstańczą ukrywa pod blachą parapetu na parterze.

Niemcy gromadzą mieszkańców Zakroczymskiej w parku Traugutta. Jest wśród nich Ryszard z rodzicami i dwiema najmłodszymi siostrami. Stąd okupanci prowadzą ich do magazynów na Stawkach i rozdzielają na dwie grupy – kobiet i dzieci oraz mężczyzn.

„Sztynnicki”: – Siostry były chore, miały gorączkę, więc mama niosła z sobą czajnik. Skąd wzięła wodę, nie wiem, może to była deszczówka. Miała przy sobie kilka kostek cukru. Pamiętam, że kiedy uformowano kolumny, stanęliśmy obok siebie. Mama dała mi się napić z czajnika i wcisnęła trochę cukru.

Mieszkańcy Starego Miasta idą na Wolę. Tam kobiety trafiają do kościoła Świętego Wojciecha, mężczyźni zostają na zewnątrz. Esesmani wybierają spośród nich dwudziestu ludzi, w tym „Sztynnickiego”, których kierują do uporządkowania szpitala. Kiedy Ryszard wróci stamtąd, powiedzą mu, że grupę z Zakroczymskiej, wraz z jego mamą, odwieziono już do obozu przejściowego w Pruszkowie.

1 września.

„Warszawa Walczy. Żołnierska Gazeta Ścienna.

Nie niszczy, nalep na murze”

„Służba sanitarna stwierdziła ostatnio wypadki zaraźliwej choroby nosacizny i wąglika u koni. Choroba ta przenosi się łatwo na ludzi. Zwraca się przeto uwagę, iż każde zabicie konia dla celów spożycia winno być poprzedzone zbadaniem zwierzęcia przez urzędowego weterynarza”.

Sierpień lub wrzesień. Mokotów

JERZY. Kiedy otwiera rano oczy, widzi sufit, z którego zwisają strzępki starych pajęczyn. Pająków dawno już nie ma w przepelnionej ludźmi piwnicy przy Narbutta 48. Wszystkie przeniosły się na opustoszałe piętra kamienicy. Jeśli chłopiec spał na boku, po przebudzeniu widzi sąsiadów, którzy kolejną noc spędzili razem z nim, jego matką i siostrą w podziemiu, budząc się podczas wstrząsów od niemieckich pocisków. Odłamki dwóch z nich trafiły elewację od frontu. Tynk się wtedy sypał, dom drżał w posadach, mrugała błada żarówka pod sufitem. Jurek mocno przytulał mamę.

Na śniadanie idą do swojego mieszkania w parterowej oficynie. Potem mama wychodzi z wiadrem po wodę. Czasem długo nie wraca, do studni zwykle stoi długa kolejka. Nie wolno mu w tym czasie opuszczać domu, ma się opiekować Hanią. Wymykają się jednak czasem na podwórko. Podchodzą wtedy do muru więzienia przy Rakowieckiej, który graniczy z ich posesją – na początku sierpnia Niemcy wymordowali kilkuset osadzonych tam Polaków. Świtalscy słyszeli krzyki i strzały.

W południe Józefa Świtalska z synem i córką ustawia się w szeregu kilkudziesięciu kobiet przed kamienicą. W ręku ma zawiniątko z jedzeniem, które udało jej się zdobyć, i czystą bieliznę dla męża. Na rozkaz eskortujących je Niemców ruszają w stronę szkoły, w której uwięziono ich mężów i ojców. Okupanci nie mają jedzenia dla aresztowanych, pozwolili więc na kontakt z żonami i dziećmi. W trakcie drogi nie wolno się odzywać, jeśli komuś rozwiąże się but, idzie do końca ze sznurowadłem, które ciągnie za sobą. Kto by się pochylił, może zostać zastrzelony. Wracają tak samo.

Około godziny siedemnastej kamienica przy Narbutta rozpoczyna swoje życie podziemne. Ostrzał na zewnątrz się wzmacnia. Na rozkaz AK między domami zostały przebite przejścia, matka rusza więc na poszukiwanie jedzenia w sąsiednich piwnicach. Ludzie modlą się nieustannie. Kiedy docierają do końca litanii, zaczynają od nowa. Ktoś zniósł z mieszkania figurkę Matki Boskiej – stoi teraz w kącie na prowizorycznym ołtarzu, okopcona dymem palonych świec. Siedmioletni Jerzyk Świtalski klęczy wśród lokatorów i tak jak inni wierzy, że tylko Bóg może go uratować. Kiedy ludzie w piwnicy przestają się modlić, zaczynają śpiewać pobożne pieśni. Chłopiec wówczas zasypia.

2 września.

„Warszawa Walczy. Żołnierska Gazeta Ścienna”

„W dzielnicy południowej rozdawany jest cukier dla dzieci do półtora roku w ilości 250 gr. tygodniowo. Dodatkowo przydzielane jest 500 gr. mączki mlecznej. [...] W wyjątkowych wypadkach cukier otrzymywać mogą również dzieci starsze do lat 6-u, jednak za specjalnym zaświadczeniem lekarskim”.

4 lub 5 września. Śródmieście

MYSZKA. Śródmieście płonie. Pali się Jasna i Świętokrzyska. Niemcy rozpoczynają ostrzał gmachu PKO. Do szybu windy wpada bomba i burzy znaczną część budynku. Sztab „Montera” przenosi się na ulicę Złotą, do dawnego kina Palladium. Komendantka „Rakieta” także podejmuje decyzję o ewakuacji swojego oddziału.

Janina Suchorzewska: – Mieliśmy przedostać się na Powiśle. Wychodziliśmy z budynku przez salę z sejfami. Były otwarte, opróżnione, ale na podłodze leżało rozrzucone złoto, fragmenty biżuterii. Miałam przeświadczenie, że jeśli podniosę cokolwiek, to nie wyjdę żywa. A życie jest najważniejsze, myślałam. Nic nie wzięłam.

Dostaliśmy na drogę racje żywnościowe: po cztery kostki cukru i miód sztuczny w pudełeczku. Musiało nam wystarczyć na co najmniej dwie doby. Wymyśliłam sobie, że będę wylizywać co godzinę łyżeczkę miodu. Ale niektóre koleżanki rzuciły się od razu do zjedzenia wszystkiego, bo byłyśmy bardzo głodne, i później wymiotowały.

14 września.

„Szaniec. Warszawa. Po przeczytaniu oddaj drugiemu”

„Na Pradze rozpoczęły się walki sowiecko-niemieckie. Artyleria sowiecka ostrzeliwuje centrum Pragi, Saską Kępe i Park Skaryszewski. [...] Niemcy wypalają Powiśle, a zwłaszcza Tamkę, Kopernika, Pierackiego. W Mokotowie trwa ruch ewakuacyjny nieprzyjaciela. [...] Szucha 10 płonie. Na Frascati uszkodzono czołg niemiecki. [...] Natarcie nieprzyjaciela z Sejmu, mimo użycia do akcji 4 Goliatów, załamało się”.

15 września. Praga

TARZAN. Armia Czerwona po kilku dniach walk z Niemcami zajmuje Pragę i Saską Kępę. Następnego dnia na ulicach pojawiają się polscy żołnierze z 1 Armii Wojska Polskiego.

Jan Rybak: – Jakiś sierżant mnie zaczepił i pyta, czy znam wolne kwatery. „U mnie jest miejsce – zaraz mu powiedziałem. – Sam mieszkam, dajcie chłopaków do mnie”. Miałem szesnaście lat z kawałkiem, oni niewiele ponad osiemnaście. To byli żołnierze ze świeżego zaciągu, z Zamojszczyzny, nieobyci z bronią. Jeden dla zabawy udawał, że mnie zastrzeli, myślał, że ma pusty bębenek. W ostatniej chwili podbiłem mu lufę, a jego karabin wystrzelił. Miał jeden nabój w komorze.

Wrzesień. Śródmieście

MYSZKA. Janina Suchorzewska, z domu Tatarkiewicz, wspomina: – Były i groteskowe momenty. Nasz pluton stacjonował wówczas przy Mokotowskiej, w Śródmieściu Południowym, niedaleko szpitala powstańczego. Wysłałam na ulicę, zmierzchało już. I nagle usłyszałam, że leci kukuruźnik, „dżu, dżu, dżu”, i jest zrzut. Myślę: „Boże, jak cudownie, broń nam zrzucają”. Ludzie rzucili się w stronę, gdzie miał spaść pakunek, więc krzyczę: „Wszyscy na ziemię, bo na głowy wam spadnie!”. Sama padłam przy barykadzie, na wysokości Mokotowskiej 55, gdzie był ten szpital. Patrzę, a zrzut leży zaledwie kawałek ode mnie i wygląda jak gilza bomby. „Boże, zaraz wybuchnie i zginę” – przeleciało mi przez głowę. Więc znów wołam: „Uwaga! To może być bomba!”.

Okazało się, że był to pojemnik z kaszą manną.

18 września. „Szaniec”

„Frank i jego otoczenie konferuje z RGO i polskimi czynnikami społecznymi na temat możliwości kapitulacji Warszawy na następujących warunkach: 1) umieszczenie obrońców miasta jako jeńców w specjalnych obozach; 2) odbudowa W-wy (???) ; 3) powrót ludności wysiedlonej z Warszawy. Komentarze zbyteczne, Frank

może brać udział w odbudowie Wwy, ale jako robotnik przy wywózce gruzu”.

26 lub 27 września. Śródmieście

MYSZKA. Powstańcy z Mokotowa wyglądają, jakby postradali zmysły. Od gazów w kanałach spuchły im oczy, po osiemnastu godzinach błędzenia w ciemnościach razi ich światło, choć dzień jest ponury. Niespokojni, bez kontaktu, nie wiedzą, kto ich wyciąga z kanału u zbiegu ulicy Wilczej i Alej Ujazdowskich – swoi czy Niemcy. Oblepiani mazią, cuchnący, wyczerpani. Niektórzy reagują agresją, inni szlochają, a trzeba być cicho. Nie wiadomo, jak blisko są Niemcy. „Myszka” pełni właśnie z koleżankami dziesięciogodzinną służbę i przejmuje ocalańców od ludzi z oddziału specjalnego, który wyciąga ich z kanałów, następnie odprowadza do punktu sanitarnego w Kamienicy pod Gigantami, kilkadziesiąt metrów dalej.

Koniec września. Żoliborz

ANDRZEJ. – Synku, tylko nie patrz pod nogi, ja cię poprowadzę – mama ścisła dłoń ośmioletniego Andrzeja i zaczyna się wspinać z nim na pagórek usypany z martwych ludzi. Jest koniec września, powstanie dogorywa, na Żoliborzu trwa ewakuacja mieszkańców. Grupa, do której zapędzono Andrzeja Bobera z siostrą i rodzicami, zanim ruszy do obozu w Pruszkowie, musi na rozkaz Niemców i Ukraińców wejść do pofabrycznej hali i opuścić ją wyjściem położonym z drugiej strony. Droga wiedzie przez stos trupów, ofiar egzekucji. Ciała ułożone jak warstwy geologiczne ziemi, sięgają niemal pod sufit.

– Andrzej, głowa do góry! Głowa do góry! – woła matka. Setki ludzi przechodzą w milczeniu po żoliborskich sąsiadach, przypadkowych znajomych, sprzedawcach ze sklepu na rogu, spacerowiczach w parku,

dostawcach węgla i mleka, nauczycielach i krewnych. Buty ślizgają się na twarzach, obcasy wplątują we włosy, brodzą wśród rąk i nóg.

30 września. Żoliborz

AGNIESZKA I KRZYSZTOF. Bolesława Barlińska, matka Agnieszki i Krzysztofa, miota się w panice po mieszkaniu. Rozkłada walizki, żeby zaraz się o nie potknąć. Wygarnia z szuflad rodzinne srebrne sztucce i zawija w ścierkę. Z półek ściąga porcelanę. Zbiega do ogródka i zakupuje dobra niedbale, pod cienką warstwą ziemi (szabrownicy znajdują je natychmiast, gdy tylko Żoliborz opustoszeje). Wraca na górę i pakuje walizkę. Niemcy dali Barlińskim i ich sąsiadom godzinę na opuszczenie domu. Można zabrać najpotrzebniejsze rzeczy. Agnieszka widzi, że mama wrzuca do walizki niektóre części fraka ojca, jego jesionkę, trochę ubrań dzieci, coś do jedzenia. Chwilę później zamyka drzwi na klucz, który wsuwa do torebki. Bagaż, który jest bardzo ciężki, niesie Krzysztof.

1 października.

„*Biuletyn. Wiadomości z Miasta i Wiadomości Radiowe*”

„W toku pertraktacji o ewakuacji ludności z Warszawy władze niemieckie ponownie z naciskiem oświadczyły, że w razie opanowania miasta – na co bezwzględnie liczą – nie będą tolerowały obecności ludności w Warszawie. [...] Po upadku Żoliborza dzielnica Śródmieście stanowi ostatni bastion naszego oporu, który będzie nastawiony na silny napór, a ludność poniesie przytem ciężkie straty [...]”.

2 października. Śródmieście

MYSZKA. – Ogłoszono kapitulację. Mój oddział wychodził razem na zewnątrz. Spytałam komendantkę, czy mogę dołączyć do oddziału Elżbiety. Chciałam być razem z siostrą. Dostałam zgodę



cdjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

– wspomina Janina Suchorzewska. – Dotarłam do Eli wieczorem. To już się wierzchem szło, bez żadnych kłopotów.

Elżbieta Skrzyńska „Żabska” mówi: – Ucieszyłam się na jej widok. Porucznik zgodził się, żeby została. Poszedł jednak na naradę i wrócił z informacją, że będziemy traktowani jak jeńcy wojenni i pójdziemy do obozów. Postanowił więc, że dzieci nie zabieramy, bo on nie weźmie za nie odpowiedzialności. Kazano mi się zadeklarować, czy wychodzę z siostrą jako cywil, czy zostawiam ją i idę ze swoimi do niewoli. Było to najgorsze z przeżyć w moim życiu.

„Żabska” decyduje się na pozostanie z siostrą. Komendantka każe jej oddać legitymację, zdjąć mundur i zimnym głosem mówi „do widzenia!”. Na pożegnanie Elżbieta dostaje żołąd w postaci kilku młynarek i kawałka złotego łańcuszka.

7 października siostry Tatarkiewiczówny wychodzą z Warszawy w grupie cywilów. Towarzyszy im odnaleziona przypadkiem ciotka. Nie mają żadnych wieści o mamie.

5. KONIEC

AGNIESZKA I KRZYSZTOF. – Upał był jak cholera – wspomina Krzysztof Barliński. – A ja z tą jesionką i frakiem ojca w walizce.

– Szliśmy bardzo długo w kolumnie żoliborzan w stronę stacji – dodaje Agnieszka Wróblewska, jego siostra.

– Doniosłem tę walizkę w okolice Woli, dalej już nie dałem rady – mówi Krzysztof.

– Żeby mu ulżyć, mama ją otworzyła i powyrzucała te bezsensowne pozabierane rzeczy – pamięta Agnieszka.

Niemcy ewakuują ich do Pruszkowa, gdzie na terenie Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego od 6 sierpnia funkcjonuje obóz przejściowy – Durchgangslager 121.

Kolumny ludzi z tobołami, walizkami, dobytkiem na wózkach i taczkach, z dziećmi i psami pędzone są do obozu pieszo, przewożone ciężarówkami lub pociągami. Tysiące kobiet, dzieci i mężczyzn leżą lub siedzą potem na betonowych podłogach hal byłych zakładów kolejowych, czekając na swój los.

– Dojechaliśmy i zaczęło padać. Dano nam jakąś polewkę – zapamiętał Krzysztof Barliński.

– Ktoś mi podał kubek ciepłego mleka. Potraktowano mnie jak dziecko – mówi Agnieszka Wróblewska.

Następnego dnia Barlińscy przechodzą selekcję. Zdrowych i młodych Niemcy wysyłają na roboty przymusowe, część ludzi trafia do obozów koncentracyjnych, pewną grupę wywozi się na południe, jak najdalej od Warszawy, tam wysadza na peronach i nakazuje miejscowej ludności objęcie ich opieką. W niezwykle rzadkich przypadkach ludzie wciśnięci do wagonów bydlęcych zostają wywiezieni do Rzeszy z pominięciem Dulagu 121. Powstańcy, którzy wychodzą jako żołnierze, zgodnie z ustaleniami mają trafić do obozów jenieckich.

– Krzysiek był dosyć wysoki, więc jego Niemcy skierowali do grupy mężczyzn – mówi Agnieszka Wróblewska. – Na szczęście przeszedł



edjskfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendaae ommodit quam quam quiscii

tyłem i do nas dołączył. Zapakowali nas do wagonów bydlęcych i odjechaliśmy stamtąd do Jędrzejowa, gdzie nas ze stacji, podwodami, odbierali chłopci, niezbyt szczęśliwi, że mają kolejne gęby do wykarmienia. Zostaliśmy tam do lutego 1945 roku.

W sumie przez Dulag 121 przejdzie około czterystu tysięcy ludzi. Z powodu przepełnienia Niemcy otworzą dodatkowe podobozы w Ursusie, Włochach i Piastowie.

SZTYCHNICKI. – Kiedy skończyła się pana wojna? – pytam.

– 5 maja 1945, gdy Amerykanie wyzwolili obóz koncentracyjny Mauthausen. Ważyłem tamtego dnia trzydzieści cztery kilogramy – odpowiada Ryszard Sempka.

Z Pruszkowa niemal natychmiast trafia do transportu. Trzy tysiące sześćset osób w sześćdziesięciu wagonach przez cztery doby jedzie wprost do obozu. „Sztynicki” pracuje w Mauthausen ponad siły w kamieniołomach, bity, głodzony słabnie i trafia do obozowego szpitala.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

– Kiedy się jeszcze jakoś poruszałem, miałem tylko dwa marzenia – mówi – Żeby żyć, choćby na wózku, ale żyć. I żeby najesć się przed śmiercią. Nie miałem wtedy jeszcze ukończonych siedemnastu lat.

W szpitalu niemiecki lekarz, w ramach eksperymentu, wstrzykuje mu w nogę paciorkowiec flegmony. Noga Ryszarda puchnie i ropyje, otwierają się rany. Uratują go dopiero Amerykanie – po wyzwoleniu przeprowadzą operację i podadzą antybiotyk. „Sztynchnicki” zostanie u nich przez kilka miesięcy. Będzie pisał listy do Polski w poszukiwaniu rodziny. Wróci do kraju dopiero w sierpniu 1945 roku.

Wtedy dowie się, że jego matka i dwie najmłodsze siostry – Wanda i Basia – nigdy nie wyjechały do Pruszkowa. Zostały rozstrzelane jeszcze w dniu ewakuacji ze Starego Miasta.

JERZY. – *Raus! Raus!* – Jurek drepce w tłumie ludzi wyganianych z piwnicy na ulicę. Niemcy ewakuują Mokotów. – *Schneller!* – słysząc z różnych stron.

Chłopiec trzyma za rękę młodszą siostrę, ich matka dźwiga torbę, w której upchała rodzinne albumy ze zdjęciami. Idą powoli w tysięcznym tłumie ludzi wypływających z bram. Starym ludziom postawiono ciężarówkę.

Jerzy George Świtalski wspomina: – Była tam babcia, co ledwie szła. Powiedziałem: „To ja pani pomogę”, i podprowadziłem ją do wozu. A wtedy Niemiec chwycił mnie za ubranie i wrzucił na ciężarówkę. „Cholera, trzeba uciekać” – pomyślałem. Wymknąłem się jakoś i dołączyłem do mamy.

Grupę, w której jest Józefa Świtalska z dziećmi, żandarmi pakują do wagonów i wysyłają bezpośrednio do Ellwangen w południowych Niemczech. Od tej pory aż do wyzwolenia będą robotnikami przymusowymi u bauera. Ojca spotkają dopiero po wojnie. Wyemigrują do Francji, Jerzy z czasem zamieszka w Kanadzie. Do Polski już nie wróci.

ANDRZEJ. Wychodzą z hali pełnej trupów, po których Niemcy kazali im przejść. Dołączają do strumienia żoliborzan pędzonych w stronę Pruszkowa. Andrzej niesie w plecaku prawdziwy wojenny skarb – osiem kilogramów cukru.

Wspomina: – Gdzieś na ulicy Powązkowskiej zorientowałem się, że mam w klapie kurtki odznakę strzelecką ojca z orzełkiem. Wpadłem w przerażenie, wojna mi już wtedy weszła w głowę, wiedziałem, że za mniejsze przewinienie można dostać kulkę w łeb. Zapytałem tatę, co robić. Kazał mi odejść na bok i zakopać znaczek. Tak zrobiłem. Poczulem wtedy, że właśnie ocaliłem całą rodzinę od śmierci.

W Pruszkowie Niemcy ładują ich na wagony do przewożenia węgla, pozbawione dachu. Ruszają w głąb Generalnego Gubernatorstwa, zaczyna padać deszcz. Wysiadają brudni i przemoknięci w podkarkowskiej miejscowości Biezanów (zostaną tu do końca wojny).

Osiem kilogramów cukru nadaje się już tylko do wyrzucenia. Podczas deszczu plecak Andrzeja przesiąkł i miał węglowy zafarbował go na szaro.

MYSZKA. Niemiec przyzywa ją palcem i pyta, dlaczego jest w uniformie. Skąd go wzięła? Ukradła? A może walczyła w powstaniu?! Wrzeszczy. Janina ze strachu nie umie sobie przypomnieć ani jednego niemieckiego słowa. Z szeregu ludzi występuje Elżbieta, jej siostra. Tłumaczy żołnierzowi, że żadna z nich nie walczyła w powstaniu. Janka była przysypana, straciła w gruzach ubranie i ktoś jej wtedy podarował niemiecki uniform. Mężczyzna macha ręką: – *Scher dich Weg!* (Wynocha!). – Mogą obie wracać do grupy ewakuowanych.

Trafiły do obozu przejściowego w Ursusie – przeznaczono je do prac przymusowych w Niemczech. Przed Częstochową uciekają z transportu. Najpierw idą na Jasną Górę podziękować Matce Boskiej za ocalenie, potem do restauracji.

– Kelner pyta, co podać – wspomina Elżbieta Skrzyńska „Żabska” – a ja mu odpowiadam, że wszystko jedno, byle były ziemniaki i chleb. Wydałyśmy na jedzenie cały żołd.

Kilka dni później wracają w stronę Warszawy i dojeżdżają do Żab, majątku po dziadkach. Jest tu już ich matka, którą wysiedlono z Warszawy przez Pruszków jeszcze w sierpniu, i stryj Władysław Tatarkiewicz z rodziną. Są krewni, znajomi i obcy, którzy uciekli z Warszawy i znaleźli chwilową przystań w Żabach.

„Myszka”: – Siadamy do stołu, a Ela płacze i mówi, że chce do niewoli. Odstawiła mnie do mamy, a teraz musi wrócić do ludzi ze swojego oddziału.

„Żabska”: – Mama na to: „Elu, proszę się wziąć do roboty. Mamy tu niedaleko szpitalik, rannych trzeba opatrywać”.

TARZAN. 18 stycznia 1945 roku Janek Rybak wybiera się z Pragi na drugi brzeg Wisły. Dzień wcześniej lewobrzeżną Warszawę zajęła

Armia Czerwona. Za nimi rusza fala szabrowników. „Tarzan” nie idzie po żadne zdobycze, chce tylko odnaleźć matkę. Po tym gdy codziennie oglądał płonące miasto, nie wierzy, że mogła przeżyć powstanie. Idzie poszukać jej grobu. Wędruje po lodzie, wydeptaną przez innych ścieżką, dociera do Tamki, na Krakowskim Przedmieściu mija leżącą na plecach figurę Chrystusa z kościoła Świętego Krzyża.

– Pusto, cicho, miasto wymarłe – wspomina Jan Rybak. – Doszedłem do Zachęty i wszedłem do holu. Wisiała tam flaga hitlerowska, zawiesiłem się na niej i zerwałem. Zobaczyłem małe domino z kości, które zostawili Niemcy i wsadziłem do kieszeni. I poszedłem dalej, mijając po drodze gruzy i zwłoki powstańców.

Patrol polskich żołnierzy z bronią zatrzymuje go na Nowym Mieście. Janek tłumaczy im, że szuka grobu matki. Pozwalają mu się rozejrzeć po nowomiejskim rynku, z którego zerwano kostkę brukową i w każdym możliwym miejscu pochowano zmarłych. Chłopak z płonącym polanem w ręku obchodzi groby i odczytuje nazwiska wyryte na prowizorycznie zbitych krzyżach. Nagrobka Stanisławy Rybak jednak nie znajduje.

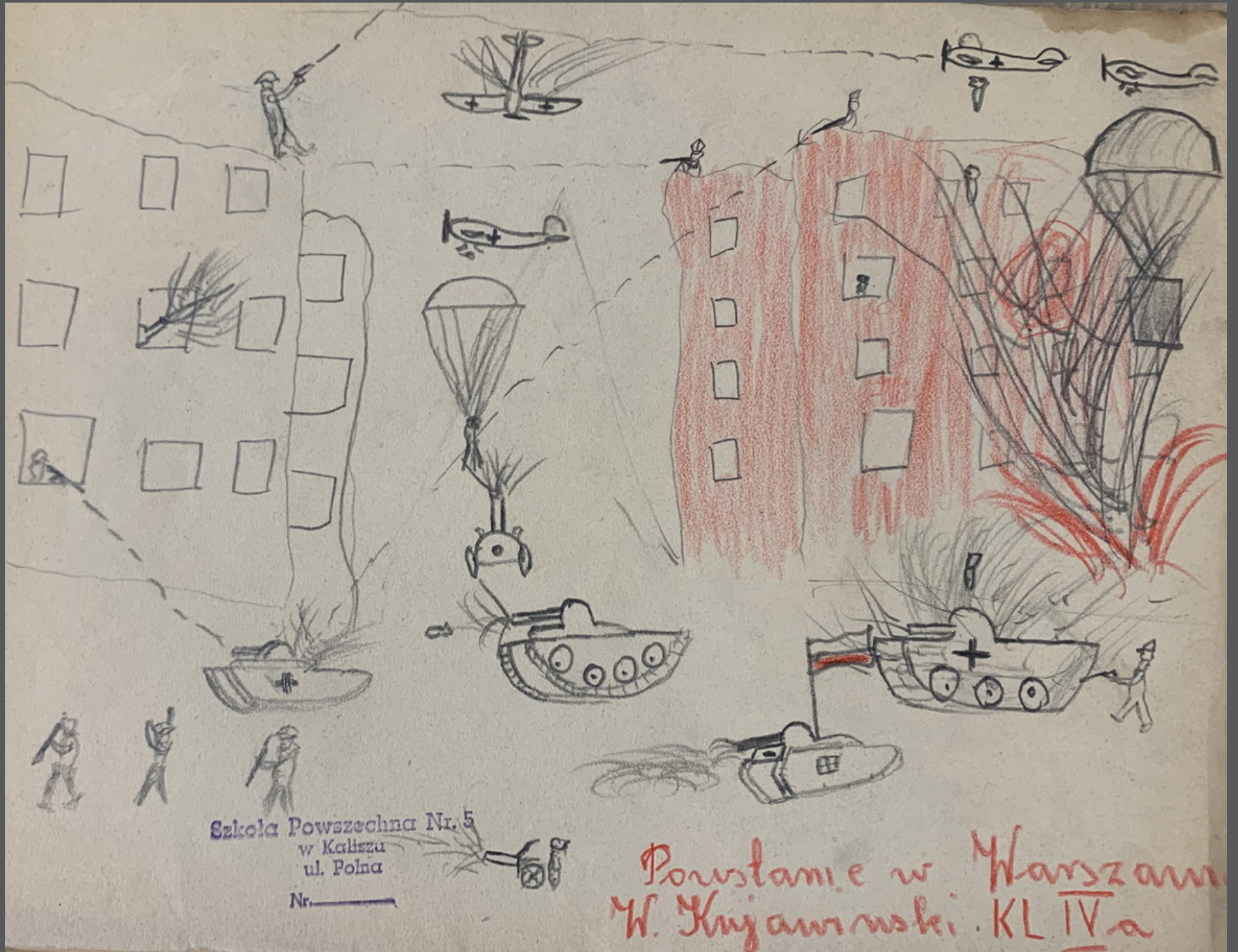
– Żołnierz pozwolił mi się ogrzać przy ognisku – mówi „Tarzan”. – Poczęstował tuszonką i sucharami. Dawno tak dobrze nie jadłem.

Wartownicy zabierają go do kwatery w Alejach Ujazdowskich, pozwalają zostać na noc. Następnego dnia „Tarzan” wraca zamarzną Wisłą na Pragę, do swojego mieszkania.

Wspomina: – Siedzę sam w domu, bo wojsko już wyszło, i martwię się o rodziców. Co mnie czeka? Jaki będzie mój los? Gdzie jest mama i tato? Nagle słyszę wołanie: „Januszek!”. Wychyłam się przez okno. To mój tata! „A gdzie mama?” – pytam od razu. Żyła. Ewakuowana z Nowego Miasta przez Pruszków, schroniła się u krewnych w Grodzisku. Tam ją odnalazł tato, gdy wyszedł z obozu. Od razu postanowili mnie odszukać.

Mieczysław Rybak, były legionista, stoi pod domem przy Waszyngtona 77 na Pradze i długo ściska swojego syna „Tarzana”, lat szesnaście z kawałkiem.

CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII



CZEGO OLEK NIE WIE

I

Przebudzenie

293

W środku unosił się smród nie do zniesienia – mdły, podszyty rozkładem. Martwe ciała pogrupowano tu według części. Głowy razem, nogi sterczały na boki w osobnej sekcji, korpusy leżały oddzielnie. Uporządkowano też wnętrzności: tu dział serc, tam żołądków, ówdzie wątroby. Stosy kości. Cuchnące strumienie wody zmieszanej z krwią i odchodami łączyły się w niewielką rzeczkę płynącą gdzieś dalej. Alex Hershaf, wegetarianin od dziesięciu lat, zasłonił nos chustką. Przysłano go tutaj, bo rzeźnia w stanie Indiana zatruwała ściekami okolice, a on – pracownik firmy konsultingowej Booz Allen Hamilton – miał temu zaradzić. Z notesem w ręku balansował między kałużami rozlanej cieczy, starając się nie wdepnąć w żadną z nich. Patrzył na rozczłonkowane ciała zwierząt i był w szoku. „To jest Holokaust” – pomyślał nagle człowiek, który ocalał z Holokaustu.

Był rok 1972.

Pytania

Pytania, na które Alex Hershaft przez całe życie szuka odpowiedzi:

Dlaczego ocalałem, skoro tylu wspaniałych ludzi zginęło?

Co mogę zrobić, żeby spłacić dług?

Jaką lekcję należy wyciągnąć z tej tragedii, żeby się więcej nie powtórzyła?

||

Taśmy

Jego pierwsze wspomnienia pochodzą z getta.

Wszystko, co zdarzyło się wcześniej, przechowała w pamięci matka. Kiedy w latach osiemdziesiątych XX wieku przyjeżdżała do niego w odwiedziny z Izraela, sadzał ją w salonie swojego domu w podwazyngtońskiej miejscowości Bethesda, podawał herbatę i włączał dyktafon. Rozmawiali zawsze po polsku.

Kasety magnetofonowe ma do dziś. Wystarczyłoby włożyć je do kieszeni odtwarzacza i posłuchać głosu Sabiny Herszaft. Niestety, stary dyktafon nie chce działać. Wymieniamy z Alexem baterie, pukamy w obudowę, bezskutecznie namawiamy urządzenie do współpracy. Ostatnia nadzieja w wiekowej wieży stereo – z adapterem na górze, radiem pośrodku i magnetofonem na najniższym poziomie. Od lat stoi nieużywana, trzeba ją podłączyć.

Czołgam się więc pod szafkami, przeciągam kable za sofą, doczepiam je do głośników pod sufitem. Gospodarz, niewysoki mężczyzna z bródką, o buddyjskim usposobieniu i łagodnym głose, przypatruje się cierpliwie moim działaniom. Kiedy wszystko jest gotowe, naciskam klawisz magnetofonu i oboje wydajemy jęk rozczarowania: wieża także nie odtwarza kasety.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Alex przypomina sobie, że kilkanaście lat wcześniej odsłuchał taśmy z głosem matki. Z telefonem przy uchu dyktował je swojej córce, tłumacząc wspomnienia od razu na angielski, a ona spisywała tekst do komputera. Siada teraz przed monitorem i przesyła na mój pendrive plik zatytułowany *Grandma's story*.

Szczęście sprzyja mi podwójnie. Głos Sabiny Herszaft usłyszę dzięki stronie United States Holocaust Memorial Museum. W lipcu 1988 roku Normie Stern – pracownicy muzeum – udzieliła po polsku trzygodzinnego wywiadu. Na język angielski tłumaczył jej syn¹.

Zakładam słuchawki na uszy.

Sabina

Urodziłam cię, Oluś, rok po ślubie, 1 lipca 1934 roku. Przez pierwsze sześć miesięcy warszawski rabinat nie chciał wpisać do ksiąg twojego imienia, bo nie zgodziliśmy się z ojcem, żeby cię obrzezano – nie byliśmy religijni. W końcu ustąpili.

Wynajmowaliśmy w Warszawie jeden pokój, bo Józiek, twój tato, był bardzo biedny. Początkowo nie chciał się w ogóle żenić i zakładać rodziny, mówiąc, że zamierza poświęcić życie chemii, ale zmienił zdanie. Bardzo się kochaliśmy.

Moi rodzice, Maks Mendel i Rachela Kalinowie, byli zamożni. Ojciec zarządzał budynkami zagranicznych właścicieli w Warszawie i był przedstawicielem Polskiego Biura Podróży Orbis. Mieszkał z mamą w dużym apartamencie przy ulicy Dzielnej 25. Chcieli nam dać pieniądze, Józef się jednak nie zgodzał. Był honorowy.

Studiowałam matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, a twój ojciec – wraz ze swoim kolegą, fizykiem Józefem Rotblatem – rozpoczął doświadczenia z neutronami w ciężkiej wodzie w pracowni radiologicznej profesora Ludwika Wertensteina, ucznia Marii Skłodowskiej-Curie.

Po porodzie przeprowadziliśmy się do dwóch pokoi z kuchnią przy Czackiego 4, wzięliśmy pomoc do sprzątania i gotowania.

Codziennie przed obiadem szłam z tobą na spacer. Wędrowaliśmy w słońcu, deszczu czy śniegu, żebyś stał się krzepki. Przestałam wtedy chodzić na zajęcia, ale uczyłam się w domu z notatek kolegów i zdawałam egzaminy w terminie.

Kiedy miałeś trzy lata, oddaliśmy cię do przedszkola. Bardzo cię tam chwalono, „cudowne dziecko” – mówili o tobie. Troszczyłeś się o innych. Panie mówiły, że jeśli komuś brakowało krzesła, to je przynosiłeś. Mogłam na tobie polegać, zawsze dotrzymywałeś słowa.

W 1939 roku zdałam ostatnie egzaminy i na wakacje wyjechałyśmy na wieś.

Po wybuchu wojny wróciliśmy do Warszawy. Józka nie było już w mieście – na rozkaz władz stolicy uciekł z innymi warszawiakami na wschód. Nie wiedziałam, co się z nim dzieje, nie dawał znaku życia. Nasze mieszkanie zostało zbombardowane. Zabrałam z niego, co ocalało, starałam się uratować jak najwięcej książek, które twój tato kolekcjonował – niektórych bardzo cennych – i przeniosłam się do rodziców na Dzielną.

Po pewnym czasie Józef wrócił i zamieszkał z nami. Mógł wyjechać z kraju tuż przed wojną. Amerykanie przysłali mu wizę, byli zainteresowani jego pracą naukową. Ciężka woda miała być użyta jako chłodziwo w reaktorach jądrowych. Trwał wyścig, które z mocarstw pierwsze wyprodukuje bombę atomową. Ale twój tato powiedział, że bez nas nie wyjedzie. Rotblat skorzystał z zaproszenia Brytyjczyków, jego żona została w Polsce. Próbował ją ściągnąć do siebie, nigdy mu się to jednak nie udało².

Getto

Z pamięci Alexa wyłaniają się pierwsze obrazy.

Na zarządzenie Niemców należy szczelnie zasłonić okna, z których jest widok na Pawiak. Aleksander pomaga naklejać na szyby czarny papier.

Martwa prababka leży w łóżku. Wspomnienie jest niejasne – ktoś ją zastrzelił lub jest ofiarą bombardowania. To pierwszy trup w życiu chłopca.

Zeszyt, w którym kreśli ołówkiem swoje pierwsze litery. Uczy się dodawać i odejmować, zaczyna samodzielnie czytać książki. Nauczycielką chłopca jest Sabina, dużo rozmawia z synem. Towarzystwa innych dzieci mu nie brakuje – myśli, że takie życie wiodą wszyscy ludzie na świecie.

Strach. Aleksander nie rozumie nic z tego, co się dzieje wokół. Chłonie jednak lęki swoich bliskich.

Mama już z nim nie spaceruje, nie wypuszcza też na dwór samego. Ulica Dzielna, w środku żydowskiej dzielnicy w Warszawie, przed wojną pełna fabryczek i sklepów wypełnionych towarami, w listopadzie 1940 roku stała się częścią getta. Niemcy ogrodzili trzysta siedem hektarów stolicy i spędzili tam prawie czterysta tysięcy Żydów (do kwietnia 1941 roku w getcie znajdzie się czterysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi)³. Polacy mieszkający tutaj do tychczas musieli się przenieść. Na ich miejsce przyszli Żydzi z innych dzielnic Warszawy. Kalinowie i Herszaftowie mogą uważać się za szczęściarzy, bo nie musieli się przeprowadzać, pakować, wyprzedawać, likwidować, organizować transportu i trafiać do przypadkowych, nieraz ogołoconych ze wszystkiego lokali. Zostali u siebie.

Aleksander całymi dniami krąży po mieszkaniu. Spotyka dziadka i babcię w ich pokoju. Zagląda też do cioci Lilki, młodszej siostry mamy. W kuchni obserwuje, jak Juliana parzy herbatę w samowarze. Kobieta jest rosyjską służącą Kalinów. Maks i Rachela przed rewolucją żyli w Rosji, w Samarze prowadzili składy papieru. Uciekli przed komunistami do Polski, wraz z nimi Juliana. Traktują ją jak członka rodziny, dostała własny pokój. Nie mówi po polsku.

Ciastko

Kiedy Herszaftowie wychodzą z mieszkania na ulicę, Aleksander ścisną dłoń mamy i rozgląda się wokół. Tego, co widzi, nie zapamięta.

Marysia Szpiro, rówieśnica Olka, mieszkanka warszawskiego getta, tuż po wojnie spisze swoje wspomnienia w szkolnym zeszycie w linie i nada im tytuł *Życiorys*. Dziewczynka spędza całe dni na ulicy. Przeprowadza się często na drugą stronę muru, żeby przeschmuglować choć odrobinę jedzenia dla swojej rodziny. Napisać: „[...] jak stał jakiś lepszy policjant, to się biegało w tę i z powrotem, ale te dzieci, które nie mogły przejść na drugą stronę, cierpiały straszny głód. Leżały na ulicy szeregami martwe dzieci i żywe. Dzieci, które żyły, wołały, żeby dać im chleba, ale nikt na to nie zważał, bo każdy chodził głodny⁴. Brat i siostra Marysi umrą z głodu, odejdą też jej rodzice, jedna z siostr dobrowolnie pojedzie do Treblinki. Z całej rodziny Szpiro ocaleje troje rodzeństwa, którzy mieli tak zwany dobry wygląd i zdecydowali się żyć poza murami getta.

Opiekę nad dziećmi, które nie mają już nikogo w getcie, starają się roztaczać pracownicy CENTOS-u – Centralnego Towarzystwa Opieki nad Sierotami i Dziećmi Opuszczonymi. Organizacja wspiera istniejące internaty i sierocińce (w tym zakład Janusza Korczaka i Stefanii Wilczyńskiej), tworzy też nowe. Środki i możliwości ma jednak niewystarczające: dzieci wciąż przybywa, a jedzenia i pieniędzy dla nich jest coraz mniej. Oprócz głodu podopiecznych sierocińców dziesiątkują dur plamisty i czerwonka. Janusz Korczak proponuje otwarcie umieralni dla dzieci.

CENTOS prowadzi także kuchnie dla dzieci ulicy. Dostawy są nieregularne, nie zawsze udaje się zapewnić każdemu choćby talerz zupy. Ten, kto ma jeszcze siłę, stara się więc ukraść coś do jedzenia. Michałowi Głowińskiemu (również rocznik 1934)

rówieśnik wyrywa z rąk ciastko, które niósł do domu z cukierni (było długo oczekiwana, obiecana przez matkę nagrodą za dobre zachowanie w czasie choroby). Napisze we wspomnieniach: „[...] do dzisiaj widzę tę scenę [...], jak ten obdarty dzieciak, szkielet żywy i wygłodniały, pożera ciastko, jakby chciał je połknąć razem z papierem”⁵. Głowińskim uda się wyjść z getta na aryjską stronę w styczniu 1943 roku.

Dożywianie dzieci w getcie odbywa się przeważnie w zamkniętych przez Niemców szkołach, gdzie wolontariusze starają się łączyć obiady z tajnymi kompletami pod patronatem Centralnej Żydowskiej Organizacji Szkolnej⁶. Dzieci uczą się pisać i czytać, słuchają opowieści o przyrodzie. Aleksander Herszaft pobiera lekcje w domu, Michał Głowiński chodzi na tajne komplety, które prowadzą w swoim mieszkaniu dwie nauczycielki. Spotyka tam kilkoro innych uczniów, z nikim się jednak nie zaprzyjaźnia, dzieci zbyt szybko się zmieniają.

W getcie prowadzone są też „kąciki dla dzieci”, gdzie za symboliczną opłatą można na kilka godzin zostawić córkę lub syna na skrawku zieleni z rówieśnikami. Organizuje się dla nich teatrzyki kukiełkowe, działa biblioteka, do której należą dziecięcy czytelnicy.

CENTOS wymyśla akcję pod nazwą „Miesiące Dziecka” – ma uwrażliwiać na los najmłodszych – i drukuje plakaty z odezwą „Dziecko to największa nasza świętość”⁷. Rachela Auerbach, kierowniczka kuchni przy ulicy Leszno 40, notuje w swoim dzienniku: „Oto raz widziałam na własne oczy opodal bramy domu [...] trupa dziecięcego przykrytego płachtą plakatu »Miesiąca Dziecka« z napisem: »Ratujmy dzieci! Nasze dzieci muszą żyć«”⁸.

Demonstracja

Sabina Herszaft przeszła dwie aborcje. Matka uważa, że to nie jest czas na rodzenie dzieci.

Powie o tym synowi kilkadziesiąt lat później, gdy w Waszyngtonie będą wspólnie obserwowali demonstrację kobiet domagających się prawa do aborcji.

Sabina

Juliana nie chciała opuścić getta, choć chrześcijanom nie wolno było tam mieszkać. Była jednak bardzo oddana naszej rodzinie. Powiedziała, że prędzej rzuci się do rzeki, niż odejdzie.

W Warszawie żyła społeczność białych Rosjan, którzy – tak jak ona – uciekli po wybuchu rewolucji. Kolaborowali z Niemcami, bo liczyli na to, że Hitler obali komunizm w Rosji. Juliana, która miała z nimi kontakt jeszcze przed wojną, zdobyła za ich pośrednictwem stałe pozwolenie na mieszkanie w getcie i przepustkę na wychodzenie z niego, ilekroć zapragnęła.

Mój ojciec przygotował się na głód. Miał w mieszkaniu poukrywane worki z ryżem, cukrem i mąką. Przechowywał też dużo cennych przedmiotów i biżuterię. Juliana wynosiła je poza getto i wymieniała na jedzenie dla nas. Ja skupowałam chusteczki do nosa i skarpetki, a ona zanosila je na aryjską stronę do Elżbiety, czyli Peli Kowalewskiej, siostry twojego taty, która je sprzedawała i dzieliła się z nami zyskiem. Strażnicy znali Julianę dobrze i z czasem przestali nawet sprawdzać jej przepustkę.

Porcje jedzenia dla Żydów w getcie były coraz mniejsze, ludzie umierali z głodu. Panowała epidemia tyfusu, Józef też się nim zaraził, ale wyzdrowiał. Widywałam martwe ciała, setki ciał porzuconych na ulicach.

My, dzięki Julianie, żyliśmy.

Narnia

Alex Hershaft nie szuka na siłę elementów, którymi mógłby zastąpić braki w pamięci. Często mówi: „nie wiem”, „nie pamiętam”.

Przyznaje: – Nie wiem już, co jest moim doświadczeniem osobistym, a co zaczerpnąłem z lektury. Nie potrafię tego rozdzielić.

Nie wie zatem, jaki był adres kamienicy w getcie, do której przeprowadził się z rodzicami w 1942 roku. Dokładnej daty przenosin nie zna. Wydaje mu się, że był to dom przeznaczony tylko dla pracowników Judenratu – Józef Herszaft pracował wówczas w dziale dystrybucji kartek żywnościowych.

Nie pamięta, gdzie stała szafa, przez którą przechodziło się do dużego schowka – żydowskiej Narnii. Sądzi, że skrytkę zbudowali poprzedni lokatorzy domu, bo nie przypomina sobie żadnych prac budowlanych.

Pamięta za to godziny spędzane w ciszy. W szafie kichanie było zabronione. Ziewanie – zakazane. Kaszel – niedozwolony. Szept – karygodny.

– Byłem grzeczny, bezwzględnie posłuszny mamie – to także pamięta. – Nie sprawiałem najmniejszych kłopotów. Ciekaw jestem, czy wynikało to z mojego charakteru, czy warunków, w jakich żyłem.

W schowku milczał Olek, mama i sąsiedzi – mieściło się tam około dziesięciu ludzi. Alex pamięta przerażenie, gdy z drugiej strony szafy dobiegał język niemiecki, bo żołnierze przeszukiwali dom w poszukiwaniu rodzin pracowników Judenratu. I nagle myśl, że tamci na pewno wiedzą, że ktoś się tu ukrywa, ale z jakiegoś powodu udają, że nic nie zauważyli.

Reinhardt

Jest połowa 1942 roku. Od kilku miesięcy Niemcy rozstrzelują i wywożą Żydów z getta. Jeszcze na niewielką skalę – szmuglerów, ludzi złapanych poza murami, podejrzewanych o wydawanie nielegalnych gazet i działalność konspiracyjną, mordowanych „w zastępstwie” za nieobecnych poszukiwanych, przypadkowe ofiary. Najwyżej kilkaset osób. Jednak 22 lipca wszystko się zmienia,



edjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii

rozpoczyna się planowa akcja wysiedleńcza „Reinhardt”. W warszawskim getcie od kilku dni są już członkowie doświadczonej ekipy esesmanów, którzy wiosną przeprowadzili podobną akcją na Lubelszczyźnie⁹.

Każdego ranka oficer żydowskiej policji otwiera zalakowaną kopertę, z której wyjmuję kartkę z wypisanymi adresami do „wyczesania” w danym dniu¹⁰. Brama za bramą, dom po domu esesmani i gestapowcy z pomocą Łotyszy, Ukraińców i Litwinów oraz przy wsparciu żydowskiej policji wygarniają mieszkańców na ulice i pędzą na miejsce deportacji zwane Umschlagplatzem.

Codziennie trafia tam od dwóch do dziesięciu tysięcy osób. Stamtąd, wagonami towarowymi, jadą wprost do komór gazowych w Treblince. Z początku ludzie chcą wierzyć, że Niemcy, zgodnie z propagandą, wywożą ich na wschód do pracy. Jednak po kilku tygodniach tracą złudzenia.

Nikt już nie może być pewny swojego losu: przepustki przestają obowiązywać, podobnie jak dane przez Niemców słowo. Juliana zostaje zatrzymana w łapance. Pokazuje dokument, który jest teraz bez wartości. W drodze na Umschlagplatz kobiecie udaje się uciec i wrócić do domu. Rachela Kalina, babcia Aleksandra, decyduje, że Rosjanka musi wrócić na aryjską stronę. Dalsze przebywanie w getcie to dla niej pewna śmierć.

– Niech tak się stanie – mówi Juliana – ale pod jednym warunkiem: zabiorę z sobą Olusia¹¹.

W ciągu czterdziestu sześciu dni z getta wywiezionych zostanie ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi, ośmiu tysiącom uda się uciec na aryjską stronę¹².

Trzy garście złota

Rachela i Maks Kalinowie nie planują ucieczki, są już zbyt niedołążni, zbyt zmęczeni. Czekają na deportację wraz z młodszą córką, która nie chce ich opuszczać. Biżuterię, która im została, dzielą na trzy części i przekazują Julianie.

Garść pierwsza jest dla ludzi pilnujących bramy getta. Strażnicy znają Rosjanek od dawna, dziwią się więc, że pierwszy raz przedstawia im swojego syna. Chłopiec trzyma Julianę za rękę i milczy, nie ma przy sobie żadnego bagażu. Strażnik chowa złoto do kieszeni i przepuszcza kobietę z dzieckiem, która tuż za przejściem zdejmuje Olkowi z rękawa opaskę z gwiazdą Dawida.

Druga garść jest dla szmalcowników. Przy wszystkich wyjściach z getta dziesiątki chłopców, młodzieńców i mężczyzn czekają na uciekających Żydów. Zabierają im złoto, ubrania, buty, gonią rowerami wsiadających do dorożek. Potrafią śledzić ich przez wiele kilometrów. Ci, którym uda się wykupić, będą wspominać ich jak szarańczę. Wielu Żydów – odartych ze wszystkiego, dręczonych przez Polaków, bez możliwości ukrycia – powróci do getta. Juliana

podaje szmalcownikom biżuterię tuż po wyjściu, ale oni nie odpuszczają. Idą za nią i Olkiem.

Trzecia garść jest dla niej. Na nową drogę życia. Służąca Kalinów odprowadza chłopca do mieszkania Peli Kowalewskiej. Aleksander ma tu poczekać na rodziców, którzy w ciągu najbliższych dni także spróbują wyjść z getta.

Dzień po przybyciu Olka do drzwi Kowalewskiej dzwoni szmalcownik. Wie, że mieszka tu Żyd, więc jeśli nie dostanie okupu, pójdzie z donosem na gestapo. Ciotka podaje mu złoty zegarek.

Widok z okna

Alex Hershaft tak bardzo się stara wyciągnąć z pamięci tylko to, co należy do niego. Czy wolno mi unieważnić jakąś część jego życia, wytrącić go z równowagi tylko dlatego, że pewne rzeczy nie były takimi, jak mu się wydają? Co mam z tym zrobić? Lustrować i triumfować czy zachować tę wiedzę dla siebie. Co jest ważniejsze: jego godność czy bezduszość faktów?

A przecież muszę weryfikować jego opowieść. To moja rola. Śledzę więc daty, szukam wspomnień innych ludzi, sprawdzam na mapie adresy.

Bywają jednak historie, których sprawdzić nie można, zdarzają się różne wersje tych samych wydarzeń. Jak wówczas rozsądzić, która opowieść jest prawdziwsza, wiarygodniejsza? I czy w ogóle należy to robić?

Tam i z powrotem

Krzysztof Kowalewski, rocznik 1937, aktor, syn Peli, inaczej zapamiętał dzień wyjścia Aleksandra Herszafta z getta.

– Moja pamięć opiera się w tym wypadku na pamięci matki – zastrzega. – Bo to ona mi o tym opowiadała.

W tej wersji zdarzeń Pela odbiera Olka od Juliany gdzieś w mieście. Gdy dochodzi z nim do kamienicy, gdzie mieszka, pod bramą czeka już dwóch szmalcowników.

Kobieta mówi im, że ma przy sobie złotą obrączkę, ale w mieszkaniu na górze jest jeszcze złoty zegarek. Oni każą jej go przynieść, Olek ma z nimi poczekać.

– Matka mówiła mi potem, że była to najdłuższa podróż w jej życiu. Tam i z powrotem – wspomina Krzysztof Kowalewski.

Ciotka Pela przynosi szmalcownikom zegarek i wprowadza bratanka do kamienicy.

Sabina

Opowiem ci teraz o mojej szwagierce, Peli. Była starszą siostrą mojego Józefa, znaną przed wojną aktorką. Wyszła za męża za Cypriana Kowalewskiego, oficera rezerwy, chrześcijanina. Trzy lata po mnie urodziła syna, Krzysztofa, nie powiedziała mu o swoim pochodzeniu. Jej mąż zginął na wojnie, zamordowany przez Sowieców. Związała się wówczas z dawnym przyjacielem, przedwojennym dyrektorem teatru, oboje działali w konspiracji.

Latem 1942 roku Pela wynajęła pokój u chłopca w Lindowie pod Warszawą, żeby Krzysztof zażywał świeżego powietrza. Sama wróciła do miasta, by odebrać cię od Juliany i przekazać nam do getta, przez pośrednika, fałszywe dokumenty na nazwisko Zawadzki.

Postanowiliśmy z Józefem wyjść z getta oddzielnie. Gdyby jedno z nas złapali, drugie by zostało dla dziecka, rozumiesz? Wyszłam z grupą Żydów idących do pracy poza getto, przekupiłam ich strażnika. Za bramą oddzieliłam się od nich i natychmiast zdjęłam opaskę z gwiazdą. Byłam ubrana bardzo elegancko, szłam bez pośpiechu, udając, że oglądam witryny sklepów, nikt mnie nie wziął za Żydówkę. Tak dotarłam do Peli. Twój

ojciec wyszedł z getta jakiś czas po mnie. Rozdzieliliśmy się. Ja pojechałam na wieś z Pelą i tobą, a twojego ojca polski oficer z konspiracji umieścił w mieszkaniu dwóch żon innych oficerów, którzy byli w więzieniu lub obozie. Powiedział im, że Józef jest bardzo ważną figurą, więc nie należy go o nic pytać, tylko dbać o niego.

Wieś

Późnym latem 1942 roku ośmioletni Aleksander Herszaft kładzie się na trawie. Gładzi ją. Turla się. Jeśli nawet był już wcześniej w życiu na łące – nie pamięta tego.

Krzysztof Kowalewski: – Każdego ranka Olek siedzi na łóżku, trzyma skarpety albo pończochy i uważnie studiuje, która jest prawa, a która lewa. To pierwszy obraz, jaki przychodzi mi do głowy, gdy myślę o nim. Pamiętam jeszcze, że nie bał się niezwykle groźnego barana gospodarzy, który szarżował na ludzi idących do wychodka i o którym mawiano, że kiedyś zabił człowieka. Olek bardzo mi wtedy imponował swoją odwagą.

– Nie pamiętam tego barana – powie mi potem Alex Hershaft.

Krzysztof Kowalewski dodaje: – I rozpacz Olka pamiętam wyraźnie. W tym samym gospodarstwie mieszkała nauczycielka z miejscowej szkoły. Za każdym razem błagał, żeby go zabrała ze sobą, miał niesłychaną potrzebę uczenia się. Ale ona go nigdy nie wzięła.

Alex Hershaft: – Na wsi ukrywaliśmy się poprzez wtopienie w lokalną społeczność. Kto był zdolny do mimikry, miał większą szansę przeżyć. Nauczyłem się więc katolickich rytuałów (nie wiem od kogo) i poszedłem do szkółki niedzielnej, siedem kilometrów w jedną stronę. Było tam okropnie, antysemicko. Ksiądz powtarzał, że Żydzi zabili Jezusa – nie chciałem być winien niczyjej śmierci. Przesiąkałem religijnością. Raz zwierzyłem się

mamie, że chcę wyznać księdzu podczas spowiedzi, że jestem Żydem. Krzyczała, że mi nie wolno. Wołałem: „Ale mamusiu, to przecież ksiądz, nikomu nie powie. Jego obowiązuje tajemnica spowiedzi!”. Całe szczęście, że posłuszeństwo wobec matki było we mnie silniejsze.

Sabina

Krzysztof zachorował na gruźlicę, Pela wyjechała ze wsi. Żeby nas utrzymać, handlowałam. Jeździłam do stolicy, zawsze w strachu przed złapaniem, na jarmarku kupowałam od Polaków stare, brudne ubrania. Prałam je, naprawiałam i chodziłam z węzełkiem od wsi do wsi, mówiąc ludziom, że mam do sprzedania suknie i pończochy po żonach oficerów, które znalazły się w trudnej sytuacji. Woziałam też do miasta sery i masło dla dwóch synów mojej gospodyni. W tym czasie ona opiekowała się tobą. W mieście widywałam się z twoim ojcem.

W jednej wsi zaprzyjaźniłam się z organistą, pozwalał mi zostawić u siebie towar. Jego córka pomagała ukrywać się polskiemu oficerowi, myślał, że robię to samo. Powiedział mi raz oburzony, że jeden z mieszkańców wsi, właściciel miejscowego sklepu, folksdojcz, żartował, że muszę być Żydówką, skoro tak dobrze idzie mi handel, i że trzeba by to sprawdzić. Organiście było głupio, że ktoś w ogóle mógł coś takiego powiedzieć. Zaśmiałam się i spokojnie odeszłam drogą w stronę naszej wsi. W nocy opuściliśmy Lindów i przez Żyrardów wróciliśmy do Warszawy. Była połowa 1943 roku.

Gra

Życie jako śmiertelna gra planszowa.

Można wylosować łapankę na ulicach Warszawy i transport do Auschwitz.

Albo opowieść Polaków na targu o Żydach płonących w getcie podczas powstania w kwietniu 1943 roku. „Dobrze im tak” – mówił jeden. „Szkoda Żydków” – słychać z ust innych.

Dobrze, jeśli graczowi uda się zdobyć nowe dokumenty: Sabina i Olek nazywają się od teraz Rapaccy, tylko Józef pozostaje Zawadzki.

Ważny jest ciągły ruch pionków po planszy. Józef przeskakuje do mieszkania piętro wyżej (jest nauczycielem dzieci w kamienicy), żona i syn zajmują jego dawny pokój u dwóch żon oficerów na pierwszym piętrze (Sabina gra przed nimi oficerową). Przedwojenne małżeństwo Herszaftów w tej grze zna się przelotnie, z klatki schodowej.

Najważniejsza karta to „Znajomość”. Żyd, któremu nikt nie może pomóc, od razu odpada z gry. Sabinie pomaga Henryk Wodzinowski, sąsiad z drugiego piętra, urzędnik wydziału finansowego w magistracie. Nie wie, że kobieta jest Żydówką. Widzi w niej wykształconą, piękną Polkę, z którą rozmawia o literaturze rosyjskiej. Zakochuje się w niej (Alex po latach będzie uważał, że z wzajemnością). Ona prosi go o pomoc w znalezieniu pracy dla znajomego z trzeciego piętra, Józefa Zawadzkiego.

Wodzinowski zgadza się, choć dziwi go fotografia sąsiada, którą ten zrobił do służbowej legitymacji.

– On ma na zdjęciu takie smutne, żydowskie oczy – mówi Sabinie.

– To mój mąż. Jesteśmy Żydami – wyznaje Sabina Henrykowi.

Gracze wstrzymują oddechy.

– Pomogę wam – mówi Wodzinowski, bo dla Sabiny gotów jest zrobić wszystko.

Można oddychać, gra toczy się dalej.

Józef zostaje pracownikiem magistratu. Ma służbową legitymację i czapkę urzędniczą, dzięki nim – w razie łapanki lub zatrzymanie – zostanie zwolniony z deportacji.

Sabina słyszy przypadkiem rozmowę żon oficerów, które zastanawiają się, czy Rapacka nie jest Żydówką. Henryk wykorzystuje

znajomości w dziale lokalowym magistratu i przeprowadza Sabinę do samodzielnego, trzypokojowego mieszkania w innej kamienicy.

Tam odwiedza ją Józef, Wodzinowski dzwoni co wieczór. Sabina jednak nie czuje się tu dobrze. W trakcie sprząwania pod kredensem w kuchni znalazła czyjąś kennkartę. Nazwisko właściciela jest polskie, ale z fotografii patrzą na nią smutne, żydowskie oczy. Dozorczynie zaczepia nową lokatorkę i mówi, że obecne mieszkanie należało kiedyś do Żydów, których zadenuncjował folksdojcz z parteru.

Olek słyszy na podwórku rozmowę sąsiadek: „Czy to aby nie Żydówka ta nowa kobieta z dzieckiem?”. Sabina Rapacka pakuje więc małą walizkę, kłamie dozorczyńni, że jej syn zachorował i musi z nim wyjechać na wieś do swojej matki. Opuszcza Warszawę – Józef zostaje w stolicy, Wodzinowskiego Sabina więcej nie zobaczy.

Jest lipiec 1944 roku. Rozpoczyna się kolejna runda gry.

Kobieta wynajmuje pokój u gospodarzy Kudajów w podwarszawskich Młocinach. Kupuje gilzy, napycha je tytoniem i jeździ do stolicy, żeby sprzedawać papierosy handlarzom. Za każdym razem spotyka się z mężem.

1 sierpnia chciałyby wyjść z domu raniutko, żeby wczesnym popołudniem być już z powrotem w Młocinach. Jednak z powodu silnego deszczu rusza dopiero około trzynastej. Syna zostawia pod opieką gospodyni, obiecuje wrócić do niego jak najszybciej.

Krótko po godzinie siedemnastej tramwaj, którym Sabina jechała w kierunku Młocin, zawraca do Warszawy. W mieście wybuchło powstanie, trwa strzelanina, motorniczy każe wszystkim pasażerom położyć się na podłodze.

Sabina Hershaft powie synowi: – Straciłam cię, mojego małego synka. Zostałeś tam sam na wsi. Rozpaczałam, chciałam wracać, ale nie było jak¹³.

Kobieta dociera do męża. Podczas bombardowań ukrywają się w piwnicy, wspólnie z trojgiem innych Żydów – Wandą, jej bratem Szymonem i jego ciężarną żoną. Razem też trafiają w jednej

z pierwszych grup ludzi wypędzonych z Warszawy przez Niemców do obozu przejściowego w Pruszkowie.

Bilet

Herszaftowie w pruszkowskim obozie byli zaledwie kilka dni. Sabinę wywieziono do obozu pracy w niemieckim Heiligenhaus, Józefa prawdopodobnie do Dachau (tu ślad po nim się urywa). Wanda, Szymon i jego żona jednak zostali. On znał dobrze język niemiecki, zatrudnił się w obozie jako tłumacz, dla siostry zdobył białą opaskę z czerwonym krzyżem – od tamtej pory kobieta udaje sanitariuszkę. Ciężarną żonę Szymona udało się przemycić poza druty. Teraz Szymon i Wanda przed innymi udają małżeństwo.

Sabina pisze do nich z Niemiec: „Czy spotkaliście może Olusia?”.

„Tak! – odpisuje jej Wanda. – Przywieźli go jesienią z transportem ludzi z Młocin. Zajmujemy się nim jak synem”.

Ktoś jednak donosi na Szymona, że jest Żydem.

– Jestem w szoku – kłamie Wanda przesłuchującym ją w obozie gestapowcom. – Nie powiedział mi tego. Ledwo go znałam, a Olek nie był jego synem, tylko moim, sami sprawdźcie. Przecież nie jesteśmy Żydami!

Najpierw Olek opuszcza spodnie. Potem bieliznę. Niemieccy żandarmi pochylają się i sprawdzają, czy dziesięciolatek został obrzezany. Wynik oględzin wypada negatywnie.

Alex Hershaft wspomina: – Bałem się strasznie w tamtym momencie, ale nie byłem głupi. Wiedziałem już wtedy, że rodzice, zabraniając obrzezania, wyposażyli mnie nieświadomie w bilet do życia.

Sabina

Nie miałam nic – ani pieniędzy, ani domu. Nie wiedziałam, czy nadal żyje twój tata i dziadkowie. Nie miałam wieści o tobie. Wanda

więcej nie napisała już żadnego listu. W Heiligenhaus, po wyzwoleniu, ludzie powtarzali sobie straszliwe plotki, że Rosjanie wywożą na wschód polskie sieroty i wychowują na Sowieców. Kiedy więc tylko wojna się skończyła, ruszyłam do Polski.

W Warszawie poszłam pod nasz dom, w którym ukrywałam się z Józkiem, Wandą i Szymonem w czasie powstania. Był zburzony, ale na ruinach ludzie przyczepiali karteczki ze swoimi nowymi adresami. Liczyłam na to, że Wanda zostawiła tam dla mnie wiadomość. Nic jednak nie znalazłam.

Byłam też w Joincie [Amerykańsko-Żydowskim Połączonym Komitecie Rozdzielczym – M.G.], który niósł pomoc ocalałym. Mieli departament łączący ludzi. Pytałam ich o ciebie. Powiedzieli, że jesteś w Łodzi, podali adres.

Pojechałam natychmiast, ale to była pomyłka, nikt tam nie słyszał o moim synku. W pociągu powrotnym do Warszawy miałam dziwne uczucie, że nie powinnam opuszczać Łodzi. Zbeształam samą siebie: „Co to za głupoty, Sabino”.

W Warszawie znów poszłam pod tamten zrujnowany dom. Tym razem miałam szczęście. Spotkałam kobietę, która wiedziała, że Wanda jest z tobą na wsi pod Warszawą.

Ruszyłam natychmiast. Kawalek drogi przejechałam pociągiem, resztę musiałam przejść na piechotę. Była już noc, ale księżyc świecił jasno, szłam przez las, aż dotarłam do jakiejś rzeki. W wodzie zgubiłam buty, chciałam dalej iść bosą, jednak stopy mnie bardzo bolały, więc wróciłam i wyłowiłam obuwie. W końcu doszłam do wsi, psy na mnie szczekały, ale ja się ich nie bałam. Zaczęłam pukać od drzwi do drzwi, pytając o kobietę z dzieckiem z obozu w Pruszkowie. W którymś domu ich pamiętali i wiedzieli, dokąd poszli. Wanda odnalazła wujka, lekarza, i zamieszkała z nim. Ciebie oddali do sierocińca, bo wuj nie chciał dziecka. Przenocowałam na wsi i z rana ruszyłam. Ci ludzie jakimś cudem wiedzieli, w którym domu dziecka jesteś. Około godziny dziesiątej

wieczorem, po długiej podróży, zapukałam do drzwi sierocińca pod Łodzią.

Wiadomość

Alex Hershaft pozwala mi przeczytać fragment autobiografii, nad którą pracuje od lat.

„Światło księżycy prześwitywało przez gałęzie drzew, tworząc dziwne wzory na brudnych ścianach sypialni sierocińca. Inni chłopcy już spali. Ale Olek nie mógł zasnąć. Bał się zmoczyć przez sen, jak poprzednio. Czy koledzy z pokoju znów go pobiją, a materac wyrzucą przez okno?

Zastanawiał się, co go czeka w przyszłości. Był niemal pewny, że jego rodzice nie żyją. Gdyby było inaczej, dawno już by go stąd zabrali. Mijały trzy miesiące od zakończenia wojny, a oni się nie zjawiali. [...] Tęsknił za nimi bardzo.

Nagle usłyszał, że ktoś idzie korytarzem. Kto to mógł być? Dawno minęła godzina dwudziesta druga i nikomu nie wolno było o tej porze wychodzić z sypialni.

Drzwi się uchyliły, stanęła w nich kierowniczką sierocińca. Skąpana w świetle księżycy wyglądała jak anioł. Podeszła do łóżka, na którym leżał Olek, i wyszeptała: »Mam wiadomość od twojej mamy«¹⁴.



Koźlę

Ptasiego mleczka, które przywiozłam z Polski w prezencie, Alex Hershaft nie spróbuje nigdy. Zdaje się, że popełniłam nietakt i podarowałam weganinowi słodycze z zawartością produktów zwierzęcych. Przez kilka dni naszych rozmów w domu Alexa kolorowe

pudełko z ptasim mleczkiem leży uprzejmie na stole. Z plakatów rozwieszonych w kuchni wpatrują się w nie krowy i świny zachęcające do weganizmu.

– Od dziecka miałem estetyczny problem z jedzeniem mięsa – tłumaczy Alex. – Nie etyczny, nie środowiskowy, nie zdrowotny, tylko estetyczny właśnie. Tym pięknym żyjącym zwierzętom odcina się głowy i kroi na kawałki, które potem lądują w moich ustach. W 1961 roku w pobliżu izraelskiej Hajfy spotkałem ludzi z mniejszości Druzów, którzy obchodzili jakieś święto. Mieli tam kozłą. Zapytałem ich, co robią. Powiedzieli, że urodziło im się dziecko, więc zabijają kozłą, żeby świętować. „Poświęćcie życie jednego dziecka, bo urodziło wam się inne?” – zezłościłem się i postanowiłem: dosyć, nie jem więcej mięsa.

IV

Matka macha na pożegnanie

Pierwsze lata po wojnie Sabina Herszaft mieszka z synem we włoskim obozie dla uchodźców UNRRA w Cinecittà, na przemieściach Rzymu.

– Nie chciała zostać w Polsce – mówi Alex – choć jej przedwojenni przyjaciele teraz byli u władzy i mogli jej zapewnić wygodne życie. Uparła się, żeby wyjechać. Mówiła, że ojciec, jeśli żyje, na pewno nas znajdzie, gdziekolwiek będziemy. Jeszcze w Heiligenhaus, tuż po wyzwoleniu obozu, mama wyszła za mąż za włoskiego jeńca. To było typowe tużpowojenne małżeństwo, zbudowane na gwałtownej potrzebie bliskości z drugim człowiekiem. On był młodszy od Sabiny, jego rodzina na Sycylii miała plantację pomarańczy. Umówili się, że gdyby

odnalazł się mój ojciec, natychmiast się rozwiodą. Kiedy mama wyjechała do Polski, żeby mnie odnaleźć, zapomniała o swoim włoskim mężu. „Przypomniała” sobie o nim, bo dzięki temu mogliśmy opuścić kraj w ramach akcji łączenia rodzin. Tak naprawdę nie chciała jechać do niego. Jej celem była emigracja do Nowego Jorku, gdzie od 1935 roku mieszkał Władysław Herszaft (w Ameryce William Herrschaft), brat mojego ojca, twórca lalek teatralnych.

Przez pięć lat Sabina Herszaft zabiega o wizę dla syna i siebie. W 1950 roku jedzie z Olkiem do jednego w włoskich portów, skąd odbija statek do Ameryki.

Alex Herrschaft: – Płynąłem sam. Mama nie dostała amerykańskiej wizy, nie wiedzieliśmy dlaczego. Po latach dotarłem do dokumentów, z których wynikało, że Amerykanie, opanowani wówczas manią antykomunistyczną, podejrzewali jej przyjaciela z obozu, bułgarskiego chirurga, o szpiegowanie na rzecz ZSRR, a moją mamę o to, że ją zwerbował.

Sabina Herszaft macha synowi na pożegnanie. Wkrótce planuje wyjechać do Izraela, gdzie mieszka już jej brat.

Zamiana ról

Syn. Mieszka u wujka w Nowym Jorku zaledwie kilka tygodni. Żona Williama Herrschafta nie lubi ludzi – zwłaszcza swojego męża i jego bratanka.

Matka. Wkrótce po przyjeździe do Izraela wychodzi za mąż za polskiego Żyda.

Syn. Studiuje na uniwersytecie w Connecticut. Gdyby mógł, wybrałby filozofię lub historię, ale ze względu na pamięć ojca zdecydował się na chemię. Nie chwali się jednak nikomu wkładem Józefa w prace nad ciężką wodą.

Matka. Rozwodzi się z polskim Żydem.

Syn. Zostaje dziennikarzem w uczelnianej gazecie, z powodzeniem startuje w wyborach do uniwersyteckiego senatu, znajduje przyjaciół. Odkrywa, że największą przyjemność w życiu sprawia mu działanie na rzecz innych.

Matka. Uczy się hebrajskiego i przez pewien czas jest nauczycielką matematyki.

Syn. Odwiedza matkę w Izraelu. Jest rok 1957 i dopiero teraz Aleksander orientuje się, że miejsce dawnej, dzielnej Sabiny Hershaft zastąpiła lękliwa, niepewna siebie osoba.

Wspomina: – Nie poznałem jej. To nie była już ta atrakcyjna kobieta, którą znałem. Wcześniej wesoła, teraz smutna i refleksyjna. Nie miała planów ani ambicji. Stanowiła całkowite przeciwieństwo siebie z czasów wojny. Przestała mi mówić, co mam robić, akceptowała każde moje posunięcie. Potrzebowałem trochę czasu, żeby od nowa ją poznać, zaakceptować. Zrozumiałem, że byłem jej powodem do życia, a kiedy się rozstaliśmy, straciła go. Miałem wrażenie, że dopiero teraz, kiedy byłem już całkowicie bezpieczny, pozwoliła dopaść się traumie wojennej.

Po powrocie do Ameryki syn pracuje w chemicznym koncernie DuPont, gdzie poświęca się wynalezieniu nablyszczacza do sztucznej skóry.

Matka. Rzadko wychodzi z domu. Całe dni spędza w swoim telawiwskim mieszkaniu i rozwiązuje krzyżówki albo gra z przyjaciółmi w brydża.

Syn. Rzuca pracę i wraca na uczelnię, gdzie pisze doktorat z chemii fizycznej. Aplikuje na stanowisko wykładowcy chemii politechniki w Hajfie i zostaje przyjęty. W listopadzie 1961 roku wyjeżdża do Izraela.

Wspomina: – Teraz naprawdę byłem wolny, bez zobowiązań. Czułem, że spłaciłem dług wobec rodziców. Mogłem robić, co chciałem. Moja wojna światowa wreszcie się skończyła.

Protest

Pod koniec listopada 1961 roku anglojęzyczna gazeta „The Jerusalem Post” donosi: „Tel Awiw. Około 200 osób wzięło udział w demonstracji przeciwko »przymusowi religijnemu«, która odbyła się poprzedniej nocy przy placu Dizengoffa. [...] Protest został zorganizowany przez dr. Alexa Hershafta (lat 27), wykładowcy chemii w Haifa Technion. Zamierza on stworzyć grupę, która będzie walczyć z religijnym przymusem. »Żyj i pozwól żyć – to nasze motto« powiedział »The Jerusalem Post«”¹⁵.

Alex Hershaft: – Po przyjeździe trafiłem w sam środek afery, którą gorączkował się wtedy Izrael. Arabka związała się z Żydem, urodziło im się dziecko. Prawo nie zezwalało im na ślub religijny, a cywilne nie istniały. Ich dziecko zostało uznane za *mamzera* – kogoś w rodzaju bękarta – i wolno mu było związać się w przyszłości jedynie z drugim *mamzerem*. Byłem w szoku. Ten kraj zaledwie kilkanaście lat wcześniej zbudowano na równości wszystkich wobec prawa, bez względu na religię, rasę i płeć. Tymczasem ludzi zmuszano do przestrzegania praw religijnych. Czułem, że muszę zaprotestować.

Transparenty po angielsku i hebrajsku przygotowuje z pomocą matki. Piszą: „TAK dla wolności sumienia; NIE dla religijnego przymusu”, „Demokracja – nie teokracja”. Wykupuje anons w „The Jerusalem Post”, podaje miejsce i termin protestu. Zgłasza się na policję po zgodę na organizację pikiet. Udziela mu jej zastępca komendanta policji Amos Ben Gurion, syn Davida, współzałożyciela państwa Izrael.

– Trafiłem do niego przypadkiem – mówi Alex. – Jego sekretarka pomyliła mnie z kimś znajomym i wpuściła do gabinetu. Próbowwała mnie zaraz wyrzucić, ale wyjaśniłem szybko, o co chodzi. Amos Ben Gurion wydał zgodę od razu. Jego żona była Brytyjką, pochodziła z chrześcijańskiej rodziny i nie uznawano jej do końca za prawowitą, mimo że przeszła na judaizm.

W dniu protestu Alex Hershafft wynajmuje taksówkę, wrzuca do bagażnika transparenty i wyrusza z Sabiną na plac Dizengoffa. Nie wie, czy ktokolwiek przyjdzie na demonstrację. Jednak kiedy auto podjeżdża na miejsce, Alex widzi około dwustu ludzi, którzy odpowiedzieli na jego apel.

Alex Hershafft: – Dwa lata później wróciłem do Ameryki z Genią, polską Żydówką ocalałą z Zagłady, która została moją żoną. Nie mogłem dłużej żyć w Izraelu, rozczarował mnie. Ludzie tam mieli wąskie horyzonty i wiecznie się kłócili. Zostawiałem za sobą Ligę przeciwko Przymusowi Religijnemu, którą założyłem i której przewodniczyłem przez ten czas.

V

Szloch

Jest październik 2016 roku. Z mikrofonem w ręku, w buraczkowej koszuli i szarym krawacie Alex Hershafft stoi przy mównicy w nowojorskim audytorium wynajętym na ten dzień przez Jewish Veg – grupę propagującą weganizm wśród Żydów. Krzesła na widowni zajmuje stu pięćdziesięciu widzów, są wśród nich też dziennikarze, których przyciągnęło nazwisko znanego działacza na rzecz praw zwierząt.

Alex ma delikatny głos, nieśmiałe gesty, opowiada o swoim dzieciństwie, rodzicach, życiu w getcie, czasem robi przerwę na tyk wody, ale tylko wtedy, gdy z gardła zamiast słów wydobywa szloch.

Potem znów mówi: – Z przerażeniem widzę uderzające podobieństwo między tym, co naziści zrobili mojej rodzinie i mojemu ludowi, a tym, co robimy ze zwierzętami, które hodujemy na żywność: znakowanie lub tatuowanie numerów seryjnych w celu identyfikacji ofiar, używanie bydłocych wagonów do transportu

ofiar, zatłoczone klatki i baraki, arbitralne określanie, kto będzie żył, a kto musi umrzeć. Chrześcijanin żyje – Żyd umiera. Pies żyje – świnia umiera¹⁶.

Za jego plecami wyświetlają się zdjęcia stosów ludzkich ciał z Auschwitz i zaraz po nich trupy zwierząt z rzeźni. Fotografie ludzi wiezionych wagonami bydłocymi do Treblinki zestawione z bydłem w takich samych wagonach. Ściśnięte w boksach świnie i kury zamknięte w klatkach, a potem kobiety i mężczyźni gnani na Umschlagplatz.

Korespondentka Jewish Telegraphic Agency, która jest na widowni, notuje, że słowa Alexa wywołują napięcie pomiędzy uczestnikami spotkania.

Po wykładzie Hershafft przyzna dziennikarce, że jego tezy oburzają ortodoksyjnych Żydów, nie zamierza jednak przestać głosić tego, co uważa za prawdę.

1972

Syn Sabiny jest jak mechaniczna zabawka, w której sprężyna kręci się bez końca. Jakby wewnętrzny głos nakazywał mu wciąż działać.

Odkąd w połowie lat sześćdziesiątych wrócił z Izraela, Alex się nie zatrzymuje.

Zbiera fundusze na działalność Ligi, wstępuje do American Humanist Association – organizacji propagującej świecką filozofię życia, szuka kontaktów z wegetarianami.

Niespokojne jest też jego życie osobiste. W poszukiwaniu pracy przenosi się z Waszyngtonu na Zachodnie Wybrzeże, by następnie zamieszkać w Bostonie (gdzie na świat przychodzi Monica, córka Hershafftów) i w końcu osiąść w miasteczku Bethesda pod Waszyngtonem.

Na początku lat siedemdziesiątych znajduje pracę jako konsultant w firmie Booz Allen Hamilton. To dla niego zajęcie idealne. Jeździ po

całym kraju i szuka rozwiązań, których samorządy i przedsiębiorcy sami nie potrafią znaleźć.

W 1972 roku pracodawca wysłała go do stanu Indiana, gdzie niewielka, przestarzała rzeźnia potrzebuje pomocy w modernizacji, ponieważ truje miejscową rzekę. Alex brodzi w kałużach krwi, spogląda na części zwierząt i myśli, że to wszystko bardzo przypomina Holokaust.

Action for Life

– Nic nie zdarzyło się nagle – mówi Alex Hershaft. – Nadal pracowałem i kontynuowałem swój wegetarianizm. Córka i żona też nie jadły mięsa, innych wegetarian początkowo nie znałem, poza paroma dziwakami. Aż w 1975 roku trafiłem na kongres wegetarian w Maine. Tam otworzyłem oczy szeroko. Z całego świata przyjechało tysiąc pięciuset ludzi i mieli jeden wspólny cel – nie jeść mięsa. Jakbym zyskał nowe życie. Czułem, że do nich przynależę. Mówiłem: „Powiedzcie, co mogę dla was zrobić? Chcę być częścią was”.

Współpracuje z aktywistką Nelli Shriver. Organizuje w Waszyngtonie pierwsze publiczne wegetariańskie Święto Dziękczynienia. Po roku zakłada Vegetarian Information Service – własną organizację non profit, z biurem w piwnicy swojego domu w Bethesdzie.

W 1981 roku zostaje weganinem i zakłada Farm Animals Rights Movement (FARM) – organizację na rzecz zwierząt hodowlanych, maltretowanych i zabijanych na pożywienie. Przez następne trzydzieści lat uświadamia ludzi: drukuje ulotki i broszury informacyjne, protestuje pod rzeźniami, śle listy na temat weganizmu do tysięcy amerykańskich gazet rocznie.

Monica, córka Alexa, będzie wspominała: „Dorastałam, oglądając przerażające, krwawe nagrania z rzeźni, brałam udział



edjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

demonstracjach, patrzyłam, jak mój ojciec mówi o prawach zwierząt w każdym popularnym talk show tamtych czasów”⁷.

Najważniejszym z projektów organizacji FARM jest coroczna konferencja Action for Life, na której spotykają się ludzie ze stowarzyszeń i fundacji walczących o prawa zwierząt. Trwają do 1991 roku. Po sześcioletniej przerwie Alex wznawia je pod nazwą Animal Rights National Conference. W 2018 roku Alex przekazuje szefowanie konferencji swojej dotychczasowej asystentce, pozostając prezesem FARM.

Ofiara

W 1981 roku Alex rozwodzi się z Genią.

Tłumaczy: – Poświęciłem życie pracy na rzecz zwierząt. Nie mogłem mieć dłużej prywatnego życia. Powiedziałem Geni, że miałem romans z moją asystentką, co nie było prawdą. Jednak moja niepewna i wrażliwa żona rozstała się ze mną.

Sabina, matka Olusia, umiera w Izraelu w 1996 roku.

VI

Taniec

Wciąż nie znalazł odpowiedzi na wszystkie pytania, które sobie postawił po wojnie. Jest zmęczony. Rozczarowany ludźmi, którym tak trudno przestać jeść mięso, choć deklarują, że zależy im na prawach zwierząt. Wciąż jednak ma nadzieję, że uda mu się zmienić stosunek świata do wszystkich istot żyjących. Przecież po to ocalał z Holokaustu.

W 2015 roku FARM, zamiast mówić o prawach zwierząt, zaczął kłaść nacisk na promocję diety roślinnej. Do bezpośredniej walki o zwierzęta wróca, gdy ludzie uwierzą, że dieta wegańska jest zdrowa i modna.

Alex jest też zmęczony rozmową ze mną. Spogląda na zegarek. Jeśli mamy zdążyć, musimy już wychodzić.

Około godziny dwudziestej czasu wschodnioamerykańskiego, na początku marca 2019 roku, wsiałam do samochodu Alexa Hershafa i jadę z nim na tańce do Glen Echo Park. Od prawie trzydziestu lat nie odpuścił prawie żadnego spotkania w klubie amerykańskiego tańca ludowego. Trochę się boję, bo nie umiem tańczyć, Alex mnie jednak pociesza: na scenie będzie wodzirej, który prowadzi tancerzy, a wszystkim przygrywa zespół muzyków, zaś same kroki są proste, powtarzalne i przypominają skrzyżowanie tańca dworskiego z irlandzkim.

Pół godziny później pędzę z Alexem w podskokach po parkiecie, kręcę się w kółko, na okrzyk wodzireja zmieniam partnera i staram się nie pomylić kroków. Sala taneczna jest wielkości stodoły, wokół wiruje kilkuset innych tancerzy, a syn Sabiny i Józefa ma rumieńce na twarzy i wydaje się, że przez moment jest naprawdę szczęśliwy.

W

Jak Niemcy
wieszali
Żydów.



L. III
Kasanda

CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII

WSZYSTKO CACY

Wojna Gotfryda

Koniec lipca 1944 roku. Wzorowy żołnierz

Zeskakuję z czołgu i biegnę do budynku, w którym mieszka znajoma rodziców.

– Pani Jagłowska! – krzyczę na widok kobiety. – Pani przekaże matce, że jestem w wojsku sowieckim. Jadę na Berlin!

Mam dwanaście lat, noszę mundur radzieckiego żołnierza, od niedawna służę w 7 Korpusie Pancernym 2 Armii Pancernej generała Siemiona Bogdanowa. Właśnie zdobywamy Białystok, od trzech dni trwają walki o miasto. Znam tu każdą ulicę, każdy tunel, wiem, którędy czołgi przejadą, a gdzie utkną. Jestem ich przewodnikiem.

– To co? Powie pani matce?! – wołam i nie czekam na odpowiedź, tylko biegnę z powrotem do czołgu, bo żołnierze się denerwują, że opóźniam jazdę.

Za pomoc w wyzwaniu miasta dostanę swoją pierwszą w życiu odznakę – *Otlicznyj razwiedzczik* (wzorowy zwiadowca).

Rok 2019. Duet kuchenny

W małej kuchni na białostockim osiedlu, wśród kubków z kawą („sypana czy neska, mam obie”), czajnika z wrzątkiem, kieliszek



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

z nalewką, pod gablota wypełnioną po brzegi orderami, medalami i odznaczeniami, tworzymy z Gotfrydem Grubowskim zadziwiający duet.

Ja się martwię, on żartuje.

Ja przeżywam, on bagatelizuje.

Każde moje pytanie o strach, śmierć, trupy, utracone dzieciństwo Gotfryd Grubowski odbija śmiechem.

– A co było najgorsze na wojnie? – pytam.

– Nic. Wszystko cacy – odpowiada, a ja nie widzę smutku w jego oczach.

Rok 1941. Wiadro zupy

Trudno mi powiedzieć, czy rodzice mnie kochają. Każda matka niby kocha swoje dziecko, ojciec też. Ale ja ich raczej nie obchodzę. Jak w maju urodził mi się brat, Janek, to w ogóle ze mnie zeszli. Tato mnie tylko wziął na poważną rozmowę.

– Słuchaj, Gotfryd – powiedział – masz dziewięć lat. Wiemy z mamą, że palisz papierosy. To już sobie pal. Tylko nie chowaj się z tym, bo dom jest drewniany i jeszcze ogień zaprószy.

Gdyby nie ja, to oni by byli głodne. Nasz dom jest przy koszarach. Jak w Białymstoku od września trzydziestego dziewiątego stali Sowieci, to przynosiłem do domu z ich wojskowej kuchni wiadro zupy, kartofle, czasem tuszonkę. Pod koniec czerwca czterdziestego pierwszego zmienili się lokatorzy koszarów, bo do miasta weszli Niemcy. I teraz od nich biorę jedzenie. Jestem obrotny.

Szwaby czy Sowiety – są mi obojętne. Osobiście największą wrogość odczuwam do brata mojej matki, który był naczelnikiem dworca w Mołodecznie. Kiedy przyjechał do nas, prosiłem go, żeby mi gitarę kupił.

To nie kupił.

A gitara właśnie jest moim jedynym marzeniem. Matka ma swoją, gra na niej i śpiewa, ale nie chce mi jej dać. Dobrze, że chociaż pozwala dotykać.

Zamiast gitary może być harmonia.

Rok 1943. Zadania

Dziesięć bochenków chleba kupuję w piekarni u Barczaka. Zanoszę je do obozu jeńców radzieckich, który Niemcy urządzili w stajniach 10 Pułku Ułanów. Tam wymieniam z Sowiecami chleb na łuczynę, czyli sosnową rozpałkę, którą potem sprzedaję na targu. Dobrze na tym zarabiam. Pieniądze oddaję pewnemu człowiekowi, on mi z tego wydziela sumę na chleb i znów idę do piekarni.

To moje pierwsze zadanie od organizacji. Sami nawiązali ze mną kontakt. Pewnie zobaczyli, że ciągle się kręcę po mieście. Ale jaka to organizacja, to nie wiem.

Drugie zadanie dostaję zaraz potem. Mam zakraść się do koszar, z których przynoszę zupę. Jak byli tam Sowieci, to nie mieszkali w budynkach, tylko wykopali sobie ziemianki, w których spali. Kiedy Szwaby zaatakowały Związek Radziecki, to Ruskie uciekały tak szybko, że zostawiły w tych ziemiankach broń i amunicję. Niemcy się tym nie interesują. A ja mam teraz przynieść stamtąd, co się da.

Rok 1943. Przysięga

Mówią, że muszę złożyć przysięgę, żebym był odpowiedzialny za to, co robię. Odbywa się to w Starosielcach, dzielnicy Białegostoku, gdzie mieszka dowódca placówki Leon Biełasz, pseudonim „Igli-ca”. Nie do końca wszystko to jest legalne, bo mam jedenaście lat, a do organizacji zwykle takich młodych nie przyjmują. Przybieram

pseudonim „Fiedia” – tak na mnie wołały Ruskie w koszarach. Mam funkcję łącznika rejonu.

Wiem już, że jestem w Armii Krajowej. Ale legitymacji to mi nie dali.

Styczeń 1944 roku. Poświęcenie

Kilku mężczyzn w pokoju rozmawia o mnie tak, jakby mnie tu nie było.

– Trzeba go zlikwidować – mówi jeden z nich.

– Zna placówki, jest łącznikiem – potakuje drugi. – Jak Gestapo da mu w tyłek, to im wszystko wyśpiewa.

I znów ten pierwszy: – Poświęcimy jednego, ocalimy wielu.

Będą głosować – zastrzelić mnie czy ocalić. Słabo mi.

Trzy miesiące temu spłonęły warsztaty nowej hali wagonowni w Starosielcach, Niemcy nie znaleźli winnych. Wyzaczyli jednak nagrodę za wskazanie podpalaczy. W styczniu Gestapo aresztowało kilkadziesiąt osób związanych z Armią Krajową. Kobiety wywieziono do Ravensbrück, mężczyzn do Stutthofu. AK poszukuje donosiciela. Mnie nikt nie podejrzewa o zdradę, ale jestem słabym ogniwem – ze względu na wiek.

Rok 2019. Maskotka

– Na szczęście większość głosujących była za pozostawieniem mnie przy życiu. Przekazali mnie tylko do Dzierniakowa pod Gródkiem. Gospodarz wiedział, kim jestem. Przed obcymi miałem udawać bezdomnego parobka i czekać końca wojny – mówi Gotfryd Grubowski.

– Z rodzicami się pan pożegnał? – pytam.

– A skąd. Prosto z tamtego mieszkania wyjechałem. Ale mama z tatą na pewno się o mnie nie martwili.

– Nie chce mi się w to wierzyć – kręcę głową.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Wzrusza ramionami. I dodaje: – Wojsko radzieckie zabrało mnie stamtąd, jak przejeżdżało przez Dzierniakowo. Ich dowódca mówił wprawdzie, że powinni mnie odesłać na tył frontu, do szkoły, ale żołnierze go uprosili, żebym został, bo przyniosę im szczęście.

Rok 1944. Artysta

W czołgu jest tak wspaniale, że nie do opowiedzenia. Nasz oddział ma dwanaście czołgów, w każdym mam swój koc i poduszkę. Wszyscy chcą, żebym jechał z nimi. Proszą: – Graj i śpiewaj, Fiedia. – Znam różne piosenki.

No i mam swoją gitarę!

Dostałem od żołnierza, już jej nie potrzebował.

Raz byliśmy w Wołominie, a tam – plac i scena, ludzie występowali. Przyjechały teatry, wkoło sceny zasiedli żołnierze. Mój dowódca wyszedł na scenę i zapowiedział:

– A teraz wystąpi nasz artysta. – I mówi do mnie: – Dawaj, dawaj, Fiedia.

Najpierw zaśpiewałem po polsku *W ten świat płynie okręt, prując grzebienie fal*, potem rosyjski romans *Ach raskazi, raskazi*, a na koniec coś po niemiecku. Oklasków miałem od groma.

Jadę więc sobie w którymś z czołgów, zabawiam żołnierzy albo śpię. Wiem tyle, że idziemy na Berlin, bo trzeba pokonać Niemców. Powiedziano mi też, że Józef Stalin jest moim zwierzchnikiem. Ale kto to jest dokładnie, to nie dopytuję, bo mnie to nie obchodzi.

Przyzwyczaiłem się do wojny, nie przeszkadza mi. Do nalotów i strzelania przywykłem. Nie wydaje mi się, żebym miał zginąć. Trupy nie robią na mnie wrażenia. Nic mnie nie rusza, nic nie czuję. Raz koledzy z oddziału zginęli na minie. Mnie to było obojętne. Nie mam marzeń (poza harmonią), nie myślę o przyszłości. Wydaje mi się, że tak będzie już wyglądało całe moje życie. Myślę, że rodziców już nigdy nie zobaczę.

Jest tylko teraz.

Rok 1945. Papierosy marki Juno

Sowieci wódką poją nawet konia. Mnie też.

I od papierosów jestem bardzo zależny. Najlepsze są niemieckie, marki Juno, albo radzieckie bielomory, palimy jednak przeważnie machorkę zwiniętą w gazetę. Ale jak się to wszystko kończy, to człowiek cokolwiek zapali. Latem mieszamy łydzy ziemniaków z końskim nawozem. Mają ciekawy zapach.

Rok 1945. Harmonia

Mam ją! Własną harmonię.

Dom był prywatny, na terenie niemieckim. Zeskoczyłem z czołgu, wszedłem do środka, jeszcze płyta w kuchni była gorąca. Na niej coś się gotowało, parzyło, tylko ludzi nie było.

Ktoś mi wcześniej powiedział, że u Szwabów w każdym domu jest instrument, jak nie pianino, to harmonia, zacząłem się więc rozglądać.

Stała w kącie, firmy Hohner, przepiękna.

Wziąłem ją i wyszedłem, nic więcej nie było mi potrzebne.

Są tacy żołnierze, co wejdą, popatrzą – stoi bufet piękny, kryształ, figurki, talerze – a oni tratatatata i wszystko w drobiazgi zniszczone. Szkoda tego, ale nikt nikomu nie zwraca uwagi. Czołgiści nie biorą dużo z tych domów. Bo też ile rzeczy można pomieścić w czołgu?

Mam też własną broń. Zabrałem trupowi.

Kwiecień 1945 roku. Żelazo z głowy i nosa

Zdobywamy Oppeln i ruszamy dalej na zachód. Dzielą nas: część wojska jedzie na Dresden, my – na Breslau. Forsujemy Odrę, każdy



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

jak może, jak umie. Jestem jeszcze w wodzie, gdy nadlatują niemieckie samoloty. Bombardują nas. Już na brzegu wylewam wodę z butów, patrzę, a woda czerwona. Pomyślałem – chyba ja ranny – i zemdląłem.

Obudziłem się w szpitalu polowym. Lekarz wyjął mi żelazo z głowy i nosa, w nogach zostawił. Jak pomagam, to czuję wypukłe pod skórą.

Dzień Zwycięstwa to jest taki, że kto ma jaką amunicję, to strzela. Do góry, na wiwat.

Rok 2019. Rozwydrzony

– A jednak wrócił pan do domu – mówię.

– Ale okrężną drogą – Gotfryd Grubowski trochę się broni.

Kilka miesięcy stacjonował we Wrocławiu, był też w Berlinie. Stamtąd armia wysłała go pod Leningrad, do szkoły oficerskiej imienia Suworowa. Wytrzymał trzy miesiące.

– Byłem rozwydrzony wojną – tłumaczy. – A tam panowała surowa dyscyplina. Trzeba było prosić nawet o zgodę na wyjście do toalety. Wyjechałem więc do Warszawy, a stamtąd pod koniec 1945 roku ruszyłem do Białegostoku.

Koniec roku 1945. Sen

Pukam w okno. Matka mnie widzi, uchyla jedno skrzydło i mówi, że wódki dzisiaj *niet*, żeby przyjść *zawtra*, jutro. Mam na sobie radziecki mundur, wzięła mnie za Sowietę.

A ja wtedy: – Mama otworzy.

Ona zaraz mdleje.

Ojciec wychodzi po mnie na podwórko w samych dynamówach.

Mama, jak ją ocucili, to najpierw zaczyna mnie po nogach macać, bo jej się śniło, że na nartach przyszedłem. A ktoś jej wyjaśnił z sennika, że narty to sztuczne nogi.

I płacze, bo była pewna, że ja już nie żyję.

Wojna Hieronima

Początek grudnia 1939 roku. Ewakuacja

Mama próbuje wstać z łóżka, pomagam jej w tym. Trzy dni temu urodziła moją siostrzyczkę, jest wciąż słaba, rusza się wolno. Pośrodku izby stoją niemieccy żołnierze i coś krzyczą. Celują do nas z karabinów, a potem wychodzą. Babcia (mama mamy) tłumaczy, że każą nam wyjść natychmiast przed dom, bo trwa ewakuacja Grzywna, naszej podwrocławskiej dzielnicy. Inaczej wrócą i nas zastrzelą.

Taty nie ma, trzy miesiące temu poszedł na wojnę. Ostatni raz widziałem go we wrześniu, wpadł do domu na chwilę, bo był w pobliżu – jego oddział wycofywał się w kierunku Kutna. Dał mi się pobawić swoim karabinem, tylko wyjął wcześniej naboje.

Nie wiemy, co się z nim potem stało. Teraz jest początek grudnia.

Niemieccy żołnierze wracają, gdy mama stoi już przy łóżku. Nikt z nas jeszcze nie wyszedł przed dom. Mogliśmy, ale jak tak mamę zostawić? Ubieramy się, bo jest zimno na zewnątrz, drżą mi ręce, nie potrafię trafić guzikami w dziurki.

Oni strzelają.

Widzę, jak babcia pada pierwsza. Starszy brat Zbyszek dostaje w szyję. Mama przewraca się na mnie. Kule trafiają moją trzydniową siostrę.

Mnie nic nie jest. Leżę pod mamą. Mam sześć lat, nazywam się Hieronim Kowalski.

1939–1944. Nowi rodzice

– Heromin, nie śpij – babcia nie umie poprawnie wymówić mojego imienia. Trąca mnie w ramię, bo przysypiam przy wieczornej modlitwie. Mieszkamy we dwoje w jednej izbie, mamy łóżko i pierzynę.

To druga babcia, mama ojca. Tamtą Niemiec zastrzelił na miejscu. Mama zmarła dwa dni później, w szpitalu. Mój brat Zbyszek przeżył. Ocalała też siostra – kule utkwily w jej beciku.

Zostaliśmy rozdzieleni, mnie najpierw wzięła do siebie ciotka. Niemcy wysiedlili nas do Generalnego Gubernatorstwa, mieszkaliśmy na wsi pod Białą Podlaską, w jednej izbie u chłopca. W dziewięć osób spaliśmy pokotem na podłodze. Wypasałem krowy, zarabiałem w ziemniakach.

W 1942 roku babcia mnie odnalazła. Wysiedlono ją sto pięćdziesiąt kilometrów dalej, w pobliże Chotczy, wsi oddalonej niewiele od Kazimierza Dolnego. Zabrała mnie do siebie. Większość drogi szliśmy, babcia zebrała po domach o coś do zjedzenia.

– Heromin, nie śpij – babcia mnie znowu trąca.

Pracuję u gospodarza Rojewskiego w sąsiednim siole. Chodzę do niego, pomagam w gospodarstwie, często zostaję tam na noc. Wysła mnie czasem do lasu albo każe iść do innej wsi, zaszywa coś w ubraniu, ale nie wtajemnicza, o co chodzi. Przypadkiem się dowiedziałem, że jest dowódcą oddziału partyzanckiego Batalionów Chłopskich. Do szkoły nie chodzę, bo za daleko, więc gospodarz nieraz coś tam pisze i pokazuje, jak się nazywam. Rojewski ma żonę, ale nie ma dzieci. Chciał mnie usynowić, jest dla mnie bardzo dobry. Miałbym nowych rodziców. Ale babcia się nie zgadza.

– Na pewno Antoś żyje – mówi o moim zaginionym tacie.

Jesień 1944 roku. Nieporozumienie

(W październiku 1944 roku około tysiąca partyzantów Batalionów Chłopskich i Armii Ludowej w okolicy wsi Chotcza próbuje się przebić przez linie niemieckie na radziecką stronę frontu. Chcą dołączyć do Armii Czerwonej.)

Gospodarz Rojewski chwyta moją dłoń i wybiegamy z chałupy. Jest ranek, jeszcze ciemno. Idziemy szybko w stronę Wisły, pod

front. Nie wiem, dlaczego akurat tam i dlaczego jego żona została w domu. Wokół jest jeden huk, wszyscy strzelają do wszystkich, dym, nic nie widać.

(Wywiązuje się potyczka z Niemcami. Wskutek nieporozumienia Rosjanie ostrzeliwiają partyzantów – zginie stu siedemdziesięciu ludzi).

Gubię gospodarza i zostaję sam. Biegnę, żeby go dogonić, ale tracę orientację i rachubę czasu, kręcę się w kółko. Chyba nawet się nie boję.

W pewnym momencie robi mi się błogo, upadam i zasypiam.

Jesień 1944 roku. Ja sierota

Budzę się. Słyszę obcy język, ktoś pochyla się i mówi do mnie. Wiem, że to rosyjski, ale go nie rozumiem. Podchodzi inny człowiek, mówi trochę po polsku. Tłumaczy, że zostałem ranny. Ktoś strzelił do mnie z pistoletu, trafił w dłoń i straciłem przytomność. Jestem w radzieckim szpitalu polowym.

– Gdzie twoi rodzice? – pyta mnie teraz.

Kręcę głową i mówię: – Ja sierota.

Znowu zamykam oczy, a na sekundę przed zaśnięciem myślę jeszcze: „Byle się tylko z nimi trzymać”.

Styczeń 1945 roku. Synoczek

Żołnierze wołają mnie „synoczek”, czasem „synolek”, dzielą się kaszą z polowej kuchni, mówią, że idą do Berlina zabić Hitlera i że pozwolą mi strzelać do Niemców. Żebym się mógł zemścić za śmierć rodziców. Każdy z nich idzie kogoś pomścić, najczęściej mówią o swoich dziewczynach, które zgwałcili hitlerowcy, kiedy szli na Moskwę. Ale ja nie wiem, co to znaczy „zgwałcić”.

Dali mi mundur po zmarłym. Rękawy i nogawki były trochę za długie, obciąłem je nożem i teraz wyglądam jak prawdziwy



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

radziecki żołnierz. Brakuje mi tylko broni. Obiecują, że jak ktoś z nich zginie, to dostanę po nim pepeszę.

Zaczynam powoli rozumieć język rosyjski. Uczę się od Wołodii, to mój najlepszy przyjaciel. On też już trochę mówi po polsku. Nie umie tylko wymówić mojego imienia. Pyta, jak się woła na innych chłopaków w Polsce. Wymieniam mu kilka imion, najbardziej podoba mu się „Franek”. I wszyscy w oddziale zaczynają tak na mnie wołać.

Wołodia jest starszy ode mnie o dwa lata, ale niższy o głowę. Idzie z Armią Czerwoną już od dawna, mówi, że nie jesteśmy jedynymi dziećmi na tej wojnie. Pokazuje mi, jak karmić rannych, na przykład takich, którym pocisk urwał obie ręce. Uczę się też bandażowania i opatrywania lekkich ran. Jak trzeba, jesteśmy łącznikami i przenosimy meldunki. Rozpieszczamy psa dowódcy, chodzi ciągle za nami, bo dajemy mu zawsze trochę kaszy ze swoich porcji.

Nie myjemy się. Nigdy. Nie zmieniamy bielizny, nie robimy prania. Czasem dostarczają nam wodę do mycia w beczkach, możemy też wykąpać się w rzece, jeśli mijamy ją po drodze, ale jest zima. Śmierdzą więc. I Wołodia też cuchnie. Za każdym żołnierzem ciągnie się smród, a skoro tak, to nikt nic nie czuje. Nikt nam tutaj sztyj nie sprawdza i nie każe mówić pacierza na dobranoc. Do szkoły chodzić nie trzeba i nikt nie pilnuje, kiedy kładziemy się spać. Podoba mi się tutaj.

Chyba nie pamiętam już swoich rodziców.

Rok 2019. Gdzie jest Wołodia?

– A co było najgorsze na wojnie? – pytam emerytowanego podpułkownika lotnictwa Hieronima Kowalskiego, który ma oczy błękitne i dobre. Między nami jest stół przykryty obrusem w jego poznańskim mieszkaniu, na stole prymulka w doniczce, o którą



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

opiera się instrukcja podlewania („pół szklanki wody w każdy wtorek i piątek”). Franek jest wdowcem, kwiat dostał od pewnej znajomej.

– Co było najgorsze? – powtarza moje pytanie i się zamyśla. Mówi spokojnie, głos ma łagodny, zastanawiam się, czy krzyczał na swoich podwładnych.

– To może inaczej zapytam – usiłuję pomóc. – Co się tam panu podobało?

– W tym wieku nie ma rzeczy, które się nie podobają – odpowiada po chwili.

I szybko zmienia temat. Zaraz więc spoglądamy na kserokopię podniszczonej fotografii (oryginał zaginął), na której dwóch chłopców spogląda z uwagą w obiektyw. Każdy z pepeszą, w za dużych butach i rogatywkach, w dopasowanych przez krawca wojskowego mundurach. Między nimi przysiadł pies w typie Szarika, posiwiały na pysku.

– To nasze pożegnanie – wzrusza się Hieronim Kowalski. – Z lewej stoję ja, z prawej Wołodia. Jesteśmy już nad Odrą. Nasz oddział spotkał po drodze polskich saperów z 6 Batalionu Pontonowo-Mostowego 1 Armii Wojska Polskiego. Sowietci zdecydowali, że mam do nich przejść. Mówili, że ze swoimi będzie mi lepiej. Ale ja nie chciałem, wołałem zostać z Wołodią. Dałem się jednak w końcu namówić. Obiecaliśmy sobie, że się odzujemy po wojnie. Więcej Wołodii już nie spotkałem. Próbowałem go odnaleźć, nawet w Związku Radzieckim, kiedy przylatywałem do Astrachania, ale nikt o nim nie słyszał. Może zginął?

Wiosna 1945 roku. Zimna noc

Jak przestają strzelać, to robi się po prostu głupio, dziwnie jakoś. Zwykle słychać jęk, huk, strzelają z obu stron. Wszędzie i ciągle, także w nocy. Przywykłem, zasypiam w każdych warunkach.

Cisza jest najstraszniejsza, prawie boli. Jak zapada, napinam mięśnie i zaczynam czekać na hałas.

Też już strzelam. Mam swój pistolet maszynowy, czyli pepeszkę z magazynkiem łukowym, do którego wchodzi trzydzieści pięć naboju. Wolałbym pepeszkę z bębenkiem, taką jak na zdjęciu z Wołodią, o pojemności siedemdziesięciu jeden naboju. Ale jest dla mnie za ciężka, pożyczyłem ją tylko do fotografii. Wieczorami, przed zaśnięciem, czyszczę broń i pobieram amunicję na następny dzień. Nie wiem, czy kogoś zastrzeliłem, po prostu o tym nie myślę.

Śpimy różnie, czasem w namiotach, bo już wiosna, bywa, że w kabinach studebackerów – amerykańskich ciężarówek. Są tak wielkie, że mieści się tu na leżąco czterech mężczyzn. Wojsko na noc trzeba rozśrodkować, żeby w razie ataku zginęło paru ludzi, a nie cała kompania.

Raz znaleźliśmy niemiecki kościół. Zimna noc była. Zgromadzili nas tam, żebyśmy się trochę ogrzali. Mieliśmy jakieś koce. Znalazłem sobie takie miejsce, koło ambony, ale tam już ktoś leżał. To ja się położyłem obok, przytuliłem, żeby cieplej było, i przykryłem nas obu moim kocem. Rano okazało się, że spałem z nieboszczykiem.

Ja się widoku zmarłych nie boję. Mam już dwanaście lat.

Kwiecień 1945 roku. *Niet!*

Jesteśmy na przedmieściach Berlina. Dzieją się takie sceny, że lepiej o nich nie mówić. Widziałem kilku żołnierzy, jak podbiegli do kobiety z dzieckiem na ręku. Dziecko odrzucili, a ją zaciągnęli gdzieś na bok.

Jedną Niemkę uratowałem przed Rosjaninem. Ciągnęliśmy ją z obu stron za ręce. Wołałem:

– *Niet!* Ona ze mną pójdzie! – I tamten ją puścił, bo zobaczył inne kobiety. Tej kazałem uciekać.

Polacy zachowują się podobnie jak Rosjanie. Może trochę mniej.

Rok 2019. Strach w oczach kobiet

Wasilij Grossman, pisarz, korespondent gazety „Krasnaja Zwiezda”, też jest w tym czasie w Berlinie. Czytam w jego prywatnych zapiskach: „Strach w oczach kobiet i dziewcząt. [...] dziewczyna z czarnymi, aksamitnymi krwiami na szyi i na twarzy, oko zapuchnięte, straszne siniaki na rękach. Dziewczynę zgwałcił żołnierz kompanii łączności sztabu generalnego. [...] Wykształcony Niemiec, którego żonę przyszli odwiedzić czerwonoarmiści, za pomocą wymownych gestów i łamanych rosyjskich słów tłumaczy, że tego dnia zgwałciło ją dziesięciu ludzi. [...] Bardzo cierpią radzieckie dziewczęta wyzwolone z obozów. [...] Opowieść o tym, jak zgwałcono w stodole karmiącą matkę. Krewni wchodzi do stodoły, proszą, żeby gwałciciele wypuścili ją na jakiś czas, ponieważ głodne dziecko płacze”¹.

Maj 1945 roku. *Idi ty*

Dotarliśmy do centrum Berlina. Stoimy w parku, który nazywa się Tiergarten. Ktoś mi mówi, że niedaleko stąd jest Reichstag i Brama Brandenburska. Nie umiem sobie ich wyobrazić. Miasto płonie, wszędzie widać ruiny, dym. Huki wystrzałów nie ustają na jeden pacierz. W tym chaosie nikt już nie wie, gdzie są nasi, a gdzie Niemcy.

Do mojego dowódcy podbiega zakrwawiony ruski starszyna i mówi, że musimy mu pomóc. Trzeba posłać kogoś, żeby zawiadomił radziecką artylerię, bo strzelają do swoich. Dowódca wysłała wpierw jakiegoś zwiadowcę, ale ten nie wraca. Posyła drugiego – to samo. Nikt mu już nie został, mówi więc do mnie: – *Malczik, idi ty.*

Padam na ziemię i czołgam się w ich stronę. To trzysta, czterysta metrów dalej. Niby blisko, a droga się ciągnie. Jestem mały,

trudno mnie zauważyć. Jak słyszę, że coś leci, zamieram i czekam, aż wybuchnie. Potem znów ruszam. Chwilami biegnę rynsztokami, nie zwracam na siebie uwagi. Raz idą koło mnie Niemcy, ale widzą dziecko, więc przechodzą dalej. W końcu docieram. Wołam, żeby przestali strzelać, bo tam już zajęte przez naszych.

Jesień 1945 roku. Babcia i wnuk

– Heroomiiiiin! Heromin! – słyszę, że ktoś woła moje imię. Ale nie rozglądam się na boki. Jest niedziela, a ja prowadzę żołnierzy z koszar na mszę do włocławskiej katedry. Jestem trzynastoletnim kapralem, na piersi mam krzyż Virtuti Militari za Berlin. Wróciłem do Włocławka, bo zostaliśmy sformowani w 1 Samodzielny Zmotoryzowany Pułk Pontonowo-Mostowy z siedzibą tutaj. Ale nie wiem, jak szukać bliskich. W miejscu Grzywna rośnie teraz młodniak, a miasta nie znam. Żołnierze idą równo i śpiewają, ludzie dziwią się na mój widok, że taki mały, a wojsko mnie słucha.

– Heeromin! – kobieta, która woła moje imię, zdyszana dobiega do katedry. Patrzę, a to moja babcia, której nie widziałem od czasu, gdy z Rojewskim wybiegłem z chałupy. Rzucam się jej na szyję, ona mnie ściska. Wróciła do Włocławka po wojnie, była pewna, że nie żyję. Mówimy jedno przez drugie. Ona mieszka w wynajętym pokoju, wprawdzie dach jest dziurawy i podczas deszczu leje się jej na głowę, ale zmieścimy się jakoś, damy radę. Zajmie się mną, pośle do szkoły, nakarmi, wychowa, a wieczorem przypilnuje pacierza. Żyje moja siostra i brat. Spotkamy się z nimi, wszystko teraz będzie jak dawniej.

A ja słucham jej i zastanawiam się, jak ona chce wychowywać dziecko, które wróciło z Berlina.

– Babciu – przerywam jej – ja już zostanę w wojsku, na zawsze.

Wojna Zdzisława

Rok 2019. Wojna się zaciera

Mężczyzna, który siedzi w swoim ulubionym fotelu, pod lampą, w dużym pokoju białostockiego mieszkania, ma siwe, krótkie włosy i nosi szary pulower. W gestach oszczędny, spojrzenie ma czujne, na serdecznym palcu prawej dłoni srebrny sygnet. Mówi, że wojna się zaciera w człowieku, ale nigdy nie kończy. Teraz, po tylu latach, już mu się nie śni. Ale wcześniej to tak.

– Zrywał się w nocy, krzyczał – uściśla jego żona z fotela obok.

Rok 1939. O co chodzi?

Nazywam się Zdzisław Tabor i w tym roku kończę siedem lat. Powinienem chodzić do pierwszej klasy. Mam własny tornister, tabliczkę z rysikiem i nowe ubranie. Ale jest wojna, więc nie chodzę.

Na Sejny, nasze miasto, najpierw napadli Niemcy, potem przyszli tu Rosjanie, a w październiku znów Niemcy. I zostali tu już na stałe. Teraz jesteśmy częścią Rzeszy. Nic z tego nie rozumiem, nikt mi nic nie wyjaśnia.

Mieszkam z mamą i bratem starszym o cztery lata. Tatę, wojskowego, Niemcy wywieźli do obozu Mauthausen-Gusen.

Mama pracuje w gospodarstwie dziadka za Sejnami, więc wychodzi do pracy o szóstej rano. Na stole zostawia nam kanapki, herbatę i zamyka dom na kłódkę od zewnątrz. Mówi, że mamy z bratem siedzieć w domu, bo nie daj Bóg złapią nas hitlerowcy i zagonią do rozbijania macew na kirkucie.

Zmywamy naczynia, ścielimy łóżka, ścieramy podłogę w kuchni i wychodzimy oknem.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Rok 1943. Szare Szeregi

Nocami wykradam się z domu, maluję na płotach i murach znaki Polski Walczącej, przyklejam plakaty, przestawiam drogowskazy. Przesiaduję też w kuźni kowala Gaussa, która stoi przy głównej szosie. Obserwuję niemieckie pojazdy przejeżdżające drogą, zapisuję, ile zobaczyłem czołgów i ciężarówek. Udaję, że ciekawi mnie kucie koni, ale kowal Gauss wie, co tam robię tak naprawdę. Sam działa w AK.

W kwietniu chłopcy z sejneńskiego gimnazjum, którzy nas uczą na tajnych kompletach, zaproponowali mi wstąpienie do Szarych Szeregów. Powiedzieli, że ojczyzna potrzebuje mojej pomocy. Zgodziłem się od razu. Jestem już dorosły, w tym roku kończę jedenaście lat.

Przyrzeczenie harcerskie złożyłem w ogromnym, wystudzo-
nym piecu do wypalania kafli, razem z kolegą Józefem, na terenie cegielni Winiewiczów. Odebrał je od nas drużynowy, harcmistrz i podporucznik Witold Winiewicz, pseudonim „Wilk”, który jest dowódcą oddziału partyzantów Armii Krajowej. Ślubowa-
łem, że będę wierny aż do utraty życia. Przybrałem pseudonim „Mały”. Jestem teraz łącznikiem, przenoszę meldunki – głównie pomiędzy oddziałem „Wilka” a oddziałem kapitana Michała Czaty-
tyrko, pseudonim „Kawka”.

Mama o niczym nie wie, dowódca zakazał mówić. Brata Niemcy wywieźli na roboty, do Königsbergu.

Rok 1943 lub 1944. Mina

Mgły rozciągają się nisko nad polem za Sejnami, na horyzoncie stoją drzewa bez liści. Idę łąką, wśród suchych traw. Przede mną kolega. Niesiemy meldunek. Skupieni, wypatrujemy pod nogami min przeciwpiechotnych. Podoba mi się to zadanie.



cdjskfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Chłopiec, który idzie z przodu, nagle potrąca stopą metalowe pudełko.

Pudełko wybucha.

Widzę, jak mój kolega pada na ziemię, a z brzucha wypływają mu długie metry szarych, lśniących jelit. On próbuje je przytrzymać, zagarnia bezradnie wnętrzności i płacze:

– Zdzisiu, tylko nie mów mojej mamie. Będzie na mnie krzyczała. Nie mów mamie.

A potem umiera.

Rok 2019. Dorosłość

- Wojna to była nawet dobra zabawa – przyznaje Zdzisław Tabor.
- Do tamtej śmierci. Bo wtedy, bez ostrzeżenia, dorosłem.
- Miał pan dwanaście lat i znalazł się w samym środku akcji „Burza”. Był pan bohaterem? – pytam.

Lekko się obrusza: – No skąd. Ja tylko wypełniałem swój obowiązek. Wie pani, ja nic z tej wojny nie rozumiałem, wszystko brałem dosłownie. Skoro ślubowałem, że będę wierny do utraty życia, to żadnej przesady w tym nie było.

Rozkaz do rozpoczęcia akcji „Burza” dał w listopadzie 1943 roku komendant główny AK generał Tadeusz „Bór” Komorowski. Akcja miała objąć tereny wschodniej Polski, żołnierze – metodami partyzanckimi – mieli uderzać w osłabione wojska niemieckie wycofujące się ze wschodu. Polacy zobowiązali się pomagać nadchodzącej za nimi Armii Czerwonej, a jednocześnie witać Sowieców na swoich ziemiach jak gospodarze. Dowódcy AK chcieli też pokazać aliantom, że należy się liczyć z ich siłami. Jednak Sowieci od początku nie zamierzali sprzymierzać się z Armią Krajową. I choć zgodzili się na podporządkowanie jednostki polskiej dowództwu radzieckiemu, rozbrajali żołnierzy AK i stosowali wobec nich represje, mordując ich, aresztując i zsyłając do łagrów.

Planowano, że z czasem akcja „Burza” rozleje się na cały kraj – z pominięciem dużych miast, zwłaszcza Warszawy, żeby nie narażać życia setek tysięcy cywilów. Kilka miesięcy później generał Komorowski zmienił zdanie. Powstanie, które wybucha w stolicy 1 sierpnia 1944 roku, również jest częścią „Burzy”.

Rok 1944. Dukt

Wiosną „Wilk” podaje mi hasło („Burza”) i odzew („Deszcz”). Mam przekazać komendantowi „Kawce” meldunek zaszyty w kołnierzu kurtki. W głąb puszczy wiezie mnie człowiek z konspiracji, który jedzie po drewno. Kierujemy się w stronę uroczyska Łempis. Stamtąd idę sam, z koszykiem w ręku. Udaję, że zbieram grzyby. Mam dojść do pochyłej sosny.

Tam odnajduje mnie partyzant „Butrym”, syn sąsiadów, który rok temu uciekł do lasu, przed wywózką do prac przymusowych.

Komendant „Kawka” odbiera ode mnie meldunek i mówi, że niestety nie mogę wrócić do domu. Niemcy są na tropie oddziału, muszą uciekać. Ja pójdę z nimi.

Maszerujemy więc przez las, gałęzie bez przerwy strącają mi czapkę, jest zimno. Przed nami pusty, leśny dukt. Musimy przebiec na drugą stronę na znak „Butryma”.

Kiedy przychodzi moja kolej, ruszam, co chwilę przypadając do ziemi. To krótka trasa, a mnie się zdaje, że idę całą wieczność. Nagle w pobliżu wybucha granat rzucony przez Niemca. Dostaję odłamkiem. Krew spływa mi z twarzy, mam poszarpane, zakrwawione spodnie. Dobiegam do krzaków po drugiej stronie drogi i tracę przytomność.

Rok 1944. Boję się

Otwieram oczy. Jest ciemno, brakuje powietrza, jestem spragniony. Boję się, że umarłem.

– Chwała Bogu – słyszę głos „Butryma”. Mówi, że jesteśmy w zamaskowanym bunkrze. Nie dam rady dalej iść, bo moje rany trzeba szyć. Mam tu zostać i być cicho, a on pójdzie po doktora. Przykrywa mnie gałęziami choiny, żebym się ogrzał nieco.

Zostaję sam. Boli mnie, więc przygryzam usta, żeby nie jęczeć. Marznę. Zapadam w sen i się budzę. Nie wiem już, jak długo tu jestem. Jest dzień czy noc? A jeśli nikt po mnie nie przyjdzie i umrę tu samotnie? Martwię się o mamę. Znow zasypiam.

Lekarz, którego „Butrym” przyprowadził, sypie mi jakiś proszek na język, żeby mnie nie bolało, i zakłada trzy szwy na głowę, pięć na lewe kolano, jeden na palec lewej dłoni.

Potem trafiam do leśniczówki w Wiłkokuku. Leśniczy jest w AK, to daleki kuzyn mojej mamy. Gdyby przyszli Niemcy, mam udawać chorego na tyfus.

Sierpień 1944 roku. Powrót

Pod koniec lipca Sowieci wypędzają Niemców z Sejn.

Wracam do domu. Mama nie wie, że żyję, nikt jej nie zawiadomił. Będzie miała niespodziankę, bardzo za nią tęsknię.

Leśniczy wiezie mnie furmanką przez tereny, gdzie toczyły się walki. Mijamy rozrzucony sprzęt wojskowy, jakieś tankietki, samochody, trupy, bardzo dużo trupów.

Wreszcie widzę rodzinny dom, mama wychodzi na ganek.

Wojna Tadeusza

Rok 2019. Sierp i młot wpisane w koło

Tadeusz Tarkowski dźwięczy delikatnie jak dzwoneczki na wietrze. Wystarczy, że lekko się poruszy, a orderzy przypięte do lewej kieszeni munduru stukają o siebie i miło brzęczą. Próbuję je policzyć, gubię się jednak przy trzydziestym. Pod szyją zawiesił krzyż Virtutti Militari, a na prawej piersi odznaki – rozpoznaję surową sylwetkę orła Synów Pułku i czerwoną gwiazdę z sierpem i młotem wpisanymi w białe koło.

Wskutek nieporozumienia pułkownik Tarkowski z drugiej wojny światowej wrócił do domu w 1953 roku.

– Ciężko panu było? – pytam.

– E tam, bywało ciężiej – macha ręką i dzwoni przy tym cichutko.

Jest pięknym człowiekiem. Proszę, żeby mi pozował, i fotografuję go w pokoju siedleckiego Związku Inwalidów Wojennych, na tle szafy i kredensu wypełnionego służbowym serwisem deserowym.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Rok 1945. Nikogo nie można było poznać

Do wszystkiego można przywyknąć. Także do jazdy wagonem towarowym. Chodzi o to, żeby się urządzać jak najlepiej i nie narzekać. Jest nas w tym wagonie kilkunastu. Kto miał szczęście, śpi na pryczy, ja dostałem słomę i też dobrze. Najważniejsze, że wojna się już skończyła. Mam piętnaście lat, nazywam się Tadeusz Tarkowski i jadę pociągiem do mamy, do Równego.

Taty już nie mam. Przed wojną był starszym sierżantem w 44 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych. Potem działał w organizacji „Wachlarz”. Przekazywał meldunki, woził ulotki, czasem do samego Lwowa. Nieraz zabierał mnie ze sobą.

W 1943 roku taki jeden Ukraińiec powiedział mojej mamie: „My za pani mężem śledzili już trzy miesiące”. Niemcy zamknęli tatusia w więzieniu w Równem za konspirację. A po zamachu na Funka rozstrzelali z innymi. Przez kilka dni Niemcy palili ich ciała w dole za miastem, widziałem, jak dorzucali do ognia metrowe polana. Nikogo nie można było potem poznać, tak spalone było. Na koniec zasypali dół.

Rok 1943. Dr Funk

Pod koniec grudnia 1943 roku londyński korespondent australijskiej gazety „The Advertiser” donosił: „Dr Alfred Funk, członek Gestapo i szef niemieckiej administracji na Ukrainie, został zabity przez radzieckich partyzantów”. Za szwedzką gazetą „Aftontidningen” podaje, że stu mieszkańców Równego zostało natychmiast rozstrzelanych, a wielu więcej wysłano do obozów koncentracyjnych. Doktor Funk – pisze dziennikarz – „uchodził za szczególnie okrutnego, nawet jak na standardy Gestapo”².

Rok 1945. *Eto sekret*

Nie wiem, ile dni powinien jechać pociąg z Warszawy do Równego. Nasz jedzie już siódmy dzień. Czy nie za długo?

Przez okienka umieszczone pod sufitem prawie nic nie widać. Czasem stajemy gdzieś w polu, otwierają się drzwi i wyskakujemy, żeby rozprostować kości. Pięć minut później rozlega się gwizd i ruszamy dalej.

Kilka razy pytałem dowódcę kompanii, dokąd ten pociąg jedzie. Odparł, że *eto sekret*. Myślę, że sam nie wie. Jestem najmłodszym żołnierzem w całym pociągu. Mówią na mnie Tadźka albo Fiodor.

Mamy nie widziałem od czasu, gdy poszedłem do partyzantów w 1944 roku.

Nie poszedłem do lasu ot tak, w jeden dzień. Jeszcze po ojcu miałem kontakty z „Wachlarza”, to komuś coś gdzieś zaniósłem, przekazałem, dowiedziałem się. Aż w końcu dowódca oddziału Józek Sobiesiak powiedział, żebym z nimi został. Uczyli mnie tam strzelać i obchodzić się z bronią, a jak cukierka zdobyli, to najpierw trzymali dla mnie. Tęsknoty za domem nie było, jakoś tak przyjmowało się wszystko naturalnie.

Sformowani w Brygadę „Grunwald” podlegaliśmy Ukraińskiemu Sztabowi Partyzanckiemu. Było nas pięciuset chłopca, samych Polaków. Dwukrotnie próbowaliśmy przepłynąć przez Bug na Lubelszczyznę. Zostałem wtedy ranny w obie nogi, od wybuchu miny. Kiedy byłem w szpitalu polowym, major Sobiesiak wybrał stu ludzi do szkolenia spadochronowego, radzieckie samoloty zrzuciły ich po drugiej stronie rzeki. Mnie nie brał w ogóle pod uwagę, za lekki jestem. Kiedy wyzdrowiałem, z resztą partyzantów trzeci raz forsowaliśmy rzekę. Udało się.

Rok 1945. Jesteś wolny

Toczymy się pociągiem od miesiąca. Planowałem wysiąść na Uralu i jakoś dostać się z powrotem do domu. Ale Ural dawno za nami. Nadal nikt nam nie mówi, dokąd nas wiozą.

Jeszcze w Lublinie, gdzie w końcu dotarliśmy w 1944 roku, wcielono nas, niepełnoletnich partyzantów, do kompanii młodych. Jednego dnia byłem w lesie, drugiego w tym niby-wojsku. Stamtąd zawieźli nas do Łodzi, potem do Legnicy, aż w końcu do Warszawy, gdzie skoszarowali przy Rakowieckiej. Powiedzieli, że przeksztalcą nas w szkołę kadetów – będziemy się uczyć, zdamy maturę i zostaniemy oficerami.

Aż jednego dnia dowódca pułku powiedział, że się nie nadają do kadetów. Kazał zdać mundur i stwierdził, że jestem wolny. Co miałem robić? Iść w gruzy? Pieniądzy na drogę do domu nie dostałem, nikogo w stolicy nie znałem.

– To zapiszcie mnie chociaż do jakiejś jednostki radzieckiej, że bym mógł do domu, jak raz, przejechać przez granicę – poprosiłem. – Mój dom teraz w Związku Radzieckim.

Zgodził się. Miał znajomych w jednostkach radzieckich, popytał. I tak trafiłem do pułku przeciwzołgowego, znów dostałem mundur, buty i czapkę. Wcielili mnie do Armii Czerwonej na ten kawałek drogi, nawet żołd przyznali. Miałem wysiąść gdzieś po drodze, najdalej w Moskwie.

Rok 2019. Złe pochodzenie

– Po latach się dowiedziałem – mówi Tadeusz Tarkowski – że wydalono mnie z korpusu kadetów, bo byłem synem przedwojennego podoficera.

– To bardzo przykre – wyrywa mi się.

– E tam, bywało ciężiej – macha ręką i znów dzwoni cichutko.

Rok 1945. Koniec podróży

Dalej już jechać się nie dało. Pociąg dowiózł nas do granicy z Chinami.

Mieszkamy w miejscowości Płatonowka, w starych koszarach. Mijamy się w Chance. To ogromne jezioro, którego większa, południowa

część leży po stronie sowieckiej. Mniejsza należy do Chin. Najbliższe miasto, Władywostok, jest dwieście kilometrów od nas.

Jak tylko wysiadłem z wagonu, poszedłem do dowódcy zgłosić pomyłkę.

– Tak? – zdziwił się.

– Wstąpiłem do Armii Czerwonej na chwilę, miałem wysiąść po drodze, mama na mnie czeka w Równem.

Zaśmiał się: – Jesteś żołnierzem radzieckim, pobierasz żołd i zapisano cię na liście. Nie ma mowy o pomyłce. Odmaszerować.

Lata 1946-1950. Służba

Raz w roku pytam komendanta, czy mogę już odejść do cywila.

Za każdym razem rozkłada ręce i mówi, że chciałby, ale nie może mnie wypuścić. Z obliczeń mu wychodzi, że najpierw muszę doczekać w wojsku do wieku poborowego, a potem odbyć służbę wojskową.

Właściwie pobyt w armii niewiele się różni od partyzantki. Tu i tam jest dużo radzieckich dowódców. Całymi dniami ćwiczymy i słuchamy wykładów. Jak przełożeni nie wiedzą, co z nami zrobić, sypią dziesięć kilo piachu do plecaka i puszczają dwadzieścia kilometrów biegiem. Nie wolno robić nic.

Kontaktów zewnętrznych nie nawiązuję z nikim. Silne więzi łączą mnie z kolegami, są też Polacy – kilkuset ze Lwowa i okolic.

Rok 1950. Nagroda

Tego roku dowódca rozkazał mi zebrać drużynę sportową i wygrać z nią zawody organizowane przez armię. Nasz pułk wypadł bardzo dobrze, ja sam zająłem w biegach na 1500 metrów drugie miejsce.

Po powrocie poszedłem zapytać o zwolnienie do cywila – w nagrodę za wyniki.

Dowódca pułku odesłał mnie do dowódcy brygady.

A ten powiedział: – Nie mogę cię, Tarkowski, teraz puścić, bo mnie posadzą. Zaczęła się wojna w Korei i wstrzymali wszystkie demobilizacje.

Jedziemy więc na Koreę.

Lata 1950-1953. Wojna

Kręcimy się na tej wojnie w kółko. Płatonowka, Korea, Płatonowka, Korea. Niedługo się tam jedzie. Jak wyruszymy z rana – piętnaście osób na ciągniku gąsienicowym – to na drugi dzień jesteśmy już na miejscu. A jeszcze holujemy za sobą armatę. Zbyt wielu zajęć na wojnie akurat nie mamy, bo tam, dokąd nas skierowano, to wróg czołgów nie ma, więc nasze armaty przeciwczołgowe nie są potrzebne.

Rok 1953. Cywil

W lipcu 1953 roku wojna się kończy.

Mam dwadzieścia trzy lata i od dziesięciu lat jestem w wojsku. Chciałbym już do domu. A dowódca, gdy znowu go pytam, mówi, że nie może mnie zwolnić.

Widzę jednak, że się waha, i nagle dodaje, że jest sposób:

– Kto zdecyduje się zostać na stałe na Dalekim Wschodzie, od razu podlega demobilizacji – mówi.

– To ja zostaję! – wołam natychmiast.

Do cywila wychodzę w mundurze.

Prosto z koszar idę na pociąg. Nie mam biletu, ale kładę się na półce – tam, gdzie zwykle leżą walizki. Gdy wejdzie konduktor, będę udawał pijanego żołnierza. Nikt nie śmie mnie ruszyć aż do Moskwy.

Uciekam stąd.

Rok 1953. Dom

W Moskwie przesiadam się na inny pociąg. Wsiadam na stacji w Zdołbunowie i ostatnie piętnaście kilometrów jadę do Równego samochodem ciężarowym. Wciąż jestem w mundurze, żołnierzowi nikt podwózki nie odmówi.

Nasz dom, co go tato skończył budować tuż przed wojną – duży, gruby na dwie cegły – nadal stoi. Tatuś nie zdążył tylko balkonów obstalować i wciąż ich nie ma. Mieszka w nim teraz kilka rodzin.

Matka, jak to matka, zapłakała na mój widok. Nie wyjechała do Polski zaraz po wojnie, bo koleżanka ją buntowała, żeby zostać. A teraz ewakuacje Polaków się skończyły. Ta koleżanka wyszła za mąż w Leningradzie i moją mamę do siebie chce ściągnąć. Ma dla niej tam samotnego wojskowego, dobrego człowieka podobno. Mama mówi, że pojedzie.

Rok 1959. Na powitanie

Ożeniłem się z Rosjanką Larysą, nauczycielką rosyjskiego. Dostałem pracę elektryka w równieńskiej elektrowni. Od kilku lat zbierałem się, by wyjechać do Polski. Składałem dokumenty, pisałem, że jestem Polakiem. Urzędy nie odpowiadały. Aż tu nagle dwa dni temu przyszło pismo, że jeśli chcemy wyjechać, mamy na to czterdzieści osiem godzin.

Zapakowaliśmy więc do samochodu marki Pobjeda co się dało i ruszyliśmy do Polski.

W Mościskach, na przejściu granicznym, celnicy dali nam na powitanie sto pięćdziesiąt złotych.

Rok 2019. Optymista

– A wojna? Była w pana życiu najstraszniejsza? – pytam.

– E tam, bywało gorzej – odpowiada i brzęczy cichutko orderami.

Rypin Lub. DNIA. 16. V. 46.



CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII

Powitanie wojska
Wojskowy Armii woz V kl.
szkola powszechna
w Rypinie Lub.

16/1

KSIĘGA ŻYWOTÓW DINY

Dinie Michajłownie zaschło w ustach. Prosiłam, żeby nie jadła i nie piła nic od rana, więc teraz z trudem produkuje kapkę śliny, którą spluwa uroczyście do przezroczystej fiolki. Patrzy na mnie pytająco, ale zaprzeczam ruchem głowy – za mało. Potrzebujemy więcej śliny, aż do poziomu kreski oznaczonej na rurce. Nie musi się spieszyć, mamy czas.

Kobieta wpatruje się w głąb pokoju, gdzie stoją dwa tapczany nakryte kolorowymi poduszkami, i usiłuje się skoncentrować. Potem przenosi spojrzenie na kredens, na którym siedzi Czeburaszka – bohater radzieckiej dobranocki, znany polskim dzieciom jako Kiwaczek – zabawka jej syna sprzed czterdziestu lat. Dorosły już syn leży aktualnie na klatce schodowej pół piętra wyżej. Matka od dawna nie wpuszcza go do mieszkania. Dina Michajłowna patrzy teraz na plakaty, które przykleiła do ściany niebieską taśmą. Pierwszy z lewej wisi portret byłego już prezydenta Kazachstanu Nursułtana Nazarbajewa, zaraz obok nieaktualny kalendarz ścienny z 2016 roku z szympansem w smokingu. Kalendarz na ten rok nie ma żadnego zdjęcia. Widzę za to, że Dina od 1 stycznia skreśla długopisem każdy dzień. Moją wizytę u niej w Karagandzie – 24 lipca 2019 roku – zaznaczyła kółeczkiem.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Dina Michajłowna Szulkiewicz ma nadzieję, że pomogę jej dowiedzieć się, jak w dzieciństwie trafiła do łagru, która z kilku jej dat urodzenia jest prawdziwa, czyją jest córką i skąd pochodzi. Dlatego wzdycha teraz ciężko, pochyla głowę nad fiolką i znów do niej pluje. A ja w tym czasie przeglądam dokumenty, które Dina gromadziła przez całe swoje życie – podania, wyjaśnienia, prośby. Do wielu dołączyła życiorysy.

Curriculum vitae

1.

– Nazywam się Dina Michajłowna Szulkiewicz. Urodziłam się 12 lutego 1939 roku pod Lwowem. Ponieważ mój ojciec służył w polskim wojsku, po wybuchu wojny całą naszą rodzinę wywieziono w okolice Smoleńska i zamknięto w obozie dla rodzin wojskowych. W 1940 lub 1941 roku mężczyzn oddzielono od kobiet i więcej taty nie zobaczyłam. A mnie, mamę i młodszą siostrę najpierw samolotem, potem pociągiem wywieźli na wschód. Wagony był zamknięte od zewnątrz, jechało z nami wielu żołnierzy, rannych i chorych. Dotarliśmy do obozu w Bidaiku, na północy Kazachstanu. Stamtąd po jakimś czasie moją rodzinę przewieziono do wsi Dolinka. Był tam obóz, który należał do Karłagu. W 1947 roku zostałam rozdzielona z mamą i siostrą i przeniesiona do domu dziecka dla wrogów narodu w Kompaniejsku. Żyłam tam do 1955 roku.

2.

– Nazywam się Dina Michajłowna Szulkiewicz, urodziłam się 12 lutego 1939 roku w Leningradzie. W 1941 roku zostałam ewakuowana z matką do Kazachstanu. Od razu trafiłam do domu

dziecka imienia Nadieždy Krupskiej w Kompaniejsku, w regionie Karagandy. Nie znałam języka rosyjskiego, dopiero tam się nauczyłam. Nie wiem, co się stało z mamą. Mój ojciec został zesłany na front i słuch po nim zaginął. Nazwisk, imion i *otczestw* (imion odojcowskich) rodziców nie pamiętam. Nie wiem, czy noszę imię nadane przez matkę, czy mój ojciec naprawdę nazywał się Michaił Szulkiewicz. *Otczestwo* dopisano mi, gdy poszłam do pracy w fabryce walonek Pimokat.

3.

– Nazywam się Dina Michajłowna Szulkiewicz, urodziłam się 12 lutego 1939 roku w Leningradzie. Nazwiska rodziców nie znam, pamiętam tylko słowa mamy, że tato był głównym dowódcą. W styczniu 1942 roku ewakuowano mnie z mamą do Kazachstanu. W drodze mama urodziła siostrzyczkę, Anię Szulkiewicz. Do 1945 roku mieszkałam z nimi obiema w tymczasowym ośrodku dla dzieci, skąd przeniesiono nas do łagru w Dolince. Więcej ich nie zobaczyłam. W 1946 roku przeniesiono mnie do domu dziecka w Osakorowce, a potem w Kompaniejsku. W 1954 roku zaczęłam pracę w fabryce Pimokat w Kompaniejsku, jednocześnie kończyłam szkołę wieczorową. Nigdy nie przestałam szukać swoich najbliższych.

4.

– Nazywam się Dina Michajłowna Szulkiewicz, urodziłam się 6 stycznia 1940 roku. Miejsca swego urodzenia nie znam. Do domu dziecka w Kompaniejsku przyjęto mnie w 1947 roku. Kilkanaście lat temu wystąpiłam do sierocińca o wypis z moich dokumentów. W 2006 roku w rubryce narodowość wpisano trzy litery: Евр. To może oznaczać pochodzenie europejskie (*Европа* – Europa) albo żydowskie (*Евреї* – Żyd). W rubryce „adres rodzica” stało łagier w Dolince.

Wygląda jak Polka

O Dinie dowiedziałam się od Jekatieriny Kuzniecovej, kazachskiej dziennikarki rosyjskiego pochodzenia, mieszkanki Karagandy. Był koniec 2018 roku, a ja szukałam kontaktu z ludźmi, którzy urodzili się w stalinowskich łagrach lub spędzili tam najwcześniejsze dzieciństwo.

Kuzniecowa pod koniec lat osiemdziesiątych była pierwszą reporterką w Kazachstanie, która odważyła się pisać o ofiarach Karłagu. Wciąż istniał Związek Radziecki i w redakcji radzono jej milczeć. Wiedziała, co ryzykuje. Jeszcze w latach siedemdziesiątych jej mąż, dziennikarz, został śmiertelnie pobity na ulicy przez nieznaną sprawców. Prawdopodobnie pracował wtedy nad niewygodnym dla władzy tematem. Jekatierina nie ugięła się jednak i zaczęła gromadzić informacje, przeprowadzać wywiady, pisać artykuły. Kilka lat później wydała trzy książki o Karłagu.

Znalazłam ją na Facebooku i zdzwoniłyśmy się pewnego wieczoru. Rozmawiałyśmy po rosyjsku.

– Zajmuję się tylko dorosłymi, historii dzieci nigdy nie badałam – powiedziała. – Ale może miałabym dla ciebie kogoś: Dinę Szulkiewicz. Przyszła do mojej redakcji w latach dziewięćdziesiątych, bo wiedziała, że piszę o łagrach, i poprosiła, żebym pomogła jej odnaleźć rodzinę. Nic nie wie o mamie i ojcu, choć czasem wydaje się jej, że pamięta jakieś urywki. Wciąż podaje nowe dane, które przeczą poprzednim. Od lat przeszukuje sowieckie archiwa, pisze podania do urzędów, kontaktuje się z ludźmi. Niestety, mimo wielu prób nie udało mi się jej pomóc. Może ty będziesz miała więcej szczęścia? Wydaje mi się, że ona pochodzi z polskiej rodziny, taka była jej pierwsza wersja, zresztą moim zdaniem ona wygląda jak Polka.

Rozłączyłyśmy się, a ja zaczęłam szukać lotów do Kazachstanu.

DNA

Fiolka, do której pluje z namaszczeniem Dina Michajłowna Szulkiewicz, to prawdopodobnie jej ostatnia szansa na odnalezienie jakichkolwiek krewnych. Zestaw do badania DNA przywiozłam z Polski. Kupiłam go przez internet, za sto dolarów, w jednej z amerykańskich firm. Odpowiednią ilość śliny należy wymieszać z dołączonym do zestawu płynem, zapakować do oryginalnego kartonika i odesłać do laboratorium. Wyniki za kilka tygodni znajdę na portalu firmy badającej DNA. Dzięki nim dowiemy się być może, skąd Dina pochodzi. Jeśli będziemy miały dużo szczęścia, na mapie świata, która wyświetla się na stronie portalu, zobaczymy ludzi, którzy dzielą fragment DNA z Diną Michajłowną. Prawda jest jednak taka, że są na to niewielkie szanse. Choć badania DNA są bardzo popularne w Ameryce i Europie Zachodniej, mieszkańcy Europy Wschodniej i Azji nie robią ich tak często, co zmniejsza prawdopodobieństwo odnalezienia rodziny Szulkiewicz.

Na razie pierwszy sukces za nami. Dina Michajłowna napluła już wystarczająco. Idzie do kuchni zaparzyć herbatę, a ja chowam fiolkę i włączam dyktafon. Ciekawa jestem, którą wersję jej życiorysu zaraz usłyszę.

Opowieść Diny

– Nazywam się Dina Michajłowna Szulkiewicz i urodziłam się w 1936 roku w Leningradzie. Kiedy miałam sześć lat, ewakuowano nas do Kazachstanu.

– Dino Michajłowna, znowu inny rok urodzenia?

– Coś mi się ostatnio przypomniało, że niania kazała mi zapamiętać dwie liczby: trzydzieści sześć i czterdzieści dwa. Pierwsza to rok mojego urodzenia, druga – naszego wyjazdu.

– Pamięta pani życie w Leningradzie?

– Kiedyś nie pamiętałam, ale potem mi się pamięć przywróciła. Mój tato był wojskowym, nigdy nie zdejmował munduru, ludzie mówili do niego „towarzyszu generale”.

– Ale wcześniej pani opowiadała, że był polskim oficerem.

– Możliwe, że był wcześniej.

– To raczej niemożliwe. Polska i Związek Radziecki przed wojną się nie przyjaźniły. Polscy oficerowie nie zostawali radzieckimi generałami.

– A mojemu tacie się udało taka kariera, widzi pani? Mama to nienawidziła Stalina. Mówiła, że mu z ust brzydko pachnie. Zdaje się, że ona też była Polką. Mnie on się także nie spodobał, ręka mu drżała, parszywieńki człowiek. Widziałam go, tak jak panią teraz widzę. Tato zabrał mnie kiedyś do Moskwy, tam Stalin wziął mnie na ręce.

– Jak pani ojciec miał na imię?

– Nikt nigdy nie zwracał się do niego po imieniu! Mama mówiła do niego „tato”, on do niej „mamo”. Temu ja się dziwię, ale tak było.

– Jak panią nazywali rodzice?

– Czasem myślę, że Noneczko, Nono. Jest takie imię w Polsce? Do Kazachstanu przyjechałam, postradawszy pamięć. Jakieś uryweczki pamiętam. Podróż eszelonem, chorych ludzi, mamę w ciąży, nianię. Taty z nami nie było. Mama musiała urodzić w drodze, bo dojechałyśmy do łagru z siostrzyczką Anią. Pamiętam też, że niania kazała mi zapamiętać, jak się nazywam, mówiła do mnie „dziewczynko”. W pociągu skończyłam siedem lat, niania dała mi w prezencie czekoladkę.

– A niania jak się nazywała?

– Nie miała imienia. Dla wszystkich była „nianią”.

- W jakim języku mama mówiła?
- W dwóch językach.
- Jakich?
- Bóg raczy wiedzieć. Pamiętam słowo „pani” i „panienko”. Znam jeszcze wyraz „jadalnia”. To polskie, prawda? Wbiło mi się w głowę, że tato mówił „potyldysic” i „augli”. To też po polsku? W każdym razie nie znałam rosyjskiego.
- To jak pani rozmawiała z tatą?
- W języku mamy.

- Z pociągu przewieźli nas do łagru w Bidaiku, a stamtąd do Dolinki. Tam mama była kimś w rodzaju naczelniczki. Ona była wielką uczoną, genetyczką, bardzo lubiła hodować rośliny. Spod rąk wyrastały jej wielkie arbuzy, kapusta, pomidory. Jeździła do Karagandy nauczać. W muzeum w Dolince to nawet jej zdjęcie wisi, można zobaczyć. Ona jakoś nie przyznawała się do mnie. Czasem wieczorem prowadzono mnie do jej baraku, a ona mnie rano odprowadzała.
- Do łagiernego domu dziecka?
- Nie wiem. Wydaje mi się, że mnie gdzieś w łagrze chowano. Jakiś barak szpitalny pamiętam czy budynek ochrony. Potem trafiłam do domu dziecka w Kompaniejsku. To był już 1947 rok.

- To tam nadano pani imię Dina?
- Nie. Tam wołano nas po numerach albo *diewoczka* (dziewczynka). Mnie nazwano Dina w szpitalu, gdzie trafiłam z durerem brzuszny. „No dobra – pomyślałam – niech takie imię już będzie”.

- I wszystkie dziewczynki w domu dziecka wołano „dziewczynko”?
- Tak. Myśmy spały tam w łózkach z chłopcami. Ale nie seksualnie, tylko taki zwyczaj był. Dla mnie to było szokujące, myślałam: „Boże, a jak dziewczyna ma krytyczne dni, to co robi?”. Dopiero potem rozdzielano grupy według płci.
- Wychowawcy przychodzili do dziewcząt w celach seksualnych?
- Słyszałam, że tak się działo w innych sypialniach, u nas nie. Był też przy naszym domu taki dziadzieńka, pomocnik, stolarz. Chodziło się do jego szopy po drewno na opał. On tam z dziewczynkami coś robił, ale ja tam nie chodziłam. W Kompaniejsku nadal myliły mi się języki i mówiłam źle po rosyjsku. Dzieci się śmiały. Pisać i czytać uczył nas były wojskowy. Zwierzątka wycinał z papieru, składał na pół, kazał nazywać.

- Raz usłyszałam, że do Kompaniejska trafiła też moja siostra Ania. Dyrektor sierocińca przyprowadził do mnie dziewczynkę, ale to nie była siostrzyczka! Moja miała nóżki równiutkie, ładniutkie, a ta była jakaś pokurczona. Duszy mojej nie pasowała. Wpadłam w rozpacz, że chcę zobaczyć prawdziwą siostrzyczkę. Potem się dowiedziałam, że moja Ania była pół roku w moim domu dziecka, w innej grupie, ale ją mama zabrała do siebie.
- I pani nie wzięła?
- Myślę, że nie wiedziała, że tam jestem. Inaczej by mnie przecież mama nie zostawiła. Prawda?

- Pierwszy raz uciekłam z domu dziecka w siódmej klasie. Pojechałam do Karagandy, pytałam ludzi na ulicy, gdzie jest KGB, pokazali, więc tam poszłam. Mówię: „Przysłałam tu, bo chcę wiedzieć, gdzie

jest moja mama”. Poczęstowali mnie jedzeniem, dali herbaty i kazali wracać. „Dziewczynko, nie szukaj. Po co ci to?” – powiedzieli. Potem jeszcze kilka razy do nich chodziłam, nawet jak już opuściłam dom dziecka. Zawsze się wykręcali.

– Życie w Kompaniejsku było straszne. Nauczyciele pijani albo rozkojarzeni, bili nas, nazywali „wrogami narodu”. Do jedzenia było mało, jedne walonki przypadały na cztery osoby, czapeczek wcale nie było, dużo odmrożeń. Ciągle mdlałam, nikt nie wiedział dlaczego. To mi już zostało na całe życie. Musieliśmy sami sprzątać, szorować podłogi, prac dla wszystkich, bardzo ładnie obierałam ziemniaki w kuchni. Szyć mnie nauczyli. Kiedy skończyłam czternaście lat, zakazali się dalej uczyć i kazali iść do Pimokatu, do fabryki walonek. Bardzo ciężka praca tam była. Najpierw stałam przy czyszczeniu sierści, potem przy wałkowaniu i wielkiej maszynie. Niejedną rękę wciągnęła, mnie się udało ocaleć.

– Nadal mieszkała pani w domu dziecka?

– Robotnice przenosili do baraków w pobliżu. Po kilka dziewcząt mieszkało w jednym pokoju. Wieczorami się dalej uczyłam, w dzień pracowałam. A szło mi tak dobrze, że na tablicy w stołówce moje zdjęcie wisiało. Przodownica Szulkiewicz!

Przez to zdjęcie zgwałcili mnie koledzy z fabryki. Spodobałam im się na fotografii, powiedzieli do Emmoczki, koleżanki: „Znajdź nam tę babkę”.

To był taki czas, gdy mężczyźni robili, co chcieli. Robotnice z domu dziecka – większość zgwałcona. Emma miała stamtąd dwoje dzieci. W płocie otaczającym żeńskie baraki była dziura, oni przez nią przechodzili. To był rok 1959. Weszli do pokoju, byłam sama. Trzej gwałcili, jeden patrzył. Pobili mnie i zaciągnęli do lasu, żebym tam umarła. Jakiś człowiek znalazł mnie w rowie przy



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

drodze. Zgłosiłam sprawę milicji. Złapano ich, skazano na więzienie. Ten, co był najgorszy, miał żonę i dzieci, po co mu to było?

—

– Mówią, że jak dziewczyna i chłopak mają takie samo *otczestwo*, to będą szczęśliwi razem. Ja tam nie wiem. Na początku lat sześćdziesiątych wyszłam za mąż za Anatolija Michajłowicza Masłowa, górnika i pijaka. Ładny był, wysoki. Próbował mnie bić, ale jak raz mu oddałam, to ledwo go nie zabiłam. Urodziłam mu dwoje dzieci – córkę Nataszeńkę Anatoliewnę i synka Witalija Anatoliewicza.

– Pani nie zmieniła nazwiska po ślubie?

– Powiedziałam, że dopóki nie dowiem się, kim jestem, zostanę Szulkiewicz. Miałam straszne życie, ciężkie. Ale cały czas, w najgorszych chwilach nawet, była ze mną myśl: „Kim był tata, kim mama? Gdzie siostra? Skąd jestem?”

W 1964 roku dostaliśmy mieszkanie od kopalni w tym samym bloku, w którym teraz mieszkam. Pracowałam całe dni. Z Pimokatu odeszłam, byłam kontrolerką w autobusach, obsługiwałam kąpielnię, szyłam buty, brakowałam towar na półkach, w wodociągach robiłam, ludziom ziemniaki kopałam. Pracy się nie bałam. Dzieci chodziły do szkoły, musiały się same sobą zająć. Zaprzyjżniona kucharka gotowała im obiady. Natasza dobrze się uczyła, była grzecznym dzieckiem (trzydzieści lat temu wyjechała z rodziną do Niemiec). Ale syn popadł w alkoholizm. Miał dwanaście lat, jak go pierwszy raz do reanimacji wieźli. Cały był siny, tak się upił. Ledwo przeżył. No i go wciągnęło. Ożenił się z pijaczką, mają córkę, moją ukochaną wnuczkę – ona też wyszła za mąż za pijaka, ale sama alkoholu nie pije. Witalij, mój syn, był sześć razy na odwyku. Nie chcę go tam więcej, bo zawsze się upijał podczas kuracji. Teraz żyje u mnie na klatce schodowej. Materacyk mu tam rzuciłam, jedzenie zanoszę. Do domu nie wpuszczam, bo on

agresywny po wódce. Sąsiadkę z piętra wyżej pijany syn zabił, to ja nie chcę ryzykować.

– Rozwiodła się pani z mężem?

– Gdzie tam! Zabili go w 1978 roku. Pojechał na wypoczynek do kurortu Borowoje, należało się mu to jako górnikowi, i tam się włóczył, pijany, wplątał się w kryminalne sprawy, więc zginął. Milicja mnie tylko zawiadomiła, że jego ciało mordercy spalili w piecu.

Co się dzieje z pamięcią Diny?

Dla Diny Michajłowny nie ma rzeczy niemożliwych. Układa od nowa swoje życiorysy, zalepiając dziury po matce, ojcu i siostrze fragmentami rzeczywistości, które zapożyczają z muzeów, archiwów, filmów dokumentalnych i fabularnych. Nie szkodzi, że wydają się życiami równoległymi, przeważnie niemożliwymi.

Ponad dwadzieścia lat temu, podczas pierwszego spotkania z Jekatieriną Kuzniecowa, Dina Szulkiewicz była przekonana, że trafiła do domu dziecka w Dolince wprost z wagonu towarowego. Mówiła, że miała wtedy najwyżej dwa lata i strzępy wspomnień z podróży. Matki nie pamiętała wcale, przypuszczała tylko, że była Polką i zmarła w transporcie. Teraz opowieść Diny rozrosła się tak bardzo, że musiała przesunąć o kilka lat datę urodzenia, żeby zmieścić w swoim życiu wszystko, co sobie „przypomniała”.

Czy to znaczy, że Dina świadomie kłamie?

Żaden człowiek na świecie nie pamięta pierwszych trzech lat swojego życia. Jednak tylko część ludzkości jest z tym pogodzona.

Wielu ludzi uważa, że w każdej chwili potrafi przywołać zapamiętane przez siebie zdarzenia z okresu niemowlęcego i wczesnodziecięcego¹. Sama jestem skłonna przysiąc, że pamiętam, jak leżę w głębokim wózku i obserwuję żyrandol w pokoju moich rodziców. Nie jest to jednak możliwe, a za brak wspomnień z tamtego okresu odpowiada zjawisko zwane amnezją dziecięcą.

Badacze pamięci potrafią wprawdzie udowodnić, że nawet roczne czy dwuletnie dzieci zapamiętują na pewien czas niektóre wydarzenia, ale później bezpowrotnie tracą do nich dostęp. Musimy pogodzić się z faktem, że to, co rzekomo pamiętamy, ma źródło w fotografiach lub opowieściach krewnych².

Zygmunt Freud uważał, że człowiek nie pamięta najwcześniejszych lat swojego życia, bo nie chce dopuścić do świadomości stłumionych wspomnień związanych głównie z dziecięcą seksualnością i agresją. Pod wpływem psychoanalizy pacjenci „przypominali” sobie po kilkudziesięciu latach, że byli molestowani seksualnie przez najbliższych członków rodziny (podawali przy tym liczne szczegóły, często odwołując się na przykład do rytuałów satanistycznych). W latach dziewięćdziesiątych XX wieku przez Stany Zjednoczone przeszła fala procesów sądowych, w których dorośli po psychoanalizie oskarżali swoich bliskich o molestowanie. Powstała wówczas nawet Fundacja Syndromu Fałszywej Pamięci, która wzięła w obronę niesłusznie oskarżanych³.

Inna z hipotez wyjaśniających amnezję dziecięcą jest związana z niedojrzałością hipokampu – części mózgu odpowiedzialnej przede wszystkim za pamięć długotrwałą i przestrzenną. Niektórzy badacze twierdzą, że mózg dziecka przed trzecim rokiem życia nie zapisuje żadnych wspomnień; inni znów, że owszem, przechowuje wydarzenia z życia, ale chowa je głęboko w podświadomości; kolejni, że rozwój pamięci związany jest dopiero z rozwojem mowy ludzkiej.

Każdy człowiek nosi też w sobie wspomnienia, które nie należą do niego.

Svein Magnussen, profesor psychologii z Norwegii, zawodowo zajmuje się pamięcią. Przez całe dorosłe życie był przekonany, że w okresie młodzieńczym wraz z grupą przyjaciół zepchnął z pomostu do wody zespute auto należące do jednego z nich. Przez trzydzieści lat miał z tego powodu nawet małe wyrzuty sumienia. Bardzo był zdziwiony, gdy spotkany po latach przyjaciel powiedział mu, że nigdy nie utopili samochodu w wodzie, tylko sprzedali na złomowisku⁴. Nawet profesja Magnussena nie uchroniła go przed tak zwanym fałszywym wspomnieniem.

Opowieści ludzi, którzy wierzą, że wydarzyło im się to, co im się nie wydarzyło, gromadzi The False Memory Archive. Stworzył je artysta Alasdair Hopwood na podstawie badań profesorki Elizabeth Loftus z Uniwersytetu Kalifornijskiego⁵. Ktoś pamięta ze szczegółami wycieczkę do kraju, w którym nigdy nie był, ktoś inny – katastrofę samolotu, w której nie uczestniczył, czyjś wnuk pamięta uścisk ukochanej babci, choć zmarła ona przed jego narodzeniem.

Chyba domyślałam się, gdzie Dina Michajłowna „przypomniała” sobie, że jej matka była w łagrze słynną uczoną, genetyczką.

W Dolince, oddalonej od Karagandy o pięćdziesiąt kilometrów, tam gdzie dawniej był łagier, jest teraz zwykła wieś. Ludzie mieszkają w przerobionych na domy barakach, miejscowy sklep i stołówka mieszczą się w dawnych pomieszczeniach dla strażników. W niskim budynku z czerwoną gwiazdą wpisaną

w klasycystyczny tympanon była siedziba dowództwa Karłagu. A teraz jest tam muzeum.

Jedną z sal poświęcono naukowcom, którzy zostali zesłani do łagrów jako wrogowie narodu. Inżynierów zmuszano, by budowali w Karłagu silniki i konstruowali miny, chemicy mieli dostęp do laboratoriów, naukowcy zajmujący się rolnictwem mieli wprowadzać nowe metody uprawy roślin i hodowli zwierząt. W gablotach wiszą fotografie główek kapusty większych od arbuźów, słoneczników o trzymetrowych łodygach, owcy wielkiej jak byk, byka ogromnego jak czołg. Są też i zdjęcia naukowców. Na jednym z nich odnajduję Annę Władimirownę Laninę, pracownicę Wszechzwiązkowego Instytutu Hodowli Zwierząt w Moskwie, która do Dolinki trafiła w 1939 roku. Zatrudniona na stanowisku naczelnego zootechnika, pracowała nad wyhodowaniem nowej rasy bydła. Otrzymała za to nagrodę państwową Stalina.

Dina mogła poznać jej zdjęcie i życiorys, gdy w 2001 roku, jako była osadzona, została zaproszona na otwarcie muzeum Karłagu. Jekatierina Kuzniecowa, która też tam wtedy była, przypuszcza, że może Szulkiewicz szczególnie długo wpatrywała się w zdjęcie Laniny. Do końca uroczystości towarzyszących otwarciu muzeum Dina jednak nie dotrwała.

Jekatierina Kuzniecowa pamięta: – Na placu stali przedstawiciele narodów, które były więzione w łagrach. Ze strony Polski był jakiś minister, ambasador i wojskowy w mundurze, który krojem przypominał nieco wasz przedwojenny mundur oficerski. Dina chciała do nich podejść, trzymała w ręku kopie swoich dokumentów. Zamierzała prosić o pomoc w odnalezieniu rodziców. Zemdlała jednak i zaniecono ją do ambulansu. Powiedziała mi potem, że straciła przytomność z wrażenia na widok wojskowego, który przypominał jej ojca – polskiego oficera.

Jak Dina szukała rodziny, a z nią inni

Kiedy po upadku Związku Radzieckiego powoli otwierały się archiwa NKWD i KGB, Dina Szulkiewicz kupiła bilet do Moskwy. Chciała odnaleźć w dokumentach ślad rodziców. Zemdląca w drodze do jednego z archiwów. Pogotowie zabrało ją do szpitala, a gdy doszła do siebie, wróciła prosto do Karagandy.

Jekatierina Kuzniecowa ma swoją teorię na ten temat: – Dina Michajłowna mdleje w decydujących momentach, bo boi się dowiedzieć prawdy o sobie.

Wtedy, gdy Dina była przekonana najbardziej o swojej polskości, szukała bratniej duszy w katolickim klasztorze sióstr karmelitanek w Karagandzie. Przekonywała je, że trzyma w domu, w szufladzie, rodzinne sztuce rodowe.

Wówczas, gdy trzy litery Евр. w dokumencie z domu dziecka odczytała jako Еврей, nawiązała kontakt z kazachskimi Żydami.

– A oni mnie przygarnęli od razu jak swoją – mówi Dina Szulkiewicz. – „Babuszko, my panią zabierzemy do Izraela – mówili – bilet darmowy damy, mieszkanie damy, tylko jedź do ojczyzny”. Ale córka, która mieszka w Niemczech, kategorycznie mi zakazała. Bała się, że jej to zaszkodzi, bo Niemcy czegoś strasznie nie lubią Żydów.

Reporterka Jekatierina Kuzniecowa szukała bezskutecznie śladów rodziny Szulkiewiczów w karagandyjskich archiwach łagru i domu dziecka.

W zapadniętej piwnicy jednej z dawnych instytucji łagiernych czołgała się w poszukiwaniu list zarejestrowanych dzieci. Udało jej się wydobyć stamtąd księgę, w której Dinie przypisano 1940 jako rok urodzenia.

Dina pamiętała, że w domu dziecka w Kompaniejsku przyjaźniła się z Jadwigą Podhorodecką, która trafiła tam także z Dolinki. Poprosiła dziennikarkę o odnalezienie przyjaciółki, którą widziała po raz ostatni w 1960 roku. Miała nadzieję, że Jadzia może wiedzieć coś o jej matce.

Kuzniecowa podjęła się zadania. W gazecie „Industrialna Karaganda” zamieściła artykuł o Podhorodeckiej. Zgłosiło się kilka osób gotowych pomóc w poszukiwaniach.

Po latach dziennikarka wspominała: „Któregoś dnia [Dina] zadzwoniła do mnie: – Jadę do Moskwy, już kupiłam bilet. Do [telewizyjnego] programu »Czekaj na mnie«, do redaktora Kwaszy. On mi pomoże odnaleźć Jadzię. I pojechała. I dostała się do programu [...] Los Diny Michajłowny, która dożyła sześćdziesięciu lat, nie wiedząc, kim jest [...], poruszył do żywego moich kolegów dziennikarzy w Moskwie. I zaczęli szukać. [...] A Jadzia Podhorodecka znalazła się nie w Polsce, ale w Rosji. W rejonie omskim. Znalazła się, żeby więcej się nie zgubić. Godzinę po moim telefonie do niej zadzwoniła do Diny Szulkiewicz”⁶.

Jadwiga Podhorodecka także nie знаła swojej matki i – podobnie jak Dina – szukała jej przez całe życie. Miała więcej szczęścia niż przyjaciółka – udało jej się dowiedzieć, że w 1940 roku w łagrze Dolinka urodziła ją pochodząca z Syberii robotnica tartaczna Bronisława Anastazjewna Podhorodecka. Kobieta od 1937 roku odbywała w Karłagu dziesięcioletni wyrok za podżeganie współpracowników do kontrrewolucji. Jadwiga odnalazła swoją matkę w kwietniu 1995 roku. Miesiąc później Bronisława zmarła. Nie zdążyły się spotkać.

Jekatierina Kuzniecowa: – Jadzia nie pomogła Dinie, nic nie wiedziała o jej matce. Pamiętała tylko, że Szulkiewicz na początku pobytu

w kompaniejskim domu dziecka nie umiała dobrze języka rosyjskiego. Zdaniem Podhorodeckiej Dina posługiwała się polskim.

W 2014 roku Dina Szulkiewicz ponownie wystąpiła do departamentu edukacji regionu Karagandy o wydanie jej kopii dokumentu z domu dziecka w Kompaniejsku. Różnił się od pisma otrzymanego osiem lat wcześniej z tego samego urzędu. W rubryce, w której wówczas wpisano narodowość żydowską lub europejską, teraz była narodowość rosyjska. Najbardziej jednak Dinę zdziwiło zdanie: „Dodatkowo informujemy, że w spisie wychowanków domu dziecka w Kompaniejsku [...] znajduje się Szulkiewicz Nona. Rok urodzenia: 1942, miejsce urodzenia: nieznane, narodowość: rosyjska, data przybycia do domu dziecka: 11.11.1947, skąd przybyła: tymczasowy dom dziecka MSW”⁷.

Dina rozpoczęła poszukiwania siostry, wskazując, że dziewczynka mogła mieć jednak na imię Anna. Po pomoc zwróciła się do Akimatu – karagandyjskiego samorządu. Dwa lata później z pisma, które dostała z urzędu, dowiedziała się, że mimo poszukiwań w kilkunastu archiwach Kazachstanu i Rosji pracownicy Akimatu nie znaleźli nic poza jedną informacją: „Szulkiewicz Annę z domu dziecka 12.05.1948 roku zabrała matka”⁸.

Dina Szulkiewicz wciąż poszukuje swojej siostry.

Jak szukałam rodziny Diny

Wyniki DNA Diny Michajłowny Szulkiewicz przychodzą po kilku tygodniach. Niestety, nie przynoszą jednoznacznego rozwiązania na temat jej narodowości. Z danych wynika, że płynie w niej odpowiednio krew: rosyjska, polska, ukraińska i białoruska. Dina ma też mały procent (1,3) genów Żydów aszkenazyjskich.

Jan Eryk Grzeszkowiak, genealog genetyczny, mówi, że pochodzenie Diny najpewniej można określić słowem „kresowe”.

Mapa świata, na której zaznaczono zielonym kolorem rejony, z których najprawdopodobniej wywodzą się przodkowie kobiety, nie uwzględnia jednak zaborów ani przedwojennych granic. Jest współczesna.

Więcej nadziei daje mapa, na której widnieją ludzie, którzy dzielą z Diną choćby maleńki fragment DNA. Jest ich tysiąc pięciuset, żyją na całym globie (poza Australią) – najwięcej w Stanach Zjednoczonych. Dziadkowie stu siedemdziesięciu jeden osób ze wspólnej z Diną mapy urodzili się w Polsce, a stu studziestu siedmiu w Rosji. Nikt z nich nie nosi jednak nazwiska Szulkiewicz. Niemal wszyscy są bardzo odległymi krewnymi. Dina miała z nimi wspólnego przodka pewnie kilkaset lat temu.

Tylko jeden człowiek budzi nadzieję. Dzieli z Diną Szulkiewicz prawie dwa procent wspólnego DNA. To Amerykanin Robert Schluter, opisany jako „2nd Cousin, Once Removed”.

Jan Eryk Grzeszkowiak: – Oznacza to pokrewieństwo na poziomie siostrzeńca przyciotecznego, czyli pradziadek pani Diny byłby prawdopodobnie prapradziadkiem Roberta. To jest naprawdę bardzo bliskie pokrewieństwo. Osoby ze wschodnioeuropejskim pochodzeniem bardzo rzadko znajdują w ten sposób tak bliskiego krewnego.

Przy nazwisku Roberta Schlutera jest adres e-mail.

„Drogi Robercie. Nazywam się Magda Grzebałkowska i jestem reporterką z Polski. W imieniu Diny Szulkiewicz, która nie wie nic o swoim pochodzeniu, szukam jej rodziny. Okazuje się, że być może mieliście wspólnego krewnego. Może mógłbyś pomóc? Czy wiesz cokolwiek o swoich przodkach? Serdecznie pozdrawiam, Magda”.

„Cześć Magda. Jeśli byli to przodkowie ze strony mojej mamy, to chodzi pewnie o Juliana i Julię Szulakevich. Przybyli do Ameryki z Rosji lub Polski. Proszę, pozdrów serdecznie Dinę ode mnie! Robert”.

„Drogi Robercie, nawet nie wiesz, jak bardzo jestem szczęśliwa, że być może znalazłam krewnego Diny. Prawdopodobnie jej rodzice też nosili nazwisko Szulakewicz lub Szulakiewicz, ale w Kazachstanie litera »a« wypadła spomiędzy »l« i »k«. Czy posiadasz jakiegokolwiek dokumenty rodzinne? Magda”.

„Magdo, bardzo mi przykro, ale prawie nic się nie zachowało. Postaram się odszukać zdjęcie pradziadków. Narysowałem dla ciebie drzewo genealogiczne Szulakiewiczów (w Ameryce zmienili nazwisko na Schulakevich). Julian i Julia wyemigrowali na początku XX wieku. Nie wiemy, skąd przybyli ani czym się zajmowali w starym kraju. Tu urodziło im się dwoje dzieci – John i Helen. Ja jestem wnukiem Helen. Legenda rodzinna mówi o dziewczynce, pierwszej córce Szulakiewiczów, która z jakiegoś powodu została w Europie. Robert”.

„Ta zaginiona córka niestety nie może być babcią Diny. Łączy was dalsze pokrewieństwo. W załączniku przesyłam fotografie Diny Michajłowny Szulkiewicz. Proszę, przyjrzyj się im. Czy widzisz jakieś podobieństwo do waszej rodziny? Ściskam, Magda”.

„Wow! Wygląda jak mieszanek mojej babci z matką. Podobna jest też do ciotki. Tak, ona jest naszą krewną!”.

Koślawe drzewo

Genealog, któremu przekazuję wszystko, co wiem o Dinie, i proszę go o pomoc w odnalezieniu rodziny Szulkiewiczów/Szulakiewiczów, pisze do mnie: „Ciekawa historia, ale z mojego doświadczenia genealogicznego wynika, że będzie bardzo ciężko coś znaleźć”. Nie podejmuje się poszukiwań.

W grudniu 2020 roku w „Dużym Formacie” publikuję pierwszą wersję reportażu o Dinie i proszę, żeby napisał do mnie każdy, kto mógłby wiedzieć cokolwiek o jej rodzinie. Żaden z krewnych się jednak nie zgłasza. Jedna z czytelniczek radzi mi zajrzeć na stronę www.familysearch.org, która jest własnością Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego (jego wyznawcy zwani są potocznie mormonami). Kościół od wielu lat gromadzi bazę danych o ludziach na całym świecie, współpracując z dziesięcioma tysiącami archiwów w ponad stu krajach (tak podają na swojej stronie). Od 2014 roku mormoni udostępniają bezpłatnie swoje zbiory w internecie.

Loguję się na ich stronie i w wyszukiwarce wpisuję różne wersje nazwiska Szulakiewicz (Szulakewich, Schulakevich, Szulkiewicz, Schulakewich). Otrzymuję kilka wyników.

Najważniejszy z nich to lista pasażerów imigrantów okrętu „Pretoria”, który 12 września 1913 roku wypłynął z portu w Hamburgu i czternaście dni później dotarł do portu w Nowym Jorku⁹. Na drugiej pozycji widnieje Julian Schulakewicz (urzędnik mylnie wpisał nazwisko). Mężczyzna jest Polakiem, ma dwadzieścia trzy lata, bez zawodu (określa się jako „pomocnik”), pochodzi z Rosji z miejscowości Dobenka. Najbliższym krewnym, który pozostał w kraju pochodzenia, jest jego ojciec – Iwan Schulakewicz.

Inny wynik prowadzi mnie do informacji o śmierci Julii Schulakevich w 1927 roku, zamieszkałej na Manhattanie, żony Juliusa. Tu znów urzędnik musiał pomylić imię, co zdarzało się chyba nągminnie, bo w spisie ludności Nowego Jorku z 1930 roku znajduję informację o stolarzu, wdowcu Johnie Schulakevichu, ojcu nieletnich Heleny i Johna, urodzonym w Polsce. Z kolei w akcie ślubu Helen (1933 rok) nazwisko jej rodziców – Julii i Juliana – wpisano jako Schulakevitch.

Sądzę, że zgromadzone informacje dotyczą jednej i tej samej osoby – Juliana Szulakewicza z miejscowości Dubienka nad Bugiem,

która przed pierwszą wojną światową znajdowała się w guberni lubelskiej w zaborze rosyjskim. Stąd też być może zruszczone imię jego ojca – Jana.

Na ostatniej stronie kalendarza rysuję nieco koślawe drzewo genealogiczne Szulakiewiczów ze strony Roberta Schlutera. Liczę pokolenia. Jeśli Iwan/Jan Szulakiewicz był prapradziadkiem Roberta, to zgodnie z tym, co powiedział mi genealog genetyczny Jan Eryk Grzeszkowiak, byłby on pradziadkiem Diny. Jego datę urodzin określiam w przybliżeniu na lata 1860-1870.

Wystarczyłoby teraz dotrzeć do dokumentów związanych z Iwanem/Janem i prześledzić losy jego pozostałych dzieci, wnuków i prawnuków. Nie jest to niemożliwe.

Za radą czytelniczki zaglądam na stronę www.wolyn-metryki.pl. Nazwisko „Szulakiewicz” pojawia tam się dwadzieścia trzy razy, ale ani razu nie występuje łącznie z imieniem Iwan, Jan ani Julian. Nie ma też wyniku związanego z Dubienką, są jednak Szulakiewiczowie z Lubomla i Bystraków, pobliskich wsi, dziś znajdujących się na Ukrainie.

Ostatnią deską ratunku jest Serwis Polskiego Towarzystwa Genealogicznego – www.genealodzy.pl, z którego często korzystam podczas reporterskich poszukiwań. Pasjonaci genealogii gromadzą w nim niezliczone ilości dokumentów i danych dotyczących ludzi żyjących na terenach Polski (także przedwojennej i z czasów zaborów).

Znów wpisuję do wyszukiwarki „Iwan Szulakiewicz” i dodaję miejscowość Dubienka – niestety żadnych rezultatów.

Gdy jednak zmieniam imię na „Jan” – mam jedno trafienie!

Jan Szulakiewicz – urodzony w Dubience w 1863 roku, zarejestrowany w parafii rzymskokatolickiej.

Jeśli właśnie trafiłam na pradziadka Diny, wciąż jest szansa, by rozwikłać tajemnicę jej pochodzenia. Więcej informacji w internecie już nie znajdę, trzeba osobiście pojechać do archiwów. Niestety, czas mi nie sprzyja. Gdy kończę opisywać historię Diny, jest kwiecień 2021 roku i od trzynastu miesięcy dostęp do archiwów jest mocno ograniczony lub w ogóle niemożliwy. Trwa pandemia koronawirusa. Jeśli kiedykolwiek uda się rozwiązać tę zagadkę, to jeszcze nie dziś.

Marszałek

Żegnam się z Diną Szulkiewicz serdecznie. Wypiłam u niej dwa kubki mocnej herbaty, objadłam się kruchymi ciasteczkami. Zabieram z sobą pomarańczowego plastikowego Czeburaszkę. Kiedy zachwyciłam się zabawką, Dina zdjęła ją z kredensu, splunęła na nią, żeby zetrzeć kurz i wręczyła mi w prezencie.

Teraz wychodzimy wspólnie na klatkę schodową. Dina powolutku, wsparta na lasce, zsuwa się schodek po schodku. Mimo moich protestów zamierza odprowadzić mnie przed blok i poczekać ze mną na taksówkę. Widzę, że chciałaby jeszcze mnie o coś zapytać.

– Mówcie, Dino Michajłowna, śmiało – zachęcam.

– Dlaczegoś kojarzę słowo Rokossowski – Dina Szulkiewiczowa wyrzuca z siebie.

– Marszałek? – pytam.

– O, widzi pani – cieszy się. – Pamiętam je z dzieciństwa w Leningradzie, a nie wiedziałam, co znaczy.

– Ale pani nie jest córką Konstantego Rokossowskiego!

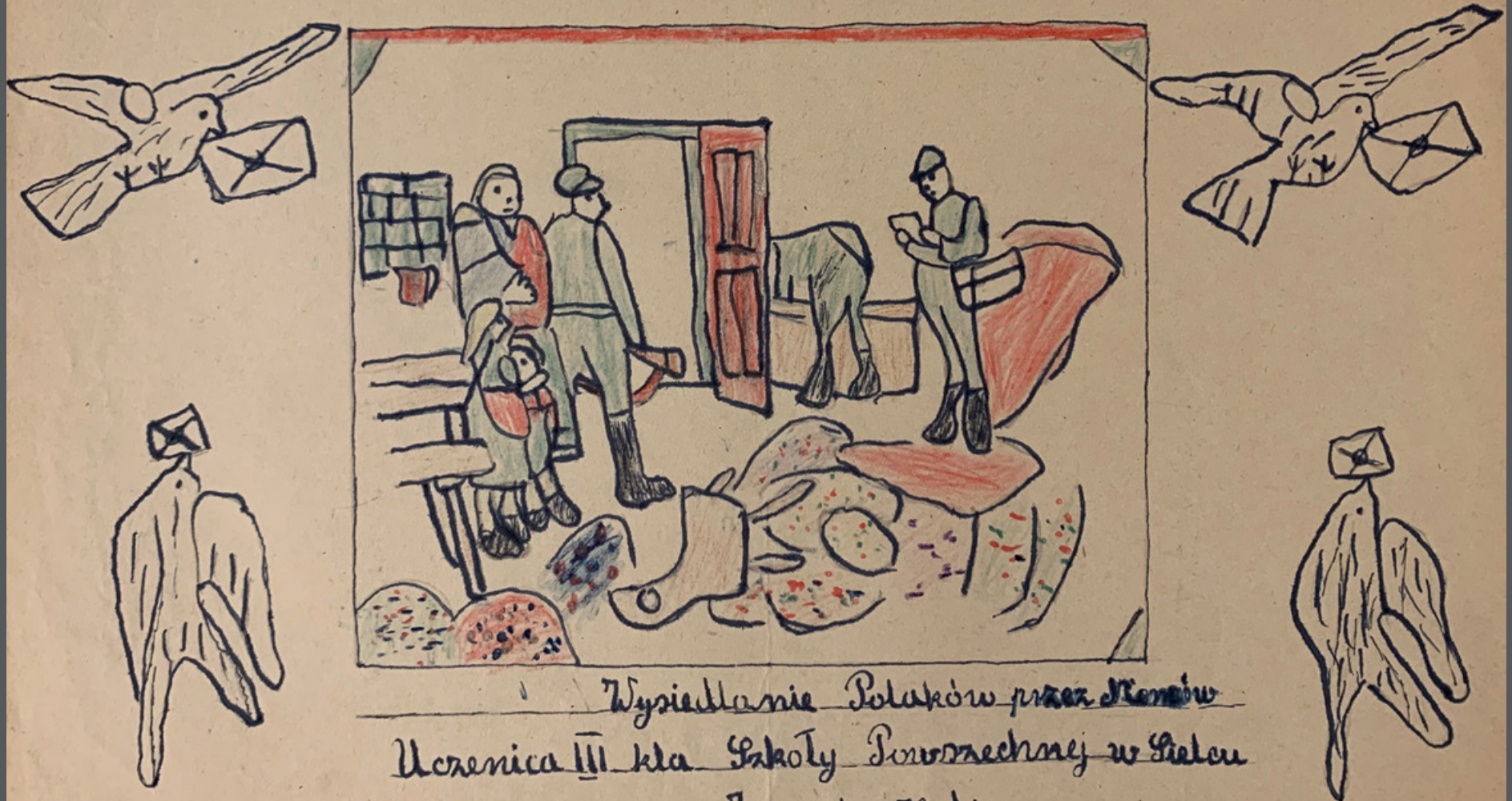
– Nie wiem, nie wiem – patrzy na mnie zaczepnie.

– Jego życie zostało opisane, nie ma tajemnic – próbuję ją przekonać.

Uśmiecha się: – No to może przychodził z wizytą do mojego tatusia i tak go zapamiętałam?

Bordowy opel podjeżdża pod blok. Ściskamy się na pożeganie, wsiadam i odjeżdżam. W bocznym lusterku widzę coraz mniejszą sylwetkę Diny w fartuchu i białym berecie wspartej o łaskę.

4



Wysiedlanie Polaków przez Niemców
Uczelnica III kła Szkoły Poworskiej w Gielcu
Juworska Kabinna.

CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII

MISCHLING

Mały chłopiec stoi przed lustrem w przedpokoju i w sekrecie przymierza czapkę oficerską przyrodniego brata. Słychać zegar tykający w salonie i przyciszoną rozmowę ojca z najstarszym synem, stukają filiżanki odstawiane na spodki. Matka chłopca siedzi w kuchni, pewnie coś czyta albo gotuje.

Zastanawiam się, czy nie powinnam jednak zacząć tej historii od innej sceny. Tej, w której chłopiec targa ciężką walizkę swojej żydowskiej nauczycielki na miejsce deportacji.

Albo od momentu, gdy ktoś pluje na niego na ulicy.

Może od pobytu w radzieckim obozie koncentracyjnym?

Od sceny grozy, która na chwilę odbierze czytelnikowi spokój – tych w jego życiu nie zabraknie.

Nie potrafię jednak wyrzucić z głowy obrazu chłopca przed lustrem.

Jest więc jesień 1941 roku w Königsbergu. Chłopiec nazywa się Michael i ma dziesięć lat. Jego przyrodni brat to Peter Wieck, który jest dumnym nazistą, oficerem Wehrmachtu, bohaterem – odniósł rany na froncie wschodnim. Bierze właśnie łyk herbaty i opowiada ojcu, jak pewnego dnia polali benzyną i podpalili żywego Rosjanina, z piersią pełną medali.

Ojcem półbraci jest skrzypek Kurt Wieck, protestant z Berlina. Mama dziesięciolatka to Hedwiga Wieck-Hulisch, altwiolistka. Jest königsberską Żydówką, wnuczką inżyniera, prawniczką rabina.

Peter nie przywitał się z nią, gdy przyszedł w odwiedziny do ojca. Nie skłonił się, nie podał ręki, nie kiwnął głową. Zignorował też Michaela. Odłożył tylko czapkę w przedpokoju i wszedł za Kurtem do salonu.

A chłopiec zakradł się do korytarza, założył czapkę oficerską brata i teraz długo patrzy w lustro.

Nikogo to nie obchodzi

– Kogo pan zobaczył wtedy w odbiciu? Żyda czy Niemca? – pytam Michaela Wiecka pewnego zimowego popołudnia 2019 roku.

– Nie sądzę, żebym umiał wówczas oddzielić moją niemiecność od żydowskości – odpowiada i głaszcze po łbie dużego berneńczyka.

– A teraz kim pan jest?

– Zawsze mówię, że Żydem.

– Przecież jesteś Niemcem – mówi jego żona, Miriam.

– Oczywiście – Michael drapie psa za uchem. – Ale kiedy sam sobie stawiam to pytanie, za każdym razem odpowiadam, że Żydem. Zaraz jednak zastanawiam się, jaka jest naprawdę różnica



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

między Niemcem a Żydem. I dochodzę do wniosku, że nikogo to nie obchodzi.

– Sam pan do tego doszedł?

– Nie korzystałem z pomocy psychoterapeuty, jeśli o to pani pyta – mówi. – Nigdy nie oczekiwałem, że ktokolwiek zrozumie, co przeżyłem jako dziecko.

ŻYD

Orzeł czy reszka

Latem 1928 roku Hedwiga spogląda na niemowlę płci męskiej, które niedawno urodziła, i próbuje wybrać mu przyszłość. Ma dwie możliwości, jak w rzucie monetą.

Gdyby wypadł orzeł, to jej syn, któremu nadała imię Michael, będzie żydem. Religijność Hedwigi jest dość powierzchowna, jednak w każdy piątek stawia się u ciotki Rebekki na szabatowej kolacji, a podczas święta Chanuki pali świece.

Jeśli wypadnie reszka, to Michael zostanie chrześcijaninem, po swoim ojcu. Kurt Wieck pochodzi z protestanckiej rodziny spokrewnionej z pianistką Clarą Schumann. Jego berlińscy krewni wciąż ubolewają, że rozwiódł się z poprzednią, chrześcijańską żoną, zostawił ją z dwojgiem dzieci, osiadł w Prusach Wschodnich i ożenił się z Żydówką (rodzina Hedwigi nie sprzeciwiała się jej małżeństwu z gojem). Kurt jest wprawdzie obojętny na wszelkie religie, ale Hedwiga dba o to, żeby w każde Boże Narodzenie w ich domu stała choinka, a pod nią leżały podarki dla dzieci.

Michael Wieck wspomina: – W końcu mama poszła po radę do rabina Lewina, żeby zapytać o moją przynależność religijną. Powiedział jej, że dziecko urodzone przez Żydówkę jest żydem.

Zostałem więc obrzezany i wraz ze starszą o trzy lata siostrą Miriam zapisany do żydowskiej gminy wyznaniowej.

Niezdarny Żyd Icek

Mija siedem lat i rodzice posyłają Michaela do szkoły podstawowej, w której uczą się sami chłopcy. Jest 1935 rok. W klasie nad tablicą wisi portret mężczyzny w średnim wieku z małym wąsikiem. Wychowawczyni, frau Koske, narodowa socjalistka, każdego ranka przed rozpoczęciem lekcji gromko wykrzykuje nazwisko tego człowieka: – *Heil Hitler!*

Chłopcy wstają, wyciągają w przód prawe ręce i naśladują nauczycielkę.

Ona wówczas staje w lekkim rozkroku i przygląda się klasie.

– Wieck! – wskazuje na Michaela. – Jeszcze raz!

– *Heil Hitler!* – chłopiec stara się wypaść jak najlepiej.

– Ofermo! – krzyczy frau Koske. – Za cicho! Jeszcze raz!

Michael wykrzykuje nazwisko Führera jeszcze kilka razy, zanim wolno będzie mu usiąść. Koledzy pękają ze śmiechu.

Wieck jest w klasie jedynym dzieckiem wyznania mojżeszowego – Hedwiga musiała je podać podczas wypełniania uczniowskiego kwestionariusza.

Frau Koske podczas lekcji nie przegapia żadnej okazji do antysemitycznych wypowiedzi. Zna mnóstwo dowcipów o niezdarnym Żydzie Icku – są bardzo zabawne, więc Michael też się z nich śmieje. Podobnie jak jego najlepszy przyjaciel Klaus, który mieszka w tej samej kamienicy przy Steinmetzstrasse 26 i siedzi z Michaeliem w jednej ławce. Klaus należy do Jungvolku, nosi mundurek i bierze udział w nazistowskich uroczystościach. Dzieli się z kolegą zdobytą wiedzą, jak rozpoznać Żyda. Nie widzi go jednak w Michaelu.

Wieck nienawidzi szkoły, ale nie wiąże swojego losu z pochodzeniem i sytuacją polityczną w kraju. Po latach napisze: „Tyle

samo upokorzeń i rozczarowań spotyka dziecko z zezem czy podobną niepełnosprawnością”¹.

Hedwidze i Kurtowi nie podoba się postępowanie nauczycielki, więc gdy ich syn będzie w drugiej klasie, przeniosą go do prywatnej szkoły żydowskiej.

Schemat podziału rasowego

Trwa rok 1935.

Najpierw Kurt Wieck traci założone przez siebie seminarium dla nauczycielek muzyki. Potem otrzymuje zakaz prowadzenia Königsberskiego Kwartetu Smyczkowego, w którym jego Hedwiga jest altowiolistką, a on sam – drugim skrzypkiem. Z trudem znajduje pracę w orkiestrze opery königsberskiej.

Sytuacja Kurta nie stanowi wyjątku.

We wrześniu w Norymberdze ogłoszono ścisły i skomplikowany schemat podziału rasowego ludzi, w zależności od liczby żydowskich dziadków. Niemieccy Żydzi tracą obywatelstwo Rzeszy. Każdy Niemiec, który związał się małżeństwem z Żydówką lub Żydem, traci pracę i przywileje.

Michael Wieck – syn Niemca i Żydówki – to od tej pory *Mischling* (mieszaniec), Żyd półkrwi pierwszego stopnia.

Obywatele oddani Hitlerowi, których w kraju jest coraz więcej, bojkotują żydowskie sklepy, przychodnie, banki i kancelarie prawnicze. Żydom pełnej krwi zabroniono zajmować stanowiska rządowe i pełnić służbę wojskową.

Profesor Victor Klemperer, filolog, romanista z Drezna, niemiecki Żyd urodzony w Prusach, jest mężem Niemki, pianistki Ewy Schlemmer. Para nie ma dzieci. Choć w 1912 roku Klemperer przyjął chrzest w kościele ewangelickim, a w czasie Wielkiej Wojny walczył w niemieckich szeregach jako ochotnik, dla nazistów liczy się tylko jego pochodzenie. Traci katedrę uniwersytecką

i prawo wykładania. Jeszcze zanim ustawy norymberskie wchodziły w życie, w swoim dzienniku zapisuje: „21 lipca 1935, niedziela. Nagonka na Żydów i atmosfera pogromu nasila się z każdym dniem. »Der Stürmer«, przemówienia Goebbelsa (»wytępić jak pchły i pluskwy!«), akty przemocy w Berlinie, Wrocławiu, wczoraj także tu [...] Całkiem poważnie liczę się z możliwością, że kiedyś podpalą mi domek i zatłuką mnie na śmierć”².

Zakazane zostały małżeństwa Aryjczyków z nie-Aryjczykami oraz stosunki seksualne między nimi. Niemcy, którzy – tak jak Kurt Wieck lub Eva Schlemmer – zawarli wcześniej małżeństwo z Żydami, będą mogli teraz się rozwieść bez żadnych konsekwencji. Nowe prawo wymaze z dokumentów ich małżeństwa jako niebyłe. Naziści przewidują, że z czasem wprowadzą przymusowe rozwody dla opornych.

W Niemczech żyje wówczas niemal sześćdziesiąt pięć i pół miliona ludzi, w tym zaledwie pięćset tysięcy Żydów (odpowiednio: w trzydziestopięciomilionowej Polsce to prawie trzy i pół miliona). W samym Königsbergu Żydów jest około trzech tysięcy, czyli jeden procent ogólnej liczby mieszkańców stolicy Prus Wschodnich³.

Duma i lęk

Michael Wieck pisze we wspomnieniach: „To tylko pozorna sprzeczność, że jednocześnie lata trzydzieste były intensywnym, pięknym, obfitym w przeżycia czasem. Dziecięcy świat ma dużą autonomię”⁴.

Jedenastoletni Michael żyje w dwóch rzeczywistościach.

Jako Niemiec zawiesza na ścianie swojego pokoju mapę Europy. Codziennie wybiera z pudełeczka szpilki z kolorowymi łebkami i oznacza nimi kolejne miasta zdobyte przez Trzecią Rzeszę. Jest już jesień roku 1939, na świecie trwa wojna, armia Hitlera jest niezwyciężona. Chłopca przepelnia duma. Po szkole wraz z Klausem odtwarzają na dywanie ruchy wojsk za pomocą ołowianych żołnierzyków.

Jako Żyd działa w sekcji lekkoatletycznej żydowskiego towarzystwa sportowego Bar Kochba i lubi lekcje języka hebrajskiego. Na ulicy mija napisy wymalowane na ścianach domów: „Zdychaj, Żydzie” (we wrześniu dołączyły do nich nowe hasła o „brudnych Polakach”). Tak jak wszyscy Żydzi w Niemczech Michael otrzymał obowiązkowe drugie imię – Izrael. Wszystkim kobietom wpisano do paszportów drugie imię Sara.

Wspomina: – Mój żydowski świat się kurczył. Co tydzień na apelu nauczyciele odczytywali listę uczniów, którzy opuścili Königsberg. Wyjeżdżający kolega zostawił mi cztery skrzynki klocków, śrub i nakrętek. Bawiłem się nimi z Klausem. Kraj opuściła też moja siostra Miriam. W ramach Kindertransportów – akcji ratowania żydowskich dzieci z Niemiec i Austrii, Wolnego Miasta Gdańska, Czechosłowacji i Polski – wyjechała do szkockiej szkoły z internatem. Mieliśmy się spotkać dopiero po dziesięciu latach.

Dopóki było można, Żydzi emigrowali z Niemiec, choć z dużymi trudnościami ze strony urzędów. Krewni ojca w Szwecji zapraszali, żebyśmy przyjechali. Ale on miał już sześćdziesiąt lat i bał się zaczynać życie w nowym miejscu. Zdecydował, że zostaniemy w Königsbergu. Być może żałował tego później. Po wybuchu wojny wyjazdy stały się niemożliwe.

Przerażenie w oczach ojca

Ojciec zagląda do pokoju syna przez szparę w drzwiach. Jest rano. Chłopiec w nawiniętych na ramiona modlitewnych rzemionach (tefilin), z głową nakrytą tałasem, modli się przed ścianą.

W lipcu 1941 roku Michael skończy trzynaście lat i pierwszego dnia po urodzinach odbędzie się uroczystość jego bar micwy. Wprawdzie synagoga, do której Wieckowie uczęszczali, została spalona jeszcze podczas „nocy kryształowej”, ale druga – Adass Jisroel, która stoi przy Seilstrasse – wciąż jest czynna.

Michael pilnie uczy się hebrajskiego, spędza godziny nad Biblią i prowadzi długie rozmowy z herr Benjaminem, swoim duchowym przewodnikiem. Herr Benjamin wierzy, że tylko ściśle przestrzeganie reguł ortodoksyjnego życia skłoni Boga do ocalenia go od śmierci. Michael także stara się postępować zgodnie z zasadami, jest to jednak trudne. Hedwiga nie prowadzi koszernej kuchni i za nic ma religijne reguły, które na przykład nie pozwalają jeździć w piątki tramwajami.

Michael napisze po latach: „Dla rodziców stałem się kimś obcym, do dziś pamiętam przerażenie w oczach ojca, który zastał mnie przy porannej modlitwie. Przykro mi było, gdy zobaczyłem, jak się wtedy wzdrygnął”⁵.

W dniu bar micwy w synagodze Michaelowi towarzyszy tylko matka. Ojciec poszedł na próbę orkiestry.

Michael Wieck: „W czasie gdy odbywała się moja bar micwa Göring zlecił Heydrichowi przygotowanie »merytorycznego i rzeczowego rozwiązania kwestii żydowskiej« na obszarach wpływów niemieckich w Europie. Zaledwie kilka tygodni później w Chełmie koło Poznania oraz w Auschwitz zaczęto wypróbowywać komory gazowe, a w masakrze Żydów w Babim Jarze pod Kijowem zamordowano trzydzieści cztery tysiące osób”⁶.

Peter Wieck, przyrodni brat Michaela, walczy na froncie wschodnim. Tego samego lata, gdy jego żydowski półbrat uroczystie obchodzi swoją bar micwę, on polewa benzyną żywego Rosjanina z piersią pełną medali.

Mechanizmy obronne

– Zachowałem ją – starszy mężczyzna z głową w siwej chmurze włosów podaje mi kawałek nieco postrzępionej tkaniny w kolorze intensywnej żółci, z nadrukowaną gwiazdą Dawida i słowem *Jude* wpisanym w środek. Wyprasowana, bez najmniejszej plamki, jakby kupiona wczoraj. Tylko czarne nitki pochodzące z wyprucia



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

świadczą, że była kiedyś przszyta do ciemnego płaszcza lub kurtki. W gminie żydowskiej kosztowała dziesięć fenigów za sztukę. Ile sztuk zamówiła Hedwiga Wieck, tego nie wiadomo, ocalała jedna. Od października 1941 roku gwiazdę musiał nosić w Rzeszy każdy, kogo uznano za Żyda.

– Wołały za mną dzieci, raz dostałem cios w tył głowy od nieznajomego, kilka razy jacyś mężczyźni napluli na mnie – mówi Michael. – Nieustannie zastanawiałem się, jak zareaguje mijający mnie człowiek. Wypracowałem mechanizmy obronne: przechodziłem na drugą stronę ulicy, żeby ominąć grupę wyrostków, drapałem się po nosie lub podnosiłem wysoko szkolną teczkę, żeby zasłonić gwiazdę. Raz ktoś zepchnął mnie z chodnika, wołając, że brudny Żyd powinien iść ryszotkiem. Zacząłem jeździć po mieście rowerem, co pozwalało uniknąć konfrontacji.

Codziennosc

Wieckowie udają, że nie ma wojny.

Hedwiga przestaje wychodzić z domu. Ćwiczy grę na skrzypcach.

Kurt całymi dniami uczy się języka chińskiego, pochłania go konfucjanizm. Dochodzi w swoich rozważaniach do wniosku, że człowiek znajdzie sprawiedliwość dopiero po śmierci. Michaela drażnią takie mądrości, uważa je za wygodnictwo. Kłóć się. Uspokaja ich dopiero Hedwiga, której dewiza na wszelkie niepokoje brzmi: „Jakoś to będzie”.

Ojciec nie bierze udziału w życiu domowym rodziny. Często wychodzi do opery i teatru. Ponieważ Żydów się tam nie wpuszcza, zaprasza znajome Niemki. Ćwiczy grę na skrzypcach.

Michael wraca ze szkoły, odrabia lekcje, a potem pod okiem matki również ćwiczy grę na skrzypcach. Staje wówczas przy uchylonym oknie w nadziei, że usłyszy go Ute, córka sąsiadów z naprzeciwka.

Wojna jednak nie zamierza udawać, że Wieckowie nie istnieją.

Hedwiga dostaje wezwanie do przymusowej pracy w fabryce chemicznej Gamm & Sohn.

Kurt znów traci pracę i nie może znaleźć już żadnej innej.

Wszystko by się zmieniło, gdyby rzucił Hedwigę. Tak jak Ernst Jahn, lekarz, który rozstał się ze swoją żoną Lilli, także lekarką, zasymilowaną Żydówką. Oboje mają pięcioro dzieci. Lilli, pozbawiona „ochrony” niemieckiego męża, trafi do Auschwitz, gdzie umrze w 1944 roku.

Żydowska szkoła Michaela nadal działa, jednak coraz mniej w niej nauki.

Na polecenie Gestapo Michael i jego koledzy odbierają spod wskazanych adresów zakazane Żydom futra, rowery, radioodbiorniki, wyroby wełniane, narty i zwierzęta domowe.

Michael Wieck: „Podczas jednej z takich zbiórek trafiłem do doktora Kleina, mojego wieloletniego lekarza. [...] Zabrałem mu ukochanego kanarka i dostarczyłem do ogrodu zoologicznego, a tam po prostu wypuszczono go z klatki”⁷.

Popołudnia spędza w kolejkach do sklepów przeznaczonych tylko dla Żydów, zdobywa opał albo pomaga matce robić pranie. Codziennie wieczorem, mimo zmęczenia, ćwiczy grę na skrzypcach, Hedwiga akompaniuje mu na fortepianie.

Matka wypisuje Michaela ze szkoły wiosną 1942 roku. Chłopiec zaczyna szukać pracy. Kilka miesięcy później Rzesza zlikwiduje wszystkie żydowskie szkoły. Od tej pory każdy Żyd, który ukończył czternaście lat, będzie musiał pracować.

Deportacja

Jest czerwiec 1942 roku.

Michael Wieck, w letnim ubraniu z naszytą żółtą gwiazdą, idzie w tłumie poganianym przez Gestapo w stronę königsberskiego dworca. Widzi kobiety, mężczyzn i dzieci, jak ciągną za sobą wózki przeładowane bagażami i odruchowo poprawiają zsuwające się z pleców toboły. Zauważa, że niektórzy przez rączki walizek przewlekli kije, żeby nieść bagaże we dwoje. On sam niesie walizkę fräulein Rosy Wolff, nauczycielki niemieckiego, którą spotkał tu przypadkiem. Panna Wolff musiała chyba spakować na nową drogę życia wszystko, co posiadała, bo czternastoletni Michael przystaje co chwilę, żeby zmienić rękę.

Podczas jednego z postojów chłopak zauważa ciotkę Fanny, siostrę Hedwigi, jak czerwona ze zmęczenia przysiadła na chwilę przy swoich bagażach. Wydaje mu się, że patrzy na niego z wyrzutem. Nie może jednak do niej podejść, bo gestapowcy zmuszają tłum do dalszego marszu i Fanny na zawsze ginie mu z oczu.

„Po tej traumatycznej chwili pozostały dwa głęboko zranione serca – w moim przypadku zranienie, które pogłębiane jeszcze poczuciem winy, nigdy nie zdoła się zagoić” – napisze we wspomnieniach⁸.

Od kilku miesięcy königsberscy Żydzi są wywożeni z miasta. Mogą zabrać ze sobą trzydzieści kilogramów bagażu. Otrzymują zawiadomienia, że pojedą na wschód do pracy. W rzeczywistości jadą do obozów koncentracyjnych Theresienstadt lub Auschwitz.

Pierwsi wyjechali ludzie starzy. W mieście nie ma już więc ciotki Rebekki.

Na polecenie Gestapo Michael musiał iść do mieszkania starego doktora Kiewe, ortopedy zwanego w mieście „dobrym Bogiem ze Steinndamm”, żeby zapytać, dlaczego nie stawiał się na zbiórce. Lekarz powiedział, że nie nadaje się do podróży. A wieczorem popełnił samobójstwo.

Potem zniknęły rodziny, w których nikt nie pracował w miejscach ważnych dla przemysłu wojennego. Dotychczas wywożono ich w małych grupach, niezauważalnie. Teraz Niemcy postanowili przyspieszyć oczyszczanie Königsberga i przez miasto ciągną setki Żydów.

Od wyjazdu – na razie – zwolnieni są odznaczeni medalami bohaterowie Wielkiej Wojny, małżonkowie Niemców i Niemek oraz ich dzieci – mischlingowie.

Michael jest więc w tym tłumie tylko gościem. „Gryzło mnie, że sam nie dostałem rozkazu stawienia się na zbiórce” – będzie wspominał⁹.

Żegna się z przyjaciółmi. Szuka w tłumie nauczycieli ze swojej szkoły, spotyka znajomych rodziców – odbiera od nich listy do wysłania, biegnie do najbliższego sklepu rozmieniać banknoty na drobne, bo niektórzy sądzą, że bilon w podróży jest niezbędny. W końcu – dźwiga walizkę panny Wolff.

Chłopiec nie ma przy sobie żadnych dokumentów poświadczających, że nie należy do wywożonej grupy. Wymyka się z pilnie strzeżonego dworca w ostatniej chwili. Pociąg odjeżdża. W Königsbergu pozostaje garstka Żydów i około pięćdziesięciu rodzin mieszanych z dziećmi¹⁰.

Trumny i proszek do prania

Majster Lempke pochyla się nad Michaeliem i mówi: – Dla mnie jesteś człowiekiem jak każdy inny.

Każe mu odpruć gwiazdę Dawida z kurtki („Nie można zmuszać ludzi, żeby nosili coś tak zwariowanego” – burczy). Mama przychodzi więc do gwiazdy zatrask, który Michael w razie potrzeby może szybko odpiąć.

Pracę w zakładzie stolarskim u pana Lempkego, po drugiej stronie miasta, pomógł znaleźć synowi Kurt. Chłopak ma zamiatać warsztat i szlifować wystające elementy gotowych trumien – towaru, który rozchodzi się najszybciej.

W pobliżu stolarni jest fabryczka, w której pakuje się masło. Podczas przerwy śniadaniowej Michael znajduje czasem na jej tyłach papier, z którego można jeszcze zeszkrobać odrobinę tłuszczu. Bywa, że śniadaniem dzieli się z nim majster, któremu żona przygotowuje kanapki z kurzymi nogami albo kiełbasę i chleb z serem. Herr Lempke uczy też swojego pomocnika, jak umiejętnie okradać spiżarnie klientów, do których chodzą robić pomiary.

Jedzenie jest na kartki i wciąż go mało. Swoje bony czasem podrzucają Wieckom niemieccy przyjaciele z dawnych czasów, którzy zachowali z nimi ostrożny kontakt.

Praca w stolarni jest bardzo ciężka. Niedożywionemu Michaelowi zdaje się czasem, że od dźwigania ciężkich trumien umrze ze zmęczenia.

Latem 1943 roku piętnastolatek otrzymuje nakaz pracy w fabryce chemicznej Gamm & Sohn, gdzie pracuje Hedwiga. Z żalem rozstaje się z warszatem majstra Lempkego.

Michael Wieck wspomina: – Praca w fabryce otępiła. Całe dni pilnowałem, żeby w kontenerach nie zabrakło kartonów z proszkiem do prania, obwiązywałem drutem gotowe partie, porządkowałem skład. Widziałem jak matka, w maseczce z gazy na ustach i nosie, w chemicznym pyłe unoszącym się nad jej głową, wsypywała odmierzoną porcję proszku do kartonów.

Przez dziesięć godzin monotonnego zajęcia Michael myśli o Bogu, układa w głowie wiersze, wyobraża sobie obrazy, które namaluje. W domu czyta książki, słucha muzyki. Swoją przyszłość wiąże ze skrzypcami. Gra w każdej wolnej chwili.

– Podczas przerw w fabryce, używając kijka i ołówka, ćwiczyłem rękę, udając że gram – uśmiecha się. – To znakomite ćwiczenie, polecałem je potem swoim studentom.

Wciąż widuje się z Klausem. Między mieszkaniem rozciągnęli drut i rozmawiają przed zaśnięciem alfabetem Morse’a.

Alarm

Od wiosny 1942 roku lotnictwo brytyjsko-amerykańskie przeprowadza masowe naloty na Niemcy. Na Königsberg bomby jeszcze nie spadły, ale wiadomo już, że to kwestia czasu. Niemal każdej nocy w mieście wyją syreny alarmowe. Należy wtedy szybko wstać, ubrać się, wziąć do ręki spakowane wcześniej walizki i zbiec do piwnicy. Po odwołaniu alarmu można wracać do łóżka. Zdarzają się trzy alarmy jednej nocy.

Gdyby Michael nadal przesuwiał szpilki na mapie, pod Moskwą i Stalingradem zostałyby już tylko dziurki w papierze. Sowietci powoli wypierają Niemców ze swoich terenów. Bitwa pod Kurskiem, latem 1943 roku, skończyła się ostatecznym przejęciem inicjatywy przez Armię Czerwoną (Michael słyszy przez ścianę rozpacz sąsiadki, która dostała telegram z wiadomością o śmierci syna na froncie).

Pod koniec sierpnia 1943 roku w miasto trafiają pierwsze bomby.

Hura!

Königsberg, który Michael znał do tej pory, już nie istnieje. W gruzach leży ratusz z muzeum, uniwersytet, opera, spichrze nad Pregolą i XIV-wieczna katedra. W pierwszych dwóch nalotach zginęło około czterech tysięcy ludzi. Hedwidze i jej synowi drogę do pracy w ocalałej fabryce, która produkuje teraz także amunicję, wyznaczają kikuty domów, szerniające od gorąca ciała, leje po bombach. Tysiące bezdomnych kręci się bezradnie po ulicach. „Wielu było pokrytych sadzą, miało na sobie popalone ubrania i opłakiwało zaginionych” – zapamięta Michael¹¹.

W Prusach Wschodnich wszyscy wiedzą, że Rosjanie są coraz bliżej. W październiku 1944 roku zajęli rejon Kłajpedy i otoczyli dywizje stacjonujące w Kurlandii. Trwają walki. Königsberg wypełnia się uchodźcami.

Herr Mendelsohn, robotnik z fabryki, mąż Niemki, zabiera Michaela na dach zakładu i każe mu wsłuchać się w dalekie odgłosy. Chłopakowi wydaje się, że słyszy burzę.

– To odgłosy bitwy, jeszcze bardzo daleko stąd, ale słysząc wyraźnie. Hura! Rosjanie nadchodzą – cieszy się Mendelsohn.

Michael Wieck napisze: „O tym »Hura!« będę jeszcze myślał z goryczą. Później już nikomu takie »Hura!« nie przejdzie przez usta, a sam herr Mendelsohn nie przeżyje Rosjan”¹².

NIEMIEC

Już tu są, herr Dossow

Jest wczesna wiosna 1945 roku. Za kilka tygodni Michael przypnie do piersi gwiazdę Dawida i zapuka do drzwi kupca Dossowa, sąsiada z naprzeciwka. Mężczyzna jest oddanym nazistą, przez całą wojnę szykanował Wiecków.

– Herr Dossow – powie Michael, gdy drzwi mieszkania się uchylą – Rosjanie już tu są. Skończyły się czasy, kiedy mógł nas pan prześladować. Tylko tyle chciałem panu powiedzieć.

Chłopak wyjdzie z kamienicy, ale nie poczuje satysfakcji. Żółtą gwiazdę schowa do kieszeni. To będzie ostatni raz, gdy jej użyje.

– Była naszym znakiem hańby – Michael Wieck gładzi palcem żółty skrawek tkaniny. – Dyskutowałem z rodzicami, czy się jej pozbyć, kiedy Rosjanie wejdą do miasta. Postanowiliśmy jednak ją zatrzymać dla odróżnienia nas od nazistów. Liczyliśmy na lepsze traktowanie, normalne porcje żywnościowe, uznanie nas za ofiary. Sowietci jednak nie zwracali uwagi na żółtą gwiazdę. Dla nich byliśmy Niemcami.

Sonata „Wiosenna”

Znajomy lekarz bada Michaela. Płuca i serce siedemnastolatka są w złym stanie. Doktor nakazuje mu wypoczynek. To jednak zalecenie niemożliwe do wykonania. Po pracy w fabryce, wraz z całym miastem, chłopak stawia zapory przeciwpancerne.

Od stycznia 1945 roku Armia Czerwona oblega Königsberg. Ostatnia droga ucieczki prowadzi przez morze. Zacumowane

w porcie statki zapełniają się uchodźcami (z Pillau wypływa też Klaus z rodzicami).

Większość czasu Wieckowie spędzają w piwnicy, nasłuchując nadlatujących samolotów. Jednak w rzadkich momentach spokoju ich życie towarzyskie ożywa.

Teraz, gdy wejście Rosjan do miasta jest już pewne, warto odnowić z nimi kontakty. Kurt przyjmuje wizytę jednego z członków jego dawnego kwartetu. Michael ćwiczy sonatę „Wiosenną” Beethovena z Ute – pianistką, córką sąsiadów z naprzeciwka. Także ci sąsiedzi, którym do niedawna przeszkadzała obecność Żydów w tej samej piwnicy, robią się rozmowni.

Rosjanie wkraczają do Königsberga 6 kwietnia. Niemcy są bez szans. Brakuje im broni i amunicji. Nie mają ani jednego samolotu. Sowieckie siły liczą sto tysięcy ludzi, pół tysiąca czołgów i prawie dwa i pół tysiąca samolotów.

10 kwietnia twierdza Königsberg kapituluje. Sowieci biorą do niewoli ponad dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Straty wśród cywilów wynoszą około dwadziestu pięciu tysięcy ludzi. W mieście pozostaje jeszcze około czterdziestu tysięcy cywilów. Z piwnic i schronów przez wiele dni słychać niemieckie kobiety, jak wołają o pomoc.

Utwory salonowe

Za pierwszym razem Kurt Wieck nie chce oddać skrzypiec, które ma przypięte na plecach.

– Proszę, strzelaj – mówi do Rosjanina, który próbuje zabrać instrument i przystawia lufę do twarzy skrzypka.

Sowieci mają zakaz zabijania cywilów bez potrzeby, więc tym, którzy nie chcą oddać swojej własności, strzelają przez policzki. Od tego się nie umiera, tylko traci zęby.

Za drugim razem Kurt już wie, że nie ocali skrzypiec, więc zgadza się wymienić je na dwa bochenki chleba.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Michael Wieck napisze: „Skrzypek, którego ktoś pozbawia skrzypiec, traci też część duszy. Ojciec teraz sprawiał wrażenie słabego i załamane”¹³.

Hedwiga trzyma swoją altówkę ukrytą pod płaszczem.

Skrzypce Michaela schowane są w nieładnej, starej skrzynce, na którą nikt nie zwraca uwagi. Oboje będą grali dla Rosjan salonowe utwory Kreislera i Wieniawskiego, kiedy już dotrą do namorskiej wsi Quanditten, dokąd Niemcy pędzą königsberskich cywilów. Na razie wciąż idą w tłumie.

Michael Wieck: „Odkryłem w sobie nieśmiałe poczucie szczęścia, płynące wyłącznie z tego, że nie byłem już wykluczony – mogłem bez lęku rozmawiać, pytać. [...] Delektowałem się tym uczuciem, chociaż twarze wokół mnie wyrażały lęk i bezsilność”¹⁴.

Pamiętam wszystkich

Pierwszy trup Michaela to młoda kobieta, częściowo naga, z zachniętymi strumieniami krwi wokół ust. Leży w suterenie spalonego domu.

Drugim jest zastrzelony mężczyzna. Zginął około tygodnia wcześniej, zaczął się już rozkładać.

Następni to ludzie, których ciała pokurczyły się od gorąca. Wazą niewiele.

Potem samobójcy – wśród nich cała rodzina, która zażyła truciznę.

Po latach napisze: „Wciąż pamiętam prawie wszystkie zamordowane kobiety i mężczyzn – widzę nie tylko ich twarze, ale też ułożenie ciał, a czasem też przedmioty, które ich otaczały”¹⁵.

Michael Wieck jest znów w Königsbergu. Miasto jest pełne martwych ludzi. Pochowanych byle jak, pod cienką warstwą ziemi, przykrytych deskami, w większości leżących na ulicach, wypełniających piwnice i schrony, z których nie zdołali się wydostać. Zadaniem grupy mężczyzn, do której wcielono chłopaka, jest odnalezienie wszystkich trupów w wyznaczonym kwartale

i zepchnięcie ich do głębokiego leja po bombie, gdzie zostaną zasypane.

Rosjanie nie karmią niemieckich grabarzy – sami muszą załatwić się o jedzenie.

Po pracy Michael wygrzebuje z zawałonych domów budynie Oetkera, konserwy mięsne, puszki z warzywami, cukier waniliowy. Raz dostaje od żołnierza plaster sera posmarowany miodem. Ma po nim torsje, wygłodzony organizm nie zniósł smakołyku. Patrzy, jak inni Niemcy jedzą mięso wykrojone z końskiej padliny, ale sam nie potrafi się przemóc. Nocuje na podłodze nieogrzewanego baraku, marznie. Nie wie, co dzieje się z rodzicami, którzy zostali na wsi. Choruje, tak jak wszyscy, na czerwonkę.

Pewnej nocy radziecki żołnierz budzi go kopniakami i każe iść za sobą.

– *Ich bin Jude!* Jestem Żydem! – Michael Wieck próbuje gorątkowo przekonać żołnierza.

Sołdat śmieje się z niego: – To gdzie twoja żółta gwiazda, nazisto?

Chce mu się płakać: – Została przy matce.

Żołnierz każe mu stanąć w szeregu z innymi mężczyznami. Jego patrol zgubił jednego z zatrzymanych Niemców. Uciekł, zanim się zorientowali. Michaela wybrali losowo, zastąpi uciekiniera.

Nikt nie woła

Michael Wieck: – Trafiłem do obozu internowania NKWD w Rothenstein. Rosjanie urządzili go dla podejrzanych politycznie cywilów w koszarach na północy miasta. Stłoczyli tam około czterech tysięcy niemieckich kobiet i mężczyzn, przesłuchiwali każdego po kolei. Obóz był przepełniony. Najpierw trafiłem do pomieszczenia pod schodami, w którym hodowano świnie. Spaliśmy na podłodze pokrytej klejącym łajnem, do jedzenia był spleśniały chleb i wodniśta zupa.

Potem zostałem wtłoczony, z osiemdziesięcioma innymi ludźmi, do ciasnej piwnicy z zamurowanymi oknami. Można tam było tylko stać. Kto zasypiał, osuwał się na ziemię i służył za materac następnym. Ja spałem na człowieku, który chorował na gruźlicę i już w ogóle nie wstawał. Zaprzyjaźniliśmy się, karmiłem go zupą podawaną z dłoni. Każdej nocy w naszej celi umierali ludzie. Rano podawaliśmy ich sobie nad głowami w stronę wyjścia.

Rosjanie wzywali kolejnych więźniów na przesłuchania. Wracali pobici, z połamanymi żebrami, albo nie wracali wcale. Tylko mnie nikt nie wołał, bo mojego nazwiska nie było przecież na żadnej liście. Zaczepiłem raz jakiegoś oficera, próbując mu to wyjaśnić, powiedziałem mu, jak się nazywam.

Po kilku tygodniach strażnik zawołał: „Wieck!”. Nie poszedłem jednak na przesłuchanie, tylko dołączyłem do grupy pozytywnie zweryfikowanych Niemców, których skierowano do odgruzowywania miasta.

Przypadkiem spotkałem człowieka, który znał moich rodziców. Zajmowali nędzny pokój w Königsbergu i czekali na mnie. Wierzyli, że wrócę.

Najwspanialszy łup

Wieckowie znów są razem.

Michael ponownie pracuje przy oczyszczaniu miasta z gruzów. Otrzymuje zapłatę czterysta gramów chleba dziennie. To za mało, żeby wyżywić trzy dorosłe osoby. W mieście ludzie umierają z głodu – Rosjanie każą Niemcom szukać jedzenia na własną rękę. Krążą plotki o przypadkach kanibalizmu.

Michael Wieck zapisze: „Koty już dawno trafiły do garnków [...]. Pewnego razu pędzący jeep przejechał średniej wielkości psa, a ja wygrałem wyścig po zdychające zwierzę i przyniosłem je do domu. [...] Wszystkim wybornie smakował i poszedł nam na zdrowie”¹⁶.

Miasto, które wciąż nosi niemiecką nazwę (Kaliningradem zostanie dopiero w połowie 1946 roku), powoli zapełnia się Rosjanami. Zajmują ocalałe domy, wyrzucają Niemców z zajętych już mieszkań. Michael plądruje ich piwnice, w których składują rzeczy zabrane poprzednim lokatorom. W granatowym kombinezonie elektryka, z torbą na ramieniu i wytrychem w kieszeni spodni, chłopak okrada też radzieckie kwatery. Worek przemrożonych ziemniaków to najwspanialszy łup, który ściągnął z kuchni niemal w obecności gospodarzy. Kilka razy przyłapany, zawsze ucieka. Raz trafia na komisariat, ale po kilku godzinach milicjant wypuszcza go do domu.

Okrada też pracodawców, u których się zatrudnia. Jest stolarzem w piekarni, która ma obsługiwać tylko Rosjan. Wynosi stamtąd mąkę ukrytą w wiadrze pod gruzem. Z wędzarni ryb, w której pracuje krótko, za pomocą skonstruowanej przez siebie wędki z miotły i gwoździa kradnie gotowe ryby z pomieszczenia zamkniętego za kratą.

Hedwiga całe dni spędza na przeszukiwaniu ruin. Znajduje poszwy na kołdry, srebrne widelce, zegary ściennie i wymienia je za chleb, koński tłuszcz i kartofle. Na jedzenie zamienia też obrazy, garnki i obrusy dostarczane przez syna.

Ukradzione przez Michaela papierosy Hedwiga sprzedaje na sztuki. Zabraną komuś kawę instant zalewa wrzątkiem i sprzedaje w szklaneczkach do wypicia na miejscu. Porcja kosztuje rubla.

Bywają jednak dni, gdy Hedwiga wraca z pustymi rękami. Wtedy idzie żebrać.

Kurt Wieck jest bezradny wobec nowych czasów. Michael nie nawidzi konfucjańskich mądrości, którymi ojciec osłania się od rzeczywistości. Kłóć się.

Po latach napisze: „W powietrzu wyczuwało się jego rzadko wyrażane słowami rozszczenie, które w zasadzie akceptowałem. Ojciec uważał mianowicie, że skoro jemu zawdzięczamy nasze przetrwanie w czasach nazistów, to my powinniśmy troszczyć się o jego przetrwanie za Rosjan”¹⁷.

W końcu jednak Kurt znajduje pracę stróża. Wyszukuje też drewno, gotuje wodę i parzy kawę, którą Hedwiga sprzedaje zmarzniętym Rosjanom.

Wieckowie sześć razy zmieniają mieszkania. Za każdym razem nowi, radzieccy lokatorzy każą im zostawić wszystkie meble, więc muszą urządzać się od początku. Ostatnim razem mają szczęście i dostają zgodę na zajęcie pokoju w domu z Rosjanami, pod warunkiem że przejmą obowiązki dozorczy.

Rośliny jadalne

Michael trafia do szpitala. Diagnoza radzieckiego lekarza brzmi: obustronne zapalenie płuc, ogólne niedożywienie i malaria.

Leży więc w łóżku i czyta książki.

Szpital nie ma jedzenia dla swoich pacjentów. Pielęgniarki roznoszą raz dziennie rozcieńczoną zupę. Kto nie ma pomocy z zewnątrz – tak jak Michael, którego dokarmia matka – umiera z głodu.

Pozostałych przy życiu pacjentów lekarze uczą, jak rozpoznawać rośliny jadalne. Ci, którzy są w stanie się poruszać, pełzają wokół szpitala w poszukiwaniu pokrzywy, podgarycznika, lebiody i mniszka.

Michael, choć nadal niezbyt zdrowy, po sześciu miesiącach wraca do domu i do włamań.

Bezy

Gdy frau Stock, mama Ute, patrzy na Wiecków, ogarnia ją litość. Michael pracuje całe dni za kawałek chleba i w żaden sposób nie jest w stanie wykarmić rodziny, Hedwiga słabnie z dnia na dzień i ma coraz mniej sił na handlowanie, a Kurt nie wstaje już z łóżka.

Ponieważ Stock wkrótce wyjeżdża z córką do Niemiec, decyduje się zdradzić Wieckom sekretny przepis na bezy, które sama piecze i sprzedaje na ulicy:

– Weź jajko i oddziel żółtko od białka. Białko pośódź i ubij na sztywno. Masę kładź porcjami na blachę i piecz, kontrolując temperaturę w piecu z regulowanym dolnym i górnym źródłem ciepła. Uzyskasz w ten sposób dużo białych, małych bez, które sprzedasz bez trudu.

Sowieci potrafią wydać ostatnie ruble na nieznane im wcześniej słodycze.

Michael buduje piekarnik opalany z dołu drewnem, a z góry ukradzionymi opornikami. Pierwsze bezy topią się na czarną masę. Podobnie drugie. Trzecie udają się znakomicie. Firma rodzinna zaczyna działalność. Kurt rąbie drewno i ubija białko. Michael piecze bezy. Hedwiga sprzedaje je po dwa ruble za sztukę (jedno jajko kosztuje osiem do dziesięciu rubli). Zysk jest minimalny. Bywa, że złodzieje wyrywają matce towar na ulicy, czasem milicjanci zgarniają ją na noc do aresztu za pokątny handel, zdarzają się całe partie spalonych ciastek. Biznes pozwala jednak Wieckom żyć na tyle dobrze, że ich syn nie musi już więcej kraść.

Lepszy świat

Na latarniach w mieście Sowietów montują duże głośniki. Oprócz codziennych komunikatów płynie z nich muzyka. Pewnego wieczoru Michael słyszy koncert na dwoje skrzypiec Bacha.

Napisze: „Szedłem pospiesznie od jednego rogu ulicy do drugiego, żeby móc przez cały czas dobrze słyszeć. W takich momentach wierzyłem, że istnieje lepszy świat, królestwo ducha z jego najwspanialszymi dobrami. Ta muzyka ewidentnie pochodziła stamtąd”¹⁸.

W drodze stara się nadebrać na zamarzniętych ludzi, pokrytych świeżym śniegiem. Jest zima 1946/1947.

Za bochenek chleba i kilka rubli kupuje od niemieckiego jeńca wojennego skrzypce. Instrument ma słabe struny, bezwartościowy smyczek i jest tandetny, ale Michaelowi jest to obojętne. Tęsknił za

graniem. W każdej wolnej chwili ćwiczy gamy i trójdźwięki, gra znalezione gdzieś romanse Beethovena.

Jeden z Rosjan słyszy grę chłopaka i proponuje mu studia w Rydze. Jest tylko jeden warunek – musiałby przyjąć radzieckie obywatelstwo. Nie zgadza się, bo Stalina nienawidzi nawet bardziej niż Hitlera. Poza tym musi opiekować się rodzicami, którzy bez niego nie dadzą sobie rady.

Kurt też wraca w końcu do zawodu i zatrudnia się jako skrzypek w orkiestrze Klubu Armii Czerwonej. Wynagrodzeniem jest kolacja dla jednej osoby.

Propusk

Jest już rok 1948. Kaliningrad zaczynają opuszczać pierwsze grupy Niemców, ale Kurta, Hedwigi i Michaela wciąż nie ma na liście ewakuowanych.

Tuż przed swoim wyjazdem frau Stock podała im nazwisko radzieckiego oficera, którego można przekupić, żeby wydał *propusk* – przepustkę upoważniającą do wyjazdu z miasta. Bez tego, podejrzewała, zostaną tu na zawsze.

Hedwiga zanoszą urzędnikowi wszystkie pieniądze, jakie udało im się zaoszczędzić na sprzedaży bez, i kilka tygodni później Wieckowie otrzymują pozwolenie na wyjazd. Mają się spakować, wziąć prowiant na siedem dni podróży i stawić się z bagażem na dworcu głównym.

„Czułem się jak na rauszu – będzie wspominał Michael Wieck. – Nie mogłem uwierzyć, że ta piętnastoletnia eskalacja zniewolenia, prześladowań, dyskryminacji, nędzy i zagrożenia życia miała się nareszcie zakończyć”⁹.

Hedwiga i Michael to prawdopodobnie ostatni niemieccy Żydzi, którzy opuszczają Kaliningrad.

SPRAWCA I OFIARA

W Berlinie

Ćwiczy grę na skrzypcach po dziesięć godzin dziennie.

Kończy konserwatorium.

Gra w Berlińskiej Radiowej Orkiestrze Symfonicznej sektora amerykańskiego. Żeni się z Hildegardą, rodzi im się czworo dzieci.

Ojca widuje rzadko. Po przyjeździe do Berlina Wieckowie musieli pozostać na kwarantannie w obozie przejściowym. Kurt wyszedł stamtąd sam. W Berlinie czekała na niego Gerti Weschollek, była studentka z Königsberga. Zostaje jego żoną.

Hedwiga już nigdy się z nikim nie zwiąże.

Miriam, siostra Michaela, która wyjechała z Königsberga w ramach Kindertransportu, nie wraca do rodziny. Michael Wieck: – Stała się zamkniętą w sobie kobietą. Czuła się odrzucona przez rodzinę, choć nie była to prawda. Została w Szkocji już na zawsze.

Peter Wieck, przyrodni brat Michaela, przeżył wojnę, ale nie chce patrzeć na zniszczoną ojczyznę. Emigruje do Szwecji, gdzie żyją krewni Wiecków – rodzina Palme.

Kolacja u Hitlera

Michael Wieck opowiada: – Po wojnie ludzie nabrali wody w usta. Nie mówili nic o Trzeciej Rzeszy, jakby nigdy nic takiego się nie zdarzyło. Zapytani o tamte czasy twierdzili, że oni akurat byli przeciwko Hitlerowi i mieli zwykłą pracę. Jakby żaden nazista nie przeżył wojny. Publicznie, w mojej obecności, nikt nie pozwalał sobie na antysemickie wypowiedzi. Wiedziałem jednak, że w domach, między sobą, po cichu tęsknili za dawnymi czasami. Oczywiście nie wszyscy, niektórzy milczeli ze wstydu.

Nawiązałem słaby kontakt z pozostałą rodziną Wiecków. Bratanica ojca, słynna aktorka Dorothea Wieck, opowiadała na moją prośbę o kolacjach u Hitlera, na których bywała przed wojną. Wspominała przy tym, że prywatnie Führer był uroczym człowiekiem. Brat mojego ojca powiedział mi, że wstydzi się tego, co wydarzyło się w czasie wojny. Ale reszta Wiecków nie czuła żalu. Nie pomogli nam w czasach königsberskich, zerwali z ojcem stosunki.

Nie umiałem poradzić sobie z tym, że należę jednocześnie do narodu sprawców i ofiar.

Ucieczka

Na początku lat sześćdziesiątych Michael z rodziną opuszcza Niemcy. Ma objąć pierwszą klasę skrzypiec na Uniwersytecie Muzycznym Auckland w Nowej Zelandii.

– Kraj emigrantów, gdzie wszyscy byli wobec siebie równi – wspomina. – Pokochałem go. Jednak to, przed czym uciekłem, dopadło mnie i tam, na końcu świata.

W orkiestrze prowadzonej przez Michaela gra altowiolistka z Glasgow, także nauczycielka uniwersytecka. Jest antysemitką.

– Nie atakowała mnie bezpośrednio, ale siała swoją nienawiść wśród innych – mówi Michael. – Doszedłem do wniosku, że skoro i tak nie ucieknę od swojego przeznaczenia, wracam do Niemiec, bo tę kulturę rozumiem najlepiej, wyrosłem w niej i do niej tęsknię. Dowiedziałem się, że orkiestra w Akwizgranie poszukuje skrzypka, napisałem do nich i mnie zatrudniono.

Koniec lekcji

Pies zasnął u stóp swojego pana. Gdzieś z głębi domu płyną dźwięki skrzypiec. To Miriam, którą Michael poznał kilka lat po śmierci pierwszej żony, udziela mistrzowskich lekcji gry na tym instrumencie.

On także ćwiczy codziennie, choć już nie gra zawodowo. Z Akwizgranu przeniósł się przed laty do Stuttgartu, gdzie przez długi czas był skrzypkiem w Stuttgarckiej Orkiestrze Kameralnej i Radiowej Orkiestrze Symfonicznej.

Jego wspomnienia z Königsberga przetłumaczono na wiele języków, w tym rosyjski.

Michael Wieck umrze dwa lata po naszej rozmowie, 27 lutego 2021 roku.

A na razie koniec lekcji. Miriam zaprasza nas do kuchni. Jej mąż obiera ziemniaki, ona wstawia wodę w garnku, ja siekam pietruszkę.

Po długim dniu będziemy razem jeść kolację.

CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII



WŁADZIA

Droga do Niemca

Moja babcia ma szesnaście lat. Ma ładny, szeroki uśmiech, błękitne oczy, wydatny nos. Rosną jej włoski na nogach i pod pachami. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie widział jej nago.

Czternastoletnia córka zagląda mi przez ramię i mówi, że piszę dziwaczne rzeczy.

– Myślisz, że ona chciałaby to przeczytać o sobie? – pyta.

A ja włączam nagranie z głosem babci: – Podeszłam naga do takiego wielkiego Niemca w białym fartuchu. Kazał mi stanąć w rozkroku i każdy kawałek ciała, gdzie rośnie najmniejszy włoszek, posmarował pędzlem zamoczonym w brązowym płynie dezynfekcyjnym. Jakbym była ścianą do pomalowania.

Niepotrzebnie skaczę w czasie. Babcia spotka Niemca dopiero za kilka tygodni.

Na razie jest jeszcze wczesna wiosna 1942 roku, a ona do niebieskiej, drewnianej walizki wkłada „majtki jedne, bluzkę błękitną i ciepłą flanelową koszulę”. Nic więcej zresztą nie ma. Dorzuca jeszcze po kryjomu własność matki – srebrną, ciężką broszę, bo w dalekim, nieznanym świecie chce mieć przy sobie atrybut, który doda jej dorosłości. Potem wsiada na wóz zaprzężony w konie,

zbierający po okolicznych wsiach robotników przymusowych dla Rzeszy.

Droga do Niemca z pędzlem wiedzie z Szutowej, małej wsi w województwie lwowskim, gdzie moja babcia – Władysława Marcela Kwitkowska – urodziła się w kwietniu 1926 roku. Ich spotkanie zaaranżował sam generalny gubernator Hans Frank.

Rozmowy

Gdy byłam małą, zazdrościłam babci Władzi robót w Niemczech.

Zawsze miała dar opowiadania i poczucie humoru, więc przedstawiała wszystko tak, że praca nastolatki przy tokarce, tysiąc czterysta kilometrów od domu, wydawała mi się o niebo lepszym zajęciem niż siedzenie w szkolnej ławce.

Dopiero kiedy dorosłam, zapytałam ją, dlaczego nigdy nie powiedziała mi, jak było jej tam źle i ciężko.

– Bałam się, że wtedy nie będziesz chciała mnie słuchać – odparła.

Jest listopad 2018 roku. Babcia Władzia Gawryluk, z domu Kwitkowska, ma dziewięćdziesiąt dwa lata, choć w brązowej spódnicy, beżowym swetrze i siwej trwałej wygląda na młodszą. Od kilku lat nosi aparat słuchowy, z którym są ciągle kłopoty, więc trzeba czasami do niej wywrzaskiwać pytania. Zdarza się, że urządzenie nagle się naprawia, a wtedy babcia lekko się obraża, mówiąc, że niepotrzebnie się tak drę, skoro ona nie jest głucha.

Za to pamięć ma doskonałą, a charakter twardy – w rodzinie nazywamy ją babcią Władzą. Słowo „staruszka” do niej nie pasuje. Kiedy ją odwiedzam, w dłoni trzyma chusteczkę do nosa, wmusza we mnie herbatniki w kształcie zwierzątek, krytykuje moją grzywkę i rozprasza się na moment, gdy do pokoju wchodzi jej kot.

Stawiam przed nią dyktafon. Czas uzupełnić nasze rozmowy. Zajmie nam to prawie dwa lata.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

EMILIA

Spacer

Czeka na mnie w deszczu przed klatką schodową swojego bloku w Strzelcach Krajeńskich. Jest październik 2019 roku. Niewysoka, siwa kobieta ze sznurem bursztynów na szyi. Uśmiechnięta, zwarła w sobie, żołnierska w obyciu.

Równolatka mojej babci – obie w dniu wybuchu drugiej wojny światowej miały trzynaście lat. Emilia mieszkała wtedy z rodziną w Międzychodzie nad Wartą, przy granicy z Rzeszą. Dzieliło je osiemset kilometrów.

Teraz Emilia Muchewicz chwyta mnie mocno pod ramię, ja otwieram nad naszymi głowami parasol. Ruszamy na spacer po mieście.

Volkslista

Jest rok 1940. Ciepły dzień, Emilia jest boso. Wchodzi do mieszkania. Słyszy głos ojca, Władysława Matyśniaka: – *Ich bin als Pole geboren und ich bleibe ein Pole* (Urodziłem się Polakiem i Polakiem pozostanę).

Dziewczyna widzi, jak tato siedzi przy stole, a nad nim pochyla się dwóch gestapowców – jeden podaje mu ostro zatemperowany ołówek, drugi wskazuje palcem miejsce, gdzie należy złożyć podpis.

Emilia Muchewicz, z domu Matyśniak: – To była volkslista. Moi rodzice po pierwszej wojnie pojechali do północnych Niemiec na saksy. Poznali się tam i pobrali. Urodziłam się w Körchow niedaleko Schwerin. Wróciliśmy do Międzychodu, gdy Hitler zaczął przejmować władzę. Tu na świat przyszła jeszcze moja siostra i dwóch braci. Tato pracował jako ogrodnik w starostwie. Gdy wybuchła wojna, Niemcy zatrudnili go jako palacza.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quisicii

Gdyby ojciec podpisał volkslistę, Matyśniakowie mogliby zostać w swoim mieszkaniu w Międzychodzie i dostaliby lepsze kartki żywnościowe. Skoro jednak wolą być Polakami, zostają wygnani na wschód Generalnego Gubernatorstwa, wraz z tysiącami innych mieszkańców Wielkopolski.

WŁADZIA

Otwierut, zamykut

Zdjęcie rodzinnego domu babci Władzi w Szutowej zachowało się tylko dlatego, że miała je z sobą w obozie. Niska bielona chata, z boku komora, dach kryty strzechą. Przed wejściem stoi bosa kobieta, to moja prababka Stefania Kwitkowska, oraz młodsze rodzeństwo Władzi – Domicela zwana Danušką i Kazik.

Władzi tam nie ma, ale wysłano jej fotografię, żeby wieczorem, po pracy w fabryce, mogła sobie popatrzeć na najbliższych. I jeszcze na dwie krowy żeby sobie spojrzęła, które włożyły w kadr przed domem. I na krzaki bzów, które wiosną pachną tak mocno, że trudno zasnąć.

Aparat przed chałupą ustawił konkubent Stefanii, wiejski fotograf, po którym zostały dwa lub trzy zdjęcia. Ojciec Władzi i Danuški, pierwszy mąż mojej prababki, wyjechał raz do Argentyny i wrócił z niebieską, drewnianą walizką, wyjechał ponownie i ożenił się tam, słuch po nim zaginął. Stefania nie mogła wyjść za swojego fotografa, bo nigdy nie dostała rozwodu.

Na drugim zachowanym zdjęciu Władzia ma około dziesięciu lat. Siedzi w pierwszej ławce w swojej najładniejszej sukience z białym kołnierzykiem, grzywkę ma równo przyciętą. Dziesięć dziewczynek z jej klasy nosi identyczne fryzury. Jedenastu chłopców ogolono na zapałkę. W klasie uczy się Władek Kozak, Ukrainiec, którego ojciec prowadzi we wsi sklep, i Izaak Czermak, Żyd, którego ojciec skupuje od gospodarzy cielęta.

W sąsiedniej wsi przeważają Ukraińcy, ale w Szutowej większość mieszkańców to Polacy. Stoi tu kościół katolicki, są dwie szkoły trzyklasowe dla młodszych i starszych dzieci, jest dom kultury i przyjeżdża biblioteka. Moja babcia lubi się uczyć, czyta wszystko, co jej wpadnie w rękę, zwłaszcza Sienkiewicza. Uwielbia śpiewać. Pasie krowy i wydziera się przy tym tak, że słycać ją w całej wsi. Umie wpraszać się w gości, bo lubi składać życzenia. Za chałupą układa sobie z przyjaciółką Helą Borc domy z patyczków, z kolorowych szkiełek robią naczynka. Odwiedzają się wzajemnie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, możecie mi pożyczyć soli?”. Wracając do domków z patyków, mówią: „Otwierut, zamykut”.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Władzia wspomina: – Marzyłam, żeby zostać nauczycielką. Miałam ukończone sześć klas w naszej wiejskiej szkole. Żeby dalej się uczyć, musiałabym iść na stację do Jaworowa, piętnaście kilometrów od domu. Ale we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna i marzenia się skończyły. Zresztą mojej mamusi nie byłoby stać na wysłanie córki tak daleko. Myślałam, że przede mną nijakie życie, aż do zamążpójścia.

Lista sołtysa

Na razie w Szutowej Niemców nikt się nie boi. Byli za krótko, żeby zostawić po sobie złe wspomnienia. W drugiej połowie września 1939 roku opuszczają wieś, a na ich miejsce wchodzi Sowieci.

I oni, zdaniem miejscowych, są naprawdę straszni.

Nocą 10 lutego 1940 roku wywożą ludzi na Sybir. Z domu Kwitkowskich zabierają tylko fotografa (rodzina go więcej nie zobaczy). Stefania i jej dzieci też są gotowe do wywózki, jednak żołnierze z niewiadomych przyczyn każą im zostać. Władzia próbuje dojrzeć cokolwiek przez okno, ale słyszy tylko szczekanie psów i przekleństwa po rosyjsku. Pustoszeje prawie cała wieś. Opuszczone chałupy wkrótce zajmują osadnicy ukraińscy.

Niemcy wracają do Szutowej w czerwcu 1941 roku.

Hans Frank każe spisać wszystkich ludzi zdalnych do pracy w Galicji, nowym dystrykcie Generalnego Gubernatorstwa. Rzeszy brakuje robotników od początku wojny. Kilka milionów niemieckich mężczyzn musiało porzucić swoje dotychczasowe zajęcia na rzecz służby w Wehrmachcie. Ktoś musi ich teraz zastąpić przy pracach sezonowych, w gospodarstwach rolnych i fabrykach. Na początku zgłoszenia były dobrowolne, ale już w marcu 1940 roku Frank ubolewał: „Berlin nalega, by do Rzeszy wysłano milion robotników rolnych (...), a jak dotąd do Rzeszy trafiło osiemdziesiąt jeden tysięcy czterystu siedemdziesięciu siedmiu polskich robotników rolnych”.

Teraz więc wyjazdy są przymusowe, za brak stawiennictwa można trafić do obozu koncentracyjnego. Grzywna, odebranie kartek żywnościowych albo areszt grozi także rodzinie wezwanego.

Władzia wie już, że sottys wpisał ją na listę do wyjazdu. W każdej chwili może zostać wezwana. Stefania nie chce wysłać córki do Rzeszy, wpada więc na pomysł ukrycia jej u krewnych w podsandomierskiej wsi Wrzawy. Liczy, że tam Niemcy dziewczyny nie zauważą. Wiezie Władzię pociągiem z przesiadką w Przemyślu.

Służąca

Babcia Władzia wspomina: – Wstawałam pierwsza, kładłam się ostatnia. Sprzątałam, gotowałam, opiekowałam się najmłodszym dzieckiem gospodarzy, przed świtem mełłam mąkę na ciężkich, kamiennych żarnach. Miałam piętnaście lat, chciałam słońca, radości, rozmów z koleżankami, a własna rodzina uczyniła mnie swoją służącą. Do picia dostawałam wodę z odrobiną mleka, do jedzenia resztki z ich stołu. Ręce miałam pokryte wrzodami, głowa chodziła od wszy.

Pisze list do domu: „Mamusiu, zabierz mnie stąd”.

Stefania, moja prababka, jej odpisuje: „Wytrzymaj, córeczko. Tu Niemcy pytają o ciebie. Byli u nas kilka razy”.

Władzia do matki: „Wolę iść w niewolę do Niemca. Gorzej niż u rodziny to na pewno mi nie będzie”.

Wraca do Szutowej wiosną 1942 roku. Wkrótce przychodzi urzędowe wezwanie. Szesnastoletnia dziewczyna pakuje swoje rzeczy do niebieskiej, drewnianej walizeczki.

Gubernator Frank brzydzi się Polakami, ale lubi występować, przemawiać i stroić się. W marcu 1943 roku, w eleganckim skórzanym

płaszczu, wojskowej czapce z daszkiem, w otoczeniu dziennikarzy i swojej świty, wręczy na krakowskim dworcu dwa złote zegarki².

Pierwszy – milionowemu robotnikowi wyjeżdżającemu na roboty do Rzeszy z Generalnego Gubernatorstwa. Drugi – milion pierwszej osobie.

Zachowa się zdjęcie z tego wydarzenia. Zażenowana kobieta w rozpiętym płaszczu i jasnej chustce na głowie trzyma w dłoniach pudełko, z którego wystaje ozdobna bibuła. Gubernator z bardzo zadowoloną miną wręcza jej zegarek, który pewnie przed chwilą wyjął z pudełka.

Niklas Frank, syn Hansa, zapamięta, że ofiarowane zegarki zostały odebrane Polakom już w pociągu, a milionowy robotnik uciekł w drodze z transportu.

EMILIA

Jak gwiazda filmowa

Rodzina Matyśniaków mieszka teraz w Majdanie Ruszowskim, małej osadzie pod Zamościem. Zajmują jeden pokój u gospodarza.

– Z podłogą był, fajny taki – podkreśla Emilia.

Dziewczyna ma czternaście lat i pracuje ponad siły. Oczyszcza z kamieni lotnisko w Łabuniach. Pakuje paczki dla żołnierzy na Ostfront. Pielu warzywnik w niemieckim gospodarstwie, gdzie pracuje ojciec. Kopcuje ziemniaki na polu. Sprząta i rozpala rano w piecach miejscowej szkoły. Drze pierze u sąsiadek (płacą jej pierogami, chlebem i mlekiem), uczy się prząść na wrzecionie.

Dojrzewa mimochodem. Jest już dziewczyną o dużych, lekko skośnych oczach, których urodę podkreślają gęste, wygięte w łuk brwi. Ma równe białe zęby i prosty, wąski nosek. Gdy zaczesze włosy

do góry i uśmiechnie się do obiektywu, przypomina przedwojenną gwiazdę filmową. Jest jednak niedożywiona, chuda i wciąż głodna.

Władysław Matysiński działa w konspiracji, w Batalionach Chłopskich. Świecąca w oknie lampka to sygnał dla partyzantów, że mogą się stawiać z meldunkami, które on przekaze dalej.

Emilia Muchewicz: – Czasem dla niepoznaki tańczyłam z nimi. Gdyby taki Niemiec nagle wszedł, nie domyśliłby się, że to konspiracja jakaś. Pamiętam też potańcówkę u sąsiadki. Partyzant do mnie podszedł: „Może dwa razy byśmy się obrócili?” – powiedział. Ledwo zaczęliśmy, gdy drugi złapał mnie za rękę: „Co ty, dziewczyno? Płaczesz się, a ludzie na froncie giną”. Głupio mi się zrobiło.

Baba i do wojska

– Był koniec lipca 1944 roku, mieszkaliśmy w Lublinie. W bocznej ulicy stoi tankietka przeciwlotnicza. Widzę, że taka Rosjanka na niej śpi. Podchodzę bliżej. „Co, zmęczona?” – pytam. Budzi się: „Ja? Zmęczona. Bo wyzwalam twoją ojczyznę. A ty? Dlaczego nie walczysz? Idź do wojska bić Szwabów, faszystów”. Zawstydzila mnie – wspomina Emilia Muchewicz. – Poszłam po pół roku. Mamy się nie pytałam. Trzeba było stanąć przed komisją, prześwietlić się, badania przejść. Dostałam kategorię pierwszą. I taki podporucznik, co tam siedział, mówi: „Dajcie ją od razu do mnie, do trzydziestego ósmego szpitala polowego”. Powiedzieli, że mam iść się pożegnać z rodziną, a nazajutrz przyjść i pobrać mundur.

Przyszłam do domu, mówię mamie, ona beczy, awanturuje się. Na to wchodzi tato i pyta: „Co tu się dzieje?”. Mama: „Patrz, do wojska chce iść, baba i do wojska”. „Matka, puść ją, ojczyzna żywa” – mówi ojciec. A mama staje w drzwiach, łapie za klamkę i nie puszcza. Ojciec dopiero ją odepchnął i powiedział: „Idź”. Więc poszłam.

WŁADZIA

Zasłona z włosów

Podróż do Niemiec trwa tydzień. Władzia śpi na podłodze wagonu bydłowego wśród innych robotników przymusowych. Kaszle, słabnie. Stacja końcowa jest w Metz w Lotaryngii (po wojnie miasto znajdzie się w granicach Francji).

Wspomina: – Wszyscyśmy najsamprzód poszli tam do bani, kąpieli takiej pod prysznicami. Osobno mężczyźni, osobno kobiety. Nasze ubrania zabrali do dezynsekcji, a nam kazali stanąć nago w kolejce do Niemca z płynem dezynfekcyjnym. Miałam gorączkę, było mi niedobrze, potwornie się wstydziałam. Niektóre dziewczęta miały długie warkoczki, rozpuszczały je jak zasłonę, ale ja miałam włosy krótkie.

Następnie osłuchał mnie lekarz. „Ty nie jedziesz dalej” – powiedział. Miałam zapalenie płuc. Rozplakałam się, bo byłam już zżyta z ludźmi z mojego wagonu.

Pierwszą w życiu zupę z brukwi Władzia wylewa. Śmierdzi strasznie, więc gdy tylko salowa wychodzi, wstaje po cichu z łóżka, idzie na dwór i chluszcze z miski w krzaki. Następną zjada z obrzydzeniem, trzecia już jej smakuje. Tylko taką potrawę dostają pacjenci.

W szpitalu Władzia leży dziesięć dni, leczą ją aspiryną. Nie czuje się jeszcze całkiem dobrze, gdy przyjeżdża po nią wachman Max, żeby odstawić do obozu przyfabrycznego w Zweibrücken. Szesnastoletnia Polka spod Lwowa powinna się już brać do pracy.

Trzy zdjęcia

Pierwszy fotograf przywozi aparat, mocuje go na statywie i za kilka fenigów (robotnicy przymusowi zarabiają niewielkie pieniądze) robi zdjęcia na tle ściany baraku. Władzia czesze przedziałek,

podpina grzywkę na bok i siada do fotografii ze starszą koleżanką z pokoju. Słońce stoi wysoko, obie mrużą więc oczy. To zdjęcie pocztówka z wydrukowanym na odwrocie miejscem na adres i kilka słów do rodziny. Moja babcia znajdzie kartkę po wojnie w rzeczach swojej matki, zalaną atramentem, niemal nieczytelną: „...braciszka...na pamiątkę od curki z dalekiego kraju...patrzcie na mnie, bo napewno do was już nie wrucę, bo u nas już właśnie jaskółki latają...8 nacji, Rosjany, Polaki, Czechy, Niemcy, Francuzi...”.

Babcia Władzia: – Jakieś same głupoty im pisałam. Myślałam, że posługuję się szyfrem. Te jaskółki to samoloty alianckie, które zaczynały bombardować Niemcy. Mama mi tylko pisała: „Nie spiesz się, dziecko, do domu, bo nie masz po co”. Dla mnie to było straszne, bo nie wiedziałam wtedy jeszcze o śmierci siostry Danuśki. Zginęła z rąk sąsiada Ukraińca. Mama uciekła z bratem tak jak stali.

—

Drugi fotograf przywozi z sobą kupon płótna, który rozwiesza w tle. Modelki sadza w ozdobnym krześle. Towarzyszy mu kobieta z kuferkiem kołnierzy, szali, narzutek i chust. Proponuje Władzi, żeby do ciemnego żakietu dopięła biały koronkowy kołnierz:

– Jesteś jeszcze młoda, nie postarzaj się – mówi.

Moja babcia przypina żabot, podpina wysoko włosy i spogląda w obiektyw z lekkim uśmiechem, niczym obozowa Mona Lisa.

Znam to zdjęcie od dzieciństwa. Zawsze dziwiłam się, że moja babcia jest na nim pyzata.

– Przecież mówiłaś, że głodowałyście w obozie – pytam ją.

– Straszliwie. Na śniadania była herbata lub kawa zbożowa, obie lury – mówi. – Kto nie zachował kromki chleba z kolacji, nic nie jadł. A ten chleb jeszcze wieczorem zniknął pierwszy, bo na kolację zwykle były trzy sparciałe ziemniaki, tyżka buraków i trochę sosu. O trzynastej była przerwa obiadowa. Leciłam z fabryki do baraku



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

po menażkę i do stołówki w kolejkę po zupę, zawsze tak przeso-
loną, że oczy wychodziły. Pracowałyśmy po dwanaście godzin,
do siódmej wieczór. Pragnienie miałyśmy cholerne od tej zupy.
W sklepiku na terenie obozu sprzedawano bardzo tanio piwo,
w którym nie było alkoholu, ale świetnie gasiło pragnienie. Ono
było bardzo tuczące. Chodziłyśmy grube, jakby opuchnięte, lecz
głodne. Ale jak przyjeżdżała kontrola ze Szwajcarskiego Czerwo-
nego Krzyża, to miałyśmy dobry wygląd.

Na odwrocie tej fotografii moja babcia pisze tylko: „Na pamiątkę
Kochanej rodzinie, zasyła córka Władzia”.

Kiedy do obozu przyjeżdża trzeci fotograf, moja babcia ma na so-
bie suknię w grochy, wyskubane cienko brwi jak aktorka, pięknie
falujące włosy uczesała zgodnie z obowiązującą modą.

Wspomina: – Układałyśmy włosy na piwo w lok nad czołem, bo tak
się czesały lagerfiurki, czyli komendantki. Chciałyśmy ładnie wyglą-
dać. To było szalenie trudne, bo każda miała jedno czy dwa ubrania,
które szybko się poniszczyły. Jak kogo wywieźli w łapance latem, to
zimę przechodził w sandałkach i cienkim swetrze. Inna znów miała
na lato ciężki płaszcz i garsonkę. Wyglądałyśmy jak dziadówki.

Raz na teren obozu wjechała ogromna ciężarówka pełna ubrań.
Wrzucili je do jednego pokoju i ogłosili – najsampierw idą Ukra-
inki, potem Polki. Można było wchodzić po jednej osobie i wy-
brać dwie sukienki, żakiet albo płaszcz. Dziewczyny mówiły, że to
rzeczy po Żydach. Weszłam przestraszona. Wybrałam sobie dwie
czarne sukienki. Jak nigdy, bo zawsze wolałam kolory.

Najtrudniej było z bielizną. Majtki z domu wydarły się szybko,
innych nie było. Podczas miesiączki to tragedia. Radziłyśmy sobie
jak mogłyśmy. Jedna z koleżanek uszyła mi majtki z koca. Okrop-
nie gryzły, pogrubiały mnie w pasie, ale były ciepłe i spełniały

swoje zadanie. Za podpaski służyły nam szmatki z resztek, prały-
śmy je i używałyśmy wielokrotnie.

– Pod szyją masz broszkę swojej mamy – przypatruję się fotografii.

– Niestety nie – babcia zasmuca się trochę. – Tamtą pożyczylam
koleżance i ona ją zgubiła. Zdobyła gdzieś inną, podobną i mi od-
dała, ale to już nie było to.

EMILIA

Płaszcz z pokrzyw

Emilia Muchewicz liczy: – Dwa podkoszulki bawełniane na ramiącz-
kach. Dwa biustonosze, piękne, z surówki. I dwoje majtek z trykotków,
wiązanych na sznurki, ciepłe takie. To było moje żołnierskie wyposa-
żenie. Jedno przepierałam, a drugie nosiłam. Spódnica na zimę i lato,
dwa swetry polo – amerykańskie, z szerokimi kołnierzami. Płaszcz
wojskowy. Był bardzo ciężki, mówili, że robiony z pokrzyw, więc ran-
nych z pola zbierałyśmy w swetrach, lżej nam było. Miałam też buty
oficerki, tato mi obstalował na wysiedleniu, bo modne były. I plecak.

Na okres dostawałyśmy dodatkową ligninę i miałyśmy prawo
stanąć rano do raportu, że „obywatelu komendancie, melduję nie-
dysponowanie”. Niektóre nadużywały tego przywileju, czasem ko-
mendant się złościł.

Musiałyśmy się pilnować, zwłaszcza na warcie. Trzeba było
mocno wiązać sznurki w majtkach, bo żołnierka w ciąży to śmiech
i szyderstwo. Co miesiąc robili nam badania ginekologiczne. Mia-
łaś brzuch? Szłaś do cywila.

Była w naszym szpitalu sanitariuszka z Ukrainy. Patrzę raz,
a ona płacze. „Czego becysz” – pytam ją. „Poszłam do naszych,
Ruskich – mówi – pogadać chciałam. Spili mnie wódką i zgwałcili.
I teraz mam rzeżączkę”.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih
itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Wicekomendantką naszego szpitala była rosyjska *wraczka* (le-
karka) Maria Chanutnik, bardzo fajna kobieta, znała język polski.
Raz wchodzę do jej pokoju, patrzę: ona leży nieprzytomna, wokół
tabletki porozrzucane. Cholera jasna, truła się! Zrobili jej pompo-
wanie żołądka, uratowali. Okazało się, że jest w ciąży. Uwiódł ją
pewien człowiek, mówił, że nie ma żony, wydało się, że ma. Wy-
walili ją z wojska natychmiast.

Ja do ślubu zostałam dziewicą.

Zamiast

Wiosną 1945 roku Emilia, sanitariuszka trzydziestego ósmego
szpitala polowego I Armii Wojska Polskiego, zamiast czernić rzę-
sy, ściera z twarzy sadzę z dymiącego piecyka w wagonie. Pociąg
szpitala polowego zatrzymuje się na stacji w drodze do Bydgosz-
czy. Czarne sanitariuszki wyskakują na peron.

Kolejarze krzyczą na ich widok: – Baby w wojsku!

Drudzy odkrzykują: – To nie nasze baby, takie czarne to musi
być, że Ruskie!

Emilia Muchewicz wspomina: – Dopiero gdy się do nich ode-
zwaliśmy po polsku, przestali tak wrzeszczeć.

Zamiast malować usta czerwoną szminką, pierze zużyte, za-
krwawione bandaże.

– Brakowało wszystkiego. Czasem przywozili nam z frontu
ciężko rannych, co to opatrunki z oszczędności mieli od trzech
dni niezmieniane, wrosnięte w rany. Biedne to nasze wojsko było,
w tych dreliszkach, obłocone. Każdy jeden zawszony, trzeba było
wykąpać i do czystej pościeli.

Zamiast pocałować chłopca w usta, zdejmuję opatrunek z jego
twarzy, bo podał jej karteczkę z zapisanym słowem „pić”.

– Rozwijam bandaż, a on nie ma żuchwy – pamięta. – Wyrwało
mu. Biorę lejek, sondę i wlewam mu ćwierć szklanki wody.

Nadzy mężczyźni nie robią na niej wrażenia. Leżą na kocach przykryci gazą, uratowani z płonących czołgów. Ich rany ropieją, Emilia je oszczyszcza.

Zamiast pisać listy miłosne, notuje słowa, które jej dyktują do rodzin.

– A jak dostawali pocztę, to im czytałam – mówi. – Kiedyś do jednego taki list przyszedł: „Pieska nie ma, zabrali, taki był mizerota”. I chory się rozplakał. Ta wiadomość znaczyła, że brata mu zabili. On był Polakiem z Sybiru, jego rodzina wciąż tam żyła, o pewnych rzeczach nie wolno im było pisać. Raz jeden oficer, którym się opiekowałam, napisał do moich rodziców: „Zapoznałem córkę waszą. Jest to bardzo odpowiedzialna dziewczyna, musicie być dumni”.

WŁADZIA

Warum taka blada?

Moja babcia jest nastolatką i produkuje ciągniki rolnicze. Wysoka, silna, ma mocny uścisk dłoni. W fartuchu roboczym zapinanym na plecach staje przy tokarce.

Pamięta: – Na głowę trzeba było założyć siatkę. Niemcy pilnowali tego. Kiedyś przynieśli bor (wiertło), a na nim skalp zerwany z głowy dziewczyny. Nachyliła się nad maszyną i wkręciło jej włosy. Obnosili to po całej fabryce i pokazywali, jak będziemy wyglądać bez siatek. Narzekałyśmy z koleżankami – tylu ładnych chłopaków wokół, a tu każą chodzić w czepku.

Z tokarki przenoszą ją na wiertarkę ręczną. Żeby przewiercić się przez stal, Władzia musi ją przyciskać z całych sił jedną ręką, a drugą trzymać materiał. Jest wykończona.

– To się zdarzyło o trzeciej lub czwartej rano, na nocnej zmianie – opowiada. – Byłam już tak śpiąca, że podłożyłam blachę pod wiertarkę i zamiast cofnąć rękę, spuściłam maszynę na dół. Ręka

wpadła w tryby. Krzyknęłam. Majster podbiegł do mnie, zatrzymał maszynę i spytał: „*Warum* taka blada?”. A ja pokazałam na rękę. Dopiero wtedy podniósł głowicę i mnie uwolnił.

Miałam skomplikowane złamanie nadgarstka i dłoni. Złożyli mi rękę bez znieczulenia, założyli gips i kazali przyjść za sześć tygodni. Do fabryki w tym czasie zakazali chodzić. Gdy wróciłam do szpitala na zdjęcie gipsu, tam był już inny lekarz, młody. Mówi: „Oni ci źle złożyli rękę. Będiesz miała krzywą do końca życia, nic nią nie zrobisz. Jeśli chcesz, zrobię ci operację i ponownie złożę”. Chciałam. To był trupi Niemiec, z SS. Zapytał, skąd jestem. „Spod Lwowa” – odpowiedziałam. „Wspaniałe miasto! – ożywił się. – Właśnie stamtąd wracam, byłam na placówce. Bardzo dobrzy ludzie tam żyją”.

Po zdjęciu gipsu Władzia wraca do pracy w fabryce.

EMILIA

Porządne dziewczyny

Nad Strzelcami Krajeńskimi pada coraz mocniej. Emilia Muchewicz zaprasza mnie na obiad do zaprzyjaźnionej stołówki. Zamawia dla nas zupę, drugie danie i kompot.

Koniec wojny zastał ją w bydgoskim szpitalu. Następny rok spędziła w Gdyni, w szpitalu Marynarki Wojennej. Kiedy jednak dostała wiadomość o chorobie matki, odeszła do cywila i dołączyła do rodziców, którzy po wojnie zamieszkali w Strzelcach na ziemiach zachodnich (do niedawna Friedebergu).

Opowiada: – Miałam zwyczaj w nowym miejscu pójść na cmentarz. Poszłam też w Strzelcach, jeszcze w mundurze. Wchodzę, patrzę: dwa groby, na nich hełmy. Na ocynkowanej blasze napis „Zmarły śmiercią tragiczną” i mój rocznik urodzenia. Mundurowy

stoi niedaleko i pyta mnie: „A koleżanka co tu robi?”. Podchodzi, łapie mnie za rękę i mówi, że leżą tu dwie dziewczyny, Rosjanki, regularne żołnierki Armii Czerwonej. Stały we dwie na warcie, Ruskie podjechały do nich, jeden zeskoczył z samochodu i już się do niej zabiera, żeby gwałcić. Więc ta druga wzięła pepeszę i rąbła go. To zaraz obie aresztowali, dwa tygodnie trzymali w zamknięciu, a potem pod murem zabili. „Opiekuj się ich grobem – poprosił, bo sam był z Kieleckiego i wracał w rodzinne strony. – To były porządne dziewczyny”. To wzięłam i się opiekowałam.

Patrzemy przez chwilę w milczeniu przez okno stołówki. Ulewa się wzmagają. Kawę postanawiamy wypić w domu pani Emilii.

WŁADZIA

Narzeczeni mojej babci

Kontakt z robotnikami przymusowymi Niemcom jest surowo wzbroniony.

Moja babcia wspomina: – Raz wachman Max chciał mnie zgwałcić. To było w czasie bombardowań. W fabryce rozległ się *voralarm*. Zgasiłam światelko przy maszynie i przygotowałam się do zejścia do schronu. A ten sukinsyn czekał na mnie ukryty za tokarką. Złapał mnie i zaczął ciągnąć za sobą. Nie wiedziałam, czy powinnam krzyknąć, bo gdyby nas ktoś przyłapał, to on mógłby powiedzieć, że go namawiałam. Na szczęście ktoś koło nas przechodził, więc zaczęłam wachmana po niemiecku prosić: „puść mnie”. Puścił, przestraszył się. I uciekłam za tym człowiekiem do schronu. Unikałam potem Maxa.

Władze obozu zezwalają na kontakty robotników z robotnikami w dniu wolnym od pracy. Po drugiej stronie miasteczka jest męski obóz dla Francuzów. Gdy urządzają zabawę, zapraszają do siebie Polki, Ukrainki i Rosjanki.

Władzia: – Lagerführer powiedział przy obiedzie w sobotę, że na drugi dzień możemy iść na zabawę. „Tylko macie wrócić dokładnie o dwudziestej! Za pięć minut spóźnienia daję sztraf – zakaz wychodzenia z obozu przez dwa tygodnie”. Poszliśmy więc. Francuzi mieli wygodne baraki, dobre jedzenie, duże paczki z domu. Inne życie. Zabawę urządzili w ładnej sali. Tak bardzo nie chciało nam się wracać do naszego obozu. Dobrze się bawiłyśmy, było jeszcze jasno, ludzie spacerowali ulicami. Przez chwilę miałyśmy normalne życie. Jeden z tych Francuzów trochę się we mnie potem podkochał. Na tym zalanym atramentem zdjęciu mam na sobie serdaczek z angory, zobacz. Dostałam go od niego właśnie. Przysłali mu z domu.

Babcia Władzia liczy obozowych narzeczonych.

Poza Francuzem był też Ben z Holandii, pracownik biurowy w fabryce.

– Szłam kiedyś sztrasą, czyli drogą do magazynu, wymienić jakieś części, a on szedł z naprzeciwka – wspomina. – Spojrzał na mnie przelotnie i zauważyłam, że wrzuca mi coś do kieszeni. Włożyłam rękę, poczułam karteczkę. Pewnie liścik. Myślę sobie: „Matko Boska, muszę to od razu przeczytać. Nie wytrzymam”. Poszłam do ubikacji i czytam, że on przeprosza, że w taki sposób, ale bardzo mnie prosi, żebyśmy się spotkali. W niedzielę poszłam z nim na spacer do lasu. Niestety, wkrótce wyjechał i więcej go już nie spotkałam.

Raz na randkę zaprosił ją Polak. Był przystojny, z Warszawy, poszli do lasu.

– Weszliśmy między drzewa, a ta zaraza zaczął się do mnie dobierać – Władzia do dziś nie kryje oburzenia. – Byłam głupia, naiwna, ale wiedziałam, o co mu chodzi. Przestraszyłam się, odepchnęłam go i uciekłam w głąb lasu. Zaczęłam płakać, bo mnie dogonił. „Nie chciałem ci zrobić krzywdy” – powiedział. A ja do niego: „Pan Polak i takie zachowanie? To ja się z Francuzami umawiam,

Holendrami, ale żaden nie był taki jak pan”. Przeprosił mnie i odprowadził do baraku. A innym chłopakom powiedział, żeby się ze mną nie umawiać, bo nie da się skorzystać. Widzisz? Na robotach bywało też śmiesznie.

Babcia umiera

Przez ostatni rok jej pamięć uciekała. Wtedy myliła fakty i pory roku, nakładała wspomnienia. Jej koniec wojny miał kilka wersji. Nagrania nadawały się do skasowania. Żartowała wtedy sama z siebie: „Patrz, jaką jestem już staruszką”.

Bywały miesiące, gdy jej głowa działała na pełnych obrotach, ale wtedy akurat ja wyjeżdżałam gdzieś w świat i nie mogłyśmy się spotkać.

W lipcu 2020 roku babcia Władzia umarła. Miała dziewięćdziesiąt cztery lata.

Sama muszę dokończyć jej wojenną historię.

Jest wiosna 1945 roku. Front wschodni zbliża się do Berlina, zachodni przekroczył Ren. Trwają bombardowania niemieckich miast. Panuje chaos.

W lutym władze lagru w Viernheim wystawiają za moją babcią list gończy: „Kwitkowska Władysława, ma około 175 centymetrów wzrostu, mocną budowę ciała, pełną twarz, jasne włosy i szare oczy. Ubrana była w suknię z szarej tkaniny, czarny płaszcz, czarne półbuty, na głowie wiąże szal. Nie powinna posiadać przy sobie większej gotówki, nie mówi po niemiecku. Oryginał dokumentu zostanie przekazany Gestapo”³.

List podobnej treści dotyczy też Eugeniusza Gawryłuka z Warszawy, rocznik 1919, ślusarza w fabryce maszyn rolniczych Lanz.



cdjskfjksfjksfjAs atquunt moluptatur audaepe rumquid iamusdam eos earumqu undenih itaectem expersp iciendae ommodit quam quam quiscii

Jest przywódcą uciekinierów, niewielkiej grupy Polaków. Zna doskonale niemiecki, próbował uciekać już kilka razy.

Od pewnego czasu jest też chłopakiem Władzi. Będzie moim dziadkiem.

Poznali się w Heppenheim, dokąd ewakuowano kobiety z Zweibrücken, razem trafili do kolejnego obozu w Viernheim. Teraz trzymają się grupą, ukrywają w lasach, śpią w liściach, wiedzą, że wojna się zaraz skończy. Jednak jeszcze nim to nastąpi, trafiają do Polskiego Ośrodka Zbornego w Weinsbergu, prowadzonego przez Amerykanów, sto kilometrów na południe od Viernheim. Samodzielna wólczuga po Niemczech jest zbyt niebezpieczna.

W lipcu 1945 roku Władzia wychodzi za mąż za Eugeniusza. Ślubu udziela im polski ksiądz w Weinsbergu. Mam ich zdjęcie z tamtego dnia. Szczupła, wysoka dziewczyna w stroju ślubnym, z welonem na modłę przedwojenną, stoi z bukietem kwiatów u boku mężczyzny w czarnym garniturze. W tle widać parterowy barak. On się lekko uśmiecha, ona jest zła jak osa. Uważa, że wygląda jak czupiradło. Chciała iść do ślubu w szarej garsonce, którą cudem udało jej się zdobyć, ale Polki z obozu uparły się, że ma wyglądać tradycyjnie.

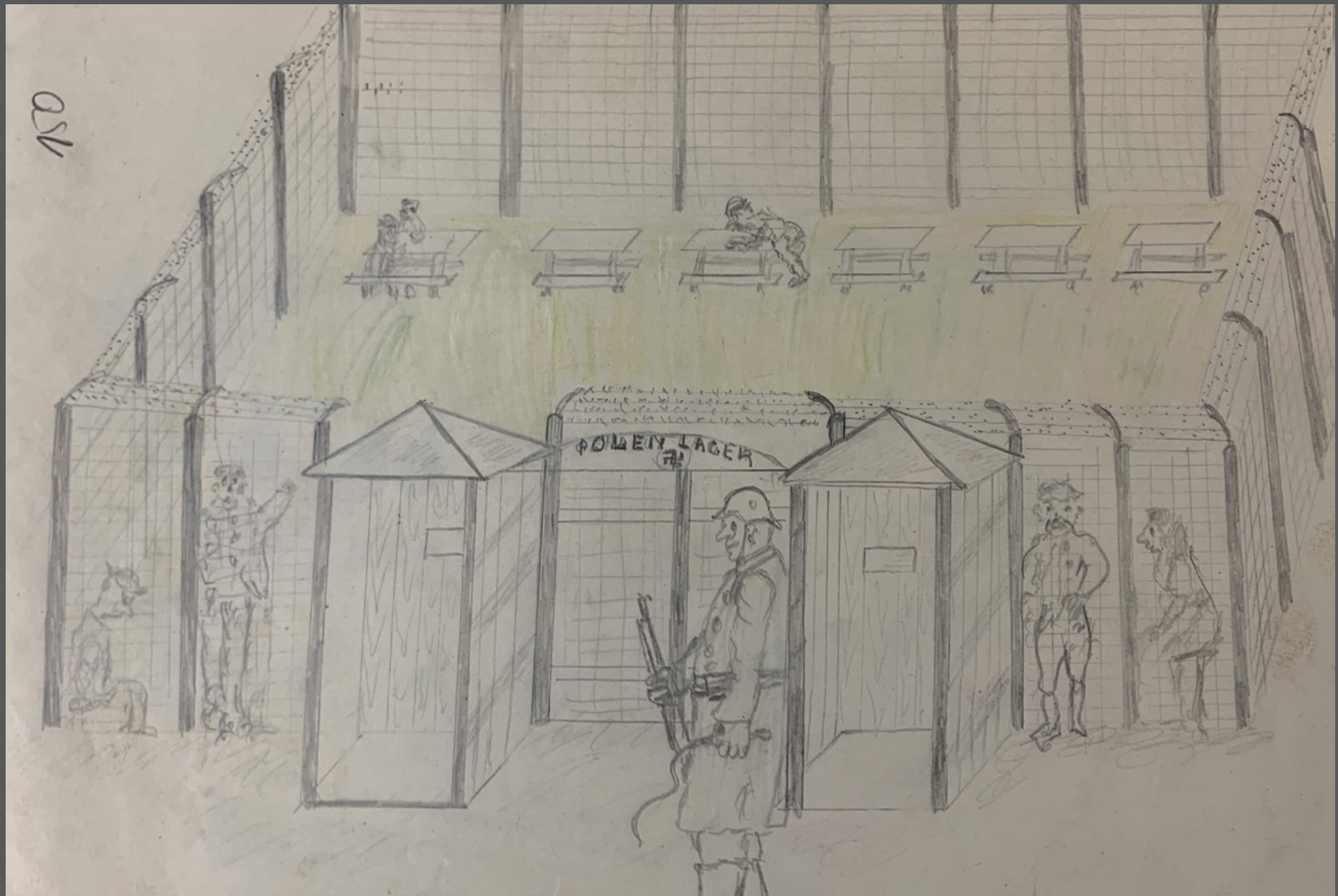
Chyba jeszcze tego nie wie, ale jest w trzecim miesiącu ciąży. Dziewczyna, która nie dokończyła swojego dzieciństwa, teraz sama będzie miała dziecko.

W sierpniu przenoszą się do obozu dla dipisów (*displaced persons*) w Schwäbisch Hall. Nie zamierzają wracać do Polski, Władzia ma krewnych w Kanadzie, chcą do nich pojechać.

W lutym 1946 roku na świat przychodzi Ryś Gawryluk, ich syn. Umiera pół roku później na zapalenie opon mózgowych. Władzia nie chce już żadnej emigracji, tęskni do swojej mamy, która osiadła w Gdańsku.

Młode małżeństwo przekracza granicę Polski 2 września 1946 roku – mija siedem lat i jeden dzień od wybuchu wojny.

CDJSKFJKSFJKSFJAS
ATQUUNT
MOLUPTATUR
AUDAEPE RUMQUID
IAMUSDAM EOS
EARUMQU UNDENIH
ITAECTEM EXPERSP
ICIENDAE OMMODIT
QUAM QUAM
QUISCII



PODZIĘKOWANIA

Robertcie, Tosiu i Totusiu (to nasz pies) – bez was nic bym nie napisała. Dziękuję, że jesteście.

Składam serdeczne podziękowania: Janie Karpienko – dziewczynie o złotym sercu i nieziemskiej cierpliwości do moich pytań o Rosję i język rosyjski. Agnieszce Sowińskiej, która wymyśliła dla mnie temat o dzieciach łagrów. Jekatierinie Kuzniecovej za Dinę i wsparcie w Karagandzie. Maszy Makarowej za opiekę w Moskwie. Igorowi Stankiewiczowi za wszechstronną pomoc w Mińsku. Bognie Ladowicz za wynalezienie tematu o dzieciach japońskich, a całej jej rodzinie za przyjaźń i pomoc w Los Angeles i okolicach. Markowi Górlikowskiemu za Alexa Hershafta.

Magda Sacha poznała mnie z panem Arturem Pawłowskim, za co jestem jej bardzo wdzięczna. Zaciągnęła mnie też na konferencję naukową w Poznaniu, skąd skradłam kilka tematów i gdzie poznałam znakomitych ludzi, na przykład Itę Wachowską, której też dziękuję za wnikliwą lekturę tekstu o Baskach. Jan Daniluk, historyk, który podrzucił mi Michaela Wiecka, musiał odpowiadać na dziesiątki moich pytań i czytać reportaże „niemieckie”, żywcem

pójdzie za to do nieba. Dmitrijowi Panto jestem wdzięczna za cenne uwagi po lekturze tekstu o dzieciach łagrów. Temat Basków zawdzięczam pośrednio Michałowi Nogasiowi, który skontaktował mnie z Iwoną Zielińską, która z kolei w ciągu jednego dnia skontaktowała mnie z Martinem Abrisketą. Alaiz Bilbao to cudowna Baskijka, którą pokochałam jak siostrę – jej dziękuję za pomoc w Bilbao. Amaia Donés Mendia pewnego deszczowego dnia była moją tłumaczką, za co jej bardzo dziękuję.

Ludzi na mojej drodze było więcej. Wszystkim, którzy mi pomogli, dziękuję.

Nie każdy temat się udaje, z różnych powodów, ale zawsze warto wspomnieć o ludziach, którzy pomagali przy nich.

Dziękuję pani Magdzie Miller, Magdzie Parys i Berndowi Liebigowi za wysiłek włożony w pracę nad zgłębieniem historii pewnych listów odnalezionych pod podłogą.

Samuelowi Ponczakowi dziękuję, że zechciał podzielić się ze mną swoją historią, i Maryli Krasowskiej, że nas połączyła. Samuelu, ja jeszcze Ciebie opiszę, obiecuję!

Ewie Kurpisz, dziękuję za to, że poznała mnie ze swoją mamą.

Co ja bym poczęła bez Małgosi Szejnert, mojej reporterskiej matki, Daniela Lisa, redaktora nad redaktorami i szczerego przyjaciela, Pawła Goźlińskiego, skomplikowanego, ale diabło mądrego człowieka, który jak nikt koi nerwy reporterki. Wolę się nad tym nie zastanawiać – dobrze, że jesteście.

Szczególne podziękowania należą się Małgosi Skowrońskiej, znoszącej cierpliwie wszystkie moje pomysły, Kasi Kubickiej, z którą uwielbiam pracować. Dziękuję też Danucie Sabale – praca z tobą to zaszczyt, przyjemność i poczucie bezpieczeństwa, oraz Waldemarowi Gorlewskiemu, za zaangażowanie na najwyższym poziomie. Pani Iwonie Pikulskiej także serdecznie dziękuję. Pozdrawiam całą ekipę Agory, która zaraz ruszy z posad bryłę świata, żeby ta książka znalazła miejsce na półkach czytelników.

Mirze i Jackowi Zarembom dziękuję za przyjaźń i miejsce w Kiermusach, gdzie można zawsze naładować akumulatory. Karolinie Goźlińskiej za pokój z niekrępującym wejściem i miłość.

Dużo miejsca w moim sercu zajmuje pewna sopocka grupa sąsiadów, bez których pewnie ta książka powstałaby szybciej, ale życie byłoby smutniejsze. Ani i Szymonowi Świtajskim, Marzenie i Darkowi Wolniakom, Wiesławowi Łukaszewskiemu, Kasi i Eranowi Galom, Jaškowi i Iwonie Pawłowskiem – dziękuję za to, że są.

PRZYPISY KOŃCOWE

LEGENDA O ARTHURZE

- ¹ Joanna Schopenhauer, *Gdańskie wspomnienia młodości*, cyt. Za: <http://www.dawnaoliwa.pl/opisy/ulice/nr/polanki122.html>, dostęp: 6.03.2021
- ² „Gazeta Gdańska” z 19.02.1919 r., s. 2.
- ³ Anna Landau-Czajka, *Wychowanie dla wojny. Ideologia wychowawcza polskiej prawicy nacjonalistycznej*, [w:] „Kwartalnik Historyczny” nr 3-4/1990, s. 157-175.
- ⁴ Cyt. za: dr Andrzej Zand, *Szkoła i wychowanie w Niemczech hitlerowskich*, Warszawa-Poznań 1939, s. 8.
- ⁵ *Ibidem*, s. 22.
- ⁶ *Ibidem*, s. 31.
- ⁷ W 1938 roku powstanie również BDM-Werk Glaube und Schönheit – trzecia sekcja dla dziewcząt, od siedemnastego do dwudziestego pierwszego roku życia.
- ⁸ Gregor Ziemer, *Education for death. The making of the Nazi*, Oxford University Press, 1941, s. 63
- ⁹ *Ibidem*, s. 105
- ¹⁰ *Ibidem*, s. 162
- ¹¹ „Life” z 1.01.1943 r., s. 38.
- ¹² Pimpfami nazywano młodszych chłopców w Jungvolku.
- ¹³ *Schwedenpatenschaft ueber Danziger Waisen Kinder*, „Mitteilungsblatt”, czerwiec 1949 r.

ŻYCIE ROŚLIN

- ¹ Dariusz Magier, Komuniści w powiecie radzyńskim w latach 1928-1944, „Radzyński Rocznik Humanistyczny”, t. 6, 2008, s. 166.
- ² Sołowki to nazwa potoczna tego obozu i jest pochodną od archipelagu (Sołowiecki archipelag). Obóz miał akronim SLON – Соловецкий лагерь особого назначения.
- ³ Главное управление исправительно-трудовых лагерей и колоний (Głównoje uprawnienie isprawitielno-trudowych łagieriej i kolonij, Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy)

- ⁴ Siewwostłag (Północno-Wschodnie Poprawcze Obozy Pracy) był największym na świecie obozem pracy przymusowej, działającym na rzecz Dalstroju, czyli organizacji założonej w 1931 roku przez NKWD w celu zarządzania budownictwem i górnictwem na rosyjskim Dalekim Wschodzie. Siewwostłag specjalizował się w wydobywaniu złota i innych szlachetnych kruszców, uranu oraz rudy żelaza. Dodatkowe zadania, które realizowali więźniowie obozu, obejmowały wyrąb lasów oraz budowę dróg. Obszar objęty administracyjnym zarządzeniem władz obozowych wynosił łącznie ponad 2,6 miliona kilometrów kwadratowych. W czasie jego funkcjonowania (1932-1952) pod przymusem przebywały w nim setki tysięcy ludzi. Z powodu tragicznych warunków bytowych, głodu i nadmiaru pracy zmarło w nim około 130 tysięcy więźniów.
- ⁵ Mówi o tym autorce Garri Pogoniajło. Potwierdzenie jego słów można znaleźć w książce Anny Applebaum *Gułag, Świat Książki*, Warszawa 2005, s. 273-317.
- ⁶ Dane podaję za: <https://novayagazeta.ru/articles/2017/08/16/73493-putevka-v-alzhir>, dostęp: 17.10.2020.
- ⁷ Ibidem.
- ⁸ https://nkvd.memo.ru/index.php/Бариннов,_Сергей_Васильевич, dostęp: 17.10.2020.
- ⁹ Cytat pochodzi z filmu *Мы будем жить* Darii Violiny i Sergieja Pawłowskiego z roku 2009, <https://www.youtube.com/watch?v=-9FD029r3IY>, dostęp: 17.10.2020.
- ¹⁰ Tamże.
- ¹¹ Cytaty pochodzą listów Nikołaja Giorgijewicza Karetnikowa słanych do Olgi Siemionowny Galpiriny w latach 1938-1945, w tłumaczeniu Jany Karpjenko. Kopia listów w posiadaniu autorki reportażu.
- ¹² Cytat pochodzi ze wspomnień Lili Wercholewskiej w tłumaczeniu Jany Karpjenko. Kopia wspomnień w posiadaniu autorki reportażu.
- ¹³ Tamże.
- ¹⁴ Tamże.

KINDERSZENEN

- ¹ Dieter Schenk, Hans Frank. *Biografia generalnego gubernatora*, Kraków 2009, s. 160.
- ² Niklas Frank, *Mój ojciec Hans Frank*, Warszawa 1991, s. 67.
- ³ <https://collections.ushmm.org/search/catalog/irn1005019>, dostęp 14.07.2020 r.
- ⁴ Dieter Schenk, Hans Frank. *Biografia generalnego gubernatora*, dz. cyt., s. 154.
- ⁵ Niklas Frank, *Mój ojciec Hans Frank*, dz. cyt., s. 72.
- ⁶ Dieter Schenk, Hans Frank. *Biografia generalnego gubernatora*, dz. cyt., s. 168.
- ⁷ Tamże, s. 17.
- ⁸ Niklas Frank, *Mój ojciec Hans Frank*, dz. cyt., s. 99.
- ⁹ <https://collections.ushmm.org/search/catalog/irn1004699>, dostęp 14.07.2020 r.
- ¹⁰ Frank Niklas, *Bruder Norman! Mein Vater war ein Naziverbrecher, aber ich liebe ihn*, Bonn 2014, s. 47.
- ¹¹ http://pl.auschwitz.org/lekcja/9_m_pamieci/kurs/s405/fragmenty.pdf, dostęp: 8.03.2021 r.

- ¹² Dieter Schenk, Hans Frank. *Biografia generalnego gubernatora*, dz. cyt., s. 236.
- ¹³ Niklas Frank, *Mój ojciec Hans Frank*, dz. cyt., s. 189.
- ¹⁴ Frank Niklas, *Bruder Norman! Mein Vater war ein Naziverbrecher, aber ich liebe ihn*, dz. cyt., s. 90.
- ¹⁵ Dieter Schenk, Hans Frank. *Biografia generalnego gubernatora*, dz. cyt., s. 355.
- ¹⁶ Tamże.
- ¹⁷ Tamże, s. 367.
- ¹⁸ Frank Niklas, *Bruder Norman! Mein Vater war ein Naziverbrecher, aber ich liebe ihn*, dz. cyt., s. 271.
- ¹⁹ Tamże, s. 184.
- ²⁰ Gerald Posner, *Belastet. Meine Eltern im Dritten Reich. Gespräche mit dem Kindern von Tätern*, Berlin 1994, s. 51, cyt. za: Dieter Schenk, Hans Frank. *Biografia generalnego gubernatora*, dz. cyt., s. 392.
- ²¹ Dieter Schenk, Hans Frank. *Biografia generalnego gubernatora*, dz. cyt., s. 394.
- ²² Tamże.
- ²³ Samuel Warde, *U.S. Army Hangman John C. Woods Intentionally Botched Nazi Executions To Ensure Their Agonizing Deaths*, <https://allthatsinteresting.com/john-c-woods>, dostęp: 24.07.2020
- ²⁴ Niklas Frank, *Mój ojciec Hans Frank*, dz. cyt., s. 201.
- ²⁵ Frank Niklas, *Bruder Norman! Mein Vater war ein Naziverbrecher, aber ich liebe ihn*, dz. cyt., s. 235.
- ²⁶ Tamże, s. 236.
- ²⁷ Tamże, s. 238.
- ²⁸ Niklas Frank, *Mój ojciec Hans Frank*, dz. cyt., s. 236.
- ²⁹ Informacje o szkole zaczerpnęłam z <https://de.wikipedia.org/wiki/Carl-Hunnius-Internat>, dostęp: 27.07.2020 r.

ELEMENTARZ ZESŁAŃCA

- ¹ Trudodień – jednostka wartości w kołchozach Związku Radzieckiego. Robotnikom zaliczano za pracę trudodni, a na koniec okresu umownego wypłacano im za to pieniądze lub ekwiwalent w postaci żywności.
- ² Cecylia Riedl, *Wprowadzenie*, [w:] *Przez Sybir na Ziemię Gdańską*, praca zbiorowa pod redakcją Cecylii Riedl, Gdańsk 2006, s. 27.
- ³ Franciszek Nowiński, *Zesłania na Syberię w polskiej tradycji historycznej*, [w:] tamże, s. 21. Naukowcy nie są zgodni co do ostatecznej liczby deportowanych. Zdaniem niektórych rosyjskich badaczy suma ta nie przekroczyła czterystu tysięcy ludzi.
- ⁴ W ciągu roku uda się w sumie wyprowadzić do Iranu ponad sto piętnaście tysięcy ludzi, w tym siedemdziesiąt osiem i pół tysiąca żołnierzy i osiemnaście tysięcy dzieci. Dane za: <https://dzieje.pl/aktualnosci/ewakuacja-armii-polskiej-ze-zwiazku-sowieckiego>, dostęp: 8.12.2020 r.
- ⁵ Paweł Stolyarov-Korol, *Domy dziecka na Syberii w latach 1941-1946*, <http://jbc.jelenia-gora.pl/dlibra/publication/1003/edition/1216>, dostęp: 8.12.2020 r.
- ⁶ W 1964 roku miasto przemianowano na Togliatti.

SHIKATA GA NAI

- ¹ Nagranie pochodzi z: <https://www.youtube.com/watch?v=JBDbrf6Nkkt>, dostęp: 1.11.2020.
- ² Nagranie pochodzi z: <https://www.youtube.com/watch?v=RK2QW6zvSl4>, dostęp: 1.11.2020.
- ³ Nagranie pochodzi z <https://www.youtube.com/watch?v=IK8gYGg0dkE>, dostęp: 1.11.2020.
- ⁴ Dane za: Natalia Filinowicz, *Życie amerykańskich Japończyków w obozach internowania*, „Białostockie Teki Historyczne”, Tom II 2013, s. 211-230, https://repozytorium.uwb.edu.pl/jspui/bitstream/11320/858/1/BTH_11_2013_Filinowicz.pdf, dostęp: 1.11.2020.
- ⁵ <https://www.britannica.com/topic/Executive-Order-9066>, dostęp: 13.03.2021.
- ⁶ Natalia Filinowicz, *Życie amerykańskich Japończyków w obozach internowania*, dz. cyt.
- ⁷ Katarzyna Chomicz, Halina Parańianowicz, Mariusz Puchacz, *Japończycy w Stanach Zjednoczonych. Od wrogości do nienawiści*, Oświęcim 2016, s. 13.
- ⁸ Tamże, s. 38.
- ⁹ Tamże, s. 51.
- ¹⁰ Tamże, s. 73.
- ¹¹ Internment and Service: Japanese Americans from the Inland Empire: Patriotism through Protest [na:] <https://researchguides.gonzaga.edu/c.php?g=67732&p=436799>, dostęp: 9.11.2020.
- ¹² <https://www.congress.gov/bill/100th-congress/house-bill/442>, dostęp: 13.03.2021.

Z WIZYTĄ U RADZIECKIEGO WĄSATEGO KRÓLA

- ¹ *Испанские дети в СССР 1937 / Spanish children in the USSR*, <https://www.youtube.com/watch?v=VqzzmDDI5V0>, dostęp: 30 maja 2020.
- ² Karl D. Qualls, *Stalin's Niños, Educating Spanish Civil War Refugee Children in the Soviet Union, 1937-1951*, Toronto – Buffalo – London 2020, s. 34.
- ³ Serafin González Martínez, *Ejercicios espirituales, perdon mecanográficos*, maszynopis w posiadaniu autorki reportażu, tłumaczenie fragmentów – autorka.
- ⁴ Roman Fajans, *Hiszpania 1936*, [cyt. za:] Mariusz Szczygieł (red.), 100/XX+50. *Antologia polskiego reportażu XX wieku*, tom 3 1910-2000, Wołowiec 2015, s. 271-272.
- ⁵ Ksawery Pruszyński, *W czerwonej Hiszpanii*, [cyt. za:] Mariusz Szczygieł (red.), 100/XX, *Antologia polskiego reportażu XX wieku*, tom 1, Wołowiec 2014, s. 488.
- ⁶ Roman Fajans, *Hiszpania 1936*, dz. cyt., s. 271.
- ⁷ Karl D. Qualls, *Stalin's Niños, Educating Spanish Civil War Refugee Children in the Soviet Union, 1937-1951*, dz. cyt., s. 34.
- ⁸ Tamże, s. 21
- ⁹ Serafin González Martínez, dz. cyt.
- ¹⁰ Tamże.
- ¹¹ Karl D. Qualls, *Stalin's Niños, Educating Spanish Civil War Refugee Children in the Soviet Union, 1937-1951*, dz. cyt., s. 51.

¹² Tamże, s. 51.

¹³ Serafin González Martínez, dz.cyt.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Wsi o takiej nazwie nie ma na mapie w okolicy Armawiru. Być może Serafin González Martínez się pomylił lub wieś po wojnie zmieniła nazwę.

¹⁶ Serafin González Martínez, dz. cyt.

¹⁷ Serafin González Martínez w spisanych wspomnieniach nazywa kapelmistrza Evguenim Matviéevichem Guéizikiem. Spolszczyłam jego imię i nazwisko.

¹⁸ Dokładna liczba takich przypadków jest nieznana. Reżim Franco ukrywał to przestępstwo. Po jego upadku przez wiele lat porwania dzieci były tabu.

¹⁹ Judyta Wachowska, *Hiszpańskie przypadki dzieci wojną pokaleczonych: nowa powieść historyczna, pamięć i historia*, [w:] Małgorzata Grzywacz, Małgorzata Okupnik (red.) *Dzieci i doświadczenie wojny. Wiek XX i XXI*. Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2020, s. 41-60.

²⁰ Tamże.

²¹ Tamże

²² Tamże.

²³ Wojciech Rodak, *Krucjata bohaterkich „gitarzystów”*. Błękitna Dywizja na Ostfroncie, <https://naszahistoria.pl/kruczata-bohaterkich-gitarzystow-blekitna-dywizja-na-ostfroncie/ar/c15-14926970>, dostęp: 18.06.2020.

²⁴ Tamże.

²⁵ Tamże.

WARSZAWSKIE DZIECI

- ¹ Alexandra Richie, *Warszawa 1944. Tragiczne powstanie*, Warszawa 2013, s. 187.
- ² List z 10 lutego 2021 roku w archiwum autorki.
- ³ Dane za: tamże.
- ⁴ Alexandra Richie, *Warszawa 1944. Tragiczne powstanie*, dz. cyt, s. 205.
- ⁵ Generał Antoni Chruściel „Monter” – dowódca Powstania Warszawskiego, z prof. Andrzejem Leonem Sową rozmawia Mirosław Maciorowski, „Gazeta Wyborcza”, dodatek „Ale Historia!”, 1.08.2016.
- ⁶ Zdjęcie pochodzi ze strony <http://www.sppw1944.org/index.html?http://www.sppw1944.org/powstanie/defilady.html>, dostęp: 15.02.2021.
- ⁷ Tamże.

CZEGO OLEK NIE WIE

- ¹ Wywiad z Sabiną Herszaft, <http://collections.ushmm.org/search/catalog/irn511492>, dostęp: 8.01.2021
- ² Wspomnienia Sabiny Herszaft skompilowałam z dwóch źródeł: maszynopisu, który jest w posiadaniu Alexa Hershafta, i wywiadu z Sabiną Herszaft przechowywanego w zasobach United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie (patrz przypis 1).

- ³ Barbara Engelking, Jacek Leociak, Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście, Warszawa 2013, s. 61 i 62.
- ⁴ Cyt. za: Justyna Kowalska-Leder, Nieocalone z Holocaustu. współczesna personifikacja winy, „Dialog”, kwiecień 2013, s.25.
- ⁵ Michał Głowiński, Czarne sezony, Warszawa 1998, s. 22-23.
- ⁶ Informacje o działalności CENTOSU zaczerpnęłam z: Barbara Engelking, Jacek Leociak, Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście, dz. cyt., s. 352.
- ⁷ Tamże, s. 361.
- ⁸ Tamże.
- ⁹ Barbara Engelking, Jacek Leociak, Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście, dz. cyt., s. 227.
- ¹⁰ Tamże, s. 720.
- ¹¹ Wspomnienia Sabiny Herszaft.
- ¹² Barbara Engelking, Jacek Leociak, Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście, dz. cyt., s. 748.
- ¹³ Wspomnienia Sabiny Herszaft.
- ¹⁴ Wspomnienia Alexa Hershafta, maszynopis w posiadaniu autora.
- ¹⁵ 200 Protest Religious Coercion, „The Jerusalem Post” z 21.11.1961 roku – kopia wycinka z gazety w archiwum autorki.
- ¹⁶ Cyt za: <https://www.timesofisrael.com/holocaust-survivor-likens-treatment-of-livestock-to-shoah/>, dostęp: 14.01.2021.
- ¹⁷ https://s3.amazonaws.com/kajabi-storefronts-production/sites/23766/themes/603445/downloads/U4ttrPFOT62ZsNrhdvJQ_My_Story.pdf, dostęp: 14.03.2021.

WSZYSTKO CACY

- ¹ Antony Beevor i Luba Winogradowa (oprac.), Pisarz na wojnie. Wasilij Grossman na szlaku bojowym Armii Czerwonej 1941-1945, Warszawa 2006, s. 336-337.
- ² Gestapo Leader Killed, „The Advertiser” z 21.12.1943 r., s. 1, <https://trove.nla.gov.au/newspaper/article/48778544>, dostęp: 25.03.2021 r.

KSIĘGA ŻYWOTÓW DINY

- ¹ Tomasz Maruszewski, Gdzie podziewa się nasza pamięć. Od pamięci autobiograficznej do pamięci zbiorowej, Sopot 2019, s. 54.
- ² Tamże, s. 228.
- ³ Badacze pamięci nie podważają faktu, że dorośli ludzie pod wpływem psychoanalizy potrafią przypomnieć sobie molestowanie seksualne, którego doznali we wczesnym dzieciństwie. Argumentują jednak, że choć amnezja dziecięca występuje u wszystkich ludzi, traumatyczne wspomnienia nie są udziałem każdego. Więcej: Maria Jagodzińska, Amnezja dziecięca. Dlaczego nie pamiętamy wczesnego dzieciństwa?, „Przegląd Psychologiczny” nr 3/2000, s. 273-290.
- ⁴ Hilde Østby i Ylva Østby, Jak działa pamięć, Warszawa 2018, s. 121.
- ⁵ Tamże, s. 120.

- ⁶ Jekatierina Kuzniecowa, Winne bez winy, „Industrialna Karaganda” z 5.12.2006 r., s. 10.
- ⁷ Kopia dokumentu znajduje się w zbiorach autorki.
- ⁸ Tamże.
- ⁹ <https://www.familysearch.org/ark:/61903/1:1:JNBH-R36>, dostęp: 21.03.2021.

MISCHLING

- ¹ Michael Wieck, Miasto utracone. Młodość w Königsbergu w czasach Hitlera i Stalina, Warszawa 2018, s. 92.
- ² Victor Klemperer, Dziennik 1933-1945. Wybór, Kraków 1999, s. 25.
- ³ Jan Daniluk, Posłowie, [w:] Michael Wieck, Miasto utracone. Młodość w Königsbergu w czasach Hitlera i Stalina, dz. cyt., s. 392.
- ⁴ Michael Wieck, Miasto utracone. Młodość w Königsbergu w czasach Hitlera i Stalina, dz. cyt., s. 63.
- ⁵ Tamże, s. 106.
- ⁶ Tamże, s. 88-89.
- ⁷ Tamże, s. 151.
- ⁸ Tamże, s. 32.
- ⁹ Tamże, s. 29.
- ¹⁰ Jan Daniluk, Posłowie, [w:] Michael Wieck, Miasto utracone. Młodość w Königsbergu w czasach Hitlera i Stalina, dz. cyt., s. 394.
- ¹¹ Michael Wieck Miasto utracone. Młodość w Königsbergu w czasach Hitlera i Stalina, dz. cyt., s. 156.
- ¹² Tamże, s. 168.
- ¹³ Tamże, s. 213.
- ¹⁴ Tamże, s. 209.
- ¹⁵ Tamże, s. 220.
- ¹⁶ Tamże, s. 246.
- ¹⁷ Tamże, s. 249 i 294.
- ¹⁸ Tamże, s. 304.
- ¹⁹ Tamże, s. 319.

MAJTKI Z KOCA

- ¹ Sophie Hodorowicz Knab, Naznaczone literą „P”. Polki jako robotnice przymusowe w III Rzeszy 1939-1945, Kraków 2018, s. 79.
- ² Datę podaję za: <https://wielkahaistoria.pl/dlaczego-krakowianie-tak-chetnie-pomagali-niemcom-w-sierpniu-1944-roku/>, dostęp: 21.09.2020.
- ³ List gończy za Władysławą Kwitkowską znajduje się w Arolsen-Archives.